

FANTASTYKA NAUKOWA PO POLSKU SCIENCE FICTION

NUMER 04(04) MAJ 2001

ISSN 1641-4292 INDEX 36360X

CENA **4.99** zł
w tym VAT 7%

KONKURS
DIUNA
str. 86

**ZIEMIAŃSKI
TOY TREK**

**DUKAJ
CZARNE
OCEANY**

**SZYDA
TRÓJKĄT**

**GUZEK
BRZASK**

**SUWAŁA
KOŚĆ
NIEZGODY**

PONADTO:

**DĘBEK
BRYKALSKI
WITKOWIAK**

IMPORT: **WASILJEW**

WIEDZMIN Z WIELKIEGO KIJOWA

KOMIKS: BOHDANOWSKI GAJOWY NIKITYCZ FILM: TOMB RAIDER, RESIDENT EVIL,
SCOOBY-DOO, SERIAL DIUNA BABSKIE GADANIE: PATRICIA McKILLIP RECENZJE
FANDOM: AKTUALNOŚCI I ADRESY, NAGRODA IM. J. ZAJDLA WIATR ZE WSCHODU



opowiadania

Władimir Wasiliew
WIEDZMIN Z WIELKIEGO KIJOWA

Andrzej Ziemiański
TOY TREK

Paweł Dębek
BOHATER DO WYNAJĘCIA

Anna Suwała
KOŚĆ NIEZGODY

Maciej Witkowiak
PRACOWNICY MARKETONGU
BEZPOŚREDNIEGO

Wojciech Szyda
TRÓJKĄT

Maciej Guzek
BRZASK

Dawid Brykalski
TYLKO DOBRZY MUZYCY IDĄ DO NIEBA

Jacek Dukaj
CZARNE OCEANY

komiks

Max Bogdanowski
OPOWIEŚCI GAJOWEGO NIKITYCZA

Czas jest najprostszą z rzeczy, zgodnie z tytułem pewnej książki. Ze swojej strony mógłbym to zdanie uzupełnić w następujący sposób: czas jest też najszybszą z rzeczy. Dopiero co odłożyłem maszynopisy i odsunąłem klawiaturę, a tu już nadszedł termin wysłania do drukarni kolejnych materiałów. Czwarty numer jest gotowy, teksty do następnych dwóch właśnie są składane. Na regale obok leży kilkadziesiąt opowiadań, nowel i powieści, które czekają na swoją kolej.

To naprawdę niesamowita sprawa.

W grudniu ubiegłego roku, gdy pomysł wydania „Science Fiction” dopiero się rodził, kilku zaprzyjaźnionych pisarzy ostrzegało mnie: „Nie ruszaj, póki nie zdobędziesz materiałów na przynajmniej trzy kolejne numery”. Nie posłuchałem ich, wierząc, że opinie o niewielkiej liczbie stworzonych tekstów to mit. Zaryzykowałem i nie pomyliłem się, choć był taki moment - przyznałbym - gdy myślałem, że trzeba będzie sięgać za granicę, by wypełniać kolejne numery „Science Fiction”. Wydanie „dwójki” zadziałało jak katalizator. Nagle otrzymaliśmy kilkanaście utworów od ludzi z nazwiskami, nie tylko debiutantów. I zaczęła się era obfitości. Jestem w tym szczęśliwym położeniu, że mam już za sobą lekturę wielu naprawdę dobrych tekstów. Tych, na które właśnie czekacie. Coraz częściej pojawiają się takie, które - mówiąc o sprawach uniwersalnych - za tło mają nasz krajobraz, naszą rzeczywistość. Andrzej Ziemiański, notabene laureat ostatniego plebiscytu „Nowej Fantastyki”, pokazał, tak w nagrodzonej „Bombie Heissenberga”, jak i w „Autobahn nach Poznań”, że nie trzeba dziwnie brzmiących nazw i amerykańskiego blichtru, by uwieść czytelnika. Nie jest to nacjonalizm, ale zdrowe podejście do sprawy. Wiele nacji europejskich hołubi własnych twórców, kłaniając się w pas wartościowym autorom z importu - bo tylko głupiec może ograniczyć się do własnego podwórka i udawać, że poza nim nie ma świata. Tak postępują Rosjanie, Francuzi i Niemcy. Tak powinniśmy postępować i my. Powieści i opowiadania Andrzeja Sapkowskiego pokazały, że można sprzedawać rodzimych autorów i zarabiać na tym. Można i należy. Ale do tego trzeba czegoś więcej niż tylko uporą pojedynczego wydawcy. Trzeba umieć wypromować taki produkt. Wystarczy spojrzeć na jeden tylko przykład z ostatnich lat - „Harry Potter”. Doskonale marketing (nie nasz, trzeba to uczciwie przyznać) doprowadził wręcz do histerii związanej z kolejnymi tomikami przygód tego bohatera. W kolejnych krajach seria ta bije na głowę całą konkurencję, łącznie z sensacją i głównym nurtem. Dlaczego, wypadłoby zapytać, w kraju, gdzie średni nakład książki fantastycznej to trzy tysiące egzemplarzy, nagle mówi się o dwustu tysiącach i więcej? Zastanówcie się, czy rzeczywiście „Harry Potter” to takie odkrywcze dzieło? Nie ujmując nic Harry'emu, moim skromnym zdaniem specjalistom od marketingu udało się wykreować nowego bohatera. Czy przetrwa on tak jak Kubuś Puchatek, Alicja z Krainy Czarów albo Mały Książę w zbiorowej świadomości czytelników przez najbliższe kilkadziesiąt lat, pokaże czas. Dzisiaj mały czarodziej jest królem rynków wydawniczych. A nakłady książek o nim obalają pewien mit krążący od pewnego czasu po Polsce. Kryzys czytelnicy jest faktem, temu nie można zaprzeczyć. Ale Polacy nie zaniechali czytania. Jeśli ktoś wskaże im wart tego tytuł, sięgną po niego. W przypadku międzynarodowego hitu, na miarę Harry'ego Pottera, zapłacą nawet wygórowaną cenę. Raz, dwa razy do roku jest to możliwe, nawet dla ludzi o średnich dochodach. Co jednak zrobić, by książki wróciły pod strzechy, jeśli ich bema niejednokrotnie równa jest całemu budżetowi, jaki klient przeznacza w miesiącu na kulturę? Odpowiedź jest tyleż nierealna, co oczywista - obniżyci ceny. I to znacznie! Ale do tego potrzebna jest też ingerencja państwa. Mamy ministerstwo kultury i czegoś tam jeszcze. Mamy ministra, który pięknie przemawia. Nie mamy jednak żadnego programu wsparcia polskiej literatury. I pewnie nieprędko mieć go będziemy...

Dlatego sami bierzemy sprawę w swoje ręce. Już niedługo, w serii „Kolekcja Science Fiction”, pojawi się pierwsza powieść za kilka złotych. Eugeniusz Dębski zaryzykował z nami, ale nie tylko on. W kolejce leży już niemal dziesięć maszynopisów innych autorów, w tym kilka zaawansowanych projektów najlepszych polskich autorów. Zaczynamy na wakacje, ale o tym, czy eksperyment się powiedzie, zadecydujecie Wy, czytelnicy. Na co liczę - tak ja, jak i sami autorzy.

Zostawmy jednak na chwilę te dywagacje. Czas na przedstawienie zawartości numeru czwartego. Na początek drugie (z dwóch, jakie do tej pory zostały napisane) opowiadanie o rosyjskim wiedźminie. Wa-siljew tak Wam się spodobał, że postanowiliśmy wydać wszystkie utwory z tego cyklu. „Wiedźmin...” to nie jedyny rosyjski akcent tego numeru. Nawiązaliśmy współpracę z osobą, która w fantastycznym światku ma opinię jednego z najlepszych fachowców od tamtejszej literatury. Paweł Laudański, bo o nim mowa, prezentuje na naszych łamach esej o nowościach zza wschodniej granicy. Zapoznajcie się z tym tekstem, wiele pozycji tam przedstawionych trafi wkrótce na nasz rynek. Warto wiedzieć wcześniej, po co sięgać.

Dział polski prezentuje się nienajmniej okazale - mamy dwie nowele. „Toy Trek”, kontynuacja znanego z naszych łamów „Toy Toy Song” Andrzeja Ziemiańskiego, to absolutna nowość. Autor zakończył pracę nad tym tekstem 10 maja roku pańskiego 2001. Kolejny rekord świata w szybkości publikacji został pobity. Ale dla zwyczajcy plebiscytu „NF” nie mogło zabraknąć miejsca. Drugi długi tekst to znakomita opowieść o Czernobylu, święcie fantasty, który od pewnego czasu eksploruje Maciej Guzek, twórca młodego pokolenia z Żerkowa (miejscowość leżąca niedaleko Jarocina). To naprawdę wartościowy tekst, który pokaże Wam, że i w tym gatunku mamy jeszcze coś do powiedzenia. „Brzask” wygrał niedawno konkurs literacki zorganizowany przez Klub Fantastyki „Druga Era”. Od siebie dodam, że całkiem zasłużenie.

Trzeci z dłuższych tekstów należy do Jacka Dukaj. Nie skłamię, jeśli napiszę, że jest to chyba najpopularniejszy autor ostatnich lat. Dzisiaj prezentujemy fragment długo oczekiwanej przez fanów autora „Złotej Galery”, powieści noszącej tytuł „Czarne Oceany”. Jak wiecie niesie, pełne wydanie powinno już niedługo pojawić się na księgarskich półkach w znakomitej „białej serii” Mirka Kowalskiego. Anna Suwała, doktorantka Instytutu Immunologii i Terapii Doświadczalnej PAN we Wrocławiu, ma za sobą kilka publikacji bardziej fantastycznych niż naukowych. „Kość niezgody” należy do rzadko ostatnio uprawianego na naszym poletku gatunku. Jest to klasyczny horror, wręcz opowieść grozy. Ale sza, nie chcę zepsuć Wam tej znajomości niepotrzebnym słowem. Wojtko Szyde już wie. Gościł na naszych łamach przed miesiącem. Na pierwszy ogień puściliśmy jego krótsze teksty, ale już przygotowujemy znakomitą nowelę tegoż autora. Przegląd tekstów zamykamy dwoma opowiadaniem. Pierwsze to short Dawida Brykalskiego, znanego bardziej jako publicysta z kilku periodyków sieciowych, choć to nie cała prawda o nim. Ma na swoim koncie wydaną przez GKF książkę „Nie ma tego złego, co na gorsze by nie wyszło”. Po „NF” i „F” trafił i na nasze łamy. Ostatni z prezentowanych w tym numerze autorów to Paweł Dębek, student drugiego roku socjologii na Uniwersytecie Wrocławskim. Zadebiutował, mając lat dwanaście opowiadaniem w „Fantazji”, ostatnio jeden z jego tekstów zamieścił „Fenix”. Dzisiaj przedstawiamy ironiczne spojrzenie na świat niezłomnych bohaterów, smoków i księżniczek jego autorstwa.

Na koniec przypominam. W związku z opóźnieniem, jakie przytrafiło się numerowi trzeciemu, każda z kolejnych edycji „Science Fiction” będzie ukazywała się nieco później niż planowaliśmy, dopóki nie nadrobimy niemal dwutygodniowego opóźnienia. Tak więc ten numer pojawi się w kioskach 24 maja., kolejny powinien ujrzeć światło dzienne 20 czerwca, a wydanie lipcowe już będzie absolutnie w terminie. O ile moc nas nie opuści, czego sobie i Wam życzę.

Robert Szmidt

WIEDŹMIN Z WIELKIEGO KIJOWA

Mówiło się potem, że wszedł na Terytorium z południa, przez służę w Odincewie. Wysoki, szczupły, całkowicie łysy mężczyzna z plastikowym bagiem na ramionach i przytroczoną z boku pompową strzelbą. Ubrany był w wytarte džinsy, czarną skórzaną kurtkę i grube krasnoludzkie buty na protektorowanej podeszwie. W ubraniu przeważały wyblakłe kolory, nawet bag nie był -jak zwykle - pstry, a utrzymany w tonacji między khaki a brązem, i na dodatek pokrył się z powodu długotrwałego użytkowania nierównymi, rozmytymi plamami, podobnymi do kamuflażu. Na pozbawionym włosów czerepie -nie wygolonym, ale od zarania dziejów nagim i gładkim, jak plafon lampy oświetleniowej - kwitł dziwaczny tatuaż: przysadzista koparka ciągnęła straszliwie wielki czerpak przez cały tył głowy niemal do lewego ucha, gdzie przycupnął obok niewielkiego pulpitu żywy - ni to człowiek, ni to elf, nie wiadomo. Pod rozpiętą na piersi kurtką wisiał na pleciance z cieniutkich kolorowych przewodów wiedźmini medalion-czujnik.

Gdyby to były inne czasy, poproszono by go uprzejmie, żeby spieprzał stąd. Kto lubi wiedźminów? Nikt. Ani w Wielkim Kijowie, ani w Wielkiej Moskwie. Ani wirgowie ich nie lubią, ani krasnoludy, ani halfingi. Nie wspominając o elfach. Nawet ludzie ich nie lubią, a wiedźmini wszak zazwyczaj są z ludzi. Likwidatorzy anomalii sami stają się anomaliami, a odstępstwa od norm nikomu się nie podobają.

Zamknięte Autonomiczne Terytorium Snieżeńsk-4, zagubione gdzieś na wąskiej granicy między dwoma gigantycznymi megalopolisami, było zwyczajnym, wydzielonym rejonem, nie-przyrośniętym ani do Kijowa, ani do Moskwy. Otoczone zostało wysokim jak diabli Kordonem, sztukę pokonywania którego - o ile w ogóle kiedyś istniała - żywi bezpowrotnie utracili. Z oficjalnych punktów przejściowych przestano korzystać również w czasach już niepamiętnych i zaginionych w pomroce dziejów. Najstarsze elfy terytorium nie pamiętały czasów, kiedy sprytna maszyneria służ wypuszczała mieszkańców Snieżeńsk-4 i wpuszczała z powrotem. Obcych, wiadomo, machina nigdy nie wpuszczała, wyjątkami byli uczeni i technicy, posiadający odpowiednie kody. I wiedźmini - likwidatorzy potworów.

W zasadzie, dowolną dziką maszynę można nazwać potworem, ponieważ wszystko, co dzikie jest niebezpieczne dla żywego. Ale w miejskich dzielnicach rodziły się czasem szczególne maszyny - maszyny-zabójcy, maszyny pożądające żywego ciała: samochody z pociętymi zderzakami, czyhające na nieostrożnych przechodniów na poboczu; niezgrabne, ale wypełnione martwym sprytem agregaty budowlane z zachłapanymi

krwią czerpakami i lemieszami. Nie dawało się ich ujarzmić, poddawali się nawet magistrowie z Kijowskiej Wystawy i Moskiewskiej Akademii. Zdarzało się, że to plugastwo pustoszyło całe dzielnice. I co najważniejsze - liczba potworów rosła.

O wiedźminach wiedziano tyle co nic. Mówiło się, że pochodzili z dokładnie takiego samego Terytorium - ni to na wschodzie, ni to na południowym wschodzie - o nazwie Arzamas-6. Tam nie miał wejścia żaden postronny, niechby nawet był po stokroć uczonym, czy nawet Technikiem Całego Świata. Wychodzili wiedźmini stamtąd i ruszali na wędrowkę po świecie, za zapłatę uwalniając żywych od maszynowego paskudztwa. Ponurzy i nierozmowni, chciwi i okrutni - takie cechy przypisywali im żywi Wielkiego Kijowa i Wielkiej Moskwy. Ale kiedy nadchodzi Zło, trzeba godzić się z Dziwactwami.

Przez jakiś czas przynajmniej.

Kłopoty Snieżeńska-4 zaczęły się jakieś siedemdziesiąt do osiemdziesięciu lat temu. Jeden po drugim stanęły podziemne strumienie transportowe, a więc ustało uzupełnianie zapasów w magazynach. Nikt nie głodował, ale już należało liczyć się z każdą puszką tuszonki, które wcześniej wałyły się gdzie popadło, w najgorszych nawet kramikach. Własnych zasobów Terytorium miało za mało. Technik Snieżeńska-4, siwy elf Seidhe, zwrócił się do rządu Wielkiego Kijowa, ale rządzący rozłożyli tylko ręce: jak możemy wam pomóc? Przerzucać zapasy przez pierścień Kordonu? Przecież Kijowian nie dopuszczają bliżej systemu ochronne. Wielka Moskwa odpowiedziała dokładnie tak samo, dodatkowo uczyniła jeszcze aluzję taką, że niby Snieżeńsk-4 i tak nie będzie mógł zaproponować w zamian niczego cennego. Terytorium zaczęło więc żyć skromnie i na półgłodzie.

Trwało to całe sześćdziesiąt lat, póki przechodzący obok służby Odincewskiej moskiewski włóczęga nie zawołał do siebie bawiącego się przy przepuście pięcioletniego dziecka-człowieka. Dzieciak bez najmniejszych przeszkód wyszedł poza rubież Terytorium, włóczęga czule pogłaskał go po główce i nagroził czekoladką "Rot Front". Mały ruszył z powrotem, a włóczęga poszedł sobie dalej, do granicy Wielkiego Kijowa.

Rodzice dziecka, widząc czekoladkę, niemal oszaleli. Dopytywali się, skąd ją wziął - taką prawdziwą, moskiewską, jakich w Snieżeńsku-4 nie widziano już od sześciu dziesięcioleci. Biedny szczeniak, rozmazując po buzi smarki, setny raz powtarzał, stojąc przed Seidhe i starostami dzielnic, historię z przechodzeniem przepustu i z dobrym wujkiem Rot Frontem. Nikt mu, naturalnie, nie wierzył,

póki Seidhe nie zaproponował przejścia przez służę jeszcze raz. Teraz zaczęła ryczeć matka - dzieciom zakazywano nawet zbliżania się do przepustów, choć szcylie, bywało, że bawiły się nieopodal. Po prostu każdy mieszkaniak Snieżeńska-4 od dziecka przywykł, że za Kordonem nie ma NIC. W ogóle. Kordon to granica, rubież. Nawet nie ma sensu przechodzić przezeń. Przekonanie rodziców, czy tego chcieli czy nie, przechodziło na dzieci, i choć te łamały zakazy, bawiąc się często bardzo blisko służ, to na zewnątrz nie ośmielały się wychodzić nawet największe iobuziaki. W każdym razie nikt z Terytoriałów nie pamiętał niczego takiego w ostatnich dziesięcioleciach. Nie miało to miejsca. Aż do przypadku z czekoladką.

Technika Seidhe poparli wszyscy starostowie. Szlochającą matkę przytrzymał; ojciec, zacisnąwszy zęby, sam wziął się w karby. Doświadczalnego szczeniaka przyprowadzono do służby Odincewskiej i na oczach kilkudziesięciu żywych ten wyszedł bez żadnego uszczerbku dla zdrowia poza Kordon. I wrócił.

Wtedy Seidhe kazał przyprowadzić snieżeńskiego głupka, półorka Czkudacha, zwykle szwendającego się przy jedynej czynnej łaźni.

Przyprowadzono.

- Widzisz? - zapytał Seidhe, pokazując półorkowi nieszczęsną czekoladkę.

Czkudach zaczął kiwać głową, nie spuszczać oczu z jaskrawego opakowania.

- Chcesz? - okrutnie zapytał Seidhe. Czkudach zaczął puszczać bąble ze śliny.

- Weź - pozwolił elf i precyzyjnym ruchem cisnął czekoladkę na zewnątrz. Przez przepust.

Czkudach wlał w ciasny korytarzyk służby i zwałił się dokładnie w środku. Kiedy przy pomocy bosaków wyciągnięto go stamtąd, nikt nie miał wątpliwości, że półork jest martwy. Obudzona na chwilę nadzieja, że maszyna ochronna Kordonu zasnęła - zgasła. Wtedy Seidhe po raz drugi wysłał przez Kordon dzieciaka. Matka zemdląła, ojciec zbladł jak ściana, jak papier kredowy.

Mały przyniósł czekoladkę i nadal żył. Seidhe zastanawiał się dobrych pięć minut i nakazał przyprowadzić jeszcze piątkę dzieci. Sierot. Czworo chłopców i dziewczynkę: dwoje ludzi, czarny ork, halfing i wirg-mieszaniec. Dzieci miały od czterech do piętnastu lat. Wszystkie bez wyjątku zostały przez przepust wypuszczone i wpuszczone.

- Cóż... - smutno powiedział Seidhe, mierząc wzrokiem grupę Terytorialnych. - Nie zostało nic innego, jak udowodnić, że służa dorosłych zabija jak i wcześniej.

I wszedł do wąskiego korytarzyka.

Pochowano elfa tego samego dnia.

Potem wybrano nowego Technika. Zaczęto zastanawiać się, jak można wykorzystać dla dobra Terytorium nieoczekiwaną szansę. Po pierwsze, dzieciaki były za małe, by świadomie pomagać. Nawet najstarsze z nich - trzynastoletnie elfy - mało co różniły się od pięcioletnich ludzi, zarówno co do siły, jak i

bystrości. Długo żyjący wolno dorosleją. Dzieci ludzkie wyprzedzały przyjaciół innych ras we wszystkich grach. Ale problem leży nie w wieku - problem leży w tym, że przedostać się do magazynu i przenieść coś stamtąd może tylko dorosły. No bo co może przytargać pięcioletni skrab-człowiek, czy dwudziestoletni ork, nawet jeśli dotrą do owego magazynu? Puskę konserw? Raczej już jakoś zabawkę chwycą, czy paczuszkę herbatników. A przecież trzeba jeszcze odnaleźć taki magazyn, otworzyć zamki... Na dodatek dokoła może się szwendać nie wiadomo jakie gówno, nieważne - uzbrojone czy nie. Przeciwnie malcom nawet pryszczaty wyrostek, to już olbrzym.

Tak więc trzeba dotrzeć do magazynu, obrobić go, no i trzeba wrócić. Zadanie wydawało się mało realne do wykonania. Rozwiązanie dość nieoczekiwanie znalazło się po kilku latach, kiedy ludność Snieżeńska-4 zmniejszała się o połowę. Zasoby

Terytorium topniały tragicznie i stało się widoczne, że wkrótce Snieżeńsk-4 wyludni się całkowicie. Właśnie w tym momencie Technik zdołał odkryć ponownie jeden z kluczowych wzorów chemicznych czołowego przed laty produktu snieżeńskiego kombinatu i doszedł do tajemnicy syntezy surowca - substancji bardzo wysoko cenionej zarówno w Wielkim Kijowie, jak i Wielkiej Moskwie. Do syntezy potrzebny był sprzęt, a tego nie brakowało w laboratoriach kombinatu - i pewne szczególne kamyczki. Kamyczki można było znaleźć w granicach Kordonu. Ale Technik patrzył perspektywicznie - na długo tego zapasu nie wystarczy.

Już pierwsze doświadczenia uwieńczone zostały sukcesem, surowiec został wyprodukowany. Natychmiast nawiązano łączność z Moskwą, zawarto pierwszą umowę: kilka odpowiednio zaprogramowanych ciężarówek przewiozło ładunek przez przepust Stepiański i niemal cały dzień Terytorialni przenosili na pożyczonych z klubu zasłonach sterty konserw i puszek z marynatami, paczki sucharów i przenośną aparaturę produkcyjną. Po roku trwająca nieustannie synteza spowodowała, że z całego Terytorium zniknęły wszystkie kamyczki. Wtedy ktoś przypomniał sobie o tym, że dzieciaki mogą przecież wychodzić na zewnątrz. Sprawie nadano bieg: grupy poszukiwawcze złożone z malców szwendały się dokoła Terytorium i po trochę ściągaly do środka potrzebny surowiec. Dzieciaki, naprawdę małe baki i maluchy, stały się nagle zbawieniem dla Snieżeńska-4. Przez całe dwadzieścia lat sprawy szły swoim tokiem: Snieżeńsk-4 prowadził już wymianę z Wielkim Kijowem, i Wielkim Mińskiem, a kiedyś nawet pojawili się wąsaci górale z Kaukazu z zupełnie niewiarygodną ilością mandarynek w kartonowych pudłach.

Potem obudził się Rip. Nikt już nie pamiętał, dlaczego nazywał się Rip. Nikt nawet nie usiłował przypomnieć sobie, kto i kiedy go tak nazwał. Rip był, najprawdopodobniej, bojowym mnemorobotem, ale był tego świadom tylko jeden spośród żywych Snieżeńska-4 - Technik. Zaginął dzieciak, i to wcale nie z tych,

które wychodziły poza Kordon. Szukano go w mieszkalnych dzielnicach, ale na próżno. Wkrótce zniknęło następne dziecko. Potem trzecie.

A po miesiącu dzieci opowiedziały, że zza budynku kombinatu wyskoczył metalowy pająk i pochwycił małą elfijkę Maiem, po czym powlókł ją gdzieś w betonową dżunglę i sploty metalowych szkieletów. Pozostałe dzieciaki z piskiem rozbiegły się.

W pierwszych miesiącach dorośli widzieli pająka Ripa tylko dwa razy, za każdym razem w dzień. Najpierw pojawiał się z rzadka, ale potem stało się jasne, że rośnie i potrzebuje coraz więcej i więcej pokarmu. Dzieci zaczynały ginąć nawet w biały dzień, po prostu z mieszkań; jeśli dorośli przeszkadzali - również ginęli. Na Terytorium zapanowała rozpacz. Dorośli nie wypuszczali dzieci z mieszkań; do przepustów odprowadzano je pod eskortą, która czekała potem, aż dzieci wracały.

Ale to nie pomogło: najpierw Rip napadł na powracającą grupę dzieci, bez trudu rozpedził ochronę i bez przeszkód porwał wybraną ofiarę. Potem raz napadł na dzieci poza Kordonem, ale tylko raz - z niewiadomego powodu wołał atakować wewnątrz Kordonu. Snieżeńcy usiłowali prosić o pomoc Moskwę i Kijów, ale jak można było im pomóc? Zorganizowali oblławę własnymi siłami - stracili trzech żywych, a Ripa nawet nie zadrapały setki wystrzelonych pocisków. Gdzie ukrywał się pająk - też nie było wiadomo. Swoje błyskawiczne i nieprzewidywalne rajdy wykonywał raz w dzień, raz w nocy, ale najczęściej rankiem, przed świtem. Świadców jego mordów też nie było... Może i ich Rip zabijał? W każdym razie, oprócz biednych zaginionych dzieci Terytorialni kilka razy znajdowali trupy, a widok ich był bardzo nieprzyjemny. Zginął mistrz krasno-lud Dumemik, zginął śpiewak-człowiek Gnás, znaleziono też inne pokancerowane straszliwie zwłoki i tylko srebrny zegarek pozwolił zidentyfikować ciało starosty Pietrowki, halfinga Wan Rety o przezwisku Bajda. - Poprzedniego dnia zaginęła dwunastoletnia córka Bajdy...

Najprawdopodobniej Wiedźmin przybył w środku nocy. Zamknął się w porzuconej komórce ochrony obok przepustu, gdzie drzemał do świtu. Gdy tylko się rozwidniło, ruszył w głąb Terytorium. Dzielnice sąsiadujące z Kordonem były puste - nikt tu na stałe nie mieszkał i nie było tu czego szukać. Ośrodkiem życia Snieżeńska-4 było centrum: dzielnice najlepszych budynków, puste od dłuższego czasu sklepy, wyczyszczone do cna magazyny kombinatu. Sam kombinat mało kogo interesował, a już teraz, po pojawieniu się Ripa, wszyscy obchodzili go dużym lukiem.

Wiedźmin nie wdawał się w próżne rozmowy, skierował się prosto do Technika Snieżeńska-4, Almelida. Takim bladym świtem Terytorialni nie wysuwali jeszcze nosów z mieszkań, pośpiesznie przebudowanych na schrony-twierdze. Różowawe blaski światła pełzały po warstwach ulicznego pyłu i wydawało się, że nie jest to kurz i nie błoto, a zwiędłe i

opadłe jak jesienne liście, marzenia mieszkańców Terytorium o nie biednym życiu. Krasnoludzkie buciory odbijały na tych marzeniach pieczęcie protektorów.

Mieszkanie Technika wiedźmin odnalazł bezbłędnie - na węż, czy jak? Pchnął kratowaną furtkę, przemaszerował po kwadratowych płytach z granitu do stopni prowadzących na ganek. Spomiędzy płyt sterczały żdzibła wątlej trawki. Przy dwuczęściowych szklanych drzwiach, na poziomie oczu wiedźmina, widniała masywna metalowa tabliczka: "Snieżeński Zakład Przemysłowo Techniczny". Drzwi były zamknięte na potężną kłódkę. Niezbyt skomplikowany zamek, pomyślał wiedźmin. Czy to może zatrzymać Ripa?

Stukanie do drzwi wywołało młodziutkiego technika bez portek, w kurtce na gołe ciało i w papciach. Widząc łysą głowę z tatuażem (wiedźmin umyślnie ustawił się bokiem do drzwi), technik-śpiochomal nie upuścił szpanerskiej, lustrzanej połyskującej beretty.

- Otwieraj - zażądał wiedźmin. Technik tępo gapił się na niego i stał nieruchomo. Miał rozczulająco sterczące na boki uszy.

-A... Ja... Zaraz...

I gubiąc papcie, runął gdzieś w głąb holu. Pewnie do telefonu. Potem, stosunkowo szybko, pojawił się Technik - właśnie Technik, a nie technik. Był ubrany starannie i kompletnie. Tyle tylko, że nie zdążył się ogolić, co psuło nieco ogólne wrażenie. Na jego żądanie śpioch, który zdążył nałożyć portki i trampki, uchylił jedno skrzydło drzwi.

- Wchodź - ponuro wycedził Technik. - W innych okolicznościach, wiedźminie, wyprowadziłbym cię z mojego Terytorium na kopach. A dziś, zapraszam.

- W innych okolicznościach nie przyszedłbym do ciebie. Wiedźmin wzruszył ramionami. I bokiem przecisnął się przez szczelinę, niemal ocierając się o technika-śpiocha. Przyprawiono go do małego gabinetu na piętrze. Nie wiadomo, dlaczego Technik nie skorzystał z windy - przybyli tam po schodach. Najpierw w lewo, przez długi korytarz, potem wąskie schody i znowu korytarz. Umeblowanie gabinetu stanowił nakryty zielonym sukrem stół, kilka krzeseł dookoła i mównica w kącie. Wiedźmin pomyślał, że w starych dobrych czasach częściej różni tu. w karciochy niż naradzali się. Na znak Technika pomocnik otworzył okno. Świeże powietrze wpłynęło do pomieszczenia, wypychając zeń stęchliznę i wirujące w promieniach słońca drobiny kurzu.

- Tak więc, wiedźminie... Słucham cię.

- A mogę usiąść? - zapytał wiedźmin. W jego pytaniu nie było żadnej specjalnej intonacji.

Technik niedbale machnął rękawem stronę krzeseł, ale sam nie zajął miejsca. Wiedźmin usiadł, położył łokieć na suknie. O krzesło opierał się raczej bokiem niż plecami, gdyż wisiał na nich jego bag.

- Macie problem - powiedział wiedźmin. Te dwa słowa podzielił na sylaby, krótkie i szczekliwe jak

odmierzona seria z automatu. - Jestem wiedźminem. Mogę pomóc.

- Jak?

- Wytropię i zabiję Ripa.

- Czy to możliwe? - Głos Technika przepełniał smutek.

- Możliwe. Maszyny też są śmiertelne. Przecież jesteś Technikiem.

Technik przyglądał się wiedźminowi.

- A skąd wiesz o naszych kłopotach? Wiedźmin wzruszył ramionami.

- Na terenie kombinatu zaktywizował się Rip. Naładował się, wykonał zwiad. I zaczął polowania. Najprawdopodobniej kradnie dzieci. A to znaczy, że jest to Rip-esper. Zabija świadków, a więc bojowy esper. Sądząc po tym, że napada nie tylko w nocy, ale i w dzień, to jest to bojowy esperuniwersal. Nie zazdroszczę wam. Techniku. Minie miesiąc czy dwa i uprowadzi wam wszystkie dzieci, a was pomorduje. Przecież nie możecie uciec, a zabić go nie jesteście w stanie. Próbowaliście już, czyż nie?

Technik ponuro wpijał się w rozmówcę spojrzeniem.

- Skąd to, proszę o wybaczenie, wszystko wiesz? Tym razem wiedźmin nie wzruszył ramionami.

- Jestem wiedźminem - uchylił się od konkretnej odpowiedzi. Chciał dodać: "Mamy swoje metody", ale powstrzymał się. Technik zastanawiał się dłuższą chwilę.

- A dasz radę? - zapytał w końcu głuchym głosem. Wiedźmin nie roześmiał się, choć Technik był pewien, że to uczyni.

- Jestem wiedźminem - powtórzył. Po prostu. Pomocnik Technika, wstrzymując oddech, stał przy oknie, a jego uszy, wydawało się, sterczały, jeszcze mocniej.

- Dobra. - Technik ciężko oparł się o najbliższe krzesło. - Ile chcesz za to? I w jakiej walucie: w rublach, hrywnach? Dopiero teraz wiedźmin pozwolił sobie na uśmiech.

- Czy ja jestem idiotą, żeby na wasze Terytorium przychodzić po pieniądze?! Czym są pieniądze? Macie coś znacznie bardziej wartościowego.

Technik, chyba, domyślił się.

- Tak-tak-ta... - wycedził. - Co, mianowicie?

- Surowiec - zwyczajnie powiedział wiedźmin. - To, co w Kijowie zwie się puddingiem, a w Moskwie...

- Wiem, jak nazywają surowiec w Moskwie - przerwał Technik. - Ile?

- Wszystko, co macie - beznamiętnie odpowiedział Wiedźmin, ale jego spojrzenie w tym momencie nie było obojętne. - Miejcie na uwadze, że wiem wszystko o waszym handlu z Kijowem, Moskwą i Mińskiem. Tak więc mam pojęcie, ile surowca produkujecie i ile w tej chwili posiadacie.

- Co-o-o-o?! - Technik wyprostował się oburzony. - Czyś ty zmysły postradał, wiedźminie? Wiesz, ile to kosztuje?

- Wiem - z zadowoleniem przyznał wiedźmin. - I bardzo mnie raduje ta świadomość, wręcz mnie grzeje.

Technik konsekwentnie przeszedł od oburzenia do oszołomienia, a potem nawet posunął się ku ironii:

- Oddamy ci wszystko, a co z surowcem dla Kijowa i Moskwy?...

- W najbliższym tygodniu nie było przewidzianych dostaw do Moskwy - przerwał mu wiedźmin. - Tylko do Kijowa. I tylko do koncernu Halkdaffa.

Teraz już Technik wpatrywał się w wiedźmina z nienawiścią. Dlatego, że wiedźmin mówił prawdę. Nie wiadomo było tylko, skąd ma tyle wiedzy o ZAT Snieżeńsk-4, przecież nigdy wcześniej go tu nie było.

- Jak ty to sobie wyobrażasz? - wycedził Technik, powstrzymując wybuch. - Nie sprzedając towaru Halkdaffowi, będziemy głodowali tak długo, póki nie wyprodukujemy kolejnej partii surowca. To prawie półtora miesiąca. Tak naprawdę to może nawet więcej, bo głodni pracownicy są beznadziejnymi pracownikami.

- To wasz problem, Techniku. Ja swoje powiedziałem.

- Wynos się stąd! - Technik wskazał drzwi. - Wynos się, gadzie.

- Dobrze - nieoczekiwanie zgodził się wiedźmin. - Odchodzę. - Wstał, zerknął przez okno. - Przy okazji, Techniku. Widzisz to słońce? Widzisz kolor nieba? O czym to świadczy, jak sądzisz? O upale i suszy - wyjaśnił, nie czekając na odpowiedź. - Chwytasz, Techniku? Rip zacznie porywać po kilkoro dzieci na dobę. Za jakieś dwa miesiące w Snieżeńsku nie zostanie nikt młodszy od dwunastolatka, mam na myśli ludzi, rzecz jasna. Granicznego wieku innych ras możesz domyślać się sam. Kto będzie wam nosił zza Kordonu pensirit? Może Rip? Już nie powiem o tym, jak pracują ludzie, którzy stracili dziecko...

- Won! - wrzasnął Technik. Wiedźmin posłusznie ruszył do drzwi.

- Wróć jeszcze - obiecał. - A ty pomyśl. I naradz się ze swoimi starostami...

Droge do wyjścia wiedźmin pamiętał świetnie.

Pod wieczór zaginęła dziewięcioletnia wnuczka jednego ze starostów. Przez kilka godzin Rip szalał po kwaterach Terytorium - nie wiadomo, dlaczego, ale teraz wybierał mieszkania samotnych matek. Dziecinne łóżeczka zostawały chłodne i puste. A samego Ripa nikt nawet nie zauważył.

W dzień wiedźmin ostentacyjnie spacerował po Terytorium, unikając kontaktów z żywymi. W nocy przepadał nie wiadomo gdzie. Po trzech dobach od rozmowy wiedźmina z Technikiem Snieżeńska-4, dwaj ponurzy wirgowie cisnęli kamykiem w okienko pakamery przy przepuście.

-Hej! Czciogodny!

Wiedźmin pojawił się w korytarzu, który napawał strachem każdego dorosłego Terytorialnego.

- Tak?

- Żywi chcą pogadać z tobą.

-O czym?

Wirgowie wymienili serię spojrzeń, przestępując z nogi na nogę jakieś pięćdziesiąt kroków od służy.

- No... tego... Podobno możesz rozprawić się z Ripem ... Więc... ten... My byśmy zapłacili. Ile trzeba.

- Nie interesują mnie pieniądze. A zapłatę zna wasz Technik, ale przegonił mnie. Rozmawiajcie z nim. Jak się zgodzi i mnie zawoła, przyjdę. A na razie...

I zniknął z drzwiach pakamery. Wirgowie jeszcze trochę dreptali w miejscu, a potem odeszli. Po kilku godzinach przed mieszkaniem Technika zebrał się liczny tłum. Praktycznie wszyscy mieszkańcy Snieżeńska-4 w komplecie, ponieważ nikt nie chciał zostawiać dzieci bez nadzoru.

Starostowie dzielnic jeszcze poprzedniego dnia odwiedzili Technika i nie wychodzili z jego gabinetu aż do tej chwili. Gdyby ktoś odważył się opuścić miejsce zamieszkania w nocy, to przekonałby się, że światło w gabinecie nie zgasło ani na sekundę.

Wieżmin został wezwany do Technika już pod wieczór. Samotny i dumny przemaszerował przez zwarty tłum, wpatrujący się weń z osobliwą mieszaniną nienawiści i nadziei. Każdy był gotów go zabić i nikt nawet tego nie próbował, ponieważ wieżmin był żywym wcieleniem jedynego ratunku.

Tym razem przyszło mu wspinać się na drugie piętro, do gabinetu znacznie większego niż ten pierwszy. Stół też był tu większy. Bez sukna. Tu, najwidoczniej, w karty nikt nie grał. Tu podejmowano decyzje i wymyślano nowe wzory chemiczne do wykorzystania. Towarzystwo siedziało przy stole: Technik, pięciu starostów i jeszcze trzech innych żywych, wieżmina nie poinformowano, kim są.

Spokojnie i w milczeniu wieżmin wszedł do gabinetu, zawahał się na sekundę i usiadł na krześle pod samym oknem. Teraz widzieli go tylko w postaci ciemnego konturu na tle jasnego prostokąta.

- Słucham - powiedział, mrużąc oczy. Wstał jeden ze starostów, szczupły ork, wyglądający staro, nawet jak na orka.

- Jam jest Xawiar Sotera, starosta Kumański. Jak ciebie zwą, wieżminie?

- Wieżminem. Zresztą, jeśli koniecznie musicie znać imię, to możecie nazywać mnie Gerałtem.

- Gerałcie - patetycznie zwrócił się do niego Sotera.
- Czy jesteś zupełnie pozbawiony sumienia i współczucia? Giną nasze dzieci, a ty sobie siedzisz z boku i po prostu czekasz...

Na obliczu Gerałta nie pojawiło się żadne uczucie - ani zawstydzenie, ani irytacja.

- Szanowny starosto! Wieżmini nie są szkoleni we współczuciu. Wieżminów szkoli się w zabijaniu potworów. Za opłatą, ponieważ taki wieżmin musi z czegoś żyć. Musi kupować sprzęt do pracy, odzież, żywność. Czy wam się wydaje, że mnie ktoś będzie karmił za darmo? Że ktoś podaruje mi spodnie? Kto z tego Terytorium poczęstował mnie choćby kubkiem wody, co? Tak się złożyło, że macie coś, co jest mi bardzo potrzebne i to właśnie teraz, już. W dużych ilościach. Czyżby owo "coś" było wam droższe od życia dzieci i własnego?

- Jeśli umrzemy z głodu, to nikt raczej nie uratuje naszych dzieci.

- Z głodu? - Wieżmin skrzywił się pogardliwie. - Przestańcie bujać, starosto. Każdy żywy ma zadekowane tyle konserw, że wystarczy mu do czasu, kiedy wyprodukujecie nową porcję surowca. Poza tym możecie dogadać się w sprawie dostaw skredytowanych. Najwyżej nie będą to bardzo wygodne dla was warunki.

- Nikt nie chce nas kredytować - pochmurnie zauważył inny starosta, elf w nieokreślonym, jak wszystkie elfy, wieku.

- Sami jesteście sobie winni, po co kiwaliście Moskwę? - parował wieżmin. - W tym świecie słowo jest rzeczą najważniejszą, a wy wieżminiście o tym od dnia urodzin.

- Zostaw nam przynajmniej połowę - jęknął Xawiar Sotera. - Resztę oddamy ci później!

- Z wami wchodzić w kredyty?! Czyja wyglądam na głupszego od moskiewskich biznesmenów? Wieżmini biorą zapłatę z góry, i to też każdy wie od urodzenia.

- Tak żywi nie postępują... - pokręcił z wyrzutem głową trzeci starosta, dorodny rumiany niziołek.

- Ja nie jestem żywy - przypomniał wieżmin. - Jestem wieżminem.

- Żebyś zdechł! - rzucił ktoś.

Wieżminowi nawet brew nie drgnęła, takimi odżywkami po prostu nie da się poruszyć wieżmina.

- Decydujcie się, panowie. Decydujcie. Może drugiej szansy już nie będzie. Powiadają, że na peryferiach Kijowa, w jednej z dzielnic, buszują szalone buldożery. Tam zapłacą mi chętnie, i to tyle, ile zażądam.

- Musimy się zgodzić - warknął Technik. - Jakoś przetrzymamy. Jeśli odmówimy, to nasi Terytorialni nas załatwią.

- Prawda - przytaknął wieżmin. - Ile wam dzieci zginęło w ciągu trzech dób? Dwadzieścia dwie sztuki?

- Dwadzieścia trzy.

- Ach, tak! Rzeczywiście, córka szanownego starosty Kumańskiego. Cudowne dziecko. Było.

Ork przy ostatnich słowach zerwał się na równe nogi, z rumorem wywracając krzesło.

- Jesteś potworem, wieżminie! Nie jesteś lepszy od Ripa, szachnusz todt!

Jego twarz poszarzała, przypominała teraz wiosenny nadtopiony śnieg. Nikt nie mógł na niego patrzeć, wszyscy odwrócili spojrzenia.

- Jestem lepszy - zapewnił spokojnie wieżmin. - Ze mną można się dogadać, z Ripem nie. On się nie uspokoi, póki nie wybije was wszystkich. I zauważcie, dorośli dla bojowego espera są znacznie mniej atrakcyjni niż dzieci. A potem Rip przeniesie się gdzie indziej i będziecie mieli na sumieniu kolejne ofiary.

- My na sumieniu, a ty nie? - dławiąc się bezsilną złością, warknął Technik.

- Wieżmini nie mają sumienia. Nie mogą mieć. Ponieważ są wieżminami. Co się zaś tyczy współczucia, drogi Sotera - wieżmin odwrócił się i

lekko pochylił głowę przed orkiem - to proponowałem swoje usługi jeszcze wtedy, gdy twoja wnuczka dreptała po swoim pokoiku i chwytła matkę za spódnice. Tak więc, decydujcie sami: kto nie ma sumienia, a kto je ma.

- A niech go życie! - machnął ręką Technik. - Niech idzie i zabije Ripa. Oddamy mu wszystko, co mamy i niech się wynosi stąd na zawsze. - Technik popatrzył na obecnych. - Ktoś jest przeciw? Nie?

Zakrył twarz dłońmi i głuchym głosem powiedział:

- Zgadzą się, wiedźminie. Działaj.

Wiedźmin pokręcił głową i z wyrzutem pocmokał:

- Aj-jaj-jaj! Widzę, że się nie zrozumieliśmy! Mówiłem wszak, że wiedźmini biorą zapłatę z góry. Wiedźmin to nie dobry wujek Rot Front cierpiący na dobroczynność. Ruszę na polowanie na Ripa nie wcześniej, niż wyniosę surowiec poza Kordon.

- Szachnusz todt! - oburzył się starosta-elf. - A kto zagwarantuje, że nie wyrolujesz nas, nie kiwnąwszy nawet palcem?!

- Słowo wiedźmina ci to gwarantuje. Nasze słowo, w odróżnieniu od waszego, jest wiele warte zarówno w Wielkim Kijowie, jak i w Wielkiej Moskwie. Czy ktoś z tu obecnych kiedykolwiek w życiu słyszał, żeby wiedźmin kogoś oszukał i nie wykonał zlecenia? Słyszał kto?

Odpowiedziała mu cisza, pełna napięcia, niemal brzęcząca jak cięciwa; w końcu naruszył ją Sotera:

- Nie-e-e...

- Ja też nie zamierzam łamać swego słowa. Poza tym, gdybym to uczynił, zabito by mnie, zanim bym opuścił granice Kijowa. Dlatego, że niezawodność wiedźminiego słowa mnie i pozostałym przynosi teraz i przyniesie w przyszłości w sumie więcej, niż zarobię dzisiaj. Płaćcie. Czas upływa.

Starostowie skierowali spojrzenia na Technika. Ten podniósł się.

- Chodźmy.

Tym razem przyszło im zejść do piwnicy. Własnoręcznie otworzywszy żelazne drzwi i kraty. Technik wprowadził wiedźmina do laboratorium, zwyczajnego laboratorium.

Przez minutę chyba Technik Almelid manipulował przy sejfie, otwierając liczne zamki. Potem wyjął z sejfu niklowany kontener, przypominający walizeczkę.

- Masz. To wszystko, co mamy.

- Kody - zażądał wiedźmin.

Technik drżącym szeptem podyktował kody; wiedźmin w milczeniu obracał nierzucające się w oczy pierścienie z zestawami cyfr. W końcu rozległ się cichy trzask, potem melodyjny sygnał. Pokrywa walizeczki nieco się uniosła.

Wiedźmin ostrożnie podniósł ją i zobaczył małą klawiaturę, malutki płaski displej i sześć nisz z cylindrami wypełnionych jakąś substancją, jaśniejącą oleisto-rtęciowym blaskiem.

Wiedźmin wduśił klawisz POWER.

- GS - polecił wiedźmin.

Przez ekran przemknął szereg cyferek, potem pojawił się sześciostupkowy wykres. Wszystkie słupki osiągnęły najwyższy poziom - przy znaczniku FULL. Wiedźmin skinął bez słowa głową, pochwycił swój czujnik-medalion i - nie zdejmując go z szyi - przycisnął do najbliższego od lewej cylindra. Medalion rozjarzył się drżącym różowawym blaskiem.

- Znakomicie! - Wiedźmin ukrył medalion pod kurtką, wyłączył system i zamknął walizeczkę. Kody wprowadził do swego twiggera i natychmiast przekazał gdzieś dalej.

Kiedy opuszczał laboratorium, zauważył za wysokim parawanem dwa tuziny podobnych do swojej walizeczek; wszystkie były otwarte i wszystkie cylindry tkwiące w gniazdach były puste. Wyszedł na parter w otoczeniu Technika i jego pomocnika, potem pojawił się na ganku, z którego starosta Sotera akurat przemawiał do Terytorialnych, komunikując, że wiedźmin otrzymał honorarium i jest gotów zlikwidować Ripa.

Gdy wiedźmin pojawił się w drzwiach, przez zebranych przemknęło ciche westchnienie. I tłum, i starosta zaniemówili. W całkowitej ciszy wiedźmin szedł prosto przed siebie, a zgromadzeni rozstępowali się przed nim, jak przed trędowatym. Z walizką w rękę i bagiem na ramieniu, z pompową strzelbą u boku szedł przez nienawiść i nadzieję, ale sam nie odczuwał ani jednego, ani drugiego. Tłum ruszył za nim. Przez cały Snieżeńsk-4. Do Odincewskiej służy.

Przebywając ostatnie metry, wiedźmin słyszał już odległy szum kilku silników.

Żywi Snieżeńska zatrzymali się, jak zwykle, o jakieś pięćdziesiąt metrów od Kordonu. Wiedźmin odwrócił się akurat w tym miejscu, w którym każdego z Terytorialnych dosięgłaby nieuchronna śmierć - dokładnie na środku korytarza. Nie zobaczył nikogo, odczuł tylko setki i setki spojrzeń skierowanych na siebie.

Odwrócił się i wyszedł na zewnątrz. Za Kordon.

Na plac przed służą Snieżeńska-4 właśnie wytoczyła się limuzyna, hatchback i jeep. "Kinbum", "Czerkasy" i "Hortitza". Wiedźmin zrobił jeszcze kilka kroków i zatrzymał się na środku placu. Wewnątrz Kordonu bliżej służy ośmieliło się podejść tylko kilku żywych - starostowie, Technik i paru wir-gów, zapewne ci, co wzywali rano wiedźmina. Z limuzyny wysiadła para elfów, a na widok jednego z nich Technik i starostowie chórem wythnęli:

- Halkdaff!

Wiedźmin ruszył w jego kierunku. Nie dochodząc kilka kroków, położył walizeczkę na asfalcie, wprowadził kody i pokazał zawartość. Halkdaff lekko skinął głową. Wtedy wiedźmin zamknął walizeczkę i postawił ją przed elfem, a sam odwrócił się i skierował do przepustu. Przed wejściem do służy zwolnił i nagle wszyscy zrozumieli, że nie ma wcale zamiaru wracać za Kordon. Technik, starostowie i Terytorialni Snieżeńska-4 poczuli, że nienawiść w ich duszach wypiera całkowicie nadzieję.

- Hej, Snieżeńcy! - głośno powiedział wiedźmin, ściągając z ramienia bag i rozwiązując sznurowanie. - Śpieszę się. Zaraz odchodzę...

- A co ze słowem wiedźminim? - ochryple krzyknął ork Sotera: - Bądź przeklęty, wiedźminie!

- Już się naprzeklinaliście mnie wystarczająco, więc się powstrzymaj - spokojnie odpowiedział wiedźmin. - Nie marnuj sił. A co do Ripa, to nie muszę go zabijać. Rip jest martwy.

Skończył rozplątywanie sznurówek i wytrząsnął na asfalt przed służą coś połyskującego chromowanymi elementami. Metalowy pajak z niewyraźnym wzorem na brzuchu mnemonośnika i parą paralizatorów. Pajak, nie ulegało wątpliwości, był martwy. Z brzękiem zderzył się z asfaltem i znieruchomiał. Obrzydliwa i jeszcze przejmująca dreszczem sarta metalu, plastiku i spieków.

- Zabiłem go już pierwszej nocy pobytu tutaj. Techniku - powiedział wiedźmin. - Warunki umowy zostały spełnione.

- A dzieci? - bąknął starosta-niziołek, z płonącymi oburzeniem pyzatymi policzkami.

Już niedługo przestaniesz być takąpyzą- przemknęło przez myśl wiedźminowi, i odpowiedział:

- To ja porywałem dzieci. Nie chcieliście mi zapłacić, więc nie mogłem was w inny sposób zmusić do zapłaty!

Wiedźmin uśmiechnął się krzywo i nie odpowiedział. Wszyscy Terytorialni stracili nadzieję ostatecznie, pozostała im tylko nienawiść i gniew. Krzyknawszy coś ork Xawiar Sotera chciał rzucić się na wiedźmina, zapomniawszy o czyhającej w połowie korytarza śmierci, ale powstrzymali go sąsiedzi. A wiedźmin, wymierzonym kopniakiem posłał Ripa przez Kordon na ziemię ZAT.

- Trzymajcie. Na mnie czas.

Odwrócił się. W tym samym momencie trzy wozy ruszyły z miejsca i zniknęły w perspektywie ulicy.

- Hej, Gerałcie! - Technik miał nadspodziewanie spokojny głos.

Wiedźmin zatrzymał się.

- Nie jesteś takim potworem, jak te, które zabijasz. Jesteś gorszy.

Z oblicza wiedźmina nie dało się odczytać żadnej reakcji. Żadnej. Potwór-koparką na jego łysinie wciąż tak samo wyciągał czerpak w kierunku żywego z pulpitem w rękę.

- Nie żyję tak długo, jak ty, Techniku. Ale te słowa słyszałem więcej razy niż ty byłeś w kiblu. Żegnaj.

- Żegnaj. Mam nadzieję, że zdechniesz w najbliższym czasie.

Wiedźmin nie odpowiedziawszy, zaczął się oddalać. Opuszczał Snieżeńsk-4, stawał się coraz mniejszą postacią, potem już tylko kropką na horyzoncie. Po siedmiu kilometrach dotarł do grupki kilku domów ukrytych wśród drzew. Wyjął z majtającego się pustym odwłokiem бага kapelusz i włożył go na głowę, by ukryć zapadającą w pamięć łysinę. Znalazł w kieszeni

klucz i otworzył drzwi. Powitał do radosny dziecięcy gwar:

- Wujek Rot Front! Wujek Rot Front wrócił! Otoczyła go dzieciarnia - ludzie, elfy, orkowie, krasnoludy, halfingowie, niziołki, mieszańcy i nawet jeden czystej krwi lamis. Różne to były dzieciaki - i zupełnie małe i nieco starsze, chłopcy i dziewczynki. Dzieci łapały go za ręce i wpatrywały się weń z takim oddaniem, jakiego dostępują tylko niespodziewanie wkraczające w dziecinne życie postacie z bajek.

- Koniec! - oświadczył wiedźmin. - Wasi tatusiowie i mamusie zabili potwora. Możecie wracać!

Niewyobrażalny pisk i rejwach wypełnił dom aż po dach. Dzieciaki chwyciły ulubione zabawki, starsze wyprowadzały na zewnątrz maluchy. Dzieci wiedziały, w jakim kierunku mają iść - nieraz, w końcu, bywały za Kordonem. Parami, trzymając się za ręce, ruszyły do ZAT Snieżeńsk-4.

A wiedźmin pomyślał, że minie jeszcze trochę czasu i ten najstarszy chłopak, pewnie przyszły Technik, pośle mu wiązkę najcięższych przekleństw.

- Nie zapomnijcie powiedzieć, kto wam pomagał! - krzyknął.

- Wujek Rot Front! - usłudnie doniósł mu wiatr. I równie usłudnie rozwił te słowa.

przekład EuGeniusz Dębski

TOY TREK

Toy klęczała w jakiejś piwnicy, a jej najbliższa koleżanka, zdrażczyni, trzymała ją za wykręcone do tyłu ręce. Mężczyzna w białym kitlu wbijał jej do nosa metalowy pręt. Słyszała chrzęst przebijanej kości. Wyjąc z bólu, usiłowała nie myśleć, co będzie, gdy pręt dojdzie do mózgu. Wokół biły dzwony. Bim, bam, bim, bam...

Telefon od Dantego obudził ją w środku nocy. O mało nie krzyknęła ze strachu, słysząc dzwonek już na jawie. Od czasu tej cholernej punkcji koszmara zdarzały jej się średnio raz na tydzień.

- Słuchaj, mała - cichy głos w słuchawce działał hipnotyzujące. - Widzę cię na lotnisku o ósmej trzydzięci. Stawka jak zwykle.

Dante odłożył słuchawkę. Jezu, jak ciężko myśli się o czwartej nad ranem. Toy wpatrywała się tępo w swoje własne nogi. Westchnęła cicho. Już po chwili jej chore zatoki zaczęły pracować ze zdwojoną siłą i nos zatkał się momentalnie. Ruszyła na poszukiwanie jakiejś chusteczki.

Tally-Ho, prostytutka, która przyjechała wprost z Księżyca, gramoliła się ze śpiwora ułożonego pod ścianą biura. Pierwszą rzeczą, którą zrobiła było zapalenie małej lampki i zerknięcie na własne odbicie.

- Kto to był?

- Dante. Chciałaś być najemnikiem? - Jezu, jak ciężko się mówi z kompletnie zatkanym nosem. - No. to marzenia twojego życia właśnie się spełniają.

- Bosko! Tally-Ho ziewnęła rozdzierająco, - Ale czemu tak wcześniej?

- Parę innych rzeczy również ci się nie spodoba.

Mały chłopczyk, którego kilka tygodni temu urodziła Shainee, porucznik, zakonnica z walca Moonsunga, zaczął płakać. Matka błyskawicznie wygrzebała się z pościeli i zaczęła karmić go piersią.

- Co jest, dziewczyno?

- Jedziemy zarobić trochę forsy na te cholerne rachunki. - Obie pakowały się błyskawicznie. Tally-Ho ziewała szeroko. Toy usiłowała ją odwieźć od umieszczenia w plecaku przezroczystej, nocnej koszuli.

Dobra - powiedziała Shainee. Co mam wziąć ze sobą? Ty nie jedziesz! Pilnuj biura, zaraz napiszę ci wszystko na kartce... Ach! - Przypomniała sobie, że Shainee nie umie czytać ani pisać. - Zaraz ci wszystko powiem, co masz robić.

- Dlaczego ja nie jadę?

Toy i Tally-Ho spojrzały na siebie w bezdennym zdumieniu. Niby przyzwyczyły się już do tego, że ich prywatną zakonnicę trudno nazwać normalnym człowiekiem, ale ta jednak ciągle potrafiła je czymś zaskoczyć.

Bo masz malutkie dziecko.

- No to co? Niecił się uczy.

Toy tylko machnęła ręką. Narzuciła kurtkę na nocną koszulę i boso wybiegła na zewnątrz. Zbiegła po schodach, cholerna winda i tak nie dałaby się uruchomić. Pobiegła na stację benzynową i kupiła telefon. Najprostszy, najtańszy, z dużymi przyciskami. Sprzedawca i tak patrzył na nią jak na istotę z innego świata. Międlili coś tam w rodzaju "nie boi się pani tak sama. po nocy?". Gapił się na jej gołe nogi. Nie zaszczyciła go nawet spojrzeniem.

Potem wspinał się po schodach. Myślała, że wyrzyga płuć. Oblana potem, ledwie dysząca wróciła do biura. Wprowadziła numer nowego telefonu do pamięci aparatu, który stał na biurku, a potem okleiła dwa przyciski kolorową taśmą.

- Słuchaj, Shainee. Jak będziesz chciała do mnie zadzwonić, najpierw przyciśnij to zielone, a potem czerwone. Łapiesz?

- Tak, Toy - odparła zakonnica spokojnie.

- Pilnuj interesu - zakpiła lekko. - I trzymaj się.

- Dobrze, Toy.

Ta przynajmniej była zgodliwa w każdej kwestii. W przeciwieństwie do Tally-Ho, która okupowała ich jedyną umywalkę. Powolne, dokładne mycie, kosmetyki pielęgnujące ciało, niekończące czesanie długich włosów, potem staranny makijaż. Nie dała sobie wytłumaczyć, że włożenie króciutkiej, czerwonej sukienki nie jest najlepszym pomysłem jeśli chodzi o wyjazd na akcję. Toy w końcu machnęła ręką. Sama ochlapała się szybko i włożyła stare dżinsy z nogawkami uciętymi w połowie ud i obcisły podkoszulek.

Obie biegiem dotarły do windy. Nacisk nóg Tally-Ho, która miała metr osiemdziesiąt siedem, uruchomił windę z wagą w podłodze. Czterdziestopięciokilogramowa Toy mogła o tym jedynie marzyć.

- Myślisz, że będzie strzelanina? - Dziewczyna z Księżyca wyglądała na rozmarzoną. - Będę mogła kogoś zastrzelić?

- Zastrzel mnie, jeśli ci to sprawia przyjemność.

- Nie wiem, czy sprawia... Nigdy nikogo nie zabiłam.

- Ja też. I może postaramy się przy tym pozostać.

- Ale jesteś zasadnicza. - Tally-Ho wdzięczyła się przed lustrem w windzie, poprawiając misterną fryzurę. - Ale chcę przeżyć prawdziwą przygodę.

- No. Jeśli każą nam ochraniać plantacje na Gwinei, to zastrzelisz ze stu głodnych żebraków, ich żony i dzieci... Będzie fajnie.

- Odczep się. I tak cię lubię, maluszk.



Wybiegły na ulicę. Prawdę powiedziawszy to niezbyt szybko, bo Tally-Ho miała na nogach buty na wysokich obcasach. Niemniej jej wygląd sprawił, że już pierwsza przejeżdżająca taksówka zatrzymała się tuż obok bez wezwania.

- Na lotnisko! - wrzasnęła Toy, kiedy już zajęły miejsca z tyłu.

- Które?

- Na takie, na które pan jeszcze zdąży do ósmej trzydzieści. Kierowca zerknął na zegarek i odparł, że teraz to już nie zdążą na żadne. Toy chciała powiedzieć, że jak dojadą na czas, zapłaci mu licznik razy dwa (co zresztą oznaczałoby wydanie wszystkich ich pieniędzy), ale Tally-Ho miała lepszy sposób.

- Ja bardzo proszę... - Nachyliła się do szyby dzielącej ich od szofera, ukazując swój wspaniały dekolt. Jestem taka zagubiona w tym wielkim mieście, proszę pana... Tylko pan może mnie uratować.

Facet przełknął ślinę. Potem kopnął pedał gazu i ruszył z piskiem opon. Jeeceez! Vixen była najlepsza na rynku. Śmiała się teraz na tylnym siedzeniu i mrugała zawadiacko do koleżanki. "Mam mu kazać wjechać autkiem do kasy biletowej?" - powiedziała samym ruchem ust, osłaniając twarz dłonią. Toy chichotała ukradkiem. Uwielbiała tę prześliczną Żydówkę. Pomimo różnicy zdań, która dzieliła je w każdej dosłownie kwestii, obie były dla siebie jak siostry. Klóciły się, krzyczały, czasem nawet targały za włosy, obrażały się na siebie co pięć minut, a... a potem godziły, robiły sobie drobne prezenty, pomagały wzajemnie. Obie tak strasznie samotne, potwornie potrzebowały kogoś bliskiego. Kochały się. Nie fizycznie, oczywiście. Były siostrami. I to prawdziwymi, przez wybór, a nie z urodzenia. Toy błogosławiła chwilę, kiedy los zetknął je w burdelu na Księżycu.

Znalazły się na lotnisku kwadrans po ósmej. Szofer nie domagał się napiwku, bo Tally-Ho zbajerowała go tak, że właściwie to on był im wdzięczny. W drodze przez monstrualny hol zdążyły się pokłócić, ale już przed dojściem do kas, gdzie czekali najemnicy, pogodziły się. Jezu! Cała setka! I to w większości nowi, zieloni, zwerbowani po raz pierwszy. Ciekawe, co to za akcja, która wymaga aż takich ilości mięsa do mielenia.

Obie przedefilowały przed rzędem facetów siedzących na bagażach, słysząc uwagi w rodzaju: "Ty, patrz! Ale laski!!!", "Sliczności", "Jakie dupeńki!", "Uuuuuuu... ale kręcą tyłeczkami" (to był komentarz jakiejś dziewczyny, zabarwiony wyraźną zazdrością), "Bierze mnie ta duża, w czerwonej kiece", "A ja przelecę tę małą, co wygląda jak aniołek z buforami. Zaraz jej to zrobię!".

I nagle usłyszały ciche, ale wyraźny głos:

- Idź, palancie. Idź i spróbuj... jeśli chcesz być zabity przez babę nazywaną "Zabaweczka"!

Niedoszły gwałcieł zwątpił momentalnie. A Toy, słysząc te słowa, urosła nagle tak, że była już prawie normalnego wzrostu. Rozkoszowała się totalną "zazdrością w oczach Tally-Ho i równie zazdrośnymi spojrzeniami świeżego mięsa. Sama była w ich sytuacji poprzednim razem, a teraz... Teraz starzy najemnicy podskoczyli do niej, ignorując kompletnie młodych.

- Cześć, Toy! - ryknęła Mobutu.

- Hejka. Buziaczki, mała. Cześć Pinokio. Jak leci, kurczak? Hau, hau, piesek... - Ciash, Bokassa, Maybe Not, Winni Winni, LeMoy, Caddiac, Oouroo podnieśli

się na jej widok. Pozostali weterani, których nie znała, witali ją skinieniami głowy. Tally-Ho o mało nie eksplodowała z zazdrości. Rekruci gapili się maślanym wzrokiem jak cielęta.

Toy wyczuwała Mobutu, choć musiała się wspiąć na ponad dwumetrową Murzynkę jak na palmę. Normalnie, ze swoim mizernym metrem sześćdziesiąt wzrostu, mogłaby ją pocałować co najwyżej w brzuch. Dalsze powitania przerwał Dante. Oszle, jak zwykle.

- Pies już jest? Przyprowadziłaś nową? - zerknął na Vixen. - Świetnie. Nie miałem czasu zebrać dostatecznej ilości ludzi.

- Po co jest nas aż tylu?

- Akcja na Białym Dom. - Palnął ją lekko w głowę. - Porywamy prezydenta. - Strzelił palcami, podrywając ludzi. - Do odprawy i cła, śmiecie - szepnął.

I znowu nastąpiło to, co już pamiętała z poprzedniej akcji. Mięso armatnie przepuszczono od razu, a weterani... Jezu... "Łapska na ścianę! Nogi szeroko!". Dwie godziny sprawdzania w komputerach, pobierania odcisków, telefonowania do różnych służb, na policję, do kartotek, rejestrów przestępców, list dłużników i FBI. Tym razem była wśród weteranów. Przygryzała wargi, usiłując odciążyć drętwiejące od niewygodnej pozycji mięśnie.

- Gdzie Hot Dog i Yellow? - spytała rozkraczoną tuż obok Mobutu.

Murzynka zaczęła się śmiać.

- Wiesz, co te dwa jelopy wymyśliły? Nie wiesz? Chłopaki za wspólnie zarobioną forszę otworzyły knajpę. No, ale wiesz. Jest trzysta restauracji na każdej ulicy. I wiesz. Jeden klient dziennie, nowego lokalu z tego nie utrzymasz. No, to te dwa dumie wymyśliły pewnej nocy, jak zwiększyć obroty. Zaczęli smarować steki kokainą! - Murzynka ryknęła śmiechem, a uwarunkowana Toy miała od razu pełne usta śliny. - I wiesz. Zamiast soli, sypiesz proszek, klient zećpa, wychodzi na haju, zadowolony jak szlag, przychodzi jeszcze raz, a potem już odczuwa "ciągłą potrzebę przychodzenia tam właśnie", poleca znajomym... I wiesz, kurde. Zbili szmalca, całkiem porządny! Klienci walili drzwiami i oknami, mimo ciągłych podwyżek cen za kotlety z "solą inaczej". Ha, ha, ha! Tylko te dwa imbecyle mogły to wymyślić...

- I co?

- No, wpadli, oczywiście! Kurde. Przyjechał specpluton policji. Ale się przeliczyli. Trzeba było wezwać antyterrorystów. A tu wiesz, te opasłe od nadmiaru hamburgerów palanty w kamizelkach, hełmach, z prysznicami w łapach. Wpadli do środka, rozwalili drzwi i wiesz... Hot Dog i Yellow to krety, ale żołnierzami są raczej dobrze wyszkolonymi. No i, wiesz, napieprzyli policji. - Murzynka zaczęła chichotać. - Funkcjonariusze dostali wpierdol. A te dwa dumie były za głupie, żeby składać forszę w banku. Chwycili torbę z kasą i chodu! Z całym szmalcem wychrzanili się ze Stanów i wiesz... Szukaj wiatru w polu,

Toy uśmiechnęła się lekko. Opowieści najemników. W smarowanie kotletów kokainą, szczególnie w

wykonaniu Hot Doga, mogła uwierzyć. A reszta? Legenda właśnie się rodziła... Niedługo. Hot Dog i Yellow rozpieprzą w opowieściach całą armię i w trakcie ucieczki ukradną lotniskowiec. Widząc jednak rozszerzone podziwem oczy rekrutów, czekających na weteranów tuż obok, zrozumiała, że nie ma sensu dociekać, jak to naprawdę było, który z dwóch najemników przywalił kijem bejsbolowym posterunkowemu pytającemu o dziwny smak swojego mięsa. I ile im zostało forsy Zitych "milionów" po opłaceniu kosztów ucieczki z kraju. Pewnie tak właśnie wyglądała cała akcja.

Zdażyła już poznać ten mechanizm, czytając w brukowcach, jak to ona sama, trzymając w jednej dłoni szybkostrzelny "prysznic", a w drugiej sztandar, z rozwianym włosiem i piersiami na wierzchu, prowadziła "lud na barykady" w walcu Moonsunga. Boże!!! A później procentowało to cichymi uwagami, z których jedną mogła dzisiaj usłyszeć: "Idź, idź, jeśli chcesz być zabity przez babę, którą nazywają Zabaweczka!". Nie zabiła w życiu nikogo. Ale po co tłumaczyć. Ludzie chyba chcieli, żeby ktoś poprowadził ich na barykady w tym popieprzonym świecie. A najlepiej, żeby prowadził, nie przerywając im oglądania seriali w telewizji. Majlac dwadzieścia jeden lat, była eksprostytutką, najemnikiem-przestępcą, śmieciem, wyrzutkiem, totalnym zerem w bilansie nowoczesnego społeczeństwa. Ale to właśnie ona "POKAZAŁA FIRMIE MOONSUNG, GDZIE JEJ MIEJSCE!". Ano, pokazała...

Firma Moonsung, mimo tysięcy procesów i nagonki w mediach, dalej ma się dobrze, a Toy w międzyczasie kradła klineksy na stacjach benzynowych, żeby móc czymś wytrzeć nos, bo w kosmosie nabawiła się ciężkiej choroby zatok. Miała nawet dwie punkcje, na które wydała prawie cały żołd od Dantego. Nosa i tak jej, nie naprawili, ale za to poznała, co to znaczy krzyczeć z bólu u taniego lekarza-partacza. Zawsze jakiś zysk. Mogła teraz przynajmniej opowiadać koleżankom z oddziału Jak mnie wrogowie torturowali, wbijając igły w czaszkę, to co prawda wyłam z bólu, ale do końca nie puściłam pary z gęby!". Byłoby to przecież nawet bardziej prawdziwe niż to, że Hot Dog i Yellow rozwalili cały oddział policji. Skrzywiła się lekko. Biedna Toy, musisz sobie radzić sama. Teraz masz przynajmniej Tally-Ho i Shainee. Inni często nawet tego nie mają. Więc się trzymaj, babo!

- A wiesz, jak mnie złapali sukinsyny przy takim jednym zleceniu - powiedziała do Mobutu, ale reszta najemników również nastawiła uszu. - Facet mnie wynajął, ale kurde, wiesz, zanim doszło co do czego, wiesz, kurde, złapali mnie. Wiesz, nie? Łapy w obręczkach, klęczałam w jakiejś piwnicy, a kat wbijał mi igły w głowę przez nos. Ale wyłam, wiesz.

- I co? I Co???

- Noooo... Kurde. Nic nie powiedziałam! Nawet numeru polisy - (co było zgodne z prawdą, Toy polisy nie miała i lekarz, tfa! znaczy kat, został opłacony gotówką).

Na szczęście, narodzinom nowej legendy nazywanej "Masakrą pod Punk-CIA Hill" przeszkodziło przyjscie celnika, który zaczął sprawdzać ich bagaże. Dzięki temu, że nie musieli już stać pod ścianą Toy mogła nałożyć swoje okulary i znowu zaczęła widzieć cokolwiek wokół. W końcu ich przepuścili. Toy szła z weteranami, usiłując jakoś rozmasować sobie zdrtwiałe mięśnie, niewyspana, z zatkanym mimo kropel nosem, z okularami; dzięki którym wiedziała mniej więcej, gdzie idzie, z bolącą głową od rozrywanych czymś od wewnątrz zatok. "Kobieta zwana Zabaweczka". Młodzi gwałcili ją wzrokiem. Dobrze, że przynajmniej śliczna była. Kręciła tyłeczkiem przy każdym kroku, chcąc polepszyć sobie nastrój.

Wsadzono ich do samolotu. "Młodzi" perorowali zaciekle, wymyślając coraz to bardziej fantastyczne cele ich podróży. "Starzy" pospali się momentalnie w głębokich fotelach.

Hiszpania przywitała ich ciepłym deszczem. Na lotnisku nie robiono trudności. Deszcz ustał chwilę później, gdy zapakowano ich do dwóch turystycznych autobusów. A potem czekała ich przyjemna niespodzianka. Zakwaterowano cały oddział w prześlicznych, białych domkach nad brzegiem morza. Każdy, luksusowo wyposażony domek przeznaczony był dla czterech osób. Cztery łóżka w dwóch sypialniach, salon, kuchnia, kilka tarasów. Domków było dziesięć, a oddział liczył sto osób. Wypadało więc po dziesięciu żołnierzy na jeden. Weterani jednak kopniakami zmienili te proporcje. Przypadło osiem domków na trzydziestu starych, z których każdy dostał własne łóżko i... dwa domki na sześćdziesięciu rekrutów, co dawało tam trzydzieści sztuk na jednostkę mieszkalną.

Ale w Hiszpanii było fajnie! Tuż obok basen. Małutki supermarket (tej czerwezy to się nie dało pić, ale wino było koszmarnie tanie, a poza tym Oouroo znalazł szybko źródło zaopatrzenia w przemycany dzin po pięć dolców od litra). Mobutu, Maybe Not, Toy, Bokassa, Lady (jakaś Chinka, ale chyba mieszkanka z białym, bo ładna), LeMoy i Tally-Ho kupiły sobie za grosze jakieś nieprawdopodobne wręcz kostiumy kąpielowe, a potem goliły sobie nawzajem "strefy bikini", żeby móc jakoś założyć na siebie "to coś" składające się nie tyle nawet ze sznurków, co z nitek chyba. Potem to już tylko słuchały pełnych zachwyty gwizdów facetów na basenie.

Nuda, nuda, nuda, najprzyjemniejsza nuda na świecie... Dzień po dniu opalanie, jakiś fajny obiad upieczony w dużych kuchniach ich domów, gra w karty i w koszykówkę na pobliskim boisku, a potem wino i dzin, przechwałki, ściganie młodych, jakieś flirty, sen i znowu następnego dnia: opalanie, pływanie, gry, obiad, chłanie, flirty, ściganie... Toy złapała się na tym, że siedziała na słupku przy siatce do siatkówki (zawsze

brano ją na sędziego, bo była za mała na udział w którejś z drużyn) i śpiewała na cały głos:

"Tylko biedronka nie ma ogonka,

Ogooooooooonkaaaaa nie ma biedronka!!!"

A później znowu chłasko do nocy, potem wyprawa z Lady "na facetów". Na szczęście bardziej trzeźwa Mobutu wybawiła je z opresji, bo już zdążyły przyładować jakiemuś alfonsowi na ulicy, który chciał je zwerbować. Nie ma to jak dwa metry i osiemnaście centymetrów bieżących wzrostu Murzynki, ten alkohol po prostu rozkłada się na większą masę. A zresztą, może to nie był alfons? Tylko jakiś kulturalny, starszy pan, który chciał im pomóc? Obydwie z Lady, siedząc następnego dnia w kuchni z zimnymi okładami na głowach, nie pamiętały już za bardzo, co zaszło. A one, w końcu najemni żołnierze, może przyładowały mu za bezdumo? W każdym razie policja nie przyjechała.

Oouroo twierdził, że żaden Hiszpan nie przyzna się innemu mężczyźnie, że pobita go baba. I dlatego obie są w czepku urodzone, choć przeraźliwie głupie. "To nie Ameryka, tłumaczył, tu jeszcze czasem przynajmniej, mężczyzna czuje szacunek do kobiety. I często chce pomóc!". Na szczęście Lady zwymiotowała, przerywając przydługi wykład. A potem znowu: obiadek, basen, siatkówka, dzin i wino, ściganie młokosów. A potem przyjechał Dante wojskowym dżipem.

Wszystko co żyło i już było na akcji z szefem wytrzeźwiało momentalnie i ustawiło się na baczność z dokładnością co do milimetra. Reszta była trzeźwa od początku, ale dopiero pierwszy raz uczestniczyli w akcji i guzdrali się niepomniernie. No i sami sobie byli winni. Dante szybko przekonał kilku rekrutów, że lepiej było im się nie rodzić. Ich życie to po prostu jakiś błąd statystyczny, pomyłka mamusi. I teraz trzeba za to odpokutować. W końcu, skąd Dante wytrzasnął swój ą ksywę? Pewnie od jakiegoś kręgu piekieł. Młodzi poznali wszystkie kręgi. I to hurtem - od razu.

Potem, nad ranem, zapakowano ich znowu do dwóch autobusów, które powiozły wojsko w pobliże Gibraltaru. Tam zaokrętowano ich na prom do Afryki i naprawdę skończyły się żarty. Dante odebrał im paszporty i włożył je do foliowego worka. Potem ustawił ich przy takiej dziwnej barierce przy burcie i kazał zwrócić morzu, cały alkohol, który pochłonęli. Kto nie potrafił zwymiotować na rozkaz, miał naprawdę potwornego pecha. Toy, na szczęście, na wieceelkie szczęście, mogła. Wystarczyło, że wyobraziła sobie narkotyki. Patrząc na to, co się wyrabia z ludźmi, którzy chcieli zachować się kulturalnie dziękowała Bogu i Paulowi Icebergowi za uwarunkowanie na prochy, które umożliwiło jej szybkie wykonanie rozkazu.

Ale to naprawdę nie był jeszcze nawet przedsmak tego, co ich czekało. Kiedy prom dobił do wybrzeży Afryki, wygoniono ich przez szeroki trap do portu w Seucie, hiszpańskiej enklawie Maroka. Okazało się, że przygotowane na poboczu hełmy i mundury wcale nie sadła nich. Po prostu garnizon oczekiwał na świeży

pobór. Najemników zapakowano do ciężarówek i powieziono w noc.

Zatrzymali się dopiero na rzęście oświetlonym przejściu granicznym z Marokiem. Dante z jakimś cywilem poszli do Arabów skupionych w jakiejś, nie przymierzając, lepiance na boku drogi. Nawet z pak ciężarówek było widać, jak spore łapówki przechodziły z rąk do rąk. Cała operacja przekazywania, pieniędzy poszła sprawnie. Potem stary Arab wziął plastikowy worek z ich paszportami i po prostu włożył go do dziury wykopanej w ziemi, przy której kucał. Wypełniono jakiś papier (z daleka wyglądał na wymięty fragment kartki wyrwany z gazety) i ich pierwsza akcja wojskowa na terenie Afryki zakończyła się powodzeniem.

Niestety, nie do końca. Wokół stało kilka autobusów z turystami. Z najbliższego ktoś wysiadł (wysikać się? kupić pocztówki na najbliższym stoisku?) i... I rozpoznał Dantego.

- Najemnicy! Najeeeeemnicyyyyyyy!!! - rozdarł się młody mężczyzna w szortach i hawajskiej koszulce. - Psy wojny!

Z autobusów momentalnie zaczęli wysypywać się zaaferowani turyści, węsząc sensację.

- Psy! Świnie! Płatni mordercy! - rozległy się okrzyki wokół. - Ale jesteście gnoje! Jak wam nie wstyd? - Kolorowy tłum zaczął otaczać ciężarówkę. Co wyżsi usiłowali napluć do środka.

- Świnie!!! Patrzcie. Mamy tu zwykłe świnie taplające się w bagnie.

- Jedziesz zabijać niewinnych ludzi? - Jakaś pani szarpała za rękaw Caddiaca. - Jak ci nie wstyd, człowieku? Człowieku... Mogę w ogóle do ciebie mówić "człowieku" czy raczej "świnio"?

Caddiac patrzył na swoje kolana, usiłując panować nad mięśniami twarzy.

- Ile ci zapłacono? Ile ci zapłacono? - Jakaś dziewczyna rzuciła w Mobutu kubkiem z koła. - Ile forsy wzięłaś za mordowanie swoich braci?

Ktoś wspiał się na zderzak i szarpnął Toy za włosy.

- Chcę, żebyś miała pecha! - Mężczyzna o wyglądzie nobliwego lekarza krzyczał jej prosto w twarz. - Chcę, żeby ci się nie udało! Żeby cię zastrzelili! Życzę ci, żebyś miała raka!!!

Toy usiłowała uwolnić swoje włosy z jego garści, nie wykonując gwałtownych ruchów. Zdawała sobie sprawę, że jakakolwiek rozróżna na granicy może zniweczyć całą akcję.

- Życzę ci, żebyś umierała długo, w bólu i całkowicie samotna. - Facet napluł jej w twarz.

Toy wyjęła papierową chusteczkę i wytarła policzek. Udało jej się uwolnić nareszcie włosy i przesunąć w kierunku Lady, dalej od burty. Żołnierze robili jej miejsce. Ścisk w głębi był coraz większy.

- prostytutka! - Mężczyzna wyraźnie skupił się na kobietach oddziału.

Tally-Ho nachyliła się w jego stronę.

- Otóż jestem prostytutką, proszę pana. Bardzo fachową. - Uśmiechnęła się promiennie: - I coś mi mówi, że pan jest impotentem.

Dostała w twarz strugą kawy z plastikowego kubka. Ciash zarobił kamieniem. Na szczęście ciężarówka ruszyła, powoli usiłując wydostać się z tłumu wrzeszczących ludzi. Kierowcy dokonywali cudów, starając się rozepchnąć ludzi i nikogo nie przejechać. Dżip Dantego utknął z przodu i chyba on oberwał najbardziej. Tłum, widząc, że łup wymyka im się z rąk, zaczął rzucać czym popadło.

- Na podłogę - ryknął Ciash.

Ale nie zdążyli wykonać tego dość typowego dla piechoty manewru. Tally-Ho oberwała kamieniem prosto w kość ogonową, bo właśnie się odwracała; Toy w głowę, prosto w łuk brwiowy, który momentalnie zaczął krwawić; Oouroo w kark, bo właśnie się kładł. Największego pecha miała jednak Mobutu, stanowiąca największy cel - przyjęła całą serię: w lewy łokieć, w brzuch, lewą pierś, w skroń i czubek głowy. Runęła na dół, usiłując się skulić w ciasnocie i osłonić głowy bagażami. Lady zarobiła butelką, która się stłukła i pokrwawiła jej szyję i kark.

Na szczęście kierowcom udało się przekroczyć granicę. Teraz ścigały ich jedynie gwizdy. Po chwili ciężarówka zatrzymała się znowu i do oddziału dołączyli czekający tu Hot Dog i Yellow. Śmiali się tak, że nie byli w stanie wybełkotać nawet kilku słów powitania.

- Widzieliśmy, jak waliła w was artyleria! - Hot Dog podniósł z podłogi szyjkę stłuczonej butelki. - Coście im zrobili, że tak was nie lubią?

- Daj, piesek. - Yellow wyjął z kieszeni brudną chustkę, zmoczył wodą mineralną i przyłożył Toy do brwi. - Bo ci strasznie spuchnie.

Maybe Not klęła, nie przebijając w słowach. Oblano ją jakimś lepkiem, gęstym syropem. Winni Winni, któremu udało się wyjść ze starcia bez strat, usiłował w świetle zapalniczki powyjmować odłamki szkła z szyi Lady. Mobutu, sycząc z bólu, masowała lewą pierś.

- Żeby ich jasny szlag trafił! - wyła.

- Szlag trafił? - Uśmiechnął się Hot Dog. - Co za problem? Powoli, z triumfalnym wyrazem twarzy, wyjął z kieszeni telefon komórkowy. Starannie wybierał przyciski. Potem podniósł słuchawkę do ucha.

- Dzień dobry - powiedział. - Uprzejmie donoszę, że w jednym z autobusów, które zaraz przekroczą granicę Maroka na linii Seuta-Tetuan znajdują się narkotyki. Wypełniam swój obywatelski obowiązek. Dziękuję za współpracę.

Mobutu, trzymając się obiema rękami za lewy bok, roześmiała się nagle.

- Myślisz, że jakaś młoda, głupia pinda z tych autobusów ma ze sobą choć dwa skrety?

- Dam sobie rękę uciąć, że ma. Sam zaopatruję dilerów turystów po tamtej stronie granicy.

- A gdzie dzwoniłeś? Myślisz, że Arabowie przejmą się jakimś tam donosem?

Hot Dog wzruszył ramionami.

- Telefonowałem bezpośrednio do DEA. A oni już pogonią miejscowe siły. Zaraz wasza "artyleria" zobaczy, co to jest przesłuchanie i rewizja w wykonaniu Arabów.

Zaczęli się śmiać.

- Miłe wakacje w Afryce mają już z głowy - dodał Yellow.

- Długo tu siedzicie? - wtrąciła się ruda LeMoy. - I co to było z tym smarowaniem kotletów koką?

Zaczęły się opowieści. Atakujący restaurację pluton policji rozrósł się teraz do rozmiarów kompanii. W legendzie dwóch chłopaków nie porwało lotniskowca... jeszcze. Na razie ograniczyli się do niszczyciela, który atakował ich łódkę. Toy zasnęła na kolanach Mobutu. Rozbudzono ją jednak, domagając się opowieści, jak to robiono jej lobotomię na żywca, a ona niczego nie powiedziała oprawcom. Nie zdążyła nałgać, bo dojechali do celu.

Koszary armii Maroka przypominały troszeczkę z wyglądu obóz koncentracyjny. Ale nie było tak źle, jak się spodziewali. Dość schludne baraki, oświetlony sodówkami plac, spora stołówka, magazyny i hangary na sprzęt. Dante kazał im się wypakować z ciężarówek. Dopiero teraz zauważyli, że miał podbite oko i pokrwawioną twarz. Nie zwracał sobie zresztą nimi głowy, razem z cywilem wsiadł do swojego dżipa i odjechał, a oni musieli przejść przez bramę w kolczastym ogrodzeniu. Starych żołnierzy załamał dopiero facet, który przyszedł ich powitać. Już z daleka można było dostrzec smukłą sylwetkę, beret zsunięty na prawe ucho i przesadnie sprężysty krok. On nie szedł. On maszerował.

- O kurde... Angol! - szepnęła Mobutu. - Panie Boże, miej nas w swojej opiece.

Sprawny, ponad sześćdziesięcioletni emeryt Sił Zbrojnych Jej Królewskiej Mości uśmiechnął się, stając przed poszarpanym szeregiem.

- Witam was, mili rekruci, w szeregach armii Królestwa Maroka!

- On naprawdę powiedział "mili"? - upewniała się szeptem Maybe Not.

- Żegnaj się z życiem, duma! - warknęła Bokassa. - Tally-

- Ho - mrugnęła do Żydówki stojącej tuż obok - ty masz najbardziej przesrane. To arabska armia!

- O w mordę...

- Nazywam się sierżant Blake - kontynuował Angol kompletnie nie zrażony szeptami w szeregu. - Moim zadaniem jest zapoznać was z regulaminem obowiązującym w naszym wojsku.

- Tu uśmiechnął się miło. - Połóżcie się, z łaski swojej, na plecach.

Cierpliwie czekał, aż oddział niemrawo wypełniał ten niecodzienny rozkaz. Ignorował rozrzucone byle gdzie bagaże, ciche rozmowy i przekleństwa najemników. Ciągle się uśmiechał.

- Ręce nad głowę - powiedział przyjaznym głosem. Kiedy wykonali rozkaz, Blake podkutymi buciorami stanął na brzuchu najbliższego żołnierza.

- Byłeś w wojsku? Chłopak zaczął się dusić.

- Zadałem ci pytanie. Chłopak skinął głową.

- I nie umiesz się meldować?

Chłopak usiłował ruchami głowy pokazać, że umie, ale bał się otworzyć usta, bo wtedy musiałby rozluźnić mięśnie brzucha, a to groziło katastrofą.

- Nauczmy cię - mruknął Blake. - Na razie karcer.

Dwóch Arabów w mundurach podniosło nieszczęsną, krztuszącą się ofiarę i pociągnęło gdzieś w głąb obozu. Sierżant przeszedł na brzuch Mobutu.

- Jesteś dużą dziewczynką - stwierdził. - Byłaś w wojsku?

- Tak jest, panie sierżancie! - wrzasnęła Mobutu. Była ekskoszykarką i jakoś jednak mogła napiąć odpowiednio mięśnie brzucha. A poza tym była naprawdę duża i silna.

Blake przeszedł na brzuch Caddiaca.

- Mógłbyś coś zaśpiewać?

- Pewnie - uśmiechnął się Caddie. - Co pan sobie życzy, panie sierżancie?

Blake znalazł się na brzuchu jednego z młodych. Chłopak jęknął.

- Jęczysz jak baba w połogu. Widać, znasz się na tym, więc wyszorujesz do czysta punkt opatrunkowy... - Przeszedł na brzuch Lady.

- Wybieram karcer!!! - krzyknęła pół-Chinka, chwytając go za nogi.

- Nie, nie, nie... - Uśmiechnął się Blake, stając na brzuchu Toy. Dziewczynę dosłownie wbiło w piaszczysty grunt. - Ile naboji jest w karabinie Heckler und Koch? - zapytał.

- Nie wiem! - sieknęła, usiłując kontrolować mięśnie, żeby nie doszło do kompromitacji przy wszystkich. Blake przeszedł na brzuch kolejnego żołnierza.

- Aha - jakby sobie coś przypominał. - Ta mała bierze do łapek bagaże i na plecy ładuje sobie tę skośnooką. Pobiegiesz na to wzgórze. - Wskazał stromy pagórek za drutami obozu. - A potem zamienicie się miejscami. I przyjdziecie zameldować, ile nabojów jest w karabinie Heckler und Koch. Radzę się nad tym zastanowić...

Chłopak, na którym stał sierżant nie wytrzymał przydługiej wypowiedzi.

- O fuj, żołnierzu - Blake skrzywił się z obrzydzeniem i przeszedł na następny brzuch.

Toy przerażona zerknęła na Lady. Na szczęście to chińsko-biała mieszanka. Była bardzo niska i chuda, ale i tak mierzyła z piętnaście centymetrów więcej niż ona sama. Czując, że zaczynają jej drzeć ręce, chwyciła swoją torbę i plecak tamtej. Lady, sama również porządnie przestraszona, wdrapała się jej na plecy.

- Daleko tak nie ujdę - szepnęła Toy.

- Wiem... Jeszcze nigdy nie widziałam tak małej białaski. Oddechu zabrakło jej prawie natychmiast. Usiłowała oddychać głęboko. Już podczas drogi do



bramy obozu zdążyła kilkanaście razy przysiąc sobie, że rzuci palenie. Nie ma mowy, żeby dotarła na szczyt wzgórza.

Jeden z arabskich wartowników wysunął się spod płóciennego daszku ocieniającego posterunek.

- Ty, Amerykanin - powiedział łamanym angielskim do zdyszanej Toy. - Lepiej się pospiesz - wskazał na wstające właśnie słońce. - Sztuczek nie robić, Amerykanin! On mieć lornetkę. - Zerknął na oddalonego już o kilkadziesiąt metrów Blake'a.

- Błagam, stary, powiedz, ile nabojów jest w karabinie Heckler i Koch? - szepnęła Lady.

- W jaki model? - Arab uśmiechnął z mieszaniną wyższości i współczucia: wyższości, bo te dwie dręczone ofiary były kobietami i w dodatku Amerykankami; a współczucia, bo obie były też żołnierzami.

Toy minęła go chwiejnym krokiem. Tuż za obozem zaczynał się piasek. Upadła po raz pierwszy.

- Zbieraj się!!! - szepnęła Lady. - Ja cię pieprzę. On nas zamorduje.

Toy wstała, czując, że się dusi. Dziewczyna znowu wspięła jej się na plecy. Jeszcze kilka kroków. Ból rąk obciążonych torbą i plecakiem. Psiakrew, mogła nie brać tylu rzeczy. Ból w płucach i gardle. Toy miała kondycję jak przeciętny narkoman. No... Były . narkoman, żyjący w wielkim mieście, w wieżowcu, z przystankiem autobusowym tuż pod bramą i najbliższym parkiem oddalonym o jakieś trzydzieści siedem kilometrów. Jedyne ćwiczenie fizyczne, które zaliczyła to łażenie po schodach - raz na trzy, cztery tygodnie.

- Słuchaj - usiłowała przełknąć ślinę, ale nie mogła, bo gardło miała zupełnie suche. Suche i jakby czymś zatkane. - Nie dam rady. Nie dojdę.

- To wal na czworakach, a ja siądę na tobie - powiedziała spanikowana Lady. - On nas naprawdę zamorduje. Boże, kogo tu spytać, ile nabojów jest w Hecklerze i Kochu?

- No, coś ty? Głupia?

Toy, kiedy dotarła do stóp wzgórza, rzeczywiście opadła na czworaki, zawiesiła sobie torbę na szyi, a plecak ciągnęła za sobą. Następną radę wygłosiła już jako wierzchowiec.

- Mam w torbie telefon. Wyjmij... Zadzwoń gdzieś... i się spytaj.

Lady palnęła się w czoło. Już po chwili negocjowała z operatorem w Ameryce, żeby połączył japo koscie rozmowy lokalnej z producentem w Europie. Chyba coś wynegocjowała, bo poklepała Toy po szyi jak rasową klacz przed szarżą.

- Szprechasz po niemiecku?

Toy miała czerwone płatki przed oczami. Nie mogła zaczerpnąć oddechu. Czuła, że nie robi ani jednego ruchu więcej RO coraz bardziej stromym zboczem. To koniec. Rzęziło jej w płucach.

Lady kazała się połączyć z działem marketingu Hecklera i Kocha. Potem zaczęła dyktować:

- HK 20-39L, w magazynku w chwycie 139 igłowych, w magazynku w kolbie bull-pup 32 naboje z eksplodującymi końcówkami, w lufie granatnika pod spodem HK-R(emington)W3 sześć granatów ładowanych łódką, w podwieszanym dopalaczu, dwie rakiety p-panc uruchamiane skrzydełkiem

bezpiecznika... Zapamiętałaś? Teraz HK 30-39LF. 200 igłowych w chwycie, specjalna nakładka ekspres z dwudziestoma 0,40/60 według amerykańskiej miary...

Toy umierała. Właściwie to było jej wszystko jedno. Nie miała ochoty robić następnego ruchu, a nawet nie miała ochoty już żyć. Nagle zobojętniała. Przez chwilę czuła, że zwymiotuje, ale nie mogła i to ją uratowało od kompletnej utraty płynów w organizmie.

- Karabin/karabinek HK 15/34WLK z wymiennymi lufami i kalibratorem, w chwycie wymienne magazynki na 56, 112, 200, 340, 516 naboju igłowych, można zamówić bębnowe z podajnikiem na 2451, 2901, 4505 i jeszcze bezluskowe 40/60 Remingtona lub Mag. 40/600 w ilości...

Toy przestała się pocić. Zupełnie nagle. Nie mogła już niczym poruszyć, ale chyba jednak ruszała, bo Lady krzyknęła nagle:

- Stój, bo zleziemy po drugiej stronie! - Zakryła dłonią mikrofon telefonu. - Przepraszam, muszę się porozumieć ze współnikiem w interesach. - Zawiesiła połączenie. - Chyba musisz coś wypić, Toy. Nie wyglądasz najlepiej.

Przerzuciła rzeczy w swoim plecaku. Wyjęła małą buteleczkę, reklamówkę Perriera, może 50 mililitrów raptem i jakieś perfumy. Zerwała korek, pociągnęła mały łyk i uzupełniła brakujący płyn swoimi perfumami z flakonika.

- Z dopalaczem - wyjaśniła. - Nie wypij mi wszystkiego, bo ja też muszę odbyć taki rajd.

Kiedy Toy przełknęła trochę płynu, poczuła, że odpływa.

- Dobra, Toy, zwracaj. Teraz będzie łatwiej, bo z górki. Jezuu, Jezuu, Jezuu... Jeszcze na dół? Czuła w ustach smak perfum. Które jakoś tam musiały podzielać, bo zawróciła posłusznie i... zsunęła się na brzuchu ze stromego zbocza, mając ciągle koleżankę na plecach. Bolało ją dosłownie wszystko. Strasznie chciało jej się pić. Lady klęła. Oddała telefon, przejęła torbę i plecak, wrzuciła sobie Toy na plecy i zaczęła się wspinać. Było jej łatwiej, bo Toy ważyła tylko czterdzieści pięć kilo. Było jej ciężiej, bo słońce zaczęło właśnie przygrzewać. Spociała się momentalnie, a potem, mniej więcej w połowie zbocza, przestała się pocić. Chwilę później zaczęła iść na czworakach, ale trzymała się prawie do samego szczytu. Drogę powrotną na dół przebyły tak jak w poprzednim razem, tyle że tym razem na brzuchu Lady. A potem to już tylko zygzakami do obozu. Wyglądały jak dwa nieszczęścia, klęcząc przed Blakiem, bo nie mogły się już utrzymać na nogach.

- No, jak? Ile naboju jest w karabinie Hecklera i Kocha? - spytał sierżant.

Lady panikowała przerażona. Toy odparła cicho:

- Tyle, ile się do niego załadowało wcześniej.

- Mhm... - Angol nie kazał ich zastrzelić. Odszedł zająć się niedobitkami. Dopiero teraz mogły się rozejrzeć, choć niezbyt przytomnie. Oddział był spacyfikowany w całości.

- Skąd wiedziałaś? - szepnęła Lady, patrząc na sceny wokół, które przywodziły na myśl obóz koncentracyjny.

- Chciał sprawdzić, czy potrafimy myśleć. Przecież nie da się zapamiętać całego katalogu firmy... - Nie mogła złapać oddechu. - Masz jeszcze te perfumy?

- Mam - Pół-Chinka ukradkiem podała jej flakonik. Obie pociągnęły po kilka łyków i przytuliły się do siebie. Arabscy żołnierze śmiali się, obserwując wszystko ze swoich, bezpiecznych chwilowo, pozycji. Mobutu właśnie zwisała z jakiegoś dręgi głową w dół. Dwóch chłopaków kopano łyżkami dziurę w ziemi twardej jak beton. Inny facet ciągnął Tally-Ho za nogi tak, żeby plecami wyrównywała wykopany urobek. - Gdzieśmy, kurwa, trafiły?

Blake'owi znudziło się jednak widowiskowe znęcanie się nad najemnikami. Teraz postanowił dać im prawdziwy wycisk. Wprowadził całą setkę do ogromnego zbiornika na ropę i kazał czyścić ściany. Niby nic, tyle że zbiornik był stalowy, słońce coraz wyżej, a w środku pracowała setka ludzi. Opary ropy przyprawiły o zawrót głowy, upał wzrastał w postępie geometrycznym. Nie rozdano im żadnych narzędzi, więc czyścili własnymi szczoteczками do zębów, a w dodatku zbiornik miał kształt walca, więc wdrapanie się na ścianę wymagało współpracy co najmniej pięciu osób. Już po kwadransie wszyscy, sądząc tylko po kolorze skóry, zamienili się w Murzynów. Zresztą, to nie było ważne, bo nie przydzielono im żadnych źródeł światła.

Trupy wynoszono i umieszczano w karczerze. Pozostałych wyprowadzono po południu na plac, gdzie kazano im doprowadzić się do porządku, dając do dyspozycji kubek wody i małą szmatkę. Toy, skołowana, nie bardzo nawet widziała swoją szmatkę. Zawartość kubka chciała wypić, na szczęście ktoś litościwy zakleił jej usta plastrem, wrzeszcząc, żeby nie brała do ust niczego, co nie pochodzi z zamkniętej fabrycznie butelki albo puszki. Brudna i skonana powlokła się do baraku, gdzie wydano im mundury. Niby czyste, na pewno prane, ale wielokrotnie używane, z wyraźnymi przebarwieniami od potu. I nawet, o dziwo, był mundur wielkości odpowiadającej Toy. Nie, nie, nie produkowano "dziecinnych" rozmiarów, ale ten, który dostała prano od wielu lat tak długo, że odpowiednio się skurczył i pasował.

Potem poprowadzono ich do "koszar": brytyjskich, metalowych baraków pochodzących chyba z czasów drugiej wojny światowej. Miały kształt beczek z falistej blachy, nie przewidziano żadnej klimatyzacji. Ludzie walili się na prycze i zasypiali natychmiast, nie myśląc nawet o jedzeniu, którego pierwszego dnia im nie dano. Toy nie mogła. Coś się w niej wzdrgało przed spaniem "na śmierdzące". Powlokła się do łazienek przy swoim baraku. Oczywiście, jakiś cham albo sadysta zakręcił wodę w centralnym węźle. Ciekawe, czy to miała być kolejna tortura? W każdym razie nie sprawdziło się w przypadku Toy. Dziewczyna menażką wybrała wodę ze wszystkich spłuczek w toaletach i napełniła koryto na

środku. Umyła się dokładnie, potem uprała starannie swoje rzeczy i rozwiesiła na sznurku, żeby się suszyły. W związku z tym jako jedyna z całego oddziału położyła się spać czysta i pachnąca, bo nie wypila wcześniej swoich perfum.

Blake obudził ich w środku nocy wrzaskiem.

- Co to jest????!! - ryczał, maszerując pomiędzy pryczami i trzymając w ręku biustonosz. Toy przetarła załzawione oczy.

- To moje! - krzyknęła, unosząc się na pryczy.

- Co to jest, żołnierzu?!

- No... stanik.

- Co on robił na sznurku w umywalni?!!

- Jezus... Zachowywał się nieregularnie? - spytała. Oddział zaczął rechotać.

- Żołnierzu! Macie używać regulaminowych sortów mundurowych! Trafia do twojego łaba? - Blake o mało nie dostał apopleksji.

- Panie sierżancie, - Usiłowała zachowywać się racjonalnie. - Jestem kobietą (cudem tylko nie dodała: "Trafia do twojego zakutego łaba?"). Mam piersi - tłumaczyła jak dziecku. - Nie mogę biegać bez stanika, bo mnie będzie bardzo boleć...

Blake przełknął ślinę.

- Jak do mnie mówicie, żołnierzu, to stańcie na baczność. Toy westchnęła, odrzuciła koc i stanęła na baczność przy łóżku. Oczy sierżanta powiększyły się nagle. Odchrząknął. Potrzęsął głową jakby nie mógł uwierzyć w to, co widzi.

-C... Co... co wy macie na sobie, żołnierzu? - spytał. Toy spojrzała po sobie.

- Koszulę nocną, panie sierżancie - zameldowała. Blake znowu przełknął ślinę. Najwyraźniej nie mógł uwierzyć. Coś nie mieściło się w jego głowie.

- Co wy tu robicie w koszuli nocnej, żołnierzu? - spytał cicho.

- Melduję, że stoję na baczność.

- Eeeee... przecież dostaliście regulaminowe szorty.

- Melduję, że jestem babą! - krzyknęła wpieniona. - Szorty to trochę dla mnie za mało. Ale jak pan sierżant sobie żywy, to mogę spać nawet na golasa!

- Aha. - Blake był teraz wzorem uprzejmości. - A koronkowy stanik to wręcz część wojskowego wyposażenia?

- A jaki ma być? W barwy ochronne?

- Oczywiście, że nie - zgodził się natychmiast. Potem skinął na jednego z towarzyszących mu Arabów. - Ten szeregowy nauczy was hymnu naszej jednostki. Już niedługo będziecie go głośno śpiewać. Na cały głos, zapewniam. Ale... żeby wam się nie nudziło przy nauce tej głupiej piosenki, to... - skinął na drugiego Araba i odebrał od niego łopatę, którą wręczył Toy - to wykopiecie w trakcie rów przeciwczołgowy. - Podał jej trzymaną w ręku część damskiej bielizny. - I możecie sobie to włożyć, żołnierzu. Możecie też kopać i śpiewać, mając na sobie nocną koszulę. Nie widzę

żadnych przeciwwskazań. - Zamiast zasalutować, uklonił się uprzejmie, odwrócił i odszedł.

Dwóch arabskich żołnierzy spojrzało na Toy z wyraźnym współczuciem. Jeden z nich przeciągnął sobie palcem po szyi. Drugi powiedział łamaną angielszczyzną:

- Hymn śpiewać w język arabski. Horror dla Amerykanin.

Na porannym apelu Mobutu, Tally-Ho i Lady trzymały ślaniającą się Toy, ponieważ ta odpływała i nie mogła już odróżnić rzeczywistości od swoich sennych majaczeń. Umiała za to śpiewać hymn po arabsku, czym ewidentnie odróżniała się od reszty oddziału.

Blake maszerował sobie tam i z powrotem przed frontem stojących nieruchomo w dwuszeręgu ludzi. Szybko znajdował nowe ofiary.

- Nie ogoliliście się, żołnierzu!!! - wrzasnął nagle. Maybe Not wzruszyła ramionami.

- Jestem babą, panie sierżancie. Co mam golić? Nogi?

- Regulamin mówi, że każdy żołnierz ma być ogolony rano. Marsz do łazienki!

- Ale po co? Mam się ogolić pod pachami?

- Nie chcecie? To bierzcie tę drugą na plecy i jazda na wzgórze!

- Jezus! Tylko nie Mobutu! Tylko nie Mobutu, błagam... Ona ma ponad dwa metry wzrostu!

- Wykonać. Ty - podszedł do następnej dziewczyny - co powinno znajdować się w nocnej szafce żołnierza?

Spanikowana Tally-Ho zaczęła wymieniać zapamiętane z wczorajszego dnia przedmioty.

- A co to jest??? - Rzucił w nią gustowną kosmetyczką. Pękł zamek błyskawiczny i szminka, puderniczka, róż, błyszczczyk, spiralka do oczu i parę innych niezbędnych-dziewczynie przedmiotów potoczyło się po piasku. - Co to jest, pytam?!

- Zestaw do kamuflażu, idioto. - Toy wybawiła koleżankę, bo było jej już wszystko jedno, co z nią zrobią.

- Coś powiedziała, krowo??? - Blake podskoczył do Toy.

- "Coś powiedziała, żołnierzu", trzeba mówić regulaminowo - upomniała sierżanta.

- Ty... ty... - zatkało go. - Nie rób jaj!

- Nie mogę nie robić - westchnęła. - Jestem dziewczyną i w związku z tym, jedno jajo pojawia się w mojej macicy średnio raz na miesiąc. Nie mam na to wpływu.

- Karcer! - wyszeptał Blake przez zaciśnięte wargi. Odprowadzono ją do karceru. I tu się Blake tak naprawdę przejechał po raz pierwszy. Karcer stanowił indywidualną klatkę ustawioną pod blaszanym dachem. Tortura polegała na tym, że wsadzony tam mężczyzna nie miał po prostu miejsca na jakikolwiek ruch. Musiał godzinami siedzieć w tej samej pozycji z głową

wciśniętą między własne kolana. Niektórzy wyli, co miała możliwość usłyszeć. Problem jednak w tym, że projektant klatek uwzględnił standardowego mężczyznę, takiego, mniej więcej, o wzroście metr dziewięćdziesiąt pięć. Toy miała sto sześćdziesiąt, więc zostało jej trzydzieści pięć centymetrów luzu. Zwinęła się więc w kłębek na podłodze i zasnęła spokojnie. Po prostu była za mała jak na tak wyrafinowaną torturę.

Karcer, jak dla niej, był fajny. Wodę dawali, ile kto chciał, z jedzenia tylko trzy chlebowe placki dziennie, ale w upale i to było za dużo, a dodatkowo okazało się szybko, że dziewczyna ma za małe stopy jak na więzienne normy i może sobie nawet wystawić nogi pomiędzy prętami klatki. Niby było nudno, ale widząc, co się dzieje, na placu apelowym z resztą oddziału, Toy celowo zrugła jednego ze strażników, który za to najpierw ją skopał, a później wymógł na Blake'u przedłużenie karceru dla niej o dwie doby. Ekstra! Dało się tu więc jakoś przeżyć.

Wszystko, co przyjemne kończy się jednak szybko. Toy wypuszczono z karceru dokładnie w niedzielę. Dołączyła do oddziału w momencie, kiedy żołnierze, brudni i cuchnący, wychodzili ze słynnego zbiornika na ropę po niekończącym się czyszczeniu jego ścian. Blake tresował ich dalej, ale tym razem pokaźna grupa weteranów postanowiła się postawić. Osią kłótni był fakt, że w regulaminie każdej armii niedziela jest dniem wolnym i im też przysługuje takie prawo.

- Ale to armia arabska - wyjaśnił sierżant z uśmiechem.

- No, dobra - bąknął Caddiac. - To niech będzie wolny piątek.

- Nie dajmy się przerolować. Armia arabska, ale pod auspicjami ONZ - dodał Winni Winni. - Więc każdemu należy się taki dzień wolny w zależności od tego, w jakiego boga wierzy!

Blake uśmiechnął się ciepło.

- Ależ oczywiście, żołnierzu. Macie rację. - Był teraz wzorem uprzejmości. Oddział był zbyt zmęczony, żeby to dostrzec, ale Toy wiedziała. Wybór jakiegokolwiek religii zakończy się kolejnymi szykanami. - Zaraz ktoś przyniesie do waszego baraku formularze i tam każdy określi na piśmie, w co wierzy. Rozejść się!

Oddział powlókł się do baraku, Toy nie. Poszła na wartownię i wdziękowała się do Arabów, chcąc uzyskać dostęp do komputera. Nie udało się. Poszła więc do baraku rozprowadzania, gdzie w porozumiewawczych uśmiechach, kręcąc tyłkiem, wykorzystwała dosłownie wszystko, czego nauczyła się w Sex Side. Wszystkie metody wabienia i flirtu. Udało się. Arabowie uśmiechali się również, klepali w różne części ciała (a właściwie to tylko w jedną) i dali jej dostęp do terminala. Toy załogowała się do sieci i szybko odnalazła interaktywną encyklopedię "Religie świata".

Wróciła do baraku w chwili, gdy wszyscy już pracownicy wypełniali sążniste, ONZ-etowskie formularze.

- O! Toy! - krzyknął Hot Dog na jej widok. - Wypełnisz za mnie? Bo wiesz...

Zerknęła na niego spod oka. Nie umiał pisać?

- Nie ma sprawy.

Szybko przeleciała wzrokiem wszystkie punkty. Pożyczyła od kogoś długopis i wypełniła mu papier w ciągu dwóch minut.

- Masz, wykuj na blachę i recytuj z przekonaniem.

- Dzięki, Toy. Jesteś fajna.

Sama zaczęła wypełniać swój formularz. Zaintrygowane Tally-Ho i Mobutu zerknęły jej przez ramię. Potem podarły swoje do połowy wypełnione formularze, wzięły nowe i zaczęły przepisywać słowo po słowie od koleżanki.

Blake przyszedł pół godziny później i zebrał poukładane w kupki na jednej z prycz papiery. Katolicy, protestanci, buddyści, wyznawcy Allacha... Starozakonnych nie było, a przynajmniej się nie przyznali. Wśród wcielonych do arabskiej armii samobójcy nie istnieli.

- Dobra. - Sierżant powoli przeglądał plik kartek. - Ci, którzy nie chcą niedzieli z powrotem do zbiornika, bo on coś słabo wyczyszczony. Katolicy, rzymscy i greccy, oraz protestanci udadzą się do kaplicy na mszę. Mam tylko jeden mały problem. Na terenie jednostki nie ma miejsca na budowę, więc kazałem postawić kaplicę poza terenem jednostki. Pobiegniecie tam. - Uśmiechnął się zadowolony. - To tylko dwadzieścia kilometrów w jedną stronę. Przed nocą wróćcie.

Oddział chciał go rozszarpać, ale facet wcale nie był taki głupi. Miał za oknami arabski pluton uzbrojony po zęby. Wziął do ręki ostatnie cztery kartki.

- Co tu jest napisane?

- Jestem czcicielem Bachusa! - zawył Hot Dog, stając na baczność.

- A co to, kurwa, jest?!!!

- Starożytna grecka religia - recytował najemnik z przekonaniem. - Nie mam żadnych dni wolnych, ale od czasu do czasu muszę pić przedmiot swojego kultu!

- Znaczący wódek? To przecież Maroko. Gdzie sobie kupicie?

- Proszę o przepustkę do ambasady Rosji, Polski lub Niemiec, gdzie zakupię przedmiot mojego kultu. Blake parsknął śmiechem.

- Dobra, dam wam przepustkę. Inteligencję trzeba cenić. Hot Dog westchnął zadowolony. Zerknął na Toy i powiedział samymi ustami, bez dźwięku:

- Dzięki! Dzięki! Dzięki!!!

Sierżant podszedł do trójki dziewczyn skupionych w najodleglejszym kącie sali. Tym razem był surowy.

- Co to jest religia... - zerknął na ich formularze - religia M'Pondo? Jaki macie dzień wolny?

- My nie mamy żadnego dnia wolnego, panie sierżancie. - Toy wyprężyła się na baczność. - Nasz Bóg każe nam pracować codziennie!

- To i dobrze. Teraz wyczyściecie...

- Nie możemy teraz niczego czyścić, panie sierżancie. Właśnie nadszedł czas na rytualne obmywanie.

- Co??? - warknął. - A wiecie, gdzie jest najbliższa myjnia??? Pięćdziesiąt kilometrów...

- Nasz Bóg każe się nam myć w najbliższym źródle wody -przerwała mu Toy. - A ono jest jakieś dwadzieścia metrów stąd. Dał się wytrącić z rozkazującego tonu.

- Co to jest to M'Pondo?

- To religia zatwierdzona w ONZ. Proszę sprawdzić. Dziewczyna wzięła ręcznik i omijając zaskoczonego sierżanta, ruszyła w stronę kabin z prysznicami.

- Proszę kazać włączyć wodę w centralnym węźle. Inaczej napiszemy skargę, że odmawia nam się tutaj podstawowych praktyk religijnych.

Mobutu i Tally-Ho ruszyły za nią z własnymi ręcznikami. Obie zagryzały wargi, żeby nie ryknąć śmiechem.

Umyły się po raz pierwszy dokładnie. Chichotały w swoich kabinach. Po raz pierwszy też poczuły wielką ulgę. Wytarły się do sucha, przebrały. Ale Blake już na nie czekał.

- A teraz... - wrzasnął.

- A teraz - przerwała mu Toy - musimy się połączyć z naszym Bogiem, panie sierżancie:

- Jak to, połączyć? - Znowu dał się zaskoczyć. - Uprawiacie z nim seks?

- Nie, panie sierżancie. Nasz Bóg nawiedza nas we śnie. I teraz właśnie, jak już jesteśmy czyste, nadszedł czas na rytualną drzemkę.

-I tak jest co tydzień?

- Nie, panie sierżancie. Codziennie. Toy ruszyła w stronę ich baraku. Mobutu i Tally-Ho poszły za nią, zasłaniając usta dłońmi, żeby nie parsknąć śmiechem.

- Ty se, psiakrew, jaja robisz... tfu! Ty se dowcipy robisz???

- Nie, panie sierżancie. Przepraszam, ale muszę teraz iść obcować ze swoim Bogiem.

Blake przygryzł wargi. Wściekły ruszył w stronę baraku rozprowadzania, żeby sprawdzić w komputerze, co to jest M'Pondo. Być może dotrze nawet do tej samej encyklopedii, z której korzystała Toy.

Były cholernie wyspane i wypoczęte, gdy w środku nocy wrócił Hot Dog. Nawalony jak stodoła. Oczywiście przeszukano go na wartowni, czy przypadkiem nie przenosi obiektów swojego kultu. Tyle tylko, że facet wiedział, co to jest pobieżna rewizja. Przeżył to już nieraz w wykonaniu policji. Wiedział, co to jest "oklepanie" i jak się przed tym zabezpieczyć. Najpierw zdjął spodnie. Okazało się, że do sznurków zawiązanych nad kolanami ma przywiązane

prezerwatywy wypełnione alkoholem zawieszone na wysokości łydek. Tam już, z reguły, oklepujący nie sięgał, a jeśli nawet, towar był miękki i mógł udawać nogę. Potem-zdjął kurtkę. Okazało się, że jest owinięty gumowym węzem do podlewania ogrodu zatkanym z obydwu stron. Czym był wypełniony szlauch, łatwo było się domyślić.

- Toy, to działka dla ciebie. - Hot Dog odkleił dwie wypełnione wodą prezerwatywy od nóg. - Jesteś fajną koleżanką.

- Dzięki.

Dziewczyny skupione we własnym kącie baraku ostrożnie zaczęły przelewać wódkę do kubków. Hot Dog zaczął odwijać z siebie wąż ogrodowy.

- Yellow. Stań za mną i pilnuj, żeby nikt nie wpierniczył mi bagnetu w tyłek, bo wiesz, jestem trochę nie tego...

- Jasne stary! Podzielisz się?

- No pewnie.

Yellow oderwał nogę z najbliższej pryczy i stanął za kolegą w pozycji obronnej.

- Dobra - westchnął Hot Dog. - Reszta musi se kupić. Pięćset dolarów od manierki!

Zaczął przelewać bezbarwny płyn do wojskowych naczyń. Oddział runął mordować Hot Doga, ale Yellow nogą od pryczy powstrzymał wraże zapędy, licząc na udział w zyskach i w samym towarze.

Toy, podchmielona po kilku łykach, zaczęła krzyczeć:

- No i co katolicy, protestanci, buddyści i allachowcy? Wyznawcy M'Pondo rulez!!!

Mobutu i Tally-Ho chichotały zadowolone. Ktoś chciał walnąć Toy ze złości na swój własny los, ale Mobutu wstała z pryczy, prostując całe swoje dwa metry osiemnaście centymetrów bieżących wzrostu.

- Tylko spróbuj, chłopcze - powiedziała, prezentując mu swój ą pięć wielką jak bochen chleba. - Tylko spróbuj...

Tally-Ho, wzorem Yellowa, urwała nogę od pryczy i stanęła za plecami koleżanki.

- Dziewczyny z M'Pondo walczą do końca!

Impreza rozkręcała się właśnie, choć większość najemników' musiała się jakoś pogodzić z jej okropnymi kosztami. Maybe Not podeszła z boku.

- Ty, pies, słuchaj -przysiadła na brzegu pryczy - czaisz coś z tego, co tu się dzieje?

- Teraz trochę tak - powiedziała Toy. - To prawda, co mówił Winni Winni?

-Co?

- No, że jesteśmy pod auspicjami ONZ-etu?

- Prawda. Tylko dlatego Blake nie może nas zamordować na miejscu.

Toy westchnęła.

- No, ładnie. Nawet bez Blake'a jesteśmy już trupami.

- O żesz ty... Aż tak źle?

Toy pociągnęła ze swojego kubka wielki łyk.

- Łatwo się domyślić, o co biega. Tak zwana "Czarna Afryka" jest wyludniona. Wiesz, te wszystkie

AIDS-y, nowe wirusy, rzezie, głód... To właściwie pusty kontynent z powodu naszej indolencji i prawa, które nie pozwala ingerować w sprawy innych państw. Więc pozwalaliśmy na rzezie, na to, że milionami zdychali z głodu, że warunki higieniczne urągały wszystkiemu, co sobie można wyobrazić. - Pociągnęła wielki haust wódki. - A potem przyszła Ebola-X. Wszystkich chłopaków od pomocy dla Murzynów zdjął strach. Były jeszcze jakieś zrzuty z samolotów stratosferycznych, ale... Zasadniczo biały człowiek wyniósł się z Afryki, pozostawiając dwie odizolowane strefy jako przyczółki: arabskie wybrzeże sąsiadujące z Europą i południowoafrykański cypel na dole. A teraz, jak mówią zdjęcia satelitarne, jest tam raczej pustawo. Lekarstwo na nową Ebolę wymyślono, więc... - Wzruszyła ramionami. - ONZ postanowiło powrócić na Czarny Ląd i jakoś tam zadbać o resztki tych, co przeżyli. Ale z czego sfinansować tak kolosalną akcję? No i wymyślili. - Wzięła jeszcze jeden haust wódki. Rozkaszała się. - Co się mają marnować takie bogactwa naturalne w kompletnej głuszy? Niech sobie globalne koncerny wezmą, co chcą z bogactw naturalnych, uruchomią kopalnie i cały ten szajs, no i... no... po prostu wezmą sobie, co kto będzie chciał:

- A co z ludźmi, którzy tam jeszcze żyją? - spytała Bokassa.

- Koncerny za to, że sobie będą mogły wykopać to, co będą chciały muszą utrzymać ludzi na swoim terenie. Dać zryć, opiekę medyczną, edukację. Genialny plan. Będziemy zbawcami i nie wydamy na to ani grosza. Nie?

- Jak to? Każda firma będzie sobie mogła przyjść i wziąć, co chce? - wtrąciła się Mobutu.

- Każda! No, co wy? Gazet nie czytacie? - Toy osuszyła swój kubek do dna. - Nie wolno tylko ruszać afrykańskich państw o zaludnieniu zbliżonym do pięćdziesięciu osób na kilometr kwadratowy, zorganizowanych na tyle, by utrzymać podstawowe służby publiczne i zdolnych wyżywić swoją ludność. A takich państw...-zerknęła przez okno w stronę, jak jej się zdawało, wnętrza kontynentu - takich państw tam nie ma.

- No, to się teraz koncerny pobiją ze sobą - mruknął Caddillac. - I to ostro.

- A właśnie. Wymyślono "Wielki Wyścig". ONZ nie chce, żeby doszło do rzezi w pobliżu najlepszych terenów. Więc se wydumali tak: określili datę rozpoczęcia wyścigu, ale nie powiedzieli, na czym on będzie polegał. Najlepsze tereny może zagarnąć firma, która znajdzie się na nich najszybciej; albo taka, która wymyśli dla regionu najlepszy program pomocy społecznej, albo najbardziej elastyczną technologię eksploatacji. Nikt nie wie. I dlatego od miesiący u wybrzeży Afryki roi się od statków różnych koncernów wyładowanych po brzegi. Bóg jeden wie czym.

- Dalej nie kumam - powiedziała Maybe Not.

- Jeeezu, widziałś taki stary film "Za horyzontem"? Tam, na Dzikim Zachodzie, urządzili to samo. Mieli kawał niczyjej ziemi do wzięcia, ale chętnych było

więcej. Wtedy wojsko otoczyło teren i strzelało do osadników, jak który wyrwał się przodem. A potem dali sygnał i zaczął się wyścig. Kto pierwszy zajął jakąś działkę, była jego. Kto się spóźnił, szedł won. I tyle.

- Tu też będą się ścigać?

- Toż mówię, nikt nie wie, jakie są zasady Wielkiego Wyścigu. Poznamy je dopiero w dniu ogłoszenia, ale żadna z firm nie chce się obudzić z ręką w nocniku, więc... usiłuje zadbać o swoje interesy wcześniej.

- A my tu po co? - spytała Mobutu.

- Łatwo się domyślić. - Ciash usiadł na brzegu ich łóżka.

- Pewnie, że łatwo. - Toy nalała sobie następny kubek wódki. - Wcielono nas do marokańskiego korpusu wojsk ONZ. Wiadomo, że Niebieskie Hełmy wkroczą pierwsze, żeby zadbać o fair play. A Marokańczyków łatwo przekupić. Więc jak wejdziemy poza strefę, to szybko zrzucimy błękitne czapeczki i chodu, byle tylko szybciej znaleźć się w miejscu, które interesuje naszego sponsora.

- I ONZ przełknie taki numer?

- A kogo to obchodzi? Na mur nie dostaniemy misji zajęcia danego terenu. Coś mamy namieszać, ale tylko Dante wie, co.

- To czemu mówiłaś, że źle z nami?

- A jak myślisz? Że tylko nasz sponsor jest taki sprytny? Zobaczysz, że przy co bardziej konkretnych złożach łatwiej będzie spotkać faceta z karabinem niż gołą dupę przy krawężniku w Sex Side Hollywood.

Toy podniosła się z łóżka i wypila połowa zawartości swojego kubka. Ruszyła w stronę wyjścia z baraku.

- Idę się przewietrzyć.

Ze złością kopnęła blaszane drzwi. Przeszła kilka kroków, lekko'zygzakując. Nawet w nocy czuło się ciepło bijące od rozgrzanego asfaltu. Gwiazd nie było widać, luna bijąca z sodówek na placu oślepiała każdego, kto podniósł głowę. Toy odeszła gdzieś w ciemność przy ogrodzeniu, za barakami. Zauważyła nagle światło w oknie jakiejś kwatery. Podeszła odruchowo. Zauważyła Blake'a, który siedział przy biurku i czytał gazetę. Cierpiał na bezsenność? Ciekawe. Przyglądała mu się zaintrygowana. Miał na oczach okulary z grubymi szklami, a mimo to trzymał gazetę tuż przed oczami, więc był potwornym krótkowidzem, tak jak ona. Ale ukrywał to za dniami. Nagle, wiedzioną jakimś irracjonalnym odruchem, zapukała energicznie do drzwi, otworzyła je i weszła do środka.

- Panie sierżancie! - zameldowała, usiłując nie myśleć o tym, czy zostanie za wyskok karcer czy czyszczenie zbiornika.

- Czy mogę się zachować bardzo nieregularnie?

Poprawił okulary na nosie. Ona też. Chwiała się lekko na nogach i musiała oprzeć plecami o framugę.

- A, to ty. Najbardziej pyskata baba w oddziale. - Odłożył gazetę. - O co chodzi?

Nie kazał jej zabić od razu, więc przepełniona nagłą odwagą wypaliła:

- Chciałabym postawić panu drinka, panie sierzancie. Ostrożnie podała mu swój kubek. Wziął. Czym zresztą zaskoczył ją kompletnie. Popatrzył na zawartość. Teraz dopiero zrozumiała, że mógł podejrzewać dolanie środków przeczyszczających albo wręcz trucizny. Szczególnie w jej wykonaniu... Blake zadziwił ją jednak znowu. Wypił wódkę jednym haustem.

- Chciałam pana przeprosić, panie sierzancie.

- Za co?

- Bo pan... Wiem, że najemnicy to z reguły kiepskie wojsko, a pan... pan przynajmniej usiłuje nas nauczyć, jakiejś dyscypliny.

- To czemu jesteś taka pyskata?

- Bo... - opuściła głowę - bo... To tylko taka maska. Tak się musiałam jakoś opancerzyć, bo... Bo jestem tak cholernie samotna! - wypaliła nareszcie.

Wstał. Oddał jej kubek. Uśmiechnął się lekko, ledwie dostrzegalnym skrzywieniem warg.

- Znam to uczucie.

Teraz dopiero zauważyła, że jego uśmiech był raczej smutny.

- To tylko maska - powtórzyła.

- Wiem. Też mam taką.

Spojrzała na niego nieśmiało. Zrobiła krok do przodu. Potem przytuliła się lekko. Objął ją. Usiłował chustką oetrzeć jej łzy. Zdjęła okulary i przyjęła od niego chustkę. Długą chwilę stali w milczeniu.

- No, idźcie już - powiedział cicho, głaszcząc ją po włosach.

- Idźcie i wypijcie się, bo jutro macie wyjazd. A poza tym nie wypada, żeby dwóch żołnierzy całowało się w wojskowej bazie.

Uśmiechnęła się. Pocałowała go jeszcze raz i w dużo lepszym nastroju pobiegła do baraku pokłaść kolegów spać, bo jutro będą same dętki zamiast zorganizowanej kompanii.

Następnego dnia rozdano im nareszcie sprzęt i wyposażenie. Niektórym się wydawało, że to wyzwolenie od horroru obozu szkoleniowego, ale nie wszystkim. Toy, tak jak inni, musiała nałożyć na siebie mundur wewnętrzny, kamizelkę kuloodporną, kevlarowe ochraniacze na wszystkie części ciała, plecak z całym wyposażeniem, chlebak, ładownice, GPS, radio satelitarne, namiemik, radar impulsowy, gogle z noktowizorem, maskę, karabin HK z całą masą dodatkowych badziewi, błękitny henn, a na to wszystko jeszcze mundur zewnętrzny, czyli ghillie suit, dzięki któremu przypominała teraz na zewnątrz zeschnięty krzak porośnięty kępkami trawy. Boże. Wyposażenie ważyło czterdzieści kilo, sama Toy czterdzieści pięć, więc można było zaryzykować stwierdzenie, że zwiększyła swoją wagę dwukrotnie. Oczywiście, żaden indywidualny klimatyzator nie był dołączony do zestawu. W tym wszystkim po prostu pływało się jak w

basenie, tyle że zamiast wody, do dyspozycji był własny pot.

Wyruszyli w drogę jako kompania będąca częścią wzmocnionego batalionu marokańskich sił włączonych do ONZ-etowskiej ochrony strefy buforowej. Cały oddział dostał więc trzy Trackwolfy zwiadu, dwa Staikery wsparcia, sześć gąsienicowych Marderów do transportu i kilka Hunwee z zaopatrzeniem, plus ciężarówkę-cysternę z ropą. Żadnego wsparcia przeciwlotniczego, bo i po co. Żadnych wozów sztabowych, bo i po co. Sztab stanowił teraz Dante, który odłączył ich kompanię od batalionu już na najbliższym postoju. Kiedy odjechali za najbliższą wydmy, rozkazał:

- Zdjąć te niebieskie garnki z głów i przemalować na normalny kolor!

- Co? - postawiła się Toy. - Nie występujemy już jako smerfy?

Mobutu zachichotała. Dante nawet na nią nie spojrzał. Kazał zająć miejsce w pojazdach. Boże. Ci w Trackwolfach, Staikerach i Humvee mieli jeszcze jako tako, ale w Marderach nie dało się wytrzymać. To były po prostu szczelnie zamknięte, blaszane puszki na gąsienicach, wystawione na prażące słońce bez żadnej klimatyzacji w środku. Wszyscy, którym przypadła w udziale ta niezbyt wyrafinowana, ale skuteczna tortura wdrapali się na dachy kanciastych pojazdów i okryli szmatami przed prażącym słońcem. I tak było to lepsze, niż siedzenie w pancernym piecyku poniżej. Siedzieli więc, trzęsąc się na starej betonowej drodze, z karabinami na sztorc, bo na lufie można było chociaż zaczepić prowizoryczną osłonę przeciwsłoneczną.

- Boże! Czarny Łąd - ekscytowała się Tally-Ho. - O Czymś takim czytałam tylko w starych książkach. Stanicy, doktor Livingstone...

- Taaaa... Oni też podróżowali gąsienicowymi pojazdami pancernymi na betonowej autostradzie.

- Oj, już nie opowiadaj. Stanicy miał karabiny maszynowe Maxima, z których walił do wszystkiego, co się ruszało, jeśli mu coś nie pasowało.

- Jasne - włączył się Hot Dog. - Te dwa Staikery wsparcia zapierniczają wszystkich czarnuchów, którzy by nam chcieli mieszać.

- Jeszcze raz powiesz "czarnuchów", gnoju, to cię użyję jako amunicję do ich zabijania - mruknęła Mobutu.

- Dawaj, dawaj. - Bokassa wyjrzała spod swojej chusty chroniącej od słońca. - Pomogę ci, koleżanko.

- Przestańcie - zgasiła je Tally-Ho. - Nie widzicie? Wyprawa w nieznane... Jak w Star Treku.

- Tylko my już nie jesteśmy siłami Federacji - wtrąciła Toy. - Teraz my Romulanie. Ci źli.

- Odwalcie się, głupie dupy.

- Słusznie, słusznie. - Hot Dog poparł prostytutkę z Księżyca. - Masz rację, dziecko.

- Ja nie o tym. Rozumiecie? To wreszcie jakaś przygoda. Czarny Łąd. Znowu z białymi plamami na mapach, jak za Stan-leya! Nie odkryty. Jak w Star Treku.

- Jasne - mruknęła Mobutu. - Stanicy... Jak mi podskoczysz z przedpotopowym Maximem, to ja mam Hecklera i Kocho w garści. Z wyrzutnikiem rakiet.

- Zaraz 'zobaczycie coś lepszego - powiedziała Toy. - Dwa łyki egzotyki.

Bokassa się roześmiała.

- Popatrzcie tam. - Wskazała dość sporą chmurę nad horyzontem. - Kiedyś, jak się naszym wydawało, że Afryka się prze-ludni, zrzucała na spadochronach środki antykoncepcyjne, ale żeby Murzyni wiedzieli, jak to użyć, wyświetlali na chmurach filmy instruktażowe.

- Na chmurach?

- Ta... wysłali satelity, a te laserami wyświetlają na chmurach instrukcje obsługi. Potem okazało się, że Afryka nie będzie przeludniona tylko... "wymarła". - Zabrzmiało to jak pytanie. - Jednak satelitów nie ściągnięto, bo za duży koszt. Więc one dalej robią swoje.

Skupili się na najbliższej chmurze. Kilku najemników wyciągnęło lornetki. A tam, w obłokach, leciał film, jak się naciąga prezerwatywę i na co. Ze szczegółami.

- O żesz ty...

- No co? Doktor Livingstone byłby zachwycony. Chociaż on chyba nie seksuolog.

- He, he, he... Ale jaja!

- No! Niezłe ma - wtrąciła któraś z dziewczyn, patrząc na aktora, którego postać widniała w obłokach.

- Ja nie o tym - obruszył się Hot Dog, komentując film. - Ja w sensie, że to niezły dowcip.

Nagle targnęło ich pojazdem. Skręcili z betonu na boczną, keramzytową drogę. Gąsienice wydawały piskzący dźwięk, ślizgając się na nierównych płytach. Po chwili znowu wdarli się na beton i przyspieszyli ostro. Kilometr za kilometrem, mila za milą - w zależności, jak kto liczył. Silniki wyły na najwyższych obrotach. Z postawionych na sztorc rur wydechowych dymiły lotne produkty spalania ropy. Smród spalin zatruwał przyjemny chłód wywołany pędem wiatru. Star Trek. Warp 5. Tylko silniki statków na tym filmie nie hałasowały tak strasznie.

Toy pamiętała z całej podróży tylko pojedyncze sceny. Na przykład Tally-Ho, która wystrzeliła cały magazynek, bo coś się ruszało w krzakach (ruszał się ich własny radar lokalizacyjny i za zniszczenie sprzętu dziewczyna musiała nosić ten złom na własnych rękach wokół obozu przez całą noc, drąc się na cały głos, że teraz ona jest "ludzkim radarem"). Albo Caddiiaea, który pędził bimber na dachu transportera w metalowych puszkach. Nie używał żadnych dodatkowych instalacji, po prostu rozklepywał puszki z koncentratem owocowym na płasko, dodawał cukru i wody, a wówczas czekał już tylko na efekt działania słońca.

Potem skończyły się drogi. Właściwie to nie skończyły się, tylko występowały rzadziej i były dużo gorsze. Zdarzały się nawet gruntowe. Opuszczone betonowe budowle wokół ustępowały powoli miejsca ruinom szalasów i zrujnowanych domów, a potem w

ogóle stosom plastikowych śmieci. Kiedy wjechali na pustynię, musieli przedzierać się przez totalne śmietnisko. Tu dopiero gąsienicowe Mardery pokazały swoją wyższość. Często trzeba było brać na hol ciężarówkę z ropą. A oni budowali ze znalezionych odpadków coraz wyższe rusztowania na dachach transporterów, bo ktoś powiedział, że nie słońce zabija, a temperatura. A im wyżej jest się od nagrzanego podłoża, tym zimniej. Może i racja, ale swój zapas wody wypijali w błyskawicznym tempie. Wieczorem wtajemniczeni ukrywali się za najbliższą, możliwie dużą kupą śmieci i sączyli ohydny w smaku bimber Caddiiaea.

Pewnego dnia jeden Staiker zderzył się z drugim. Zadziały odbojniki i trzeba było oba naprawiać. Dzień wolny. Tally-Ho, zachwycona Afryką i pierwszą prawdziwą przygodą w jej życiu, miała nawet jakiś stary przewodnik po okolicy. Przygotowała się starannie. Zabrała Toy i Mobutu na zwiedzanie jakiejś niesamowitej świątyni wykutej w skale, w wąwozie niezbyt daleko. Wzięły jednego Humvee i pojechały, niby na zwiad.

Świątynia rzeczywiście była niesamowita. Liczące sobie tysiące lat kolumny obwieszone były plastikowymi spadochronami ze środkami antykoncepcyjnymi, które powiewały na wietrze. Na niewielkiej chmurze nad nimi dawno porzucone satelity wyświetlały film, który ze szczegółami instruował, jak tych środków użyć. A one, trzy turystki, obwieszone bronią, w jakichś idiotycznych "krzaczystych" kombinezonach porozumiewały się przez radio, bo Dante zakazał zdejmowania masek. Usiłowały wejść na antyczne schody, ale zwątpiły w jednej czwartej. Za dużo kilogramów miały na sobie. Spocone i dyszące wróciły do Humvee i ruszyły w drogę powrotną.

Wtedy właśnie spotkały pierwszych Murzynów, a właściwie trzy Murzynki. Wychudzone, pokryte wrzodami kobiety miały na sobie brudne podkoszulki i podarte, rozpadające się dzinsy. Usiłowały zatrzymać pojazd, a ponieważ noktowizory na podczerwonym podbiciu pokazały, że w okolicy nie ma nikogo innego, więc czemu nie? Mobutu stanęła przy erkaemie, a Toy i Tally-Ho z HK w dłoniach wysiadły zobaczyć, o co tamtym chodzi.

W żaden sposób nie mogły się zrozumieć. Może po kwadransie udało się domyślić z chaotycznej gestykulacji, że tamte są prostytutkami i chcą po prostu namówić żołnierzy na skorzystanie z ich usług. Toy ryknęła śmiechem.

- Nic z tego, dziewczyny. Po pierwsze, obie robiłyśmy w tym samym fachu, a po drugie, nie jesteście chłopakami.

Tamte nie nie zrozumiały. Napierały coraz bardziej. Wreszcie Tally-Ho nie wytrzymała. Odłożyła karabin i z dużym trudem rozchełstała wszystkie warstwy swojego munduru.

- Nic z tego - powiedziała, pokazując piersi. - Nic z tego! Jesteśmy babami.

Murzynki odeszły rozczerowane, kłócąc się o czekoladę, którą dała im Toy na pocieszenie.

- Co one tu robią? - spytała Mobutu, kiedy Humvee ruszył nareszcie, boksując na przysypanych piaskiem stertach plastikowych śmieci. - Na pustyni?

- Może uciekają?

- Tędy?

Wyjaśnienie przyszło szybko. Udało im się zlokalizować stare, polowe lotnisko UNICEF-u. Na jedynym pasie leżał na wpół wypalony wrak Galaxy, rozbity chyba przed kilkudziesięciu laty. Wokół niego koczowało kilkunastoosobowe plemię żyjące dzięki żywności, którą zawierała jego komora transportowa. W pociętym pociskami helikopterze, tuż obok, była chata wodza.

- Nieźle się tu prali przed laty - mruknęła Mobutu.

- No. - Toy wskazała jakiegoś chudego mężczyznę, który chciał bronić swojego dobytku i groźnie potrząsał dzidą. - Ciekawe, co będzie z tą małą cywilizacją, jak skończą się konserwy z samolotu?

Jakaś kobieta wyciągnęła w ich kierunku dziecko z brzydką, ropiejącą raną na ramieniu. Toy rzuciła jej swój pakiet medyczny. Tally-Ho chciała wysiąść i pomóc tamtej, ale Mobutu chwyciła ją za ramię i dodała gazu.

- Wiejemy, dziewczyny. Bóg jeden wie, czym się możemy tu zarazić.

Wróciły do obozu przed zmrokiem. Stalkery były już prowizorycznie połatane i Dante zarządził jazdę w nocy. Kierowcy mieli się zmieniać co trzy godziny. I zaczął się horror. Żołnierze musieli się przywiązać do dachów Marderów, żeby nie spaść wprost pod gąsienice, kiedy zasną. Najpierw z ulgą przyjęli spadek temperatury, potem jednak zrobiło się strasznie zimno. Usiłowali się poprzykrywać, ale trzęsło tak, że zamiast snu, można było zapaść co najwyżej w nerwową drzemkę. Najgorsze były chwile, kiedy ktoś budził brutalnie i trzeba było wkładać gogle, by zająć fotel kierowcy. Niby nic, tyle że oczy same się zamykały, a te cholerne noktowizory strasznie ograniczały kąt widzenia. Wystarczyło raz spojrzeć w bok albo się zamyślić i już słyszało się huk miażdżonej blachy, a potem wściekle przekleństwa przez radio, OPR Dantego, kopniaki i ciosy zadawane różnymi przedmiotami przez otwarte włazy, których obudzeni koledzy z dachu nie szczydzili pechowemu kierowcy.

Jechali tak trzy doby bez przerwy, cipiując od upału w dzień i trzęsąc się z zimna w nocy. Telefonując do rodzin i znajomych, żeby zabić nudę, Dante na szczęście nie miał degradatora na satelity. Tu wyszła na jaw wyższość Marderów nad Humvee, Trackwolfami, Staikerami i ciężarówką-cystemą. Na płaskich dachach gąsienicówek jednak udawało się upitrasić coś ciepłego, czy choćby ugotować wodę na kawę. Dało się też z nich, przynajmniej jako tako, sikać, choć niezmiennie ta czynność uruchamiała wszystkie klaksony i wywoływała głośne komentarze przez radio tych, co jechali z tyłu. Z innymi potrzebami trzeba było czekać na krótkie momenty tankowania, co stawało się powoli

torturą, bo te cholerne pojazdy miały zbiorniki wielkości brzuchów wielorybów.

Żeglowali tak przez piasek i zwały odpadów zwożonych tu przed laty z całego świata, aż dotarli do pierwszych pasm słowiałej zieleni. Znowu pojawiła się asfaltowa szosa, w fatalnym zresztą stanie, lepiej już było jechać bezdrożami. Potem zobaczyli rzekę. Ruszyli betonowym nabrzeżem, wdzierając się na coraz dzikszere tereny. Nareszcie wjechali między drzewa, coraz wyższe i gęstsze w miarę zbliżania się do strefy wilgotnej.

Kiedy dotarli do czegoś, co od biedy można byłoby nazwać puszcza, chorą i przetrzebioną przez jakieś szkodniki, Dante zarządził nareszcie postój. Zebrał wszystkich ludzi na małej polance, wśród pokrytych dziwnymi liszajami drzew i palnął przemowę:

- Słuchajcie, leniwe świnię! Zbliżamy się do naszej przestrzeni operacyjnej. Od tej chwili macie mi oddać wszystkie swoje telefony...

Toy natychmiast ukryła swój dyskretnie, pod stanikiem, między piersiami.

- Jak złapię kogoś z telefonem, to zapewniam, że taki kretyn zje swój telefon i zaraz wysra! Od tej chwili możecie używać tylko biernych systemów rozpoznania. Radary włączać tylko na mój wyraźny rozkaz! Jak jakiś idiota poświęci sobie w nocy reflektorem ultrafioletowym, to...

- To go zje bez soli - szepnęła Toy. Świnia usłyszał.

- Toy. Myślę, że dobrze ci zrobi trzydzieści pompek w oporządzeniu. Jezu... Nie!

- Zasapiesz się i będziesz mniej gadatliwa. - Nawet nie zerknął na zrezygnowaną dziewczynę, która runęła na ziemię. - Nie wolno używać radia o dalekim zasięgu, nie wolno w nocy palić papierosów nigdzie poza wnętrzami pojazdów, nie wolno słuchać muzyki.

Rozwinął wielką mapę. Wymazano z niej wszystkie nazwy, widać było tylko koordynaty siatki GPS.

- Jedziemy tu. - Pokazał jakiś punkt oznaczony na czerwono.

- Zapamiętajcie jego pozycję, ale nigdzie tego nie zapisujecie.

- A jaki to kraj? - spytała Tally-Ho.

- Tally-Ho. Myślę, że dobrze ci zrobi trzydzieści pompek w oporządzeniu. ^

- Wiem. Zasapiesz się i będę mniej gadatliwa. - Dziewczyna potulnie runęła na ziemię tuż obok Toy.

- Naszego sponsora interesuje ten rejon. Obok są stare kopalnie i duże, obiecujące złoża. Dobrze byłoby to-chwycić, ale firma uważa to za cel numer dwa. Najważniejszy jest ten rejon. Na powierzchni niczego nie będzie widać i najprawdopodobniej nikt nie wie, że tam coś jest...

- A co tam jest? - wyrwało się Lady. - Oups! Wiem, po trzydziestu pompkach będę mniej gadatliwa. - Dziewczyna sama rzuciła się na ziemię obok koleżanek.

- Nikt nie liczy, że pojedyncza kompania, pozbawiona wsparcia, zajmie jakikolwiek teren. Tym bardziej, że na pewno wszyscy obserwują nas przez satelity. Mamy tylko rozpoznać sytuację i zerknąć, co

ewentualnie robią tam konkurencyjne firmy. Jeśli robią... Niemniej, od jutra znajdziemy się w strefie potencjalnej wojny. W razie jakiegokolwiek wypadku czy rabania, zróbcie wszystko, co możecie. Dajcie z siebie naprawdę dużo. - Postanowił poprzeć morale wojska miażdżącym argumentem. - Przypominam, że oddaliście swoje paszporty i jesteście dezertierami z armii Maroka. Tylko nasz sponsor może was wyciągnąć z Afryki. Więc zróbcie mu dobrze... Pamiętajcie o tym. - Uśmiechnął się nawet dość ciepło. - W razie gdyby doszło do rozproszenia, dostańcie się do punktu, który pokazałem wam na mapie, kierując się GPS-ami. Raczej nie zalecam ucieczki na wybrzeże, bo tam was Marokańczycy rozstrzelają, a inne kraje arabskie deportują do Maroka. Można próbować ucieczki na czarne wybrzeża, a potem wpław do Ameryki. - Znowu się uśmiechnął. - Można też czekać na wojska ONZ. Tylko wtedy nie przyznawajcie się, że jesteście najemnikami, tylko postarajcie się udowodnić, że przybyliście tu rabować i grabić na własną rękę. Może wtedy posadzą was w więzieniu europejskim, gdzie będziecie mieli szansę przeżyć - zakończył optymistycznie i zaczął zwijać mapę.

- Sami, więc, widzicie. Postarajcie się zadowolić naszego zleceniodawcę.

Toy nie zdążyła się przestraszyć. Dyszała ciężko po trzydziestu pompkach, przyciskając ręce do twarzy. Taity-Ho i Lady wyglądały podobnie. Przez tętniącą w uszach krew ledwie słyszały, jak Dante kazał zdjąć te śmieszne konstrukcje z dachów pojazdów i pakować się wszystkim do ciasnych, dusznych wnętr. Znowu mieli zacząć przypominać wojsko.

I nawet, początkowo, przypominali. Przynajmniej do chwili, gdy wzeszło słońce. A potem, tłukąc się w pancernym, ciasnym i nie wentylowanym wnętrzu gaśnicówki, zaczęli przypominać bywalców sauny. Tyle że osoby, które chciały się wyparzyć, nie musiały dodatkowo okutać się w kilka warstw mundurów, ochraniaczy i stroju maskującego. Ale nawet te trzy warstwy zdążyli przepocić stosunkowo szybko. Wypijali hektolitry wody i zaczęło się dziać coś dziwnego - od picia zaczynał coraz bardziej boleć brzuch i głowa, uczucie zaspokojenia pragnienia nie następowało jednak. Jedni po dwóch dniach zaczęli puchnąć, inni przeciwnie - jakby się zasuszali. Z ulgą przyjmowali każdy postój. Nawet ten ostatni, kiedy Marder zarył tak, że rzuciło nimi na blaszaną ścianę. Ci, którzy mogli, gramolili się na zewnątrz. Na szczęście trwał właśnie dyżur Toy i Caddiaca. Wypełzli jakoś, dysząc - wilgotny upał na zewnątrz wydawał się rajem w porównaniu z piekłem wnętrza pojazdu.

- O kurde... - Caddiac przyjął pozycję strzelecką, obejmując wartość po prawej stronie pojazdu. - Toy, wyglądasz, jakbyś pięć kilo schudła.

- No to ważę teraz dokładnie tyle, co mój ekwipunek.

- Co? Ciepło wam? - Maybe Not przechodziła obok, poprawiając chustę na szyi. Miała szczęście, bo przydzielono ją do Trackwolfa.

- Czemu stoimy?

- Winni Winni odkrył ślady jakichś ciężarówek. Dużych. Naprawdę dużych.

- Ilu? - spytał Caddiac.

- Ze dwudziestu co najmniej. Sprzed paru dni.

- Ciężarówki tutaj?

Maybe Not wzruszyła ramionami.

- Myślisz, że tylko my tu myszkujemy?

Dante wychylił się ze swojego Humvee. Pokazał coś załodze najbliższego Trackwolfa, który ruszył i wbił się w krzaki przy rzece, ugrzązł zresztą momentalnie. Dante ruszył Staikera na pomoc tamtemu. Staiker nie przejechał nawet dwóch metrów, kiedy coś eksplodowało pod nim, otwierając wszystkie włazy. Z jednego z nich wyskoczył Winni Winni w płonącym kombinezonie i biegł w ich stronę, wrzeszcząc coś niezrozumiałego. Wszyscy byli tak zszokowani, że nawet nie zajęli pozycji obronnych. Tylko Maybe Not powiedziała spokojnie do płonącego kolegi:

- Nie w tę stronę. - Wskazała mu rzekę tuż obok. - Tam! W tym momencie we wnętrzu Staikera coś wybuchło. Podmuch zgasił płomień na kombinezonie Winniego i rzucił go na ziemię. To był jedyny facet, który mógł przeżyć z całej załogi. Reszta, rekruci, zostali w środku.

Tally-Ho wysunęła głowę z wnętrza pojazdu.

- Czy ktoś strzela? - spytała.

- Nie - odpowiedziała odruchowo Toy. - To jakiś wypadek.

- Gówno wypadek! - zawyla Maybe Not. - Chodu!!! Zaczęła biec w kierunku zarośli nad rzeką. Caddiac oparł swój erkaem o gaśnicę Mardera i spojrzał na Toy.

- No, co tak na mnie patrzysz?! - eksplodowała. - Nie wiem, kurwa, co się dzieje!

- Co się dzieje? - Z wnętrza wysunęła się głowa Mobutu. - Coś wybuchło?

- Odpieprzcie się! Winni Winni się fajczył.

- Nie mogli sfajczyć Hot Doga? Musieli akurat Winniego?

Maybe Not dobiegła właśnie do zarośli. Ciach ciągnął Australijczyka w osmalonym kombinezonie za nogi. Na drugim brzegu rzeki można było dostrzec jakieś błyski. Ich Marder dostał okrutnie w płytę czołową. Targnęło nim w tył o dobre pół metra, tak że Toy i Caddiacowi wytrąciło broń z rąk. Mobutu, Tally-Ho, Lady i jakiś chłopak wyskoczyli na zewnątrz. Reszta zaczęła się palić. Toy spanikowana chwyciła gaśnicę i... Chryste! Po prostu wrzuciła ją do środka. Zamiast wyrwać zawleczkę i wpuścić tam strugę piany, ona... po prostu wrzuciła do środka całą zabezpieczoną gaśnicę. Jezu... Caddiac podał jej karabin, chwycił swój erkaem i zaczął walić, niezbyt celując. Żar z płonącego Mardera odrzucił Toy do tyłu, na wolny teren. Momentalnie dostała pociskiem karabinowym w brzuch. Pocisk spłaszczył się na jej kamizelce i oddał całą swoją energię kinetyczną, co sprawiło, że dziewczyną targnęło w tył, runęła na plecy, znowu wypuszczając z rąk swój karabin. Kątem oka

zauważyła, że Yellow uderzeniem pięści włączył radar w swoim Humvee i szczupakiem wyskoczył przez okno. Sekundę później jego Hummer zamienił się w kulę ognia, ale radar zdążył przekazać dane do komputerów gaśnicówek, bo w piekielnym huku wystartowało z nich jakieś sześćdziesiąt rakiet, celując w miejsca, skąd strzelano i to idealnie, mierząc po torach nadlatujących pocisków. Na drugim brzegu Zagotowało się. Yellow w płonącym ghillie suit czołgał się do drzew, ogień przeciwnika osłabł nagle, by po chwili wzmóc się znowu i po raz kolejny osłabnąć, kiedy jedyny ocalały Staiker zaczął walić ze wszystkich łuf.

Toy, totalnie ogłuszona, chwyciła karabin i swoje klamoty. Podniosła się jakoś. Usiłowała biec w kierunku drzew, kaszląc i dusząc się coraz bardziej. Zderzyła się z kimś. Chyba z jakimś roslim facetem, bo znowu rzuciło ją na ziemię. I całe szczęście, bo tamtego właśnie prawie przepołowiła seria dużego kalibru. Zaczęła płakać. Coś eksplodowało za jej głową. Nie słyszała już niczego, tylko uporczywe dzwonienie w uszach. Mardery płonęły. Dwa ocalałe, cofając się, zderzyły się ze sobą. Staiker walił z czegoś, co powodowało dosłownie odczuwane przez kości drganie powietrza. Trackwolfsy wiały na pełnej szybkości.

Nad miejscem ich postoju uniósł się ognisty grzyb wybuchu, którego nie powstydziliby się nawet mała bomba atomowa. To ich ciężarówka z paliwem... Toy zaczęła czołgać się w kierunku zarośli. Dostała jeszcze dwa razy: w nogę, konkretnie w ochraniacz na udzie, i w hełm. Zwymiotowała gwałtownie. Zerwała maskę i w idiotycznym odruchu zaczęła wycierać chustką usta. Zobaczyła jakichś ludzi biegnących z boku. Odrzuciła plecak i klamoty, chwyciła swój karabin, zerwała się i przerażona zaczęła biec. Dopadła zbawczych zarośli nad rzeką tuż przy Track-wolfie, który tam uwiązał na samym początku. Teraz właśnie się dopalał. Toy zarepetowała i odpaliła serię w kogoś, kto zaatakował z boku. Wielką postać odrzuciło o dobry metr. Toy struchlała nagle. Mobutu, wyjąc przez radio, ściągnęła maskę i hełm. Beczała na cały głos.

- Toy, kurwa!!! - Murzynka w irracjonalnym odruchu ściągała z siebie ghillie suit. - Odpaliłaś mi w brzuch sto pocisków!

- Jezu... Jezus. Żyjesz?

- Boże! Boże!!! - Mobutu, becząc na cały głos, odpinała rzepy kamizelki kuloodpornej. - Dostałam stówę na korpus! Jezu... Walnęło w jakąś szczelinę? Widzisz krew, kretynko?

- Mobutu! Przepraszam! Przepraszam!!!

- Jezu, widzisz krew, oślico? - Mobutu, łykając łzy, rozpinając kurtkę munduru.

- Nie widzę, bo jesteś czarna! - Toy trzęsącymi się rękami pomagała jej zdejmować mundur. - Pokaż bliżej. Maybe Not wychyliła się spod jakiegoś krzaka.

- To były igłowe z chwytu - powiedziała. - Inaczej już byś nie żyła, duma dupo.

Hot Dog dopadł do nich, ciągnąc razem z Ciashem niezbyt przytomnego Winni Winni.

- No... główki nisko, baby. Teraz się zacznie. Mobutu, ciągle płacząc, obmacywała wszystkie części swojego ciała. Przypalony Australijczyk jęczał, Toy beczała razem ze swoją koleżanką. Tally-Ho rozkraczona na brzegu waliła seriami ze swojego HK, wrzeszcząc:

- Ale fajnie! Ale fajnie!!!

Lady uratowała jej życie, waląc z byka w brzuch i przewracając w krzaki. Potem dostały granatem fosforowym. Na szczęście nie wybuchł. Obie strząsały z siebie płonący fosfor, krzycząc bardziej ze strachu niż z bólu. Hot Dog i Yellow również wrzeszczeli ze strachu, ilekroć musieli się odkleić od ziemi, żeby odpalić z granatnika.

W tym momencie zadzwonił telefon Toy. Odruchowo wyjęła go i przyłożyła do ucha.

- Tak, słucham?

Jakiś granat wybuchł tuż obok, obsypując ich zwałami ziemi. Toy usiłowała wypłuć piasek.

- To ty, Shainee? Co? Kuchenka się pali?

Ich Staiker wycofał się pomiędzy drzewa. Potem odpalił pociski rozpryskowe. Wydawało się, że na drugim brzegu pojawiła się dziwna mgła.

- Nie, nie płaczę, Shainee. Jezu, co z dzieckiem? Może się zacządzić!

Hot Dog nareszcie w coś trafił z granatnika. Widać było po eksplozji na drugim brzegu. Sam dostał w ochraniacz na ramieniu. Zwymiotował, kiedy Yellow wsunął mu pod kevlar woreczek z absorbentem.

- Shainee, wezwij straż pożarną i natychmiast wynieś dziecko z biura!

Rozległ się dziwny szum. Coś przelatywało górą.

- Do wody!!! - ryknął Clash. - Teraz napalm!

- Jezu, Shainee, ty mi naprawdę opowiadasz tylko film w telewizji?

- Do wody! - krzyknął Caddillac. - Tu zaraz nie będzie czym oddychać!

Chwycił Winniego za kołnierz i pociągnął do rzeki.

- Kotku, wiem, że film o płonącej kuchence jest fajny... Nakarmiłaś dziecko?

Runęła do wody razem z ostatnią grupą rekrutów. Za ich plecami pojawiła się ściana ognia. Ich Staiker i ocalałe Humvee odpowiedziały rakietami z napalmem.

Toy o mało nie utonęła na samym początku, bo miała otwarte usta. Zdążyła jeszcze zauważyć, że ogień na przeciwnym brzegu sprawił, że niewidzialny do tej pory przeciwnik również wbiegał do rzeki. Włączyła noktowizor na podczerwone podbicie. Widziała ich. Widziała ich pod wodą, dziwne, pomarańczowo-zielone sylwetki. Przełączyła ogień na serie, zasilanie z 40/ 600 z magazynka w kolbie. Przerażona nacisnęła spust.

Bum... bum... bum... Jezu. Strzelanie pod wodą. Wszystko jak w zwolnionym tempie. Bum - przerwa - bum - przerwa - bum - przerwa... Widziała poruszające się w tył i w przód suwadło zamka swojego karabinu, widziała dosłownie tory pocisków, widziała bąbelki gazu wydostające się z lufy. Widziała też pomarańczowe w noktowizorze, fontanny czegoś, co zaczęło wypływać z ludzi naprzeciwko. W tych

sprytnych urządzeniach, które mieli na głowach widziała nawet pomarańczową mgłę. Dowód na to, kto sikał ze strachu.

Bum... bum... bum...

Buch!

Toy dostała w lewe ramię. Powoli, powolutku, obróciło ją o sto osiemdziesiąt stopni. Straciła grunt pod nogami. Wypluło jej powietrze z płuc.

Buch!

Dostała w plecy, gdzieś nisko, aż jej uniosło nogi. Zaczęła tonąć. Ból promieniował gdzieś pod kevlarowymi ochraniaczami. Powietrza! Cudem odbiła się od dna. Wyprysnęła na powierzchnię, haust powietrza i... Jezu! Nie mogła się zanurzyć. Hełm zadziałał jak spadochron. Nie mogła go wciągnąć pod wodę. Wyjść ze strachu, szarpnęła łódkę spod brody i zanurzyła się z gołą głową.

Buch!

Dostała w brzuch. Widziała, dosłownie widziała, ten pocisk. Uderzyła twarzą w muliste dno. Podniosła się w ślimaczym tempie.'

Bum - przerwa - bum - przerwa - bum - przerwa - suwadło jej karabinu ociężale przesuwalo się w tył i w przód. Jezus!!! Zaraz jakiś panikarz rzuci granat i wszyscy zginieemy!

Wyprysnęła na powierzchnię razem z jakimś chłopakiem. Oboje otworzyli usta, żeby zaczerpnąć tchu. On w te usta dostał. Zamarł z jakimś takim dziwnym wyrazem twarzy. Zaczął się powoli zanurzać. Toy zrobiła to szybciej.

Bum... bum... bum... Suwadło powolutku przemierzało swą drogę. Pociski leciały... tfu! pływały, znacząc swój ślad pęcherzykami gazu. Z tamtej strony przybywało tak wiele. Caddie walił z erkaemu, ale pod wodą co chwilę zaciniała mu się taśma.

Bum... bum... bum... Toy skończyła się amunicja w kolbie. Jezu! Zaraz ktoś spanikuje i odpali granat. Ale będzie trupów. Przełączyła na chwyt, ale igłowe pociski utworzyły jedynie mgielkę przed lufą. Tamci atakowali bagnetami, już z bliska. I tu się przeliczyli. Mobutu, wielka jak wieża Eiffla, a poza tym nieskrepowana już pancerną zbroją, zachlastała dwóch nożem, zanim zdolali się do niej zbliżyć na odległość swych krótkich rąk. Hot Dog odpalił pod wodą miotacz ognia. Niesamowite światło wyłączyło noktowizory, pokrywając wizjery szarością. Płonące postacie były widoczne jako czarne cienie z drgającą pomarańczową aurą. Znowu musiała zaczerpnąć Oddechu. Sikając ze strachu w spodnie, odbiła się od dna. Przez ułamek sekundy na powierzchni, przez zalane brudną wodą oczy, zobaczyła dwóch przeciwników na brzegu, którzy włożyli lufy karabinów do wody, by wspomóc kolegów. Obydwa karabiny eksplodowały. Tak samo jak karabin jakiegoś rekruta obok, który wystawił lufę z wody. Zanurkowała znowu, zanurzając się w świat onirycznych dźwięków, bulgoczących wrzasków, spowolnionych wystrzałów...

- Czula, że znosi ją prąd. Była, z całym sprzętem, za ciężka, żeby trzymać się powierzchni. I nie umiała

pływać. Gorączkowo szukała nogami czegoś, od czego mogłaby się odbić i zaczerpnąć powietrza. Znalazła. Odbiła się od mułu, ale nie dotarła do powierzchni. Spróbowała jeszcze raz. Nic z tego. Niosło ją na głęboką wodę. Boże, zaraz się udusi. Była za słaba, żeby płynąć z tym wszystkim, co miała na sobie. Czując, jak paralizujący strach zaczyna ją dusić równie mocno jak brak tlenu, spróbowała jeszcze raz. Nic z tego. Odrzuciła karabin i zaczęła szamotać się z ghillie suit. Nóż. Gdzie jest nóż? Spokojnie. Przecież nie rozetnie tej całej siatki. Usiłując powstrzymać parkosyzm obolałych płuc, ściągnęła z siebie maskujący mundur. Coś ciągnęło ją w dół, coraz szybszy nurt obracał ją powoli, paralizująca panika ogarniała umysł. Zrzuciła kamizelkę kuloodporną, pas, ochraniacze... zaraz zwymiotuje i udusi się! Zdjęła kurtkę, buty i spodnie. Dlaczego to idzie tak powoli? Właściwie pozbyła się wszystkiego i waląc nogami i rękami jakoś wydostała się na powierzchnię.

Pierwszy łyk powietrza dosłownie ją oszołomił. Nałykała się wody, pluła, prychała, oddychała. Szkoda, że nie umiała pływać. Wychowanka domu dziecka z kiepskiej dzielnicy nigdy nie była nawet na basenie. Czula, że tonie i że coś jej przeszkadza. Nurt niósł ją szybko w dół rzeki. Tonęła jeszcze szybciej. Odbić się od dna, wyskoczyć na powierzchnię i wałąc rękami wokół, zdobyć choć jeden oddech. Ni cholery nie wychodziło. Była za lekka, żeby odbić się od dna, za ciężka, żeby ją wyrzuciło na powierzchnię jak korek i kompletnie nie umiała pływać. Trudno, Toy, musisz pożegnać się z tym głupim światem. Obojętniała powoli. Jej ruchy były coraz mniej gwałtowne. W brzuchu bolało strasznie, zaraz się zrzyga, wciągnie to do płuc i umrze. Nie mogła się już kontrolować. Trudno.

Walnęła plecami w jakiś kamień. Niemrawo usiłowała go chwycić, ale nic z tego nie wyszło. Uderzyła w coś kolanami. Kaszlnęła pod wodą, wciągnęła plyn do płuc. Koniec. W paroksyzmie paniki wyprostowała gwałtownie nogi i... I wstała. Woda sięgała jej zaledwie do połowy ud. Rozlewisko. No i co z tego? Dalej nie mogła zaczerpnąć oddechu. Coś miała w płucach, usiłowała odkaslnąć. Ni cholery. Nachyliła się, chcąc wykrztusić to wszystko, ale się nie udało. Czerwone cienie pod powiekami nie pozwalały na skupienie. Odruchowo, zdesperowana, walnęła czołem w najbliższy kamień. Ból i krew spływająca po policzkach otrzeźwiły ją na ułamek sekundy. Zaczęła odkrztuszać. Chrypiała, jęczała, mdlała, dławila się, ale... zaczęła odkrztuszać drobne porcje wody z płuc. Coś rzeziło w niej gdzieś głęboko. Była tak słaba, że kiedy tylko odzyskała możliwość oddychania, na razie samymi szczytami płuc, objęła najbliższy kamień i zemdlą albo zasnęła. To nie był dobry sen, bo budziła się co chwilę, krztusząc się i kaszląc, ze zbolałym umysłem, który natrętnie wynajdował wszystkie pierdoły z jej przeszłości, o których chciała zapomnieć, ale... Ale przeżyła. Przeżyła.

Niezbyt przytomna, po obudzeniu w chłodnej wodzie, powlokła się na brzeg. Zrozumiała, co jej tak bardzo przeszkadzało w wodzie. Przez cały czas trzymała w lewej dłoni swój telefon. Zrezygnowana zwinęła się w kłębek pod najbliższym krzakiem. Nie mogła zasnąć, choć cały jej zdezelowany organizm domagał się odpoczynku. Sama pozbawiła się w rzece całego ekwipunku, w tym najbardziej teraz potrzebnego GPS-u. Była zagubiona gdzieś w samym sercu Afryki, zdezorientowana i przerażona. Trzeba tu jakoś przeżyć. A w tym musiały jej pomóc trzy rzeczy, jakie przy sobie miała: bielizna, przyklejone do skroni okulary i telefon.

Telefon jednak nie działał. Przyciśnięcie czegokolwiek powodowało jedynie drażniący dźwięk i dość głośny komunikat, że aparat został uszkodzony. Zawsze ją to zastanawiało, dlaczego część elektroniki zwykle okazywała się wodoodporna, a część nie.

Wstała, chwiejąc się na nogach. Wokół było cicho. Żadnych odgłosów bitwy w pobliżu, żadnych zwierząt, nie. I niby co miała zrobić bez zapasów, bez jakichkolwiek środków, bez paszportu? Nawet nie miała pojęcia, ile przespała czy przeleżała nieprzytomna z głową opartą na kamieniu. Właśnie zapadał wieczór. Nie miała pojęcia, czy to dzień, w którym toczyła się bitwa w rzece czy już następny.

Ruszyła wzdłuż drogi, którą posuwali się wcześniej. Teoretycznie najlepiej byłoby wrócić na pole bitwy, może tam udałoby się znaleźć coś z wyposażenia. Ale jeśli wygrał ich nieznany przeciwnie i czekał tam jeszcze, byłaby to pewna recepta na popełnienie samobójstwa. Szła więc w drugą stronę, kalecząc sobie bose stopy o rozpadające się drobinki asfaltu. Myślała cały czas o tych litrach wody, które miała w ustach, w płucach i w brzuchu. To była woda z rzeki. A skoro w Maroku kazali zalepiać sobie usta plastrem, nawet podczas prysznic, to teraz... Teraz już miała w sobie te wszystkie świństwa, cholera wie, bakterie, wirusy, drobnoustroje czy pasożyty. Jezu...

Wybawienie czekało na nią tuż za zakrętem. Najpierw usłyszała głośny krzyk, a potem serię z broni automatycznej. Ukryła się w krzakach. Znowu przed jej oczami pojawiły się te wszystkie uporczywe pierdoły z przeszłości. Nie oddała długu bliskiej koleżance - jako dziecko pożyczyła od niej jedenaście kapsli od kuli, żeby zagrać w autostradę i wszystkie przegrała. Kapsli nie oddała. Boże, błagam, nie karz mnie za to!!! Wrzasnęła bez racji na swoją najbliższą koleżankę. Popelniła tysiąc świństw, jak choćby stłuczenie tego głupiego kubeczka Tally-Ho, który sobie tamta przywiozła z Księżyca na pamiątkę. Jezu, jak jej teraz głupio. Jak jej głupio, teraz, jak już strzelają nad głową. Zrobiła milion głupstw w życiu. Nic mądrego. Niczego po sobie nie pozostawi. Pójdzie do grobu razem z milionami świństw, które uczynili jej inni. Na nikim się już nie odegra, nikomu nie przebaczy.

Ostrożnie wychyliła głowę z krzaków na zakręcie. Zobaczyła dwadzieścia ogromnych ciężarówek. To pewnie te, których ślady odkrył Winni Winni. Stały na

prawym pasie. Trzech Murzynów, wymachując kałasznikowami, pacyfikowało obsługę, wyraźnie widziała starszego mężczyznę, trzy dziewczyny i dwóch chłopców leżących w strachu na drodze. A gdzie reszta kierowców? Dziwne... Trzech napastników i tak łatwo sterroryzowali cały konwój? Podpełzła bliżej. Nawet nie napastników. To były prawie dzieci. Trzech chudych wyrostków: dwóch zagarniało coś z paki najbliższej ciężarówki, jakiś szczeniak usiłował gwałcić jedną z białych dziewczyn. Niezbyt mu to szło.

Toy podpełzła jeszcze bliżej. Dzieci z kałachami, normalne dzieci. Rozglądała się uważnie wokół, ale nie widziała nikogo więcej. Jak oni mogli sterroryzować konwój? Gdzie ochrona? Teraz zauważyła, co rabowali tamci dwaj. Znormalizowane porcje żywieniowe. Demobil jakiejś armii. Tylko potrząsnęła głową. Podeszła bliżej tego, który usiłował gwałcić. Podniosła duży kamień. Przycisnęła wywoływacz w swoim telefonie i odrzuciła go na drugą stronę drogi. Kiedy rozległ się komunikat, że aparat jest niesprawny, a facet odwrócił się plecami, podniosła oburącz kamień, wybiegła na drogę i walnęła go w głowę. Musiała podskoczyć, bo była za niska. Niemniej, dzieciak nie nadawał się już do dalszej akcji.

Chwyciła jego kałacha, ale jeden z rabusiów był szybszy. Stał na rozkraczonych nogach i przycisnął spust. Toy runęła na ziemię. Jezu... tamten strzelając, zaniknął oczy! Naprawdę był tak głupi, żeby sądzić, że to huk zabija? Lufę poderwało mu na tyle wysoko, że walił po obłokach, obrywając jednocześnie w twarz gorącymi łuskami. Nie dał sobie żadnej szansy. Toy obramowała cel na szczerbince, zgrała prawidłowo przyrządy celownicze, wstrzymała oddech i przycisnęła spust jednostajnym ruchem tak, żeby nie wiedzieć, kiedy padnie strzał. Chłopca wystrzeliło na asfalt. Jezuuuuu!!!

Odrzuciła karabin i wstała niezbyt przytomna. Drugi rabuś uciekał właśnie obciążony jedzeniem. Ja cię pieprzę!!! Podbiegła do leżącego, chcąc mu zrobić opatrunek ale... po pierwsze, nie miała pakietu medycznego, a po drugie, to był czysty strzał na mostek. Chłopak miał pecha, że trafił na krótkowidza. Gdyby widziała normalnie, to może usiłowałaby trafić go w udo, ale jako krótkowidz waliła na cel obramowany - dokładnie w mostek. I trafiła. Tak ją nauczono. Zaciągnęła mu jego własną koszulę na twarz, nie chcąc widzieć wyrazu rozluźnienia na martwej twarzy. Kręciło jej się w głowie.

- Proszę pani...

Spojrzała w bok. To ten starszy facet, którego bandyci rozciągnęli na asfalcie podczas rabowania ciężarówek.

- Tak?

Gość musiał mieć odłot. Żegnał się już z życiem, usiłowano zgwałcić mu córkę (widziała wyraźne podobieństwo u dziewczyny, która właśnie obciągała na sobie sukienkę), a tu nagle. Ha, ha, ha... pojawia się inna dziewczyna w samej bieliźnie, okularach na nosie i

po sekundzie agresorzy są spacyfikowani. Cud prawdziwy, cud.

- Pani... pani... - patrzył na prawie nagą, małą dziewczynę ciągle z cieniem niedowierzania w oczach.

- Pani uratowała nam życie.

- Bez przesady. - Zerknęła na leżącego chłopaka i poczuła mdłości. - Ma pan papierosa? I coś do ubrania?

- Nikt z nas nie pali - wyszeptał. Ciągle obecność kogoś o twarzy aniołka, kto poradził sobie z trzeba bandziorami, w samym sercu Afryki, sprawiała, że nie mógł zebrać myśli. Skinął na jedną z dziewczyn. - Jesteśmy mormonami. Jedziemy z żywnością. - Wskazał na dwadzieścia ogromnych ciężarówek.

- Chciałem mieć zasługę u Boga, a jednocześnie, no cóż, zarobić. Słyszałem, że ONZ będzie płacić za żywność jakieś niesamowite stawki.

- Ale chyba jeszcze nie teraz.

- Właśnie dlatego tu jesteśmy. Ja, moje trzy córki i synowie. Wieziemy żywność dla potrzebujących.

- Żeby sprzedać ją ONZ?

- Nasz Bóg pozwala się bogacić. Ale najęci kierowcy uciekli. A potem tych trzech. Już zegnaliśmy się z życiem.

- Jeeeeezu... trzy szczeniaki z zardzewiałymi kałachami. - Usiłowała liściem wytrzeć twarz. - Jak was przepuścili przez strefę?

- Niezbądane są wyroki boskie. - Stary mormon złożył ręce jak do modlitwy. - Nasz prorok, John Smith...

- Wiem, wiem. Pozwala się bogacić na dobroczynności. Ale aż takie ryzyko? Nie macie jakiejś broni?

- Mam sztucer.

Westchnęła tylko. Przyjęła właśnie wzorzystą, śliczną i zwiewną sukienkę od jednej z jego córek. Nawet nieźle leżała. Kwiatowe motywy wyszywane srebrną nitką lśniły w zachodzącym słońcu. Brakowało tylko butów na obcasach. Ale fakt... to mormoni. Obcasy zakazane. Dostała za to ładne pantofelki, niestety o trzy numery za duże jak na jej stopy.

- Pani uratowała nam życie. Chciałbym...

- Wieciecie żywność? - przerwała mu, usiłując przejrzeć się w lusterku najbliższej ciężarówki. Sukienka w kwiaty naprawdę była niezła. - Ile?

- Sześćset tysięcy znormalizowanych porcji.

- OK. Chcesz ochroniarza? To możesz mnie nająć. Pojawiła się przynajmniej jakaś szansa na opuszczenie Afryki i to bynajmniej nie w aluminiowym pojemniku. Mormon

przełknął ślinę.

- Aaaaa... Dwa procent od wartości ładunku byłoby, sądzę, godnym wynagrodzeniem.

- Dziesięć procent.

- Nasz prorok, John Smith...

- Dobra, już nie wstawiaj gadki. Siedem procent.

- Dwa i pół?

- Pięć.

- Pięć płatne, jeśli żywi się stąd wydostaniem! Uśmiechnęła się rozbrojona.

- To faktycznie jedyna możliwość otrzymania pieniędzy, prawda?

Skinął głową.

- A skąd weźmiemy kierowców? Wzruszyła ramionami.

- Ty, trzy córki, dwóch synów i ja to siedem osób. Trzeba spać po trzy ciężarówki na sztywnych holach i ruszamy.

Początkowo nie mógł uwierzyć. Potem uwierzył, ale nie mieściło mu się to w głowie. Następnie zaczął negocjować ze swoimi dziećmi. Na szczęście chłopcy wiedzieli, co to są sztywne hole i gdzie producent umieścił je w terenowych ciężarówkach. Pospinali jakoś trojki. Nad ranem udało się ruszyć. Nie był to pokaz eleganckiej jazdy, przez pierwszy kwadrans rozwalili ze dwadzieścia błotników, pogięli zderzaki, rozwalili większość , świateł... Ale jechali, choć w ślimaczym tempie.

Notabene okazało się, że najęcie Toy na ochroniarza nie było wcale takim głupim pomysłem. Po raz pierwszy zaatakowano ich w południe. Ktoś zaczął strzelać z pobliskiego wzgórza. Toy opuściła szybę i wygarnęła parę serii ze zdobycznego kałacha, na oślep, zupełnie nie celując. Wystarczyło, żeby tamten uciekł zygzakiem. Oni chyba naprawdę wierzyli, że to huk zabija. Potem zaatakowano ich włóczyniami i strzałami z łuku. Toy skierowała swoją ciężarówkę na grupę napastników, nawet nie troszcząc się o to, żeby podkreślić opuszczoną szybę. Kiedy dodała gazu i potężny diesel zarzycał całą mocą, napastnicy zaczęli spieszać.

Wieczorem stary mormon modlił się, głośno dziękując Bogu za takiego ochroniarza, toż jego wynajęci kierowcy uciekli na sam widok trzech chłopców z automatami, a ona, ona... Ona śmiała się w duchu. Jak dotąd nie napotkali żadnego prawdziwego niebezpieczeństwa. Wygłodniali, biedni ludzie mogli co najwyżej pokancerować im blachę kamieniami, albo sami zginąć w eksplozji pamiętającego jeszcze czasy Związku Radzieckiego pordzewiałego kałacha.

Prawdziwe zagrożenie pojawiło się nocą. Tym razem napastnicy byli profesjonalistami. Kilku podskoczyło z tyłu, trzech spacyfikowało mormońską rodzinę przy ognisku, a pięciu doskoczyło do ciężarówek, sprawdzając, czy są tam jakieś zorganizowane ośrodki obrony. Mormon zęgnął się z życiem. Ci tutaj byli świetnie uzbrojeni, zorganizowani i dobrze dowodzeni. Toy wyskoczyła z szoferki, gdzie usiłowała zasnąć. Podeszła wprost do faceta, który trzymał na muszce starego. Widziała oczy mormona. Kilkunastu groźnych bandziorów i mała dziewczyna o twarzy aniołka we wzorzystej sukience. Tylko przełknęła ślinę, mamrocząc modlitwy.

Toy chwyciła za lufę karabinu, który celował mormonowi w czoło. Odchyliła go i warknęła:

- Hot Dog, psiakrew! Rabujesz na drogach? Najemnik wzruszył ramionami zaskoczony.

- Dante kazał. Przepraszam. Toy rozdarła się jeszcze bardziej:

- Mobutu, do jasnej cholery, ani mi się waż grabić!!!
Te ciężarówki są pod moją ochroną!

- Sorry, Toy. - Murzynka zeskoczyła z paki najbliższego pojazdu. - Nie wiedziałam.

Oczy mormonów dosłownie wychodziły z orbit. Nie mogli uwierzyć w to, co widzą. Nie mogli uwierzyć we własne szczęście. Nie mogli uwierzyć, że malutka dziewczynka w sukience w kwiatki, którą najeli, radzi sobie właśnie z oddziałem żołnierzy.

- Psiakrew! Caddie, nie wylewaj tyle ropy! Ja mam pięć procent od tego, co im się uda sprzedać.

- Toy, szlag, ty zawsze wiesz, gdzie konfitury stoją.
- Caddilac odstawił kanister. - Ale potrzebuję paliwa do Staikera.

- Możesz se kupić. A nie, żebyś mi wydoił cysternę do zera za bezdumo.

Mormońską rodziną, uwolnioną spod luf, zaczęła klękać i modlić się, głośno dziękując Bogu, że zesłał im takiego ochroniarza. Jeden z napastników rzucił się Toy na szyję.

- Mała, malutka. Ale się cieszę, że żyjesz!

- Tally-Ho, mało. Martwiłam się o ciebie.

- A ja o ciebie, dziecko.

- Co z naszymi?

- Zapieprzyli nam ponad połowę oddziału. Ale sami też dostali lanie.

- Kto?

- Chińczycy. A z naszych znajomych Winni Winni jest lekko przypalony, Yellow dostał w nogę. Lady jest ciężko ranna.

- Mogę ją zobaczyć?

- Zobaczyć tak. Ale nie pogadać. Napakowana. - Zrobiła gest, jakby sobie coś wstrzykiwała w żyłę. - Po dziurki w nosie.

Dante nadszedł razem z jedynym cywilem w ich oddziale, tym samym, który towarzyszył im od granicy Maroka,

- W co ty jesteś ubrana, idiotko?! - ryknął do Toy na powitanie. - Gdzie twój mundur? Karabin? I sprzęt?

- Załatwiłam sześćset tysięcy racji żywnościowych. - Usiłowała się tłumaczyć. - Dwadzieścia ciężarówek, plus cysterna. Ale żarcie trzeba se kupić...

- Po ile? - spojrzał na nią zdębiały.

- Po dolarze od znormalizowanej porcji. - Mormon przerwał modły i wstał z klęczek.

- Ile? A ty kupiłeś ten przeterminowany szajs na śmietniku po dwa centy od sztuki!

Mormona zatkało.

- Proszę pana... nic nie jest przeterminowane. - Podeszedł do najbliższej ciężarówki, otworzył klapę i wyjął cieniutką tackę w folii. - Kupiłem po dziesięć centów w wojskowym magazynie z ważnością jeszcze na trzy lata. Jestem człowiekiem wierzącym i Bóg by mnie pokarał, gdybym robił takie świństwa, o które mnie pan oskarża. Zarobić milion na jedzeniu i ciężarówkach, choćby i w głodnej Afryce, proszę bardzo. Ale takie coś, co pan sugeruje? Nigdy.

Podał mu tackę. Dante sprawdził datę na denku. Potem zdarł folię i uderzeniem o kolano rozwalił

chemiczny podgrzewacz. Kiedy zawartość naczynia zaczęła parować, podniósł bagnetem do ust pierwszą porcję.

- Co za świr pojebany. - Zerknął na mormona. - No, ale... jest człowiekiem honoru - przyznał, przełykając gorącą zawartość. - Zapłaćcie mu po dolcu od wszystkiego, co żeźrecie.

- Dante - przerwała mu Toy. - Nałykałam się wody z rzeki. Czy teraz umrę?

Nawet nie spojrzał.

- Niech ją ktoś naszprycuje antybiotykami - mruknął z pełnymi ustami.

- Ja! Ja! Ja to zrobię!!! - Mężczyźni z oddziału gremialnie zgłaszali się na ochotnika, ale Hot Dog był najszybszy. Pojawił się po chwili z wyrazem triumfu na twarzy i strzykawką wielkości łopaty w rękę.

- No, dziecko... - Uśmiechnął się lubieżnie. - Teraz się ładnie wypnij. Kiecka w górę, majtki w dół - zakomenderował.

- Nie... tylko nie to! Mobutu, ratuj!

- Tym razem poprę tego jelopa. - Murzynka chwyciła ją za rękę i przytrzymała. Maybe Not, Bokassa i Tally-Ho wykonały resztę czynności.

- Auuuuuuuu!!! - Toy unieruchomiona i w pozycji, w której wołałyby się nie znaleźć przy tych wszystkich ludziach wokół, rozglądała się, szukając pomocy. - Mamo! Jezu, jak boli!!!

- Już, już, już, dziecko. - Hot Dog powoli wprowadzał potwornie piekący płyn do jej organizmu. - Była narkomanka i boi się zastrzyków?

- Walila kokę! A to się wciera!!! Auuuuuuuuuuuuu...

- No, chyba mi tu nie zemdlejesz. - Hot Dog zadowolony jak cholera wyciągnął nareszcie igłę i poklepał dziewczynę po gołym pośladku. - Cholerny tchórz!

Kiedy uwolniono jej ręce, Toy wściekła jak osa zasłoniła się nareszcie. Rozmasowywała sobie bolącą, piekącą i jakby zdrętwiałą pupę. Oddychała głęboko, usiłując nie zemdleć. Naprawdę bała się zastrzyków. No dobra, przyznała w duchu sama przed sobą, rzeczywiście była okropnym tchórzem jeśli chodzi o sprawy medyczne. Kiedyś, w domu dziecka, jak ich zaprowadzono na głupie prześwietlenie, to ze strachu pogryzła sobie wargi do krwi. Wstyd. No, ale trudno. Nie mogła nic na to poradzić. Widok doktora powodował u niej panikę.

Nagle zamarła. Przypomniała sobie drobny szczegół. Bardzo dziwny. Kiedy spanikowana rozglądała się w poszukiwaniu pomocy, zauważyła, że wszyscy mężczyźni bez żenady gapili się na jej tyłek. Oprócz jednego. Tego cywila, który towarzyszył Dantemu. Niby nic - może był gejem, a może był po prostu dobrze wychowany, w przeciwieństwie do najemników, którym dość było gołą dupę pokazać, żeby wywołać śmiechy, brawa i niewybredne komentarze. Ale tam było jeszcze coś. Facet wyjął z kieszeni lusterko w oprawce. Otworzył jedną ręką, a palcem drugiej dotknął czegoś na wardze. Wszystko jedno co to było, strząsał jakiś paproch, mały owad... Ale pojawiają się dwa

pytania: po pierwsze, jaki facet nosiłby przy sobie zamykane lustro w oprawce, po drugie, czy na całym wielkim świecie istnieje jakikolwiek mężczyzna, który potrafi takie lustro obsłużyć jedną ręką?

Zaaferowana podeszła do Hot Doga.

- Stary. Znasz kogoś z oddziału kto był kieszonkowcem?

Roześmiał się.

- Komu rąbnąć i co? - spytał, spluwając na ziemię.

- Chcę torbę tego cywila - wskazała dżip Dantego.

- Nie ma sprawy. Ty ich tylko zagadaj. Pokręć tyłeczkiem, powdziej się...

Rozszerzyła usta w uśmiechu.

- Mam wrażenie, że akurat w tym przypadku kręcenie pupą nic nie da. Ona jest normalną kobietą i baby jej nie interesują.

Zostawiła go z rozszerzonymi w niebotycznym zdziwieniu oczami. Powoli podeszła do dżipa.

- Szeffie, jak sytuacja? - spytała, przygryzając wargi, bo Hot Dog włożył sobie dwie menażki pod mundur, imitując biust, i mrugając do niej, zbliżał się z drugiej strony, kręcąc biodrami. Był świnią i jełopem, ale trzeba mu przyznać, ewidentnie miał jaja. Zwracając na siebie uwagę całego oddziału, na oczach wszystkich, pośrodku obozowiska, idealnie i bez pudła, zwinął torbę cywila, zanim zdążyła wypowiedzieć następne zdanie. - Bo trochę byłam poza obiegami i nie jestem na bieżąco.

Toy usiłowała się nie roześmiać.

- Co ja jestem? - warknął Dante. - Informacja na lotnisku? Hot Dog włożył sobie torbę cywila pod mundur i odszedł, udając tym razem kobietę w ciąży. Żołnierze chichotali. Mimo, że wszyscy widzieli, co się dzieje, to nikt nie wiedział, że on właśnie rąbnął cudzy bagaż. Fachowiec pierdolony. Geniusz.

- Jestem w końcu twoim psem - powiedziała i znowu zagryzła wargi. Hot Dog, wykonując teatralne ruchy, poprosił Mobutu do tańca. Ponieważ był dużo niższy od sążnistej Murzynki, więc chwycił ją za szyję, jak dziewczyna chłopaka. Wszyscy żołnierze chichotali, ale Mobutu skapowała nagle, że ma przed sobą złodzieja. Zamiast wrzasnąć, rzuciła szybkie spojrzenie w kierunku Toy. I zrozumiała coś jeszcze. Też była fachmanką, ale w przeciwieństwie do Hot Doga, miłą i sympatyczną. Odańczyła cały kawałek wśród śmiechów oddziału tylko po to, żeby pomóc mu ukryć się w zaroślach.

Dante westchnął. Jego nie interesowały głupie dowcipy.

- Zaliczyliśmy chyba niezły pat. Na interesującym nas terenie okopał się Urbanowicz z dwoma setkami wojska...

- Kto to jest Urbanowicz?

- Najemnik, jak ja. Zwerbował czarnuchów z RPA i paru komandosów. Teraz tkwi okopany po uszy w ziemi.

- Aż z RPA? Tutaj?

- No, nie sądzisz chyba, że przyjechali transporterami. Wymyślił kutas jakiś sposób.

- A kogo on reprezentuje? - spytała. - Jaką firmę my reprezentujemy?

- Za dużo chcesz wiedzieć. Spadaj!

Odeszła posłusznie. Całą siłą woli powstrzymując się od pośpiechu. Nie udało się. Prawie biegła, nie mogąc oprzeć się ciekawości. Dopadła Hot Doga w krzakach.

- Masz?

Rzucił jej torbę. Sam zapalił papierosa. Toy wyrzuciła zawartość na ziemię. Przewracała w niej, usiłując znaleźć coś istotnego. Dokumenty wystawione na Matta Berrona Chalmersa, zdjęcia, psiakrew podrobione, ale to żadna sztuka odkąd każdy szczeniak ma komputer na biurku, nieistotne papiery z wypożyczalni samochodów, kwity z różnych miejsc, bilety lotnicze, ciuchy. Nic, nic, nic... Nie mogła znaleźć niczego, co pomogłoby jej choć trochę. Ale знаła kobiety. Wiedziała, że prędzej czy później natknie się na coś osobistego. Na jakąś przytulankę, jakiś fetysz, jakąś pamiątkę... Oczywiście, znalazła. Malutką, benzynową zapalniczkę. Dobrze! Menedżer na wyższym stanowisku, bo przecież byle kogo nie wyślą na taką misję, nie może palić. Nie zrobiłby żadnej kariery w firmie, gdyby palił papierosy. A ma... zapalniczkę.

- Hot Dog?

- Co?

- Możesz to rozkręcić?

- Jeeeezu... z tymi babami. Nawet tak głupiej rzeczy nie potrafisz rozłożyć na czynniki pierwsze?

W trzy sekundy wybebeszył cudeńko, posługując się zwykłym scyzorykiem. A w środku, zamiast waty, czy czegoś tam, co miało absorbować benzynę, był czyjś pukiel włosów. Spięty złotą klamerką z napisem. Toy zbliżyła cudeńko do twarzy, ale mimo ślepienia przez parę minut nie zdołała przeczytać niczego. Literki były za małe. Znowu klęła fakt, że jest tak cholernym krótkowidzem. Musi sobie kupić lepsze okulary. Z drugiej strony załamał ją fakt, że ta pieprzona wada wzroku postępuje tak szybko. Kiedy będzie kompletnie ślepa? Zagryzła wargi i podała pukiel Hot Dogowi.

- Co tam jest napisane?

Przeczytał, nawet się nie schylając. Jezu, Jeeeeezu... Co ona robi w zawodzie, jeśli degeneracja oczu tak szybko postępuje? Detektyw z białą laską? Matko Święta.

- Wiesz już coś? Otrząsnęła się.

- Coś wiem. - Przelknęła ślinę, usiłując nie rozplakać się. Będzie ślepa? Jezu, nie! Nie chcę, nie chcę, nie chcę!

- Coś z tobą nie tak, Toy? - spytał. Ale się musiała rozkleić, skoro zauważył. Pospiesznie pakowała torbę, dała mu skrócić zapalniczkę.

- Co ci jest? - indagował.

- Ślepnę, Hot Dog. - Włożyła wszystkie siły, żeby powiedzieć to w miarę spokojnie.

Odrzucił papierosa. Potem uśmiechnął się lekko.

- A może zaraz wszyscy zginiemy i nie będzie już problemu? - Położył jej rękę na ramieniu. - A gdyby jednak. Toy, wiesz, gdzie mnie szukać. Jak już

kompletnie stracisz wzrok, przyjedź do mnie. Kupię ci śliczną, białą suknię, jaką tylko uda ci się wymacać w sklepie na oślep. A jak już będziesz moją żoną, będę cię prowadził pod rękę do knajpy na chłafsko i do ubikacji zrobić siusiu. Nie bój się, Toy. Ze mną będzie ci fajnie. Jedno tylko musisz mi przyrzec: jak będziemy zwiewać przed policją, to ja będę prowadzić auto, a nie ty!

Roześmiała się. Sięgnęła ręką i rozczochrała mu włosy.

- Nie wiem, na co zmarnowałam tyle lat, przez które was nie znałam, pojeby jedno.

- A pamiętasz, jak chcieliśmy cię zgwałcić z Yellowem na Księżycu?

- Pamiętam, pamiętam. - Wstała, zarzucając sobie torbę na ramię. - Czasem to mi się nawet śni...

- Każdy ma koszmary - mruknął.

- Ale to wcale nie koszmar. - Mrugnęła do niego. - Nazwałabym go raczej snem erotycznym... Tylko mi się w połowie urywa.

Pokazała mu język i śmiejąc się, ruszyła w stronę dżipa.

- No, żeby cię... - ryknął za nią. - Po coś granat trzymała w łapsku??? Inaczej sen by ci się nie urywał!

Pomachała mu ręką. Potem wrzuciła torbę na tył dżipa.

- Pani Oziraki. - Mrugnęła do cywila. - Cemu pani nie powiedziała, że pracujemy dla Ali American Enterprises? Cywil wybałuszył oczy. Dante wręcz skamieniał.

- Rąbnęłaś mu torbę? - spytał, mrużąc oczy w taki sposób, że ci z rekrutów, którzy jeszcze żyli zaczęli się odruchowo cofać.

- Nie jemu, tylko jej - sprostowała.

- Skąd wiesz? - Cywil włożył dwa kciuki pod kołnierzyk swojej koszuli, z wyraźną ulgą zerwał z twarzy warstwę plastożelu. Ukazała się spocona, pociągła twarz o skośnych oczach. Dante tylko przełknął ślinę.

- Pani Oziraki. - Uśmiechnęła się Toy. - Żaden z gruboskórnych samców nie obsłuży babskiego, zamykanego lusterka jedną ręką.

Japonka również się uśmiechnęła. Biedna baba. Pewnie komputer wykazał, że właśnie ona nadaje się idealnie do tej misji. Musiała znać kilkanaście języków, w tym wszystkie miejscowe narzecza. Musiała być idealnym negocjatorem, mieć nerwy jak postronki i talent dowódcy. Ale... cholerne żółtki... wysłać babę??? Baba ma rządzić mężczyznami? Choćby nawet i białymi? Nie, nie, nie. Nawalili jej na twarz tonę plastożelu, obandażowali piersi i napsikali jakimś aerozolem na struny głosowe, żeby pogrubzić tembr głosu. Przecież byle "gejsza" nie będzie rozkazywać mężczyźnie! Co za idiotyzm.

- Skąd wiesz, że pracujecie dla Ali American? - Japonka była sprytna. Na puklu włosów była tylko inskrypcja od syna, nie było nazwy firmy.

- Strzeliłam.

- Nie kłam.

- Żaden facet nie rąbnąłby z toalety w hotelu nawilżanych chusteczek do rąk. Ręczniki czy mydło, to tak. Ale nie nawilżane chusteczki. Byłam raz w luksusowym hotelu i wiem, że tam jest kilkanaście rodzajów do wyboru, a ty... Nie dość, że jesteś kobietą, to jeszcze Japonką. Rąbnęłaś wyłożone w szaczu chusteczki własnej firmy, bo nauczono cię wierzyć, że są najlepsze.

Oziraki przygryzła wargi. Potem potrząsnęła głową.

- Czego chcesz? - spytała.

- Chcę się wydostać z tej pierdolonej Afryki. I to jak najszybciej.

- Przestań mi się tu mazać - wrzasnął Dante.

- Czekaj. - Oziraki chwyciła go za rękę. - Ona chyba wie, jak...

Toy wzruszyła ramionami.

- Interesy jakiej firmy reprezentuje pan Urbanowicz?

- Brand American Industries.

- Aha... znaczy Koreańczyków? Z kolei twoje Ali American Enterprises to wyłącznie Japończycy. Powinniście się dogadać. Oni, co prawda, was nie cierpią, ale Chińczycy ze Spirit of America Inc. są bardziej groźni niż wy.

- Dogadać? Jak?

- Skoro nie możecie ugryźć Urbanowicza, to dogadajcie się z nim na fifty-fifty. On też nie chce mieć Chińczyków na karku.

- To, że się nie okopał, nic nie znaczy. Nie wiadomo, co ONZ wymyśli jako probież...

- Właśnie o tym mówię - przerwała jej Toy. - Skoro nie da się wywalić z gry ani Koreańczyków ani Chińczyków, to, kochane ty moje japońskie cudo, musisz wywalić z gry ONZ. - Uśmiechnęła się.

- Wielki prezesie... Co masz na myśli?

- Zakładamy własne państwo. Na demokrację nas nie stać, bo nie mamy czasu na wybory, ale założymy konstytucyjną monarchię. ONZ nie pozwala rozparcelować państw o zaludnieniu zbliżonym do pięćdziesięciu osób na kilometr kwadratowy, zorganizowanych na tyle, by utrzymać podstawowe służby publiczne i zdolnych wyżywić swoją ludność. - Toy wskazała ciężarów-' ki za plecami. - Mamy sześćset tysięcy racji żywnościowych, trochę lekarstw i paru w miarę inteligentnych ludzi. Mamy organizację, broń i, jak rozumiem, sporo forsy z twojej strony, pani Oziraki. Spędzamy wszystkich Murzynów, których znajdziemy. w okolicy w interesujące was miejsce, zakładamy monarchię, odkupujemy od mormonów żarcie, organizujemy państwo z urzędami i opieką medyczną, a wasi prawnicy do Dnia Sądu Ostatecznego będą się sądzić z ONZ-etem. Przy czym, w trakcie tych sądów, będziecie sobie spokojnie eksploatować to, co tam jest pod ziemią.

- A powiedz mi, dziecko, jeszcze jedną rzecz - mruknęła Oziraki. - Nawet jak się dogadamy z Urbanowiczem, to w jaki sposób zabezpieczymy swoje interesy?

- Podpisze się dokument międzypaństwowy...

- Między państwem a firmą? Świstek papieru, w sam raz do niszcarki dokumentów.

- Weksel bankowy nie jest świstkiem papieru. Monarchia pożycz od was szmalec na opiekę, żarcie, gospodarkę i edukację. Zastawem weksła będą interesujące was minerały.

- Weksel bankowy nie jest świstkiem papieru - powtórzyła jak echo Japonka. Błyskawicznie podjęła decyzję. - OK. Dante i ja jedziemy trochę ponegocjować. Niech żołnierze ściągają wszystko co żyje. Obiecujcie jedzenie i lekarstwa. Obiecujcie opiekę i wszystko, co wam przyjdzie do głowy. Ściągnijcie ich siłą. W przeciągu trzech dni chcę mieć tam jakąś ludność. I... I jeszcze sam monarcha. Musi być Murzynem i osobą wielkiego formatu, żeby dobrze wypaść w telewizji...

- Wielkiego formatu? - Toy wzruszyła ramionami. - Nie ma sprawy. Mobutu!- ryknęła, zerkając w tył. - Chodź tu.

Ponad dwumetrowa Murzynka wyprostowała się, odchyliła palcem okap hełmu i odrzuciła papierosa. Podeszła powoli, składając jednocześnie karabin, który dotąd czyściła.

- Co jest, Toy?

- Chciałabyś złotego rolls-royce'a, pałac i śliczne kiecki?

- Pewnie. - Roześmiała się, sądząc, że chodzi o dowcip. - Czemu nie?

- Właśnie ci to załatwiłam. - Toy klepnęła koleżankę w tyłek. - Po starej przyjaźni. Nie musisz dziękować.

- No, ale imię "Mobutu" raczej nie wchodzi w grę w Afryce - wtrąciła Oziraki. - Bo wiecie...

- To tylko ksywa - Murzynka dalej niczego nie rozumiała. - Nazywam się Bett Harris.

- No, to teraz będziesz Harris-pasza. Czy jakoś tak.

- Nie - Toy potrząsnęła głową. - M'bwana Harris. Obydwie złożyły przed Mobutu idealne, pałacowe ukłony. Dante tylko machnął ręką i zaklął.

- OK, OK, OK... - Japonka pokazała, że jest osobą zorganizowaną. - My jedziemy do Urbanowicza. Żołnierze niech ściągają wszystko co żyje, a ty, Toy, zorganizuj państwo.

- Jakie państwo? - Mobutu właśnie zdała sobie sprawę, że oni wszyscy mówią poważnie. - O co tu chodzi? Toy pociągnęła ją za rękę.

- Tally-Ho - krzyknęła. - Pisz konstytucję.

- Co pisać???

- Ustawę zasadniczą monarchii konstytucyjnej.

- Dlaczego ja?

- Bo jak każe to zrobić Hot Dogowi, to tam będzie stało tak:

"Obowiązki obywatela. Punkt pierwszy. Każda kobieta ma dać każdemu mężczyźnie, jeśli ten zażąda!" Pisz!

Podeszła do mormońskiej rodziny, ciągle ciągnąc oszołomioną Murzynkę.

- Kupujemy od ciebie całe to żarcie, ciężarówkę i resztę. -Nie czekała, aż się zdziwi i wypaliła: - Czy twoje córki potrafią szyć?

- Oczywiście, że potrafią! - zaperzył się. - To mormonki!

- Dobra. To niech sprują wszystkie swoje kiecki, bo potrzebujemy bardzo dużo materiału. - Wskazała palcem zdezorientowaną Mobutu. - Muszą jej uszyć suknię.

- Jaką suknię?

- Do koronacji.

Koronacja wypadła fajnie. Reszta nie.

Podczas ceremonii Mobutu paliła papierosa, żuła gumę i co chwilę pociągała nosem, bo się zaziębiła i miała katar. Fakt, że robiła wrażenie, bo była odtąd największą królową na świecie. Kieckę, choć sporządzoną naprędce, miała ekstra. Mormonki dały z siebie wszystko i trzeba przyznać, miały talent. Mobutu dała sobie nawet włożyć na głowę koronę wykonaną z rozklepanej łuski pocisku od Staikera, choć klęła jak szewc, zupełnie nie przebiegając w słowach. Żołnierze wiwatowali. Gorzej było z ludnością państwa. Przez trzy dni udało się ściągnąć raptem niecałe osiem tysięcy ludzi z obszaru porównywalnego z dużym europejskim państwem. Potem Mobutu wyszła na dach Staikera, żeby "przemówić do ludu". Powiedziała:

- Mam nadzieję, że będziecie szczęśliwi od tej zagranicznej forsy. Bo mi, kurwa ich mać, obiecali rollsa i ciuchy, i kupę szmalu, i jeszcze wyzerkę za to, że będę waszą szefową. Aaaa... Obiecali też dla was opiekę, żarcie, lekarzy i naukę. Szlag z nimi. A... dupa! Nie umiem przemawiać. Nie znam też waszego języka i tak po prawdzie to nie bardzo wiem, gdzie jestem, bo mi mapy na razie nie pokazali. Czy ktoś z was umie mówić po ludzku?

Nie bardzo wiadomo, czy "lud" umiał mówić po ludzku. Poddani jednak wznosili głośnie okrzyki: "Niech żyje M'Bwana Harris", widząc Hecklery i Kochy w rękach najemników. Hot Dog, choć nie znał "ich języka", dobrze ich poinstruował. '

Oziraki podeszła do Toy, która stała z Bokassą i Maybe Not, usiłując poradzić sobie jakoś z długim trenem królowej zwisającym z wieżyczki Staikera.

- Chyba mamy za mało ludności, a jutro upływa termin ONZ-etu...

Toy przerwała walkę z trenem i podeszła do Dantego stojącego z Urbanowiczem.

- Moglibyśmy zaatakować Chińczyków, którzy zajęli te stare kopalnie?

- Moglibyśmy, dziecko - skrzywił się Urbanowicz. - Ale zapieprzą nas w pięć minut.

- Nie. Bo poddamy się już w trzeciej sekundzie.

- Co???

- Mamy osiem tysięcy obywateli, co daje nam możliwość obsadzenia stu sześćdziesięciu kilometrów kwadratowych. Poddamy się od razu i zrzekniemy na korzyść "agresora" 99 procent naszego terytorium. Im to nic nie da, bo nie mają państwa, a zależy im na kopalniach. Nam sto sześćdziesiąt kilometrów da

szansę przykrycia pięćdziesięcioma osobami na kilometr kwadratowy tego terenu, który was interesuje. I... mamy państwo spełniające warunki, więc ONZ będzie się sądzić z waszymi prawnikami do końca swojego istnienia.

Japonka uśmiechnęła się lekko.

- Atakuj, Dante - powiedziała. - Z moich pobieżnych obliczeń wynika, że Mobutu będzie miała najbogatsze państwo na świecie jeśli chodzi o dochód na głowę mieszkańca.

Lady budziła się bardzo rzadko z narkotycznego transu. Szeptała coś kompletnie niezrozumiałego, po chwili znowu zapadała w letarg. Potem jednak otworzyła nagle oczy, zdawałoby się zupełnie przytomna. Siedząca obok Maybe Not zwilżyła jej wargi, zerknęła na Toy i powiedziała samymi wargami: "Już. Dłużej jej nie utrzymamy".

Lady spojrzała na Toy.

- Co... co myśmy narobili...

Ciekawe, co miała na myśli? Walkę w rzece? Chyba była to ostatnia rzecz, którą mogła pamiętać.

- Wiesz - Toy pochyliła się nad leżącą - raczej nie popełniliśmy żadnej większej zbrodni. A... w państwie Mobutu może parę osób otrzyma nareszcie swoją szansę.

Lady usiłowała chwycić ją za rękę. Zdołała tylko dotknąć dłoni palcami.

- Wierzysz w Boga?

- Raczej nie.

- Jak myślisz, czy Bóg mi przebaczy?

Maybe Not zamknęła Lady oczy. Złamała uchwyt jednego z dog tagów, a drugi, ten na łańcuszku, włożyła zmarłej do ust. Potem przykryła jej twarz wojskowym kocem.

Toy zagryzła wargi. Nie mogła utrzymać się na nogach. Usiadła wprost na ziemi, tam gdzie stała.

- Pytanie trzeba zadać inaczej - szepnęła, patrząc gdzieś w górę. - Czy ty mu przebaczysz, mała?

Andrzej Ziemiański

BOHATER DO WYNAJĘCIA

Pewnego ranka, zaraz po śniadaniu, królewski krokodyl wyszedł z sadzawki. Przemierzył ulice na zgiętych łapach, po czym opuścił miasto główną bramą i mijając oniemiałych strażników, podreptał w nieznanie.

Pod wieczór tego samego dnia nadleciał smok. Szorując brzuchem po dachach domów, przyprawił kilka osób o permanentny rozstrój żołądka. Kołował chwilę nad królewskim pałacem, po czym gwałtownie zniżył lot, by pochwycić księżniczkę, która właśnie brała kąpiel w ogrodzie. Ostatnim odgłosem, jaki dobiegł przypadkowych obserwatorów kąpiącej się księżniczki był jej dziki wrzask:

- Ręcznik! Inaczej nigdzie nie lecę!

Smok porwał ręcznik i zniknął za horyzontem, niczym koszmar rozwiewający się w blasku słońca,

W obliczu tego wydarzenia emigracja królewskiego krokodyla nie odbiła się głośnie echem w historii regionu. Odegra jednak znaczącą rolę w tej opowieści. A zatem...

Do dzieła!

Atro, z wykształcenia i zawodu bohater do wynajęcia, stał na rozstaju dróg i czytał ogłoszenie:

BOHATER PILNIE POTRZEBNY.

**ZA URATOWANIE KSIĘŻNICZKI Z ŁAP
SMOKA**

CENNE NAGRODY.

ADRES KONTAKTOWY: SMOCZA GÓRA.

SMOCZA GÓRA: NA LEWO

Nie zastanawiał się długo, jak to miał w zwyczaju. Wyjął wbity w ziemię dwumetrowy miecz, ziewnął i poszedł zabić smoka.

Popołudnie było upalne i leniwe. Smok ułożył się przed wejściem do pieczary, wygiął grzbiet w kierunku słońca i zjadał się plackiem ze śliwkami.

- Ja po księżniczkę - powiedział Atro, wbijając miecz w ziemię.

- Placka? - spytał smok.

- Chętnie - odparł bohater. Usiadł obok i sięgnął po ciasto.

- Sam piekleś?

- Skąd. Księżniczka.

- Aha. I co z nią?

Smok westchnął i fragment zbocza góry obsunął się w dół lawiną głazów.

- Sympatyczna dziewczyna.

- Słyszałem.

- Pracowita, zaradna. Uroda niczego sobie. Wyobraź sobie:

wysprzątała mi jaskinię, wypolerowała grzbiet i na koniec zrobiła placek.

-No i...?

- Nie miałem sumienia jej zjadać, wiesz.

- No i...?!

- Przehandlowałem ją krasnoludom za pewnego szewca, który mnie wkurzał swoimi podrobami mięsnymi.

Atro wyjął z ziemi dwumetrowy miecz, ziewnął i poszedł zabić krasnoludy.

Królewski krokodyl przemierzał z szelestem zarośla, aż natrafił na strumyk. Wsunął się w jego koryto i gdy kilka metrów dalej woda zrobiła się głębsza, popłynął z jej biegiem.

- Szukam księżniczki.

Kupiecka karawana popasała na leśnej polanie. Stłoczone na środku własnego obozu krasnoludy wpatrywały się w dwumetrowy miecz. Palce białały im od zaciskania dłoni na trzonkach toporów.

- Jakiej księżniczki? Żadnej nie widzieliśmy - odezwał się któryś i reszta skwapliwie zaczęła potrząsać brodami.

Bohater znudzonym gestem poprawił wbity w ziemię miecz.

- Wbrew obiegowej opinii, nie jestem debilem - powiedział. - Gorzej z moją cierpliwością.

Krasnoludy przez chwilę naradzały się.

- Dziesięć tysięcy złotem i może jakaś księżniczka się znajdzie.

Atro wyszczerzył zęby.

- Negocjujemy? - spytał.

- Zawsze! - odparły krasnoludy.

Ptaki zamilkły. Drzewa nachyliły się nad polaną. Las wyczekiwał.

Bohater przeciągnął się, zachrupotały stawy.

- W porządku, długobrodzi - rzekł wolno. - Ale na moich warunkach.

I nim ktokolwiek zdążyłby mrugnąć okiem, trzymał już w rękach miecz, a ułamek sekundy później wirował między kra-snoludami, tnąc na prawo i lewo, aż cała grupa rozpięchła się w panice. Potem oparł sobie ostrze o ramię i przemaszerował przez obóz do namiotu, przed którym spał strażnik. Księżniczka była w środku. Siedziała na kufrze i piłowała paznokcie.

- Ojej - powiedziała i po namyśle dodała: - Dzień dobry.

- Jak dla kogo - odparł Atro.

Przerzucił ją sobie przez plecy i wyszedł.

Na zewnątrz krasnoludy ustawiły się szeregiem i potrząsały nerwowo toporkami. Bohater stał przez

chwilę i patrzył gdzieś ponad szczytami drzew. Księżniczka majtała mu się na ramieniu.

- Przechodzę - stwierdził w końcu. I przeszedł.

- Gonia nas - oznajmiła księżniczka, która przewieszona przez plecy miała świetny widok na tyły.

Atro przyspieszył kroku. Leśne zwierzęta umykały mu spod stóp.

- Dlaczego się po prostu nie zatrzymasz i nie rozprawisz z nimi do końca?

- Skarbie, jak dorośniesz, będziesz wiedziała. A jak nie, to pozwolisz ubić się w lesie pięćdziesięciu wściekłym krasnoludom.

Wyłowił odgłos, który mu wcale nie dodał otuchy.

- Rzeka, prawda? - spytała księżniczka.

Obecne wydarzenia były dla niej fascynujące. Jej poprzednie, pałacowe życie nie przewidywało smoków, porwań i ucieczki przez las na ramieniu płatnego bohatera z dwumetrowym mieczem.

- Powiedzmy potok.

Ściółka leśna kończyła się gwałtownie na skraju kamienistego urwiska. W dole huczała górską rzeką.

Odwrócił się. Nawet huk wody, rozbijającej się między głazami, nie był w stanie zagłuszyć posapywania krasnoludów przedzierających się przez las.

- To nie jest kwestia tego, że ich jest więcej, a ja jestem już zmęczony - powiedział cicho. - Mnie się po prostu nie chce. A potem skoczył.

- Wiesz, jak zaskakiwać kobiety! - zdążyła mu się jeszcze wydrzeć do ucha księżniczka.

Królewski krokodyl płynął, lawirując między kamieniami. Bystry nurt i pieniała się woda sprawiały mu przyjemność. Przynajmniej do momentu, kiedy nieoczekiwanie coś ciężkiego zeskoczyło mu na grzbiet.

- Wiedziałeś, że istnieją takie duże kłody drzewa?

- Nie.

- Ta jest bardzo duża, prawda?

- Tak.

- A wiedziałeś, że one sobie wiosłują łapkami?

- Mam na imię Alma. A ty?

- A ja nie.

Dopływali do ujścia rzeki, gdy krokodyl zdecydował się zanurkować. Księżniczka piszczała, Atro nie wiedział, czy ratować ją czy miecz. W końcu wyciągnął z topieli jedno i drugie. Siedzieli teraz na brzegu, pozwalając gasnącemu słońcu osuszyć ubrania.

- To jak na ciebie wołają? "Te, twarde!"

Oglądała połamane paznokcie. Atro wylewał wodę z butów.

- Atro.

- Ładnie.

- Nie moja wina.

Dobiegał ich cichy szum morza.

- Rodzice wybrali mi już narzeczonego, wiesz? Ma pryszcze i paskudny charakter, ale jest kluczową kwestią w polityce regionalnej mojego ojca.

Atro założył buty. Trzeszczały przy każdym kroku.

- Chodź. Niedaleko stąd jest osada. Poszukamy tam jakiegoś bardziej pewnego transportu.

- Nie chcę wracać do domu. Wstała i ruszyła za nim truchtem.

- Ale ja chcę, żebyś wróciła. Należy mi się honorarium. - Oparł sobie miecz o ramię i przyspieszył kroku.

Słońce zachodziło. Upalne popołudnie zmieniało się w duszny wieczór.

Duszny wieczór był już bardzo późnym dusznym wieczorem, gdy dotarli do oberży "Przy nabrzeżu". Była to miła knajpka. Chyba że ktoś nie lubi pozalewanych piwem stołów i przelatujących pod sufitem noży. Piła tutaj banda wikingów, przygnana o zachodzie słońca północnym wiatrem.

- Zawsze przesiadujesz w takich miejscach? - spytała księżniczka, obejmując rękoma swój kufel.

- Pensja bohatera nie pozwala na luksusy.

Oparł miecz o ławę i wyciągnął pod stół nogi. Powietrze było zatechłe, piwo miało smak deszczówki. Kołysząc się na boki, przeszedł koło nich jeden z wilków morskich. Zachwiał się i zahaczył o ławę. Miecz zsunął się i huknął o podłogę.

- O! Przepraszam...

Atro schylił się i ustawił broń.

- Nie ma sprawy, przyjacielu - odparł. Wiking roześmiał się głośno.

- I za to się z tobą napiję! - ryknął.

W jednej chwili przy stoliku znalazło się jego trzech kompanów, a każdy już zamawiał po pięć kufli piwa. Atro jęknął, gdy połowa z nich stanęła przed nim.

- Ze mną się nie napijesz, stary? - wychrypiał mu ktoś prosto do ucha. - Tymi rękami udusiłem wczoraj największego węża morskiego, jakiegom w życiu na oczy widział. Zaraz ci opowiem, jak to było. Ale najpierw chluśnięm...

Rozejrzał się jeszcze za księżniczką. Nie było jej przy stole. Szkło zderzyło się tuż przed jego nosem, piwo pociekło na stół.

- Otóż płyniemy sobie spokojnie, łajba kołysze, księżyc luka pełną gębą... Kumaszu, stary?

- A ja go wtedy za łeb i o burtę! Raz i drugi! Aż gały wywalił na wierzch.... Kumaszu, stary?

Kufle były puste. Opowieść snuła się coraz wolniej.

Atro uniósł głowę znad stołu i zdawało mu się, że widzi księżniczkę tańczącą na barze. Powinien zareagować. Powinien sięgnąć po miecz i zareagować. Wstał. Na ugiętych nogach dotarł do wyjścia. W tawemiany gwar wdarły się oklaski. Słyszał je jak przez mgłę. Chwilę chwiał się, oparty o framugę drzwi. Potem wyszedł.

Nielatwo jest ogłuszyć bohatera. Chyba, że akurat stoi kompletnie pijany przy murze i stara się nie obsikać sobie butów.

Królewski krokodyl leżał na plaży i obserwował wschód słońca. Mrużył oczy, a promienie łaskotały go po grzbiecie. Czułby się szczęśliwy, gdyby nie rycząca sprośne piosenki banda wikingów, przepływająca nieopodal na rozklekotanej łajbie.

Atro obudził się o świcie. Miał obsikane buty i pulsującą potylicę. Mrużąc oczy przed wdzierającym się pod czaszkę słońcem, dotarł do środka gospody.

- Dzień dobry, mój ty bohaterze - powiedział Giseroux, czarodziej. Siedział przy stole i smarował masłem kromkę chleba. - Nie jestem zorientowany, więc powiedz mi proszę, ile teraz kosztuje taki nocleg w rynsztoku.

Atro ciężko zwałił się na ławę obok.

- Źle znoszę połączenie kaca i cudzej ironii - warknął. Rozejrzał się i z westchnieniem ulgi sięgnął po butelkę wina. Czarodziej obtuł trzonkiem noża skorupkę jajka, obrał je i posolił.

Początek przyjaźni tych dwóch ginął w zapomnianej historii, a swój koniec mogła ona mieć tylko pośród mrocznych ścieżek:

na szczycie wzgórza, w okrażeniu goblińskich włóczy lub w podziemnych pieczarach, gdzie polują demony.

- Powinieneś coś zjeść. Czeka cię długa podróż.

- Już wiesz? Giseroux roześmiał się.

- Wkrótce będą ballady pisać o tym, jak to kilku marynarzy wykiwało słynnego Atro, bohatera do wynajęcia. Ale nie przejmuj się. Miałeś to dziecko tylko odprowadzić do domu. Jak się zadamowi u wikingów, będziesz mógł uznać zadanie za wykonane.

- Bardzo śmieszne.

Atro przechylił do końca butelkę i poczekał, aż ostatnia kropla spłynie mu na wysuszony język. Giseroux skończył jeść, oparł się o ścianę i zaczął przygotowywać papierosa.

- Tak, tak - mruknął. - Długa podróż. Pstryknął palcami i zwinięty w papier tytoń rozżarzył się na końcu. Błękitny dym popłynął pod sufit.

- Ostatnimi czasy zbyt długo ślęczałem nad księgami - rzeki. - Przyda mi się mała przygoda.

Atro przymknął oczy i przejechał językiem po spieczonych wargach.

- Możesz się dołączyć. Może przyda mi się ktoś, kto nie pije za dużo.

Czarodziej natychmiast sięgnął po laskę.

- Oczywiście zyski dzielimy po połowie - stwierdził. Atro rozejrzał się za mieczem.

- Porażki też - mruknął.

Czarodziej uśmiechnął się, demonstrując siatkę zmarszczek wokół kącików oczu.

- Miecz ktoś ci powiesił nad kominkiem.

Piasek był rozgrzany, fale raz po raz lizały brzeg, jakby od niechcenia.

Stali i wypatrywali na horyzoncie cudu.

- Wynajęcie łodzi będzie nas kosztować majątek - odezwał się czarodziej.

- I do tego trzeba go najpierw mieć. Atro czuł, że słońce rozsada mu czaszkę. Miał mdłości. Giseroux pochylił się i przyglądał przez chwilę śladom na piasku.

- Będzie nam potrzebna wędka i wątróbka - powiedział nagle, podnosząc głowę i lustrując wzrokiem plażę.

- Weź moją. Zdaje się, że już się zużyła.

Królewski krokodyl, drepzcząc plażą, myślał o przekąszeniu czegoś. Jak na zawołanie, nieopodal pojawiła się świeża wątróbka. Otworzył pysk, ale wątróbka, zamiast pozwolić się zjeść ze smakiem, zaczęła się oddalać, podrygując w powietrzu. Ruszył za nią i po chwili brodził już łapami w wodzie, coraz bardziej zanurzając się w fale.

Zajęty ściganiem śniadania, nie zwrócił uwagi, że coś ciężkiego przysiadło mu na grzbiecie.

- A jeśli się zorientuje?

- To poszukamy kogoś o jeszcze mniejszym ilorazie inteligencji.

Wódz orków obudził się. Mokra od porannej rosy trawa łaskotała go po nosie, słońce zaglądało mu pod powieki. Zapowiadał się paskudny dzień. W takie dni najlepiej wziąć maczugę i komuś przyłożyć. A jeżeli to nie pomoże, to przyłożyć mu jeszcze raz. Z tą myślą wódz orków wstał, przeciągnął się i podrapał za uszami.

- Do mnie! - ryknął na cały głos, płosząc niedźwiedzie przy wodopoju.

Potem ruszył przez las, by obudzić drzemiących w korzeniach drzew kamratów. Już nie tylko wiedział, że komuś przyłoży. Wiedział już nawet, komu.

Królewski krokodyl nie zorientował się. Natomiast dopływając do wyspy, poczuł, że już nie jest głodny. I swoim zwyczajem zanurkował.

Giseroux krzyknął i wypuścił z rąk wędkę, która razem z wątróbką powędrowała natychmiast do paszczy gada.

Atro zaklął i pomyślał, że kąpiel będzie przynajmniej miłą odmianą po dwóch godzinach solarium.

- Twój eksperyment pokazuje, że krokodyle jako zwierzęta transportowe wykazują jednak pewną dozę inteligencji - stwierdził, jedną ręką wiosłując, a drugą ciągnąc za sobą miecz.

- Zaniknij się i płyn - odparł czarodziej, starając się utrzymać nad powierzchnią kapelusza.

Atro pierwszy rzucił się na piasek, wypluwając z ust słoną wodę.

- Jestem zawodowym bohaterem, nie nurkiem-amatorem -krzyknął w kierunku gramolącego się na brzeg Giserouxa.

- Powiedz to temu bydlakowi. Jak go spotkam następnym razem, sprawdzę, jak smakuje rosół z krokodyla.

Leżeli, pozwalając, by ciepły piasek obkleił ich przemoczone ubrania. Morze szumiało, słońce prażyło, wydmami nadchodziła grupa wikingów.

- Zabij ich - poprosił Atro. - Bo mnie się już nie chce. Gromada zeszła na plażę i ustawiła się półkolem.

- A wy kto? - spytał jeden.

Giseroux przewrócił się na plecy i zmrużył oczy.

- Jesteśmy wielorybami. Gdybyście tak mogli nas z powrotem zaciągnąć do morza...?

Cóż, czarodziej nie wiedział, choć powinno być to dla niego oczywiste, że wikingowie z natury pozbawieni są poczucia humoru. Z tego też powodu nie lubią niektórych gatunków fantastyki oraz ich autorów. I vice versa zresztą.

- Do morza traficie później. A teraz zaciągniemy was tam, gdzie będą wam chcieli zadać kilka pytań.

Chwycili ich za nogi i powlekli przez piasek. Któryś odebrał bohaterowi miecz, inny zabrał laskę czarodzieja.

- Czy to była groźba? - spytał sennie Atro, bo przesypujące mu się przez wtosy złociste ziarenka wywoływały poczucie błęgiego rozleniwienia.

Błogość i rozleniwienie skończyły się jednocześnie w chwili, gdy zaczęła się brukowana droga.

- To naprawdę wspaniały dzień na piknik - powtarzali orko-wie, rozkładając na polanie koce, koszyki z grzybami i topiąc maselko na patelni.

Wódz orków stał w pobliżu i na przemian wybałuszał oczy oraz purpurowiał, co w połączeniu z naturalnie zielonym kolorem skóry dawało interesujący efekt estetyczny. W końcu zdecydował się wyjść na środek i przemówić.

- Ludu, mój ludu - zaczął, ale ponieważ ktoś krzyknął:

"maselko gotowe" i wszyscy rzucili się podstawić talerze, musiał zrobić przerwę i rozpocząć po chwili raz jeszcze. - Ehm! Ludu, mój ludu - rzekł.

- To już mówiłeś - odparli orkowie, sprawdzając, czy aby na pewno wszystkie grzyby są muchomorami.

- Zebrałem was tutaj...

- Dzięki ci! Tu są fantastyczne muchomory.

- Tak, ale... Cisza! - Wódz orków stracił cierpliwość.

- Chcę wam dziś powiedzieć, że kiedy wy zbieracie grzyby, inni objadają się smakołykami w ciepłutkich domach, popijając je piwem ze złotych pucharów. Chcę wam powiedzieć, że to nie jest sprawiedliwe. Nie jest sprawiedliwe, że inni mają lepiej tylko dlatego, że są bardziej pomysłowi i pracowitsi. Powiedzmy to otwarcie: natura zrobiła sobie z nas jaja. Jesteśmy głupszy i biedniejsi. I to jest historyczne nieporozumienie!

Wódz orków zrobił pauzę i z zadowoleniem zauważył, że na polanie zapadła cisza. Na krótko.

- Komu jeszcze maselka? - spytał ktoś i znowu wybuchły dyskusje o jakości dzisiejszych zbiorów.

- Ehm! - powiedział wódz. - Jeszcze nie skończyłem. Chcę wam powiedzieć, że tak dalej być nie musi. Wystarczy, że znajdziemy tych, którzy się lepiej od nas ustawili i spierzemy ich na kwaśne jabłko. A potem zamieszkamy w ich domkach i będziemy pijać z ich kubeczków. Co wy na to?

Przez chwilę znowu było cicho. Orkowie myśleli. Gdyby świat chciał, żeby kiedyś coś wymyślili, musiałby trwać wiecznie.

Wiem, co o tym myślicie - rzekł wódz, a orkowie skwapliwie przytaknęli. - Myślicie tak samo jak ja. Wy też chcecie komuś przyłać. Komuś zresztą się to należy. Powiem tylko jedno:

za mną!

I głośno pokrzykując, orkowie porzucili niedokończzone śniadanie i przypalające się na patelni maselko, po czym wzięli maczugi we własne ręce i poszli wyrównywać historyczne nieporozumienia.

Atro stał na środku głównej komnaty twierdzy wikingów i wytrząsał sobie piasek z włosów. Herszt bandy siedział nieopodal niego na trójnogu i gładził brodę.

- Ja cię znam - stwierdził. - Czy to nie z tobą była ta mała w oberży "Przy nabrzeżu"?

Giseroux wysunął się krok do przodu. Bez laski czuł się niezręcznie i nie wiedział, gdzie podziać ręce.

- To raczej pomyłka. Ten pan jest znanym żonglerem. Ja jestem jego impresario - rzekł, szukając dłońmi kieszeni.

Herszt sięgnął do półmiska z orzechami, wyjął dwa, zgniótł je i włożył do ust. Gest był wymowny.

- A czym żonglujesz?

- Mieczem - odparł Atro. Giseroux spiorunował go wzrokiem.

- Jabłkami, panie.

-I mieczem.

Wiking roześmiał się, demonstrując, gdzie lokuje złoto.

- Przynieście kosz jabłek - zawołał. - Jeżeli ten dryblas nie zdoła mnie zadziwić, kat połamie mu nadgarstki, nakłuje pośladki i odetnie głowę.

Atro i Giseroux wymienili spojrzenia. Na całe szczęście żaden z nich nie był bazyliszkiem. Nim jednak cokolwiek postanowili, przeznaczenie spłotło naraz nici wielu wydarzeń i pchnęło je do twierdzy na wyspie.

Wchodzącego z koszem owoców lokaja potrafił wiking, biegnący z nagim mieczem.

- Orkowie! - krzyknął. - Atakuj ą bramę! Jabłka rozsypały się po podłodze.

Wiele rzeczy zaczęło się dziać naraz.

Wikingowie rzucili się do wyjścia na mury.

Giseroux uniósł dłoń i białe światło na moment oślepiło wszystkich. Gdy zgasło, czarodzieja nie było wśród obecnych.

Atro otrząsnął się pierwszy. Szybciej niż płomień spalający słomę wyrwał swój miecz z rąk zaskoczonego wikinga i pomknął ku wyjściu, niosąc śmierć każdemu, kto zastąpił mu drogę. Przebiegł puste korytarze i stanął na dziedzińcu. Przed nim brama drżała pod naporem szturmujących orków. Za nim puste łodzie kołysały się w przystani. Nigdzie nie było widać księżniczki. Ale Atro był płatnym bohaterem nie od dziś. W wielu przygodach, które zdarzyły się w królestwie, jego miecz dodawał rzekom krwawej barwy. Swoje doświadczenie zdobywał na mrocznych ścieżkach.

Przeczytał też parę tanich romansidel.

Instynkt bohatera mówił mu jasno, gdzie zazwyczaj przetrzymuje się nieletnie panny, by przychodzić co wieczór pod ich okno i błagać o miłość.

- Wieża - mruknął.

Ochryplymi głosami orkowie nawoływali się do walki. Czterech chwyciło najtęższego i rozpędzając się raz po raz, uderzali nim o bramę, aż belki trzeszczały i wyginały się niebezpiecznie.

Nie był to może pomysł najlepszy, ale wśród orków uważano go za przebój w strategii zdobywania umocnień. Jego autor zaś już dawno wymieszał się z drzazgami rozbitej przez siebie bramy.

Na górze wikingowie klęli i ciskali tym, co nasunęło im się pod rękę. W dół leciały rondle, sałatki warzywne, sznury do bielizny i czasami nawet butelki z winem, które rozbijały się na głowach orków, wzbudzając w nich jeszcze większą potrzebę przebicia się do środka.

Giseroux stał samotnie za bramą i przyglądał się desce, która ułożona w poprzek, blokowała odrzwia.

- Są takie momenty - powiedział głośno - że aż mnie korci, żeby odejść i nie mieszać się.

A potem laską odsunął deskę. Ale tylko odrobinę.

Brama strzeliła na boki. Tabun orków wsypał się na dziedziniec. Z murów zbiegali wikingowie. Szable i miecze skrzyżowały się. Bogowie rzucili kośćmi. Wynik trochę ich zaskoczył.

- Wieża - mruknął Atro i w tym momencie siekące się watahy orków i wikingów wpadły na niego.

Dwumetrowy miecz zawirował w powietrzu. Stał błysnęła.

- Jestem tu służbowo - powiedział. - Nie interesują mnie lokalne konflikty etniczne.

I ruszył w tłum, tnąc mieczem szeroko, dokładnie, by zebrać krwawe żniwo. Przynosił śmierć tym, obok których przeszedł. Bez uprzedzenia, szybko, ostatecznie. Przedzierał się przez walczący tłum, jak czołg sunący przez zakorkowaną autostradę.

Dotarł tak d(r) baszty uczeplonej pomocnego muru. Nie było strażników. Drzwi stały otworem. Spojrzał w górę i w oknie mignęły mu długie kasztanowe włosy.

Pobiegł schodami. Z dołu dobiegały go krzyki mieszające się ze świstem szabel i szczękiem stali.

Miał przeświadczenie, że nie zdąży.

Mięśnie drgały mu pod skórą, gdy przeskakiwał co drugi z kruszących się schodów.

Jeszcze trzy zakręty.

Miecz zalsnił zimno, gdy mijał wąskie okienko. Kątem oka dostrzegł czarną chmurę, pędzącą po błękitnym niebie.

Jeszcze dwa.

Wieża drżała. Pył unosił się ze ścian.

Dopał ostatniego piętra.

I w tym momencie mury runęły, a podłoga rozsypała mu się pod stopami.

Smok nadciągnął niezauważony przez nikogo. Rozpostarł skrzydła, okrążając twierdzę i dopiero wtedy jego cień padł na walczących. Potem niespodziewanie zniżył lot i uderzył szponami w basztę, odrywając od niej dach. Pochwycił piszczącą księżniczkę i wznosił się w górę.

Gdy mogło się zdawać, że już odleci, gnając przed sobą wiatr, odwrócił się, zanurkował i przelatując koło wieży, z całym impetem uderzył w nią ogonem.

Potem poszybował po bezchmurnym niebie, buchając czarną parą.

Wikingowie i orkowie stali przez chwilę nieruchomo, spuściwszy ramiona, porażeni smoczym strachem. Potem ktoś krzyknął:

- Dobra, chłopaki, już poleciał!

I walka rozpętała się od nowa. Nie tylko na dziedzińcu. Szczęk broni niósł się po salach i korytarzach twierdzy. Nie wiadomo skąd, nagle pojawił się ogień. Strzelił płomieniem z gobelinów i zasłon, a po dywanach poniósł się dalej. W kilka chwil dym rozlał się po komnatach, piekąc w oczy i wysuszając gardła. Walczący klęli, ale nie przestawali walczyć.

Górna połowa baszty obróciła się w minę i leżała potrzaskana na dziedzińcu.

Atro otworzył oczy i przez chwilę kaszlał, wypływając z płuc pył. Krwawił.

Nie poleciał z rozlatującą się częścią wieży, ale spadł na jej dolną połowę, której smok nie ruszył. Odnalazł swój miecz, tkwiący między kamieniami. Oparł się o mur i spojrzał przez morze ku czarnemu punktowi na horyzoncie. Z dołu ktoś krzyknął jego imię. Wychylił się i dostrzegł czarodzieja stojącego w łodzi.

- Możesz oczywiście dalej tam stać i podziwiać pejzaż, ale nie czekałbym, aż wikingowie wystawią ci rachunek - powiedział Giseroux.

Atro przesadził nogi przez mur i skoczył. Woda była zimna i zielona.

Czerwona łuna otaczała twierdzę wikingów, gdy oddalali się od niej, gnając ku przeciwnemu brzegowi. Giseroux stał na dziobie.

- Płyniemy zabić smoka? - spytał.

Atro nie odpowiedział. Głowę oparł o zwój lin, zamknął oczy i rozmyślał, czy nie lepiej byłoby otworzyć knajpkę z tanim piwem, gdzieś na południu królestwa.

- Strasznie się nabiegasz za tą dziewczyną. Może jest twoim przeznaczeniem?

Atro uchylił powieki.

- Za dużo się naczytałeś kiepskiej literatury - odparł.

- Mnie są przeznaczone pieniądze za jej uratowanie.

Pęd powietrza rozmył śmiech Giserouxa w szumie fal. Z oddali dobiegł ich huk walących się murów. Przed nimi zarysowywał się brzeg lądu.

Gdzieś tam, w czeluściach, przyczał się smok.

Giseroux oparł się na lasce i zapatrzył w głąb ciemności panujących w smoczej jamie.

- Jak trzeba, to trzeba. - Atro oparł miecz o ramię. Podeszli do wejścia.

- Ty pierwszy - uśmiechnął się czarodziej. Bohater przekroczył próg i pociągnął nosem.

- Czujesz? - spytał.

- Naleśniki.

Smok czekał zwinięty w kłębek z ogonem oplatającym łapy. Oczy miał zmrużone. Od czasu do czasu dmuchał, by podsycić ogień na palenisku, z którego rozchodził się zapach smażonych naleśników. Księżniczka w fartuszu wysadzonym rubinami kręciła się w pobliżu z patelnią i chochłą.

Bohater i czarodziej stali w wejściu i patrzyli.

- Siadajcie. Zaraz będą gotowe - powiedziała.

- Z domowymi konfiturami - dodał smok i cicho zamruczał. Bohater i czarodziej nawet nie drgnęli. Byli już w kilku smoczych jamach. I zawsze wyglądało to inaczej.

- No, przedziutko - pospieszyła ich Alma. - Zdążycie jeszcze umyć ręce przed jedzeniem.

Giseroux miał nieprzepartą ochotę upewnić się, że to oni będą jedli, a nie inaczej.

Księżniczka pędziła już z talerzami i sztućcami.

- Nie będzie wam chyba przeszkadzać srebrna zastawa i złoty stół. Chciałam to jakoś dobrać, ale tu jest tyle złomu, że trudno się przez to wszystko przekopać.

Bohater i czarodziej nic nie powiedzieli, tylko poszli umyć ręce. Smok uśmiechnął się i przewrócił na grzbiet.

Naleśniki, domowe konfitury i wino sprzed trzech stuleci, o którym smok przypominał sobie, że kiedyś je schował w piwniczce, okazały się skutecznymi sposobami na spacyfikowanie niedoszłych smokobójców.

Atro pomyślał, że w tym stanie mógłby umrzeć. Giseroux beknął z przejedzenia.

- No, tak - powiedział smok, patrząc za księżniczką, która odnosiła talerze do zmywania. - Może to nie jest wielka miłość, ale ona fenomenalnie gotuje, a mnie się przyda kobieca ręka w gospodarstwie. Szczególnie, że do tej pory wszystkie zjadałem.

- A ona? - spytał czarodziej.

- Przecież nie chce wracać do domu. Do tego jeszcze tu jest mnóstwo złotej biżuterii. A poza tym - smok ściszył głos i konfidencko przymknął jedno oko - wydaje mi się, że ona mnie odrobinę polubiła.

Giseroux i Atro spojrzeli po sobie.

- No - dodał smok. - Chyba nie macie pretensji o tę nieszczęsną wieżę. Nie miałem pojęcia, że ktoś został w środku. Atro chrząknął. Smok uśmiechnął się.

- Oczywiście, pokrywam koszty leczenia i uiszcze trzykrotną sumę wynagrodzenia, które otrzymalibyście za doprowadzenie jej do domu - powiedział.

Atro wyszczerzył zęby. Giseroux uniósł kielich w kierunku smoka.

- Niech was wszyscy diabli - powiedział herszt wikingów do wodza orków, gdy tak stali na wzgórzu i obserwowali dymiące się resztki twierdzy.

- Mogliście się poddać - odparł wódz orków.

Któryś ze zgromadzonych z tyłu orków chrząknął cicho.

- No, to chyba wyrównaliśmy te nieporozumienia historyczne.

Wódz odwrócił się.

- Zamknąć się i naprzód marsz!

I wśród mżącego deszczu orkowie zawrócili i odeszli do lasu. A wikingowie stali i patrzyli, jak ruiny pozostałe z ich twierdzy dogasają, cicho sycząc. Potem poszli poszukać noclegu w korzeniach drzew.

Słońce zachodziło, okrywając świat przedwieczną purpurą.

- Knajpka z tanim piwem? Niezły pomysł - przyznał czarodziej.

- I będę też podawał takie małe kanapeczki ze świeżym ogórkiem.

- Czyste serwetki.

- Bezpłatne toalety.

- I żadnych goblinów.

- I żadnych goblinów. - Bohater oparł miecz o ramię. Cienie rozmywały się w zapadającym mroku. Przystanęli na rozdrożu.

- To do następnego smoka, Giseroux.

- Do następnego, Atro.

Ostatnie promienie rozświetliły karmazynem splecione w uścisku dłonie. Potem dwie otulone nocą postacie rozeszły się na wyboistej drodze.

Królewski krokodyl wsunął się do sadzawki i przepłynął między szerokimi liśćmi nenufaru. Potem zastygł, zamknął oczy i niczym się już nie odróżniał w upstrzonej wodorostami wodzie.

- Nikt mi nie uwierzy, gdy opowiem, gdzie byłem - pomyślał, nim zapadł w krokodyli sen.

Paweł Dębek

KOŚĆ NIEZGODY

Szli przez ciemny park. Szczeniacką radość sprawiało im przecinanie trawnika wbrew regułom ścieżek. Kroczyli szybkim, pewnym krokiem, pozwalając, by wiatr wypełniał wnętrza ich płaszczy czerwonymi liśćmi i zapachem ziemi. Pałac o tysiącu okien wabił ich dźwiękami muzyki i śmiechem kobiet. Wysoko, ponad linią drzew, zaplątany w najwyższe gałęzie widniał księżyc pełen zawilej geografii kraterów i odległych gór. Ze zwalonego pnia można było swobodnie spojrzeć w niebo pocięte chmurami jak siatką.

- Dziś wszyscy ludzie na ziemi patrzą w środek tęsknoty - Piotr zaśmiał się z tej analogii.

- Nie. Dziś jest Noc Krzyżowa. Dusze zmarłych patrzą na nas - Igor zagryzł gwałtownie wargi. Coś niezwykle smutnego kasało mu duszę. Coś ukryło się w brzuchu i łaskotało przeponę. Skowyt był blisko gardła.

Hrabina sama otworzyła gościom drzwi.

- Igorze Iwanowiczu, proszę pokazać nam swoją ranę. Jej głos był ciepły niczym oddech.

- Proszę odwiedzić nas znowu.

Przyjaciółki hrabiny nawet po nieprzespanej nocy wyglądały pięknie.

- Och, to wręcz pewne.

Oczy Igora były wąskie od pożądania. Hrabina nie odrywała od niego wzroku.

- Niech pan o nas nie zapomina - powiedziała, podając Piotrowi dłoń na pożegnanie. Ale zdanie to było przeznaczone dla kogoś innego. Odprowadziła ich pod same drzwi. Jej dłoń na klamce była szara w porannym świetle, mała i zwinna jak salamandra. Pełna płamek i wijących się linii.

Drzwi zamknęły się cicho. Spowity szarością park wchłonał ich w siebie jak morze. Szli z wolna, noga za nogą, dając się prowadzić wytyczonym alejkom. W chwili, gdy uśpiony pałac zniknął za drzewami, Igor krzyknął głośno i rzucił się przyjacielowi na szyję.

- Miałem ją! Miałem ją! - krzyczał na całe gardło. - Podarowano mi ją, bym trzymał ją w ramionach! Bym pochłaniał każdy jej oddech...

- Brawo, brawo. Ale nie opowiadaj mi o tym, jeśli łaska. Dżentelmeni tak nie postępują...

- Ach, co ty wiesz, co wypada! Ona jest... Och, co ty wiesz...

Krzycząc, szarpał go za poły płaszcza. Nagle wyprężył się gwałtownie. Jego twarz nabrała głębokiej czerwonej barwy. Odwrócił się w kierunku wiatru tak gwałtownie, że podmuch prawie odebrał mu równowagę. Stał tak chwilę, całym sobą chłonąc

falującą masę powietrza, po czym niespodziewanie pobiegł w głąb grupy drzew o statecznie rozkołysanych konarach.

Piotr został sam na zwirowej alejce. Chłód poranka brał z wolna w posiadanie jego ciało. Na przekór bezczynności i aurze postanowił zapalić cygaro. Wraz z cierpkim aromatem dymu i cząsteczkami powietrza zaczęły wdzierać się do jego serca niesmak i zakłopotanie. Taniec na stole przy dźwiękach tłuczonej porcelany. Polewanie gości z ustawionych wokół sali cebrzyków z wódką. Gwizdy, wrzaski, wir kobiecych ciał. Piotr miał do siebie żal, że jego przyziemna starobojarska dusza opoja i awanturnika budziła się nieustannie wraz z zapachem rosyjskiej wódki. Połamany klawikord. Płaskorzeźba w boazerii korytarza wykonana topornie halabardą. Twarz hrabiny w rozjaśnionym kwadracie drzwi. Jej ciało drżące od porannego chłodu. Jej ciało...

Piotr gwałtownie zdusił cygaro. Jej ciało... *Co tu nie pasuje?... Czuł, że oto wyobraźnia płata mu figla. Odbłyski wspomnień nie dawały się złożyć. Były podobne, ale oddzielne - jak dłonie. Co tu jest obce?... Twarz hrabiny; zgrzyt zamykanych drzwi. Koronka peniuaru opadająca szybko jak kropla. Co jest w tym obce? Linia osuwającej się koronki. Łuk szyi. Salamandra dłoni. Gdzie tu jest fałsz? Biała skóra pełna przebarwień i rys srebrzystych od świeżej krwi. Powyżej linii nadgarstka lśni czerwona plamka, elipsoidalna jak prawo Keplera. Tętniąca świeżością. O nierównych brzegach. Drobną niczym ludzkie usta...*

Obrazy zawirowały i uderzyły w Piotra równocześnie z nadchodzącym wiatrem. Zrozumienie ciemniejsze niż potop. Biegł jak szalony. Kasztany kołysały się majestatycznie jak starcy.

Igor leżał na boku. Jego oddech był przerywany i krótki jak po olbrzymim wysiłku. Z początku sądził, że to może nagły skurcz lub niedowład mięśni. Świadczyć o tym mogła plama na linii pachwin ciemniejąca gwałtownie z tyłu nóg. Potem dopiero zobaczył dłonie umazane uryną. Tuż nad linią ucha ciągnęła się cuchnąca jasnożółta linia ekskrementu.

Jego twarz była pełna błogości. Śmierć umysłu nadeszła szybko. Spomiędzy rozchylonych warg kapła ślina i krew. Strach, iż chłopak przegryzł sobie język popchnęła Piotra do przodu. Kiedy się pochylił, powstrzymując wymioty, zobaczył nieregularność kałuży, sinej od krwi. Wąski strumyczek posoki łączył ją z nienaturalnie wygiętym ciałem zającą. Zwierzę miało oderwane skoki i rozszarpany brzuch.

- Igor - powiedział cicho Piotr.

Leżący podniósł głowę i popatrzył na stojącego mężczyznę. W jego oczach nie było śladu

człowieczeństwa. Gwałtowny krzyk poderwał do lotu chmury ptaków.

Stary monastyr, pełen krzyków szaleńców i zrujnowanych hazardzystów, przyjął łaskawie obłąd młodego pana. Przewieziono go nocą przez rozkołysaną powierzchnię jeziora Ładoga. Trzeba było odczekać, aż skończy się pełnia. Dopóki lśnił księżyc, wyciu Igora wtórowały psy z całej okolicy.

W monastyrze wprawnie zajęto się chorym. Pozwalano mu jeść z miski, czochrać się za uszami i obsikiwać ściany. Bieg na czworakach odpadał, gdyż pomieszczenie było tak małe, że każdy gwałtowniejszy ruch groził okaleczeniem. W tej kamiennej trumnie, z wąskim otworem okiennym i jeszcze węższą szparą do podawania posiłków, chory miał szansę samotnej rewizji swej natury. Z początku każdy z zamkniętych rzucał się i wił zgodnie z impulsami nowego ducha.

Ale im większa była ich złość, tym bardziej obłąd połyskliwych od wilgoci ścian dawała o sobie znać. Wielu walczyło w tym miejscu z duchami. Wielu opuściło na zawsze. Rodziny rzadko kiedy zgłaszały się po ciała. Grzebano je razem w krypcie cmentarnej kaplicy. U innych natomiast żądza życia przyćmiewała wołanie duszy. Uspokajali się więc i gaśli w sobie. Wraz z tym spokojem wracała częściowa świadomość. Ich nagła pokora była bardziej służalcza niż szczerza. Pokurczone cierpieniem ciała wołały o litość.

Piotr odwiedzał przyjaciela w każdą środę. Z racji postu nie odbywały się wówczas oficjalne bale, a tych wyprawianych pokątnie nie śmiał odwiedzać bez przyjaciela. Poprzez jasną plamę wizjera starał się odnaleźć w leżącym ciele cień tamtego człowieka.

Ojciec Dymitr poświęcał swój cenny czas najciekawszym przypadkom.

- Ile dni po... zabiegu, miało to miejsce?
- Dni?! To już dziesięć miesięcy!
- Święta Matka Kościół ostrzegła was.
- Ugiął się przecież.

- Niezbyt szybko. Być może jego ciało. Ale nie duch. Stąd ten dziwny stan. Czy w tym czasie... po zabiegu...

- Nie, nic zupełnie! Był normalny. Gdy się spił, śpiewał sprośne piosenki i tańczył na parapetach okien. Wymiotował, kiedy wypił za dużo i jak zawsze odgrażał się, że może więcej. Chadzał do cerkwi, flirtował z pannami, był wiemy carowi. Czegóż ojciec chce więcej?!

- A na ćwiczeniach?

- Strzelał, fechtował i śmiał się bardzo głośno. Może tylko częściej wpadał w euforię, by potem płakać jak dziecko. Ale tak czasem jest.

- Czy miewał jakieś wizje?

- Nie, żadnych małych zwierzątek, potworów czy innych takich. Tylko te nagłe wahania nastroju... No i bały się go konie. I wszystkie psy obwąchiwały jak swojego...

- A rana? Jak się goiła?

- Szybko i wyjątkowo czysto. Więcej z nią było kłopotu niż, gdy tkwił w niej jeszcze...

- Czemu w ogóle pozwolono?...

- Bo krwawił niezwykle mocno, a mózgu można było dotknąć palcami. To była jedyna szansa. A ten lekarz znał się na rzeczy doskonale. Ciągłe przestawiał jakieś kawałki kości. Nie było czasu na złote płytki. A to było pod ręką... Dzięki temu żyje.

- Car powinien zakazać pojedynków.

- Car powinien być dumny z waleczności swojej szlachty. Strzelali równocześnie. Tamtego nawet nie drasnęło. Tylko Igora... Można było w ranę włożyć całą pięść. Lekarz pojawił się w najlepszym momencie.

- Może to się stało wtedy.

- Ale to niemożliwe, by od tego... To tylko kawałek psiej kości! Przecież...

- Nie, to najzwyczajniejszy obłąd. Aż nadklasyczny. Szaleństwo jest pewnym rodzajem ucieczki. Zaryzykuję tezę, że w tym wypadku zamierzonej. On się czegoś boi. Przed czymś ucieka...

- Wierzyciele? Długi? To zbyt banalne!

- Banal jest zawsze niebezpiecznie bliski rzeczywistości. Ale tym razem nie chodzi o pieniądze. Poświęcił swój umysł dla czegoś więcej.

- Cóż jest cenniejsze od świadomości życia? Od cara, Boga, honoru?

- To, co nas przeżyje. Nasza dusza.

- Więc nie ma dla niego nadziei?

- Są różne rodzaje szaleńców, ale ten jest najgorszy. Proszę go często wspominać. Wątpię, czy jeszcze kiedykolwiek upijecie się razem. I jeszcze jedno: czy jesteście pewni, Piotrze Fiodorowiczu, że tamtą kość usunięto?

- Zaraz po interwencji Kościoła.

- Jesteście pewni?!

- Na Boga, przecież ojciec sam w to nie wierzy!

- Nie wierzę, ale sprawdzam. Jeśli nastąpi jakaś zmiana, zawiadomię was.

Wczoraj znów ją widziałem. Stałą bliżej niż poprzednio. Tuż przy skraju drogi. Białe strzępy rękawów wiatr owijał wokół jej ramion i twarzy. Wyglądała jak biały płomień, albo mgła. Albo ten z aniołów, który patrzy na ciebie surowo z ciemności nocy. Szelest jego błoniastych skrzydeł wprawia w dygot sieć umysłu.

Tanatos tak mało różni się od szatana.

Dom był pełen ludzi. Stał bezradny między setkami kufrów, pudeł, przewróconych etażerek i komód o powykręcanych nogach. Lawirując pomiędzy tłumem lokajów o nieprzeniknionych twarzach nałogowych plotkarzy, dotarł w końcu do biblioteki. Wysoko, tuż

pod sufitem, u szczytu ścian karbowanych od książek, drżała jasna plama sukienki.

- Pierre...

Izabela zeszła szybko po stromiznie schodków. Nigdy nie potrafił zrozumieć, jak osoba tak efemerycznie związana z rzeczywistością mogła zostać żoną Igora.

- Wiedziałem, że panią tu znajdę.

Jej dłoń pachniała kurzem, wilgocią książek i akacją. Odetchnął, gdy zza regałów wyłoniły się dwie pokojówki uzbrojone w miotłki do odkurzania.

- Cieszę się, że to właśnie pan zaopiekował się Igorem, zaraz po tym... wydarzeniu. Wkrótce jego rodzice sami wyrażą panu swoją wdzięczność.

- Wracają do miasta?

- Tak, ale nie do tego domu. Znalezione już kupca. Jakiś bogaty angielski arystokrata. Chciałabym, by zaznał tu więcej szczęścia niż my. - Podniosła nagle głowę. Pokojówki pucowały książki tuż obok Izabeli. Tam oczywiście jest najwięcej kurzu. - Jak on się czuje?

- Nie była tam pani? - spytał. *Czemuż one sobie nie pójdą?!*

- Nie wpuszczono mnie. Tak zdecydował ten mnich. Są chwile... wtedy wykrzykuje moje imię. Podobno to gorsze niż kiedy wyje. Obawiam się... Boję się, żeby w ostatecznym rachunku nie obarczono mnie winą za jego upadek.

Cisza stawiała się bardziej kępująca od słów.

- Sprzedaje pani wszystko? - zmienił temat. *O czymś, na Boga, trzeba rozmawiać.*

- Nie, meble i porcelanę zabieram do nas. A także książki. - Przesunęła palcami po ich grzbietach. - Ktoś musi się nimi zająć. Igor nie przepadał za klasyką. Chciałabym, żeby pan uprzątnął jego dokumenty. Ja, do pewnego stopnia, nie mam prawa.

- Jest pani jego żoną.

Pokojówki ostentacyjnie trzasnęły drzwiami.

- Myślę, że pan najlepiej wie, jak układały się moje stosunki z Igorem Piotrowiczem. Tak naprawdę nic o nim nie wiem. I wolę, żeby tak zostało.

- Dlaczego?

- Być może pod maską hulaki i utracjusza krył się bardzo wartościowy człowiek. Przeglądając jego papiery, mogłabym ujrzeć zupełnie innego mężczyznę: wielki umysł albo jeszcze większą pychę. W obu przypadkach byłoby mi przykro, że nawet nie próbowałam dostrzec prawdy.

Pukiel włosów zasłonił na moment jej twarz.

- Prawdę o nim zna tylko on sam. Może trochę ty. Chciałabym, żebyś przejrzał jego dokumenty.

- Za dwa dni wyjeżdżam do Moskwy.

- Zostań więc na noc.

Dla świata Igor był już martwy. Sprzedano jego konie, rozdano psy, opłacono kochanki. Jego broń w obłych skrzyniach czekała lepszych czasów, a weksle

zastawne natarczywych wierzycieli. Teraz segregowano jego notatki i dokumenty, odbierając mu ostatnią tajemnicę życia osobistego. Pozostawiony z całym bogactwem wyznań i zapewnień, Piotr czuł się podwójnym intruzem. Nie lubił cudzych gabinetów, zapachów obcych domów, kolorów nie swoich listów. Czuł się jak złodziej. Zwłaszcza tu. Zegar bił obojętnie północ, ogień kominka pochłaniał czyjeś dowody przywiązania. Segregował je machinalnie, jak przypadkowy przechodzień. Weksle, dokumenty, notatki, ciemna kreska szkiców, przestrzenie rysunków... Bał się własnych myśli. Dziennik i osobiste notatki postanowił zabrać ze sobą do Moskwy.

Moskwa. Znowu wszystko będzie jak dawniej. Zobaczy rodziców, Natalię i tego jej śmiesznego narzeczonego. Trzeba będzie z nią poważnie porozmawiać. Zaczną się znowu wizyty u przyjaciół z dzieciństwa. Będzie regularnie spał i spożywał posiłki w gronie rodziny. Świat, jak niegdyś, będzie uregulowaną falą czasu, pełną rodzinnych obiadów i towarzyskich herbatek. Świt będzie witał bez bólu głowy, a wieczór nie będzie już ciężki od oparów wódki. Odzyska Natalię. To więcej niż pewne. Znowu będzie jej mówił "Taniu" i patrzył, jak się czerwieni od jego szeptu. Niedługo świat będzie znowu regularny jak sztachety płotu. Zniknie ból głowy i niesmak w ustach. Każda z rzeczy wróci na swoje miejsce. Znowu będzie dobrym człowiekiem.

Dwa pokoje dalej spała Izabela. Jej uśpiony oddech przenikał granice ścian i ostrokół boazerii, wnikał w ruchliwość ognia, w czerwień aksamitnych kotar, mieszał się z kurzem starych papierów, napelniał drżeniem dłonie. Otworzył szeroko okno. Moskwa, rodzice. Tania. Dobrze, stateczne życie. Powietrze zrobiło się kłujące od mrozu. Aksamit zasłon miękki jak kobieca skóra. Może spadnie śnieg... Mróz mrużył mu powieki. W Moskwie wszystko będzie inaczej. Zamknął z trzaskiem okno. Ostatni podmuch wiatru zakotyłał ogniem świec. Spakował wszystkie notatki do kuferka. Dylizanse tak się wloką. Listy zostawi. Nie, zabierze ze sobą. W Moskwie... Weksle... Wszystko po staremu...

Kiedy szedł korytarzem, słyszał tylko puls krwi. W skroniach tańczyły mu płomyki świec. Nacisnął klamkę. Zapach jaśminu odebrał mu oddech.

- Myślałam, że nigdy nie przyjdiesz...

Nad ranem spadł śnieg.

Dziś stała jeszcze bliżej. Za każdym razem jej głos staje się wyższy i ostrzejszy niż mizerykordia.

Chodzi za mną. Śledzi mnie. Jest ze mną zawsze. Nawet, gdy jestem wśród ludzi. Zwłaszcza, gdy jestem wśród ludzi.

Moskwa to przede wszystkim spotkanie. Dziś na przykład u matki Igora. W składaniu kondolencji rodzice Piotra przepuszczają Natalię wspartą na ramieniu narzeczonego Michała Iwanowicza Reńskiego, kolonialnego kupca. Natalia ma na sobie niebieską suknię. W tym samym kolorze co wtedy, w Petersburgu. Nie patrzy w stronę wchodzących. Piotr zostaje nagle sam przy kanapie starszej pani; Suchość ust. Dłoń matki Igora przypomina w jednej chwili wspólnotę minionego dzieciństwa. Banalna rozmowa zbacza na niebezpieczne tematy. Sprzedawca zboża pochyla się nad karkiem Tani. Jej oczy lśnią od śmiechu,

- To znaczy, że nie ma już nadziei?

- A cóż to jest nadzieja? Może porzuci kiedyś swoje nowe wcielenie i powróci do rzeczywistości. Ale czy po pobycie w tamtym miejscu, przypominającym cmentarz, można być jeszcze dobrym człowiekiem? Tamten klasztor to nekropolis żywych. Nie potrzeba wiele, by w nim oszaleć ze strachu.

Dłoń Michała Iwanowicza pełźnie wzdłuż błękitnego rękawa.

- Poszłam tam tylko raz. Zapach ludzkiego strachu i niemal namacalne okrucieństwo. Tam lepiej być wariatem niż trzeźwym na umyśle. Ściany drżą od ludzkich krzyków i westchnień, żyją cierpieniem więźniów. A jeśli my, ludzie normalni, potrafimy to wyczuć, cóż dopiero ci, których Bóg pokarał nadwrażliwością zmysłów?

- Czemu go panistamtąd nie zabierze? Ramiona Tanii drżą od śmiechu. Jej oczy unikają wzroku Piotra.

- Proszę o to spytać Izabelę.

- Słucham?

W odpowiedzi podała mu odpis dokumentu, stwierdzającego wyraźnie, że kapitan kawalerii Igor Piotrowicz Goroncow ma pozostać w monasterze św. Cyryla aż do całkowitego wyzdrowienia. Decyzję o jego zwolnieniu podjąć muszą jednomyślnie ojciec Dymitr, matka chorego i żona Izabela.

- Jutro wracam do Sankt Petersburga.

- Niech pan ją zapyta, czemu nie zgadza się go wypuścić. Natalia odprowadziła narzeczonego do wyjścia. Jego usta na przegubie jej dłoni. Jej palce w pieścizocie dotyku.

- Myśli pani, że mi odpowie?

- Zawsze bardzo pana lubiła. Czasem nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że nawet za bardzo.

- Będę o tym pamiętał.

Matka gestem przywołała Piotra.

- Odwieź, proszę, naszą drogą kuzynkę do domu. Oczy Natalii zimne jak woda.

- Z największą przyjemnością.

Jest teraz blisko. Tak blisko, że chłód jej rzęs poraża mnie strachem. Jest tuż przy mnie. Przejmuje ze mnie każdy gest i każdą manierę. Któż wie, ile już ma ze mnie? Któż wie, ile mam już z niej?

Salva me ab arę leonis.

Tylko Ty wiesz, jak jest naprawdę.

Tania siedzi przy biurku. Jej łokcie opierają się na stromej krzywiźnie blatu.

Jak to się stało, że wcześniej tego nie zauważył? Jak mógł ująć jego uwadze ten delikatny ruch głowy, gdy zaskakiwano ją pytaniem? Jak do tej pory mogło nie urzec go to nerwowe splatanie dłoni?...

Przecież dostrzegał kiedyś to wszystko: jej spokój i wybuchowość, zagryzanie ust i marszczenie brwi. Znał układ jej dłoni na blacie stołu i tajemniczą krzywiźnie karku ponad szelestem kartek. *Co się dzieje? Chciałem ją tylko odzyskać, me chciałem się zakochiwać.*

Potrafił ranić ją swoją obojętnością i śmiać się gardłowo w towarzystwie innych kobiet lub patrzeć im słodko w oczy, gdy jej źrenice zwężyły się w bólu. Zadali sobie tyle razów i uderzeń. To miał być już koniec. Ostatnia rozgrywka, by nabrać pewności... Co mam zrobić? *Co mam zrobić, żebyś wróciła? Co mam ci powiedzieć...*

- Muszę wracać do Sankt Petersburga. Skurcz jej twarzy jest ledwo wyczuwalny.

- Może to i lepiej. Michał Iwanowicz niezbyt cię polubił. Może to go trochę uspokoi... - Jej głos urywa się jak koraliki. Piotr pada na kolana.

- Taniu, czy nic się nie zmieniło?

- To zależy od ciebie.

Muślin jej sukienki zielony niczym woda...

-Ja? Ja nie wiem...

- A kiedy będziesz wiedział?

- Nie wiem...

Podrywa głowę gwałtownie, jakby ją uderzono w twarz.

- Więc ja też nie wiem.

- Taniu, ja... Proszę, nie wychodź. Spróbuj mnie zrozumieć! Boże, nie wychodź w ten sposób! Kiedy się znowu zobaczymy?

Jej twarz jest biała od gniewu.

- Kiedy nareszcie wydorosłesz. Musisz wiedzieć, czego chcesz. Nikt za ciebie nie ustawi twojego losu. Bierność już zniszczyła życie Igora, Teraz czeka na ciebie. - Odwraca się jeszcze w drzwiach. - I na Boga, Piotrze... A z resztą... To już i tak nie ma żadnego znaczenia... Niczego już ode mnie nie oczekuj.

Dziś stała przede mną. Pojawiła się w samym centrum zabawy. Jej łachmany oplatały mi szyję. Jej głos zagarnął mój umysł. Krzyknąłem: "Czego chcesz?". Pasma włosów jak witki topielca zasłaniały jej twarz. Próbowalem ją odepchnąć, ale im bardziej się bronilem, tym bardziej zapadałem się w sieć szarych od poranka strzępów materii. Strach ścisnął mi skronie, dławiał krzyk i myśli. Strach. Strach. Tylko to.

Uderzyłem ją na odlew w twarz. Mara prysła.

Leżałem sam pośrodku stołu pełnego butelek i na wpół wypełnionych kieliszków.

Sufit wędrował wahadłowym ruchem to w dół, to w górę. Byłem słaby jak dziecko. Zdradziło mnie nawet to, w czym złożyłem nadzieję.

Prawda kryła się w tych kartkach. Gdzieś w płataninie próbek, kobiecych kształtów i komplikacji wzorów mieszkało rozwiązanie.

Bał się tego, co ma nastąpić. Blask świec wciskał się w mrok monasteru świętego Cyryla. Zapiski Igora piętrzyły się całymi stosami na płaszczyźnie dywanu. Rysunki, listy, notatki. Projekty maszyn i sprośne wierszyki. Aż dziw brał, że w tej głowie przesiąkniętej oparami wódki kryło się -prócz zwykłych świństw i fantazji - tyle wyobraźni. Muzy kochają spirytus. Wszystkie myśli Igora oscylowały wokół jednego tematu. O, tu na przykład, z płataniny rurek i retort wyłania się profil kobiecego ciała. Projekt maszyny rolniczej, czuły list do kochanki, próba uregulowania Newy, receptura maści na szkorbut, szkic protezy ludzkiej dłoni i cała kolekcja erotyków. Tylko ktoś szalony to zrozumie. Tylko ktoś szalony to odczyta. Pamiętnik. Czerń aksamitu kryje ciepło ludzkich przeżyć. Bez względu na odkrytą prawdę należy pozostać sprawiedliwym.

Czytał do rana. Dzwony porannej mszy zastały go w mroku klasztornej rozmównicy. Ojciec Dymitr siadł obok.

- Ma ojciec rację. On był szalony od samego początku. Jeszcze przed tamtym przyjęciem, jeszcze przed pojedyńkiem. Ojciec wie, o co on się pojedyńkował?...

- Owszem, wiem.

- Ale...

- Całe życie spędziłem z obłąkanymi. Nie sądź, że on jest pierwszy. Dar pisania powstał w cieniu wieży Babel. Z zapisków poprzedników znam podobne przypadki. Reszta to obserwacja i studiowanie jego notatek.

- Nie uwierzę, że...

- A jednak... Mieliliśmy rację: jego choroba jest ucieczką.

- Przed czym?

- Przed zatraceniem siebie w herezji kultywowanej przez żonę.

- Twierdzi ksiądz, że ona jest wiedźmą?!

- Nie do końca. Izabela należy do sekty Ludzi Sznura. Wierzą oni, że dusza ludzka jest mozaiką istnień przodków. Dziecko rodzi się z czystą własną duszą, ale gdzieś na samym dnie śpią cicho przydawki pokoleń. Z tego czerpiemy całą wiedzę: z implikacji poprzednich doświadczeń. To tłumaczy znajomość miejsc, w których jesteśmy po raz pierwszy, a także bardziej złożone zagadnienia, ekspansję społeczeństw i dążenie do doskonałości. Oni wierzą, że przez systematyczną pracę nad sobą można rozpoznać liczbę

tych składowych i w ten sposób zrozumieć najgłębszą przeszłość. Izabela poszła jeszcze dalej. Rozpoznała już większość z tego spektrum i nauczyła się nad tym panować. Może więc być, kim chce, jakkolwiek postacią ze swojego rodu, który sięga aż do... irlandzkiej heraldyki. Wybrała naprawdę niezwykle wcielenie.

Ojciec Dymitr przyjrzał się Piotrowi z natarczywą przenikliwością.

- Banshee. To celtycki demon, który wyczuwając śmierć, krzyczy przeraźliwie, aby ją odstraszyć, gdyż musi być pierwszy. Zanim umrzesz, pragnie dotknąć twojej pamięci, twojego wnętrza, twojej niepowtarzalności. Karmi się nią. Dzięki temu może tak wiele. Leczy, uzdrawia, choć nie bezpośrednio, zawsze przez kogoś...

- Nie rozumiem.

- Nie jest topornym pogańskim upiorem. Jest cywilizowaną strzygą. Wiele może, wiele potrzebuje.

- Potrzebuje? Czego?

- Pożywki.

- Jak wampir?

- Poniekąd. Igor szybko pojął, kim jest jego prześladowczym. Dlatego schronił się w kryjówece obłądu. Dopóki jest wariatem, nic mu nie grozi. Szaleństwo jest czymś poza duszą. To wieko nad inną rzeczywistością. Dopóki jest kimś innym... czymś innym, nic mu nie grozi.

- Ale to tylko kobieta! Słaba, delikatna kobieta.

- Tak, kobieta, ale słabość nie jest jej domeną. Mówią o niej Pani Sznura. Potrafi komunikować się z każdym z wymiarów. Ona jest jakby poza naszym światem, poza naszym rozumieniem, na przecięciu wielu kultur.

- Czy jest coś poza tym wszystkim? - wyszeptał Piotr drżącymi wargami.

- Tak. Bóg.

- Czemu ksiądz mi to mówi?

- Bo możesz położyć temu kres.

W świetle wizjera jego postać wydawała się jeszcze bardziej godna litości niż to zachował w pamięci.

Pomóż mi. Powiedz. Ty przecież wiesz. Przecież to nieprawda. To nie może być tak, jak oni mówią...

Nagle chory rzucił się do przodu. Przywarł do drzwi. Twarze przyjaciół rozdzielała teraz tylko krata.

- Nie pozwól... - Szept ześlizgnął się po wilgoci ścian. Piotr przycisnął twarz do przegowanego światła.

- Co powiedziałeś?!

Twarz Igora była znów obojętna i nieporuszona.

Późnym popołudniem posłaniec przyniósł wiadomość. Podczas rutynowej kontroli cel Igor uciekł, ciężko raniąc strażników i swego pielęgniarza. Poszarpane arterie szyjne nie wróżyły im długiego

życia. Trop zbiega gubił się w trzcinach jeziora. Psy odmawiały pomocy. Ich obojętny skowyt wędrował pomiędzy taflą wody a pełnią wstającego księżyca.

Piotr siedział sam w pustym gabinecie. Jego sprawy nie wymagały aż tylu zabiegów. Cokolwiek się zdarzy - będą wiedzieć. Napisał wiele listów. Przeglądał je tylko chwilę. Opadały w ogień łagodnie jak ćmy. Przesunął palcami wzdłuż krawędzi ostatniego. Może liczy się tylko to. Może.

Zadzwonił po służącego.

- Proszę to nadać jutrzejszą pocztą.

- Ależ panna Natalia jest już w Petersburgu!

- Więc proszę jej to zanieść. Nawet jeszcze dzisiaj. Niczego już nie zmienimy.

Służący skłonił się i odszedł.

Piotr odwrócił się ostatni raz. Pokój pachniał stateczną obojętnością.

Na zewnątrz było już ciemno. Szedł zatopiony w myślach, kierując się w stronę pałacu. Mróz zamrażał kropelki śliny na wargach. Nozdrza wypuszczały kłęby pary.

Jeszcze tylko jeden zakręt...

Fronton pałacu tonął w mroku. Pistolet zostawił na progu. To i tak nie miało znaczenia.

Pamiętał rozkład korytarzy. Pamiętał chłód kłamki. Siedziała przy stole. Jak uczestnik partii wista. Kilka kroków dalej, w cieple kominka, przeżył się bezgłośnie ludzki pies.

Oboje uśmiechnęli się na jego widok. Usiadł tyłem do drzwi niczym trzecia osoba dramatu.

- Czy to przez tamtą kość? - zapytał bez zbędnych formalności.

Uśmiech Izabeli odsłonił jej różowe dziąsła.

- Owszem, z jej pomocą. Ale nie za jej sprawą. Trochę tamtego fetysza przeciekło do duszy Igora, zresztą na jego życzenie. To taka wymiana między gatunkami. Prezent przyjaźni od jego ulubieńców. Ten medyk, który kurował Igora, podał mu na moją prośbę pewien specyfik...

- Maść z belladonną, rozmarynem i macierzanką. Przeglądałem notatki Igora.

- Te zioła wywołują wrażenie lotu. Szybowania niczym ptak. To wyzwala marzenia o niedostępnym. Chciałam mu pomóc, oszukać śmierć, by go zatrzymać. Dać mu ostatnią szansę. Nie ma dzieci, więc jedyną szansą, by jego myśli wędrowały dalej jest przejęcie jego pamięci. Moja wola wciąż jest otwarta, wciąż czeka. Już prawie był we mnie. Już go prawie miałam. Ale ten jego głupi opór. I podły egoizm. "Chcę sam, dla mnie, przeze mnie!" Uciekł w obłęd przed nieśmiertelnością.

- Miał do tego prawo.

- A niby kto mu go udzielił?! Nie miał żadnego prawa! Nie żyje się dla siebie, ale dla wszystkiego, co nadchodzi!

- A czym jest to, co nadchodzi? Żyje się tylko dla siebie. Co innym po moim poświęceniu?

- Więcej niż myślisz.

- To sprawy boskie, nie możemy się do nich wtrącać. Ja chcę po prostu spokojnie żyć!

- Tak jak dotychczas? Hulanki i bezieczeństwa?

-Być może...

Oczy Izabeli są pełne goryczy.

- Jesteś zupełnie taki, jak on.

- Czy dlatego wtedy...

- To z tym nie ma nic wspólnego! Izabela chodzi nerwowo po pokoju. Jej dłonie niczym mewy tną ciepło powietrza.

- Igor chce zmieniać rzeczywistość samolubnie. Nie liczy się z potrzebami życia. Robi tylko to, co mu sprawia przyjemność. Dlatego świat stoi w miejscu. Ciągłe ktoś krzyczy:

"eureka" i potyka się o własne nogi, bo to już kiedyś było, ktoś już o tym myślał, tylko trzymał to egoistycznie dla siebie! My chcemy rozkwitu świata. Czerpiemy z tego, co było, żeby kształtować przyszłość. Aby zobaczyć więcej. Czemu nie chcecie tego zrozumieć?

- Bo nie warto. Poza tobą czy mną, nie ma nic.

- O czym ty mówisz?

- Mówię o czasie. Czas skończyć tę rozmowę. Zrozum, że cokolwiek cię opętało, musi odejść. Dla dobra Igora i ciebie samej. Nie utrudniaj mi, proszę...

- To tylko przemijanie. Ja przegrałam. Ale nie jestem najważniejsza. Nie zniszczysz nas. Nie dasz rady. Dopóki są przesady, żyjemy. Poza wymiarem, poza czasem. Będziemy. Zawsze. Jesteśmy pamięcią świata. Bez nas jest tylko jedna droga. Donikąd. - Wzruszyła ramionami. - Jak myślisz, po co on tu przyszedł?... Nie widzisz całości. Stoisz za blisko. Co jest złego w pragnieniu życia na przekór czasom? Czy nie bardziej zgubny jest strach przed niepoznanym?

- Igor kochał tajemnicę - odparł Piotr.

- Igor kochał siebie. Wszystkich oszukał. Teraz ma i ciebie. Ale to twój wybór. On chce końca rzeczywistości, która wymaga poświęceń.

- Kłamiesz.

- Po to cię przyprowadził. Niech się wszystko kończy. On chce umierać dla samego siebie. Nawet jeśli ginie pół świata, on chce umierać według swojego przepisu. To jego pijacka filozofia.

- Czemu go niszczysz?

- Nie obarczaj mnie winą za jego upadek! Jeszcze nie rozumiesz? Ja, ty, jesteśmy tylko pionkami! On gra swoją partię.

Wyważone skrzydło drzwi uderza o podłogę.

- Nie ruszaj się, wiódźmo!

Broń w dłoni Dymitra mierzy wprost w Izabelę.

- Jeszcze ojciec? Nie doceniłam was!

- Milcz! I tak powiedziałaś za dużo!

- Obiecał mi ojciec, że nic się jej nie stanie!

- Powiedz mi Piotrze, jakie to uczucie być zdrajcą?
 - Izabelo, proszę...
 - Niech ojciec strzela. On i tak wygrał. Izabela garbi się jak małe dziecko.
 - To i tak nie już ma sensu - szepcze. - Śmierć. Ona nadchodzi. Jest dookoła.

Niezwykły chłód wciska się każdą szczeliną. Przez próg przelewa się wolno linia niebieskiego światła. Posadzka tli się siecią błękitnych płomyków roztańczonych jak klosz kobiecej sukni. Igor leniwie oblizuje dłonie. Twarz Izabeli niknie w mroku.

- Odwołaj Ją! - głos Dymitra przechodzi w skowyt.
 - Myślisz, że mogę aż tyle? Pozwól, niech mnie zabierze. Wszystko przepadło. Nie ma już dla mnie ocalenia. Dla nas...

- Nie ujdzie ci to bezkarnie - krzyczy mnich w beznadziejnej rozpacz.

Twarz Izabeli blednie, jakby ogarniała ją rozkosz. Niebieskie płomyki drżą niczym deszcz. Charkot dławi słowa. Ogniki skręcają się i rozlewają szerzej.

Niebieski płomień muska buty Dymitra. Ciało zakonnika uderza o posadzkę z głuchym łoskotem.

Piotr wpatruje się w błękitną poświatę, w nieuchronność, w śmierć. "Odeszli" - szepczą pobludłe usta. "Zabrała ich. Jak swoją zgubę". Od kominka pełźnie szary cień.

Jak to możliwe, że wcześniej niczego nie zauważył? Czy dopiero mrok ujawnia ciemność? Za późno - myśli Piotr. Za plecami Igora potężnie zarys głowy wystrzony parą rogów. Jego cień.

- Nie mogłem zrobić tego lepiej. - Na czubkach zębów Igora drżą niteczki światła.

- Więc to wszystko...

- Powinieneś bardziej słuchać kobiet. Przecież to było zbyt proste. Strzyga i diabeł, czyż to nie doskonały związek?

- Jesteś szalony.

- Przeciwnie. Nigdy nie byłem bardziej sobą. Ale co to? Smutek, niesmak? Zawsze byłeś taki uczuciowy. Aż mdliło. Żal ci jej? Jej ideałów, młodego życia? Dokonajmy więc zamiany. Póki ŚMIERĆ tu jest. Dopóki płonie błękit, możesz odwrócić los. Dusza za duszę, to uczciwy układ. Nie bój się, zamiana właścicieli nie zniszczy piramidki istnień. Zanim jednak połączy się ze swoim nowym, ja będę bezpieczny.

- Kim ty jesteś?

- Ja? Jestem grzechem! Nie mową i nie uczynkiem. Jestem zaniechaniem! Znasz mnie dobrze. Jestem częścią ciebie. Dzięki temu pokrewieństwu możesz ich jeszcze uratować. Jego i ją. Nie będą już tacy jak dawniej. Ale będą. O to przecież chodzi.

- Czego chcesz?

- Twojej ofiary. Musisz mi coś dać. Coś, co ci ofiarowano, a nie jest twoją własnością. Pewien akt woli, który otrzymałeś od losu...

- Tania?!-

- Musisz coś poświęcić!
 - To tylko uczucie.
 - To kawałek ludzkiego istnienia. Integralny. Bez niego będziesz niczym. Jak warzywo lub trawa. Ty tego nie chcesz.

- Ją?! Jej nie!
 - Czemu? Przecież jej nie kochasz.
 - Ty nie wiesz, co to miłość.
 - W tym przypominam ciebie.
 - Nie chcę, żeby cierpiała.
 - I tak cierpi. Bardziej bez ciebie, niż z tobą. Jej śmierć to koniec waszej wojny.

- Nie!
 - Ależ tak!
 - Po co ci to?
 - By istnieć. Tak, jak ja chcę.
 - Zniszczę cię.
 - Czemu nie weźmiesz mnie?

- Bo jesteś kłamcą. Ukrywasz prawdę. Nie lubię skorup. Pociąga mnie bardziej pulsujący środek. Twój przypawia o niestrawność. Biedny Piotrze, wszystko cię zawiodło. Przyjaciół okazał się Złym, kochanka wiedźmą. I w dodatku nic nie pojmujesz. Świat się obraca, a ty ciągle stoisz w miejscu. Mija cię wszystko, co najważniejsze.

- To dlatego potrzebowała twojej woli! Chciała cię ochronić przed tobą samym. Chciała cię ocalić, ale ty jak każdy Zły kochasz zatracenie. Więc uciekłeś w obłąd. To jest ta noc. Noc krzyżowania się sił. Jak wtedy w parku. Tylko że dziś masz wszystko, co potrzeba. Siłę Izabeli, nierozwagę Dymitra. Śmierć przygląda się nam z boku. Potrzebne ci tylko moje przyzwolenie. Zabierzesz wtedy najważniejszą część.

- Byłeś dla mnie wyręką, więc cię oświecę. Boję się tylko tego, co wyzwala. Ale na to nie masz już siły.

- Co mam zrobić?
 - To zależy, czego chcesz.
 - Wolności.

- Wyznaj więc prawdę. Tylko ona wyzwala. Pomimo wszystko. Ale ty się nie odważysz. Pomimo wszystko.

Ciepło wiatru. Krzyk czasu. Przekonanie o najważniejszym. Tylko ja. Ja. Nie.

Twarz Igora wykrzywiona kpina. *Gdzie jest to, czemu ufałem? Czym jestem beze mnie samego? Prawda jest we mnie. Tylko ja wiem, jak jest. Chodź. Eksplozja światła i wiatru. Niebieskie płomyki spływają w jedno jak rtęć. Bez prawdy jesteśmy niczym. Prawda jest warta wszystkiego; mojej wolności, dumy, mojej wygody. Żyję już nie ja. Czemu wcześniej tego nie widziałem? Strach przed prawdą nie jest kłamstwem. Jest obojętnością. Nie chcą umierać całą wieczność.* Twarz Igora kamienna od kpiny. *Teraz!* Twarze naprzeciw siebie. *Znam tę twarz. Pamiętasz tamtą podróż?* Odpryski rzeczywistości. Rzymski krajobraz. Szczelina warg, Bocca della Verità. Usta prawdy. Czas zawsze wraca w to samo miejsce. Rozchylone wargi. Palce wewnątrz ludzkiego gardła. Język w dotyku jest miękki jak malina.

- Kłamiesz. Ja wiem. Chcę.
Świat eksplodował.

Ciepły wiatr na jego twarzy.

- Tania?

- To ja. Śpij kochany. Już po wszystkim. Wszystko
spłonęło. Leżałeś daleko od domu. Znalazły cię psy.

- Taniu, ja...

- Tak, wiem.

- Wybacz mi, jeśli możesz. Jak ty mną musisz
gardzić!

- Nie mówmy o tym.

- Ja wiem, już wiem... Pomóż mi!

- Nic... Ja wiem... czego chcesz...

- Poczekaj na mnie...

- Ile będziesz chciał. A co potem?

- Nie ma już potem. Tylko teraz...

- Śpij, proszę.

- Co to za dźwięk?!

- To psy. Odkąd cię znaleziono, nie przestają
skowytać.

Anna Suwała

PRACOWNICY MARKETINGU
BEZPOŚREDNIEGO

- Wstawaj, Grzesiu! - Brutalny głos moich oprawców wyrwał mnie z przyjemnego letargu, w jaki wpadłem po ostatnim, przesadnie mocnym, ciosie. - Myślisz, że będziesz tu się wylegiwał jak na plaży?

- Ja ... - zdołałem tylko tyle wybelkotać, bo spuchnięta warga nie pozwoliła mi na nic więcej.

- Tak, ty cioto! - Szyderczo zaśmiał się jeden z nich, którego z racji wzrostu nazywałem Wysokim (nazywałem go także inaczej, ale nie chcę o tym mówić). - Ty będziesz teraz cierpieć.

- Ale... - powiedziałem tylko tyle, z tych samych powodów co poprzednio.

- Nie ma żadnego "ale", Grzesiu - powiedział drugi, którego z racji swej masy nazwałem Gruby. - To właśnie ty zostałeś przez nas wybrany, to ty jesteś zwiastunem nowego. Właśnie stajesz się apostołem szacunku wobec nas. Po tym, jak cię znajdą, to inni, nauczeni już twoim przykładem, będą tacy, jacy mają być.

- Eee...

- Ojej, Grześ się boi - powiedział trzeci, którego z racji ewidentnej głupoty nazwałem Debielem. - Pokaż nam, jak srasz w gacie. - Podszedł do mnie i kopnął mnie w tyłek. -No, sraj, jak ci mówię!

- Poczekaj, on jeszcze nie ma czym srać, co Grzesiu? Zjadłoby się kielbasę, a może hamburgera?

Kielbaską nazywali rozżarzony pręt, chyba lokówkę, hamburgerem coś na kształt gofrownicy, którą przypalali mnie w różnych częściach ciała.

Nagły zastrzyk adrenaliny, spowodowany wizją tortur, sprawił, że zmożłem się resztką sił na jakieś zrozumiałe słowa.

- Słuchajcie, bydlaki. Nie wiem, po co tu jestem, ani tym bardziej za co, ale mówię wam jedno. Jesteście popierdoleni i...

Reszty nie dokończyłem, bo przerwał mi Gruby. Nie pytajcie jak, bo zapomniałem. Bo musiałem zapomnieć, by żyć. Teraz, gdy to wszystko jest już za mną, zadaję sobie pytanie, czy musiałem doświadczyć czegoś takiego? Gdzie popełniłem błąd? Moja osoba była tak perfekcyjnie zwykła.

Zwykła? Szara twarz i uniform może dobrze oszukiwały otoczenie. Jednak nie ich, oni mnie rozszyfrowali.

Zawsze bowiem uważałem się za lepszego od innych. Po prostu czułem, że góruję nad stadem prowadzonym za nos przez wszelakiego rodzaju media. W szkole jako jedyny czytałem książki, na studia poszedłem nie z ekonomicznego rozsądku, lecz z potrzeby serca. Zostałem urzędnikiem ze stałą średnią pensją, bo chciałem tego. Życie w bohemie, jakie prowadziłem wcześniej, będąc jeszcze nastoletnim

gówniarzem, było ciekawe, ale z czasem kolejne "picie do obłędu", czy rozkosze chaotycznej orgii, zwyczajnie nudzą. Człowiek żyje tam w gruncie rzeczy odcięty od prawdziwego świata, zamykając się w enklawie równie pusto myślących "artystów", co reszta. Stwierdziłem więc, że z dwojga złego wolę "zwykłe" życie. To dopiero będzie wyzwanie - funkcjonować niby w formie szaraczka, równocześnie udowadniając, że i w takim położeniu można być wolnym.

Wynająłem mieszkanie, kupiłem meble, lodówkę...

Nie kupiłem telewizora.

Gdybym zaopatrzył się w to pudło, to nie wiem, czy bym wytrzymał w moim zamiarze. To cholerstwo wkrada się w każdą chwilę twojej samotności i zniechęcenia, czekając tylko na jakieś potknięcie w dobrze poukładanym planie życia. Czasem są takie chwile, że człowiek budzi się z pewnego ciągu, paliwo nadziei, na którym jechał wyczerpuje się z jakichś powodów i rozglądając się dookoła siebie, widzi tylko pustkę. Wtedy skrzyneczka kusi: "Włącz mnie, włącz mnie, dam ci ucieczkę i zapomnienie, i to w sposób jak najbardziej legalny, powszechnie aprobowany przez społeczeństwo, nie to co te ćpuny czy pijacy. Włącz mnie!". O nie, koleżko, postanowiłem. Nie dam się tobie, przynigdy.

Żyłem więc niezależnie od światowego szaleństwa. Ignorowałem wszelakie "nowości", którymi karmiono otepiałych telewidzów. Kumple w pracy przeżywali, gdy Iksiński z Pcina wygrał kupę forsy za wiedzę o tym, że Afryka jest kontynentem, a nie na przykład atolem. Ja wówczas z wyższością drażniłem ich streszczeniem nowej książki iberyjskiego myśliciela.

Myślałem, że to wystarczy. Sądziłem, że te działania zabezpieczą mnie przed panującym na świecie syfem. Wierzyłem, że dzięki temu będę mógł żyć tak, jak chcę. W spokoju, świadomy swej niezależności...

Jako że byłem zwykłym obywatelem, uzyskującym stałe dochody, stałem się celem polowań różnego rodzaju agentów, przedstawicieli handlowych i pośredników, którzy za niewielką ilość mojej kasy chcieli uczynić mnie szczęśliwym na sposób przez siebie przewidziany.

Ignorowałem te zabiegi, z lubością zatraskując drzwi, czy drąc ich kolorowe oferty przysyłane mi regularnie. Gdy teraz o tym myślę, to faktycznie nie skorzystałem z ich propozycji ani razu.

Zupełnie więc nie przejąłem się, gdy któregoś tam ranka dostałem kolejny od nich list. Informował mnie, że skoro nie brałem udziału w żadnej z oferowanych mi promocji, zostałem umieszczony na liście tych, którzy nie będą brali udziału w wielkim szczęściu oferowanym przez pewną natarczywą firmę.

Gdybym wtedy wiedział, jakiego to szczęścia się wyrzekłem.

Tamtego wieczora, wracałem późno z knajpy, gdzie mimo tego, co wcześniej powiedziałem, przesiadywałem sobie z rzadka ze znajomą bohemą (lubili mnie, bo zawsze stawiałem). Uważałem, że kontakt z nimi od czasu do czasu dobrze mi robi.

Lekko wstawiony nie zauważyłem tamtych trzech, gdy podeszli, zagadując o jakąś bzdurę. Poczułem ostry ból pod mostkiem i zemdlałem. Lekarz mówił mi później, że był to paralizator.

Obudziłem się w wykafelkowanym na białą pokój, przywiązany do krzesła. Nade mną stało trzech ludzi, którzy nosili maski, takie jakie można kupić w sklepach ze śmiesznotkami. Wysoki miał maskę w stylu Frankensteina, Gruby goryla, Debil brzydkiej kobiety. Zaczęli robić ze mną rzeczy, o których nic nie powiem.

Cały czas bez jednego słowa.

Pierwszy raz odezwali się do mnie wtedy, gdy już wam mówiłem. Moja wypowiedź została, jak wiecie, brutalnie przerwana. Na szczęście słodka nieświadomość szybko objęła mnie swymi ramionami. Gdy znowu się obudziłem, zauważyłem, że pokój zawalony był różnymi przedmiotami. Byłem sam, więc miałem czas, by się im przyjrzeć.

Czegóż tam nie było...

Stosy poradników na każdy problem życia; zestawy noży tnących wszystko oraz miksery mielące wszystko; przyrządy do masażu, odchudzania i gimnastyki; frytkownice, lokownice, gofrownice; pióra do pisania i przebijania; zestawy nasion i narzędzi ogrodniczych; lakiery tuszujące łysinę; kolekcja największych przebojów Wiesława K.

Wszystko to stało się źródłem mojej udręki przez kolejne kilka dni, póki nie zostałem uwolniony śmiałą akcją brygady antyterrorystycznej, po donosie czwartego z szajbusów, (nigdy go nie widziałem), skruszonego wizjami piekła swojej religii, które pojawiały się przed nim w czasie bezsennych nocy.

Przez cały czas męki moi kaci w milczeniu wypróbowywali na mnie owe urządzenia. Mają one, uwierzcie mi, szeroką gamę zastosowania. Jeżeli ktoś chce się dowiedzieć więcej, niech sobie poszpera w policyjnych aktach. Dzięki sieci, jest to dziś robota dla dzieci.

Ode mnie nic nie usłyszycie.

Pamiętam, jak jeszcze tylko raz odezwali się do mnie.

- Ty, Grzesiu, myślisz, że wszystko rozumiesz na świecie? - nagle zagadnął mnie Gruby.

- Ne, nigdy tchak ne mysichalem. - Powiedziałem to przy braku przednich zębów i przez pocięte usta.

- Oj, nie kłam, to nieładnie - powiedział Wysoki. - Przecież gdybyś tak nie myślał, nie był byś tutaj... Zdziwiłem się.

- Co, dziwi cię to, Grzesiu? - zapiszczał Debil (jak ja nienawidziłem tego jego pisku). - Ty i tobie podobni tą swoją wyniosłą ignorancją powodujecie, że jesteśmy postrzegani jak idioci. Przez ciebie nikt naszej pracy nie szanuje. Przez twoje gadulstwo o rzeczach ważkich ludzie nie chcą bezkrytycznie nas przyjmować...

- Po coś tu przylazł, Grzesiu - przerwał mu Gruby.

- Ccho ? Tcho wyschszce mnę tu...

- Po coś zamieszkał między tymi, którzy są nasi? - wtrącił się Wysoki. - Czy ty wiesz, ile straciliśmy przez to, że obnosiłeś się z tą twoją niezależnością? "A, ę... nie kupię". Filozof się znalazł.

- Jakch, jja wam mogchłem...

- A tak, żebyś wiedział, mogłeś. W naszym zawodzie nawet dziesięć procent nieprzewidzianych strat oznacza koniec. Rozumiesz to? Przez ciebie straciliśmy wszystko. Zabrałeś nam życie, teraz my zabierzemy je tobie, wcześniej dając ci to, czym gardziłeś. Przekonasz się na własnej skórze, jak wiele traciłeś. My, w zamian za to, zbierzemy z ciebie to, co nasze. Jak zwykle.

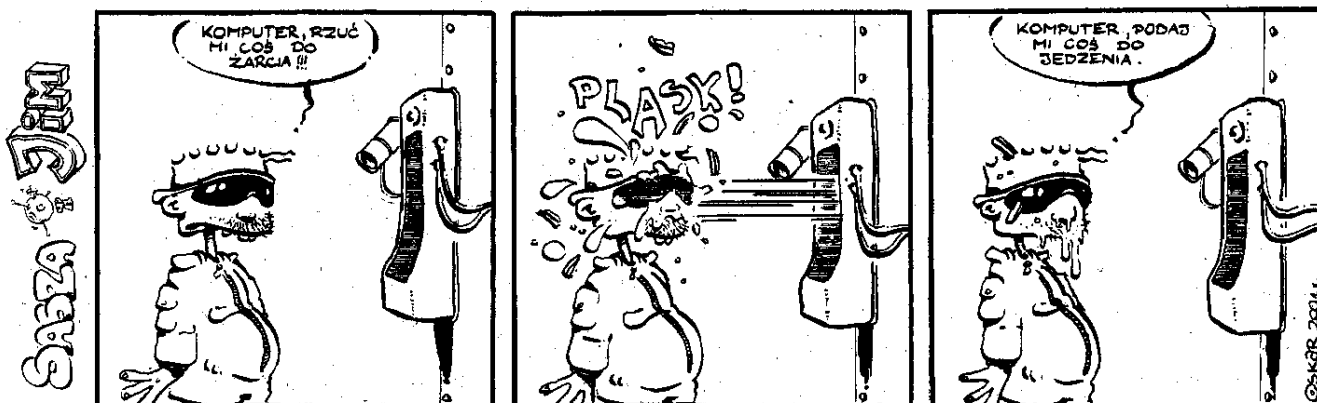
Nie zebrali.

Widząc, że są otoczeni przez przeważające siły, popełnili samobójstwo. Stary nazistowski sposób - cyjanek w plombie (byli, jak widać, przygotowani na wszystko).

Widziałem potem ich twarze. Ot - średniacy, trochę grubi, trochę łysi - zwykli, mijani codziennie w pogoni za niczym, bardziej od innych pechowci - pracownicy marketingu bezpośredniego.

Reszta trwa na razie w spokoju.

Maciej Witkowiak



TRÓJKĄT

*Tomaszowi Beksińskiemu
oraz wszystkim tym, którzy przegrali
nie z własnej winy.*

Podstarzały mężczyzna w binoklach siedział pod kawiarnianą parasolką i bawił się rozłożoną na stoliku talią kart. Miał na sobie biały garnitur, wściekle czerwoną koszulę oraz czarny krawat. Czarna była również kawa w porcelanowej filiżance, lśniąca od pomady włosy oraz oczy mężczyzny. Smukłe palce przewracały karty z wprawą zawodowego iluzjonisty. Czarne paznokcie kontrastowały z białym obrusem. Smoliste brwi byłyby dopełnieniem diabolicznego image, lecz mężczyzna nie posiadał brwi. Na krawacie widniały srebrne inicjały:

FSM.

Przetasowaną talię mężczyzna podzielił na trzy kupki. Z każdej wyciągnął po karcie. Odsłonił pierwszą: szóstkę trefl;

odsłonił drugą: szóstkę kier; odsłonił trzecią: szóstkę pik.

Roześmiał się nerwowo. Goście spojrzeli na niego z lękliwą irytacją. Po chwili wrócili do napojów i deserów.

Mężczyzna wyjął z kieszeni pięć żółtych kartoników i kilka spinaczy. Pierwszy kartonik, z napisem: "Smutek i tak trwać będzie wiecznie", spiął z szóstką trefl; drugi, z napisem:

"Marzenia nic spełniają się nigdy" połączył z szóstką kier. Trzecią karteczkę, z hasłem "Życie jest sztuką wyboru", zespolił z szóstką pik. Pozostałe kartoniki wrzucił do popielniczki i podłożył ogień. Czerniały, zjadane przez płomień, a wraz z nimi znikwały napisy: "Kocham życie, lecz bez wzajemności", "Ludzie zabijają czas, chociaż czas leczy rany...". Śwąd palonego papieru wymieszał się z dymem papierosów i zapachem kawy.

Mężczyzna skinął ręką i karty z cytatami uniosły się nad stolikiem, nikt nie zauważył sztuczki. Potem pstryknął palcami i lewitujące karty rozplynęły się w powietrzu.

- Niech rozpocznie się przedstawienie - wyszeptał ochryple.

Zapłacił za kawę i wyszedł na ulicę. Była ósma rano.

Vincent Hovgang, płatny morderca, siedział na balkonie i golił się staroświecką brzytwą marki "Finit". Lustro było oparte o podłużną donicę, w której rosły narcyzy. Ich biel zdawała się przejawskrawiona w silnym

blasku słońca. Cztery piętra niżej ulica rozbrzmiewała hałasem samochodów i tramwajów. Była ósma rano.

Radio nadawało serwis informacyjny: strajk górników, posiedzenie rządu, katastrofa samolotu... Vincent słuchał uważnie każdego doniesienia. Tak rozpoczynał dzień pracy. Wydarzenia, o których trąbiły media, były tłem jego zbrodni. Starał się zapamiętać każdą wiadomość, by na zakończenie serwisu dodać w myślach: "Kolejną ofiarę płatnego zabójcy znaleziono w mieszkaniu przy ulicy...". Pod tym względem był lepiej poinformowany niż media. Na własny użytek nazywał to "pasją kronikarską".

Wytarł twarz ręcznikiem i schował brzytwę. W kuchni zalał kawę wrzątkiem i zapalił cygaro. Old fashioned man - Vincent grał przed samym sobą elegancki teatr profesjonalizmu. Radio reklamowało wystawę awangardowego malarza, Iana Tiscurta. "Sam artysta nie mógł przybyć na wczorajsze otwarcie z powodu kłopotów zdrowotnych". Vincent uśmiechnął się kwaśno. Z szuflady kredensu wyjął broń - bezgłośnego texa z wewnętrznym tłumikiem i załadował magazynek. Miał na dzisiaj trzy zlecenia, w tym jedno nietypowe - nie znał nawet personaliów ofiary. Zleceniodawca, podstarzały ekscentryk, podał tylko datę i adres. Vincent miał zastrzelić pewnego człowieka obecnego w pewnym miejscu o pewnej porze. Nic więcej z kontrahenta nie wyciągnął. Zapewne odrzuciłby ofertę, gdyby nie suma, jaką zaoferował zleceniodawca - sześciokrotne przebicie stawki! Zleceniodawca?... Vincent przypominał sobie, co mówił mu znajomy prawnik: zabijanie ludzi za pieniądze nie jest zleceniem, tylko umową o dzieło, bowiem świadczenie polega tutaj na osiągnięciu efektu, a nie na starannym działaniu. Jednak Vincent przyzwyczaił się do słowa "zlecenie". Czasami posługiwał się określeniem "usługa".

Dwa pozostałe zamówienia były typowe - pełen zestaw danych. Gaża również typowa - przeciętna stawka "odstrzału". Vincent postanowił zacząć od zadań łatwiejszych.

SMUTEK

"Sztuka istnieje po to, żeby prawda nas nie zabiła" - Ian Tiscurt, awangardowy malarz związany z nurtem self-artu, rozważał w zadumie słowa Nietzschego. Właśnie kończył dzieło swego życia, gdy usłyszał dzwonek domofonu. Odłożył skalpel i podszedł do drzwi.

- Słucham - wychrypiał w słuchawkę.

- Poczta kurierska. Ma pan przesyłkę z agencji "Multiart". Zostawić awizo, czy odbierze pan teraz?

Głos był ciepły i życzliwy, łąn zawahał się. W pracowni czekało nieskończone dzieło.

- Dobra, wchodź.

Nacisnął guzik i Vincent Hovgang wszedł do kamienicy. Grunt to informacja. Dzięki komputerom Vincent mógł kolekcjonować dane o ofiarach, by je lepiej podejść. Starał się działać według schematu: informacja-formacja-organizacja-akcja. Strzał w serce albo w skroń był tylko finalnym akordem, zwieńczeniem dzieła, czynnością techniczną poprzedzoną twórczym etapem przygotowań. Czasami zdawał się Vincentowi czymś prostackim - brudną robotą, którą powinien wykonać za niego asystent. Inwencja, wyobraźnia, intelekt -potrzebne były na etapie przygotowań teoretycznych. Myśl -pierwszy klocek domina, pierwszy krok na drodze do mordu. Akt twórczy, po którym następowało zwieńczenie dzieła, będące końcem, i to podwójnym: Vincent kończył pracę, ofiara kończyła życie. Finis coronat opus. Nie zdając sobie z tego sprawy, Vincent rozumował jak wielki malarz, który pokrywa płótno szkicem, a resztę zostawia uczniom. Hovgang nie miał jednak uczniów. Musiał wszystko robić sam: od instalowania podłoża w blejtraminie po naniesienie werniksu. Był tytanem pracy.

Łan Tiscurt zamknął drzwi pracowni i czekał na korytarzu. W budynku nie było windy, więc się niecierpliwił. Pomyślał, że odbiór paczki będzie ostatnią rzeczą, jaką zrobi w życiu, nie licząc ukończenia portretu, ale to było kwestią piętnastu minut. Nieznany kurier przejdzie do historii sztuki, ponieważ łąn przejdzie do historii sztuki - biletem będzie jego arcydzieło, obraz zatytułowany "Autoportret". Usłyszał kroki na schodach. Za chwilę wejdzie kurier. Ostatnie "dzień dobry", ostatni podpis na pokwitowaniu, ostatnie "do widzenia" - później łąn podetnie sobie żyły, czym zwieńczy pracę nad obrazem. Już dwa miesiące harował nad najwspanialszym autoportretem w dziejach sztuki. Pracował dzień i noc ("w pocie krwi" -jak mawiał), stosując dietę Franka Zappy: non stop kawa i papierosy.

Będąc przedstawicielem self-artu, używał jako materiału swoich płynów fizjologicznych. Zapewniało to najwyższy autentyzm oraz najpełniejsze zjednoczenie z dziełem. Zanikał podział na podmiot tworzący i obraz tworzony - te aspekty stapiały się procesie twórczym. Dodawanie do farb swojej śliny, potu, wymiocin, krwi, spermy, łez, moczu oraz innych wydzielin gwarantowało "autentyzm procesu samopoznania". Manifest self-artystów określał tę technikę mianem "najpełniejszego naśladownictwa Boga, demiurgizacją do potęgi". W końcu Bóg także stworzył człowieka na obraz i podobieństwo swoje.

Od kilku lat Tiscurt był zmęczony życiem, czuł nadchodzący koniec. Napady melancholii, którą jego psychiatra zwał bezpardonowo "zespołem neurotycznym z komponentą depresyjną" obrzydziły mu życie doszczętnie. Mimo trzydziestu lat czuł się jak starzec. Od rana do nocy duszę łąn palił żący spleen. "To jak psychiczny rak" - stwierdził w ostatnim

wywiadzie. - "im dłużej w sobie nosisz, tym trudniej go wyleczyć". Później unikał dziennikarzy.

Samobójstwo planował od czasu studiów. Chciał stworzyć w życiu kilka arcydzieł, spróbować wszystkich zakazanych owoców, popaść w nałogi, doświadczyć wyższych stanów świadomości, poeksperymentować z seksem. Po paru latach wszystko spowszedniało: seks stracił smak, ćpanie było równie odkrywcze jak picie herbaty, a medytacje nie potrafiły wypełnić egzystencjalnej pustki, łąn wylądował w szpitalu z podejrzeniem psychozy. Po wypisaniu nie mógł się odnaleźć. Jego życie straciło cel, a co za tym idzie - sens. Próbował malować, co niemal zawsze kończyło się zniszczeniem dzieła. Wtórność, podróba, kicz!... Był kompletnie wyprany z pomysłów.

Aż do pewnej nocy. Leżał na łóżku, walcząc z bezsennością. Prochy nie pomagały. Alkohol szumiał w głowie i rozgrzewał krew, lecz nie usypiał. Na zewnątrz padał deszcz.

Nagle łąn doznał olśnienia. Pomysł spadł na niego niczym grom. Podekscytowany pobiegł do pracowni. Znów miał artystyczną wizję, a jego życie cel. Postanowił odroczyć samobójstwo. Wcześniej musi namalować "dzieło swego życia" -to słowo rozbrzmiewało w mózgu łąna niczym anielskie chóry. Było ostatnią rzeczą, jaka trzymała go przy życiu.

Postanowił namalować kubistyczny autoportret. Niby nic odkrywczego, lecz łąn postanowił namalować go własną krwią, niby Tycjan, który sportretował papieża Pawła III różnymi odcieniami karminu. Zamierzał eksperymentować z pigmentami, mieszać krew w menzurkach i na palecie, aż otrzyma kilkadziesiąt odcieni. Symfonia barw krwi tętniczej, orgia kolorów krwi żylnych. A na obrazie zamysłona twarz malarza u kresu życia - skubizowana na wzór "Królowej Izabo" Picassa. Kolejną innowacją łąna był materiał. Nie deska, nie płótno, nie blacha, nie pergamin, nie szkło, lecz własna skóra - spreparowana, rozciągnięta, wysuszona i odpowiednio zagruntowana miała posłużyć za podłoże.

Po pół roku był gotów. Uzyskał ponad sześćdziesiąt chromów, od jasnej cegły po głęboką purpurę. Przeszczepił sobie operacyjnie skórę, ze swojej zaś uczynił - płacąc ciężkie pieniądze garbarzowi - płachtę cienką niczym ryżowy papier. Jego ciało wyglądało jak po ciężkich oparzeniach, nie miało .to jednak dla łąna znaczenia. Zasiadł przed sztalugą, zagruntował "pergamin" o wymiarach metr na metr i wykonał podmalówkę. W ciągu dwóch miesięcy stworzył z delikatnych laserunków i grubych impastów autoportret, jakiego dzieje sztuki nie znały dotąd. Pieszcząc fakturę obrazu opuszkami palców i włosiem pędzla, łąn czuł się jak w ekstazie. Był prawie spełniony - pozostało kilka retuszy oraz finalny akord: podcięcie żył. Znajdą go w kałuży krwi, na podłodze pracowni, pod arcydziełem.

Był jeszcze jeden szczegół. Pragnąc stworzyć aurę tajemniczości wokół własnej śmierci, Tiscurt planował założyć słuchawki na uszy i włączyć walkmana.

Pchnęło go ku temu wspomnienie z czasów szkolnych. Dziewczyna ze starszej klasy skoczyła z dachu dziesięciopiętrowca, a przy jej zmasakrowanym ciele znaleziono rozbitego -walkmana oraz. kasetę magnetofonową. Taśma zawierała ostatnie słowa uczennicy, zdradzała motyw czynu, łan również przygotował kasetę. Nie było na niej muzyki ani przedśmiertnego monologu, nie zawierała też ostatniej woli. Miała być zagadką dla całych pokoleń. Cud, tajemnica, autorytet - łan znał "Braci Karamazow" Dostojewskiego, wiedział, jaką taktykę obrać. Cudem będzie autoportret, tajemnicą - zagadkowa kaseta, autorytetem - on sam, po tym jak wiadomość o samobójstwie trafi do gazet, biografii i podręczników. Przejdzie do historii jako genialny portrecista i jako postać tragiczna. Artysta idealny. Po raz pierwszy od wielu lat łan Tiscurt był człowiekiem szczęśliwym. Jego marzenie miało się spełnić.

Wtedy zadzwonił domofon.

Vincent Hovgang zapukał do drzwi. Tiscurt naciskał klamkę urzeczony myślą, że jego podpis na fakturze zostanie kiedyś zlicytowany na aukcji pamiątek. Kurier wszedł. W ręce miał paczkę, którą trzymał jakoś dziwnie, jakby włożył dłoń do wewnątrz.

- Ile płacę? - spytał łan.

- Robię to gratis - odparł Hovgang i pociągnął za spust. Artysta runął na dywan z przestrzeloną piersią. Zdążył pomyśleć: "Smutek i tak trwać będzie wiecznie" - po czym wyzionął ducha. Za drzwiami pracowni, rozpięte na sztalugach, wisiało ostatnie niespełnione marzenia łana.

Z kieszeni dzinsowej kurtki wypadła magnetofonowa kaseta. Vincent, kierowany dziwnym przeczuciem, zabrał ją ze sobą. Oczywiście łana były wytrzeszczone, wpatrywały się w sufit, jakby szukając odpowiedzi na pytanie, którego malarz nie zdążył zadać. W pustej pracowni słońce rzucało blask na karminową fakturę obrazu.

Vincent nie wiedział o autoportrecie. Zamknął za sobą drzwi i zszedł na parter. Wykonał pierwsze zadanie.

MARZENIA

Ogrodowa altana rzucała kraciasty cień na twarz śpiącego mężczyzny. Andreas Gyne leżał na ławce pośród białych kwiatów. Jego willa, otoczona wysokim murem, była strzeżona przez strażnika pilnującego bramy wjazdowej. Andreas był typem zdziwaczałego milionera - zdawał sobie z tego doskonale sprawę. Wiedział też, czemu nim został. Po pierwsze, za sprawą swojego wujka milionera, którego był jedynym spadkobiercą. Cały majątek przeszedł po śmierci przedsiębiorcy na Andreama. Po drugie, był hermafrodytą. Bogactwo plus płciowa anomalia uczyniły Andreama Gyne ekscentrykiem. Nie zajmował

się interesami pozostawionymi przez wujka, od tego byli menedżerowie.

Spędzał czas bez troski, korzystając z życia na ile pozwalało mu jego wynaturzenie. Jako dwudziestotrzyletni mężczyzna miał wiele psychicznych urazów, kompleksów, traum. Większość dotyczyła szkoły. Reszta miłości, która była dla Andreama tożsama z niespełnieniem. Kiedy miał siedemnaście lat, zakochał się w dziewczynie z parku nad jeziorem. Spotkał ją w czasie spaceru, była córką sąsiadów i mieszkała w domu naprzeciw posesji przybranych rodziców Andreama, państwa Teyresiah. Początkowo odwzajemniała uczucie, później doszło do zbliżenia. W krzakach nad jeziorem rozegrał się największy dramat w życiu Andreama - rozebrana dziewczyna, z którą pragnął się kochać, zwymiotowała, gdy ściągnął majtki. Uciekła zapłakana, a Andreas próbował targnąć się na swoje życie. Zrozumiał, że prawda zabija. Od tamtej pory unikał kobiet.

Altana była pełna słońca, cienia i zapachu ziemi. Andreas uśmiechał się przez sen - jego gładki policzek, na którym nigdy nie gościł zarost, pąsował jak róża. W ogrodzie rosły narcyzy, ich zapach wnikał w nozdrza, wywołując sny.

Marmurowa komnata, wielkie lustro, a przed lustrem on. W powietrzu unoszą się dźwięki gitary akustycznej. Delikatne glissanda i zwiewne arpeggia pieszczą ciało Andreama jak najczulszy dotyk. Harmonia sfer przenika komnatę będącą skrawkiem kosmosu. Melodia spełnienia wślizguje się w uszy niczym język namiętnej kochanki. Marzenie jego życia - osiągnięcie miłości idealnej. Połączenie w jedną istotę Narcyza i Hermafrodyty. Andreas już nie cierpi, gdyż kocha samego siebie. Nie jest to uczucie jednostronne, jak w greckim micie, lecz wzajemne - Andreas jest bowiem Hermafrodytą.

Podchodzi do lustra i całuje swoje wargi, szkło pieści czubek języka. Powierzchnia zwierciadła jest ciepła i miękka.

Andreas zanurza się w nią i czuje spełnienie. Zjednoczenie Narcyza i Hermafrodyty - miłość, o której marzył całe życie.

Blask słońca unosi mu powieki. Komnata znika, wsiąka w jawę jak rozlana woda. Andreas płacze.

Decyzję podjął późnym latem. Postanowił zagrać va banque - postawił wszystko na jedną kartę. Życie w dotychczasowej udręce nie miało sensu. Wiedział, że to szalone, ale postanowił spróbować. Sny nawiedzały go coraz rzadziej, tęsknił za idealną miłością jak dziecko za odebraną matką. Andreasie Gyne, mówił sobie, to twoja jedyna szansa. Sny nie kłamią - jeśli drogą do miłości jest zjednoczenie Narcyza z Hermafrodytą, spróbuj tego dokonać. Jeśli się nie uda, odbierzesz sobie życie, gdyż nie ma sensu kontynuować upokarzającej egzystencji. Ale przynajmniej spróbuj..

Pewien filozof nazwał człowieka my ślącą trzciną. Andreas czuł się właśnie tak - rósł przy tym ze świadomością, że nigdy nie zakwitnie.

Ułożył następujący plan: każe wprowadzić się w stan narkozy (z opłaceniem lekarzy nie będzie problemu) i odpowiednio oblepić ciało ziemią - najlepiej rozrzedzonym torfem. Ogrodnicy zasadzą w tym "pancerzu" nasiona narcyzów. Kielkując i puszczając korzenie, kwiaty przebiją skórę Andreasa i wnikną w jego ciało, łącząc się na trwałe z tkanką. Człowiek stanie się kwiatem. Hermafrodyta stanie się Narcyzem.

Andreas wierzył, że osiągnie w ten sposób spełnienie. Narodzi się na nowo, zmartwychwstanie jako nadczłowiek, bóg miłości. Niespełnienie, które przez całe życie korodowało mu duszę, stanie się czasem przeszłym dokonaniem. Przyszłość obdarzy Andreasa łaską miłości - podaruje mu to, czego zawsze pragnął. Dziwił się, że nikt przed nim nie wpadł na ten pomysł. Na altanie kazał wyrzeźbić cytat z Owidiusza:

"Omnia vincit amor". Wierząc, że miłość zwycięża wszystko, Andreas ufał, że zwycięży jego biologiczną ułomność. Kazał też umieścić cytat z Oscara Wilde'a: "Sztuka polega na doskonałym użyciu niedoskonałych środków".

Andreas był niedoskonały i kwiaty były niedoskonałe -razem mogli jednak osiągnąć doskonałość. Życie jest kłamstwem, myślał Andreas, lecz miłość jest prawdą. Słowa Platona, który zwał miłość zaślepieniem, wydały mu się kłamstwem i brakiem konsekwencji. Ten sam filozof pisał w "Uczcie" (Andreas miał ten dialog w swoich zbiorach) o androgyne - mitycznych istotach zamieszkujących świat przed ludźmi. Były to stworzenia hermafrodytyczne, samowystarczalne, męsko-damskie, które nie musiały się łączyć w pary, gdyż stanowiły jedność. Dopiero później (za karę) bogowie rozłupali androgyne na dwie części - kobiecą i męską. Tak powstał człowiek, stwór dymorficzny, dwupłciowy. Miłość jest dlań siłą jednoczącą, która popycha do szukania "drugiej połowy", raju utraconego miłości.

Miłość jest zatem jednością. Andreas wierzył, że znalazł sposób na odzyskanie pierwotnej jedności.

Ceremonia odbyła się w specjalnie zbudowanej do tego celu szklarni. Rosły w niej same narcyzy. Przybyli najlepsi lekarze, dermatolodzy i anestezjolodzy, przyjechali słynni hodowcy narcyzów oraz doświadczeni ogrodnicy. Wszyscy zostali sownie opłaceni, więc milczeli, godząc się na kłamstwo. Nikt się nie odezwał, by nie psuć szalonego spektaklu. Służba powiadomiła gości, że pan Gyne płaci także za milczenie.

Andreasa wprowadzono w stan śpiączki. Kroplówki rozpoczęły dożylny tłoczenie pokarmu. Ogrodnicy oblepili jego nagie ciało specjalną mieszanką torfu, wykonując kilkadziesiąt rowków na nasiona. Wieczorem posadzili kwiaty.

Tydzień później Vincent Hovgang stał przy łóżku, na którym leżał obłożony ziemią mężczyzna. Z jego ciała, a raczej skorupy, pokrywającej ciało niczym zbroja, wyrastały kielkujące rośliny. Płatny morderca dawno przestał się dziwić zwyczajom swych ofiar. Zwłaszcza gdy trzeba było zabić bogatego ekscentryka. Oficjalnie zastępował jednego z ogrodników, który nagle zachorował. Przebywał na terenie posesji zupełnie legalnie. Po południu nadeszła stosowna chwila - został sam na sam z ofiarą. Na co liczył ów dziwak, kładąc wprowadzić się w śpiączkę i obsadzić narcyzami? Jakie marzenie popchnęło go ku temu?... Hovgang nie wiedział. Wiedział natomiast, że prawdą są słowa lana Curtisa: "Marzenia nie spełniają się nigdy".

Pozostała jeszcze sprawa zasadnicza. Vincent mógł odłączyć kroplówkę, wstrzyknąć ofierze truciznę, postanowił jednak dochować wierności tradycji. Zabił Andreasa precyzyjnym strzałem w serce.

Odechodząc, spojrzał na rzeźbione credo: "Omnia vincit amor". Pomyślał, że można je odczytać na dwa sposoby:

"Miłość zwycięża wszystko", to jedna wersja; druga, znacznie bliższa prawdy, brzmi: "Wszystko zwycięża miłość". Miłość Andreasa Gyne została pokonana przez życie, a później przez śmierć. Vincent rozeźmiął się sucho. Prawda zabija, przemknęło mu przez myśl.

WYBÓR

Dzień zbliżał się ku końcowi. Hovgangowi zostało ostatnie zlecenie. Najbardziej zagadkowe i ryzykowne, ale też najbardziej intratne.

Jadąc przez miasto, Vincent przypominał sobie o kasecie znalezionej przy zwłokach Tiscurta. Włożył ją do odtwarzacza. Minęły minuty i nie dobiegł go żaden dźwięk. Zirytowany zmienił stronę, później wrócił na pierwszą. Cisza, jednostajny szum - kaseta była pusta.

Samochód, bagażowego forda aspen, zaparkował w pobliskim lesie. Działka leżała między stacją towarową a zapuszczonym parkiem miejskim. Na obszarze dwustu metrów kwadratowych wznosił się parterowy budynek. Zamiast drzwi widniała pusta framuga, okna były zasłonięte czarną folią. Vincent wślizgnął się do środka z wycelowaną bronią. Zapalił światło, gotowy oddać strzał. Pomieszczenie przypominało obszerny magazyn. Wewnątrz nie było nikogo, a pośrodku stał czarny stół. Vincent podszedł i zobaczył białą kopertę. Rozdarł jej krawędź i wyciągnął pocztówkę z reprodukcją "Kanibalizmu jesieni" Salvadora Dali. Na odwrocie widniała informacja:

"Jeśli nie wykonał Pan jeszcze zadania, przypominam:

zobowiązał się Pan do zabicia jedyne go człowieka obecnego w tym budynku o tej godzinie. Czy widzi pan tutaj kogoś poza sobą?"

Vincent upuścił kartkę. Drżącą ręką chwycił pistolet, rozejrzał się błyskawicznie. Pusto. Cisza prawie niezmacona. Z ogrodu dobiegało skrzypienie dziecięcej

huśtawki. Vincent podszedł do drzwi prowadzących na werandę. Zza brudnej szyby ujrzał ogród, a raczej jego pozostałość - zarośniętą zielskiem połąć ziemi otoczoną rdzewiejącym płotem. Ani drzew, ani krzewów, trawa po kolana, chwasty, pośrodku samotna huśtawka. Siedział w niej chłopiec z bosymi stopami. Vincent wyteżył wzrok, lecz rysy malca traciły ostrość w blasku zachodzącego słońca. Wyszedł na werandę. Założył ciemne okulary i ruszył w stronę dziecka. Serce uderzało nerwowo. Wciąż słyszał skrzypienie nienaoliwionej huśtawki.

- Kim jesteś?

Chłopiec nie odpowiedział. Odwrócił głowę, Vincent mógł zobaczyć go enface. Pamięć ożyła, rozbłysła wspomnieniami. Zdjęcia, które trzymał w szufladzie. Pamiątki z dzieciństwa. Ta sama twarz.

- Vincencie...

Ocknął się w ogrodzie. Chłopca nie było, panowała niezmacona cisza. Na desce huśtawki widniał wryty scyzorykiem napis: "Życie jest sztuką wyboru (Marek Aureliusz)". Vincent Hovgang, płatny morderca, spojrzał na swojego texa. W magazynku pozostał jeden nabój. Samobójcza śmierć była mu pisana. Pomyślał, że jego zleceniodawca jest geniuszem. Plan był doskonały, spójny w każdym calu, precyzyjny psychologicznie i logistycznie. Spotkanie w restauracji - błada twarz kontrahenta i pierścień z pentagramem. Oczy przesłonięte ciemnymi okularami. Jak on się nazywał? Fryderyk... Fryderyk von Schizo-Mefisto...

Huśtawka jęknęła poruszona wiatrem. Vincent podniósł pistolet. Na srebrzystej lufie mienił się blask zachodzącego słońca.

Pod kawiarnianą parasolką, w aromatycznym dymie cygaretki i w oparach kawy, podstarzały mężczyzna sporządzał bilans. Na grubej, żółtawej kartce czerpanego papieru kreślił wiecznym piórem rzędy liter. Czerwony atrament wsiąkał w fakturę, zostawiając precyzyjnie kreślone pismo:

...wszyscy oni mieli wybór, od samego początku, choć pogrążeni w rozpacz sądzą, że życie nie dało im wyboru. Kiedyś Bóg-zamknął przed nimi drzwi. Wtedy odeszli, nie próbując szukać otwartego okna. Smutek jest grzechem, najbardziej chyba kuszącym spośród wszystkich, posiada bowiem pewną malowniczość, która sprawia, że człowiek stacza się w jego objęcia. Z czasem okazują się one stalowym uściskiem, prowadzącym do uduszenia - i tu zaczyna się moja rola. Podlewanie chwastów, kiedy kwiaty zaczynają więdnąć...

Mężczyzna zaciągnął się dymem, schował pióro do kieszeni marynarki i zwilżył usta resztką zimnej kawy. Wyjął nową, nierozpieczętowaną talię kart i spojrzał na zegarek. Siódma rano, początek dnia. Najlepsza pora, by namierzyć nowe ofiary. Na jednej z kartek, mającej zidentyfikować potępionego, widniał cytat, który wydał

się mężczyźnie trochę zbyt banalny: "Jakie życie, taka śmierć..." (Abraxas). Przynajmniej nie był kłamstwem.

Wojciech Szyda

BRZASK

*Błądzące światła, mieszkańcy snów
Prostujcie drogi, czuwajcie znów
Wołajcie góry, niech szumi wiatr
Prostujcie ścieżki, nadchodzi Pan.*
Tomasz Budzyński "Adwent"

Ciężka chmura zakryła rąbek pełnego, bladego jak twaróg, księżycy. Sypki, świeży śnieg skrzypiał pod kołami ciężkich, czterokołowych arb. Woły dyszały, kłęby pary buchały z ich nozdrzy. Na każdym z dziesięciu obładowanych wozów siedziała krępa masywna persona, otulona futrzanym płaszczem. Drogę kawalkadzie torowało czterech jeźdźców, o podobnym woźnicom wzroście. Zza pasów ściskających ich kapoty wystawały krótkie topory o szerokich ostrzach. Ariergarda liczyła więcej, bo sześciu osobników. Wierzchowcami wszystkich były wytrwałe kuce górskie o sierści prawie tak gęstej jak brody podróżników.

Wąska dróżka wiodła płytkim jarem, otoczonym przez zeschłe krzewy. Woły szły wolno, ostrożnie. Było stromo. I choć wiodącemu pochód Dellingowi spieszyło się bardzo, bał się przyspieszyć.

Bora, wiejaca od morza, mroziła oddechy, sypała śniegiem w oczy i zostawiała szron na krasnoludzkich brodach. Każdemu silniejszemu podmuchowi towarzyszyła kaskada przekleństw, jakich i ludzie by się nie powstydzili.

Ta sama wieją kołysała odległymi o sześć mil, stojącymi w zatoczce, barkasami. I ich załogi kłęły. Choć za sprawą ciepłych prądów morskich, woda w zatoczce nie marzła mimo siarczystego zimna, bo ziąb był okrutny. Nawet pośród wyspiarzy, nawykłych do mrozów, nie było takiego, który byłby rad, słysząc, że przyjdzie mu czekać na chłodzie. A czekali już na krasnoludzki konwój ładnych kilka godzin.

Czekali na próżno.

Zeschnięte gałązki przydrożnych chaszczki rozchyliły się cicho.

Koła wozów skrzypiały, wiatr wył posepnie... Tknięty przecuciem Delling zatrzymał się i uniósł głowę. Nie słyszał nadlatującej strzały. Poczuł tylko ukłucie w okolicy serca. Zsunął się z kuca, spadając twarzą prosto w śnieg.

- W imieniu Jego Królewskiej Mości, Ogmunda, króla miłościwie nami władającego, pana Beliadoru, Lukki, Bergen i Borogne. Kotom i Roeserberke, protektora Wysp Borealu i zwierzchnika Małego Ludu, ja Alenharst, Namiestnik Północnej Marchii, wzywam was, kontrabandyści, do złożenia broni i oddania się w moje ręce! W zamian czeka was lekka śmierć, a będziecie mieć i prawo do procesu.

Krasnoludy, słysząc owo wołanie, jak jeden mąż sięgnęły po topory. W tym momencie zza krzaków poczęli wychodzić zbrojni: sześciu, piętnastu, trzydziestu. Jeden z brodaczy skoczył w ich kierunku, lecz przytrzymany przez swoich kamratów, zaniechał ataku.

- Zostaw. To na nic - rzekł najstarszy z krasnali, rzucając topór w śnieg.

Światła pochodni rozpraszały panujący mrok. Otwarto drzwi ratuszowego więzienia. Pojawili się gwardziści, a za nimi...

Tłum zgromadzony na rynku miasta Lukka zawrzał. Z więzienia wyszło kilkunastu zakutych w kajdany krasnoludów. Wśród nich miał być, jeśli dawać wiarę plotkom, najślawniejszy z krasnoludzkich przemytników, Dwalain. Krążyły o nim legendy. O nim i jego kompanie Dellingu.

Alenharst, obserwujący wszystko z boku, uśmiechnął się pod wąsem. Monarcha przysłał go do Lukki, tego najdalej wysuniętego na północ portu królestwa, po to, by owe przemytnicze legendy zniszczyć. I napisać nową... O krwawej zapłacie, jaką król przygotował dla nieposłusznych.

Na taras przed ratuszowym gmachem, gdzie w otoczeniu gwardzistów stali skazańcy, wyszedł mężczyzna w biele. Biały kaptur całkowicie skrywał twarz. Ale tłum go znał, więc zawrzał ponownie.

To był kat.

Białe szaty, w które był odziany, symbolizowały prawo i sprawiedliwość królewską...

...a czarny, zupełnie czarny, miecz wydobyty ze zgrzytem z pochwy, przepowiadał los przestępców. W istocie był on nie do pozazdroszczenia.

Na tarasie nie było charakterystycznych dla egzekucji tego sortu pniaków, na których skazańcy kładliby swe głowy w oczekiwaniu na śmiertelny cios. Nie, czymś takim ów mocarz, owo żywe przedłużenie zapisanych kart Brewiarza Północnego, najdoskonalszego zbioru praw na północ od Arkony. plamić się nie myślał. Znany był bowiem z tego, co zresztą miało swój udział w ściągnięciu tak wielu ludzi na rynek, że ścięcia dokonywał, gdy skazańcy stali. A do tego ścinał bynajmniej nie pojedynczo. Najlepszym, pamiętanym w Lucce wynikiem było pięć głów za jednym zamachem.

Alenharst uznał, że pora na niego. Precisnął się przez ludzką ciżbę i wszedłszy po schodach na taras, stanął obok kata, trzymając w ręku zwój papieru - postanowienie gromadzkie.

- Gromada rzeczy - ryknął, przekrzykując wrzawę - że wszystkie karły tu stojące dopuściły się

następujących przestępstw: nielegalnego przekroczenia granicy Królestwa, kontrabandy, handlu z piratami z Wysp Borealu oraz przestępstwa spisku przeciw Królestwu. Bo czyż handel bronią z wrażą siłą, patrzącą tylko, kiedy uderzyć na nasze państwo nie jest parszywym, godnym potępienia knowaniem?

Pan namiestnik potoczył wzrokiem po zgromadzonych. W oczach tańczyły mu ognie. Ludzie potakująco kiwali głowami.

- Zatem wyrok Gromady mógł być jeden - rzekł głośno, acz spokojnie, by po krótkiej przerwie dodać z iście fanatycznym zapalem: - Winni!

Tłum zawrzał po raz trzeci.

A potem głowy krasnoludów zaczęły spadać na taras. Kamienne schody spływały krwią.

Głosy wołały ze wszystkich stron. Nienawistne, pełne pasji, wrogie. Okrwawiona twarz pojawiała się co i rusz w rozświetlającym co chwila mrok, czerwonym świetle. Dziewczyna wiedziała, że kroczy czarnym, długim tunelem... Ktoś ją gonił... Mrozący oddech złego... Poczula go na sobie, poczuła nienawistny dotyk, przynoszący jednocześnie rozkosz i cierpienie. Twarze - powykręcane, groźne, zębate, długie i szpiczaste, to znów okrągłe jak gomółka sera... Wszystkie jednak straszne, w każdej bowiem ten sam rys. Razem składały się w układankę, w jeden obraz, którego nie widziała, nie mogła zapamiętać. A jednak był... Morze krwi, płomienie, chmury olbrzymich nietoperzy, węże, karaluchy, trupy... Czuła dreszcze, chciała się uwolnić. Oddech za nią przyspieszał. Biegła... ale cały czas słyszała za sobą lęk. Pragnęła coś zrobić, walczyć... Ręka szukała czegokolwiek odpowiedniego, by zadać cios. Strach, strach, strach... Zrób coś, walcz, wróg jest blisko ciebie!

Egis, dygocząc, ociekając nerwowym potem, ocknęła się z koszmaru. Usiadła na wygodnym łóżku zafundowanym jej przez wuja. Oddychała płytko. Targnął ją cichy płacz. Jej pokój mieścił się we wschodnim skrzydle rezydencji rodziny Hagaldów. Z nadzieją spojrzała w okno.

Chwała bogom, jeśli jacy istnieją - przemknęło przez jej uroczą, zgrabną główkę.

Nadchodził brzask.

Spod białej, prawie przejrzystej skóry Eina Hagalda przebijała sina siateczka żył. W zaspanych oczach wciąż czały się odłamki potłuczonego niespodziewaną wizytą, polibacyjnego snu. Komnata, w której siedział, była mała, ciemna, z jednym wąskim oknem na zachód. Zasnuwał ją dym arakhu, ziela, palonego powszechnie dla orzeźwienia. A ów najbogatszy mieszkaniec Lukki potrzebował być trzeźwym. Zaraz, natychmiast!

Z powodu pewnej kłopotliwej wizyty. Przy kwadratowym, dębowym stole Ein bynajmniej nie siedział sam. Krasnoludy, wierzące się na zbyt dużych dla nich krzesłach naprzeciwko niego, wyglądały na wściekłe. Ein wiedział, dlaczego. Wiedział też, że musi

swoich gości uspokoić. Bo jeśli nie... Cóż, zyski, jakie czerpała rodzina Hagaldów z pośrednictwa w nielegalnym handlu bronią wynosiły ledwie trzydzieści tysięcy koron rangardzkich miesięcznie. Ledwie... Suma równa budżetowi królewskiego garnizonu. Roczemu budżetowi.

- Dość - stwierdził zachrypłym głosem szpakowaty krasnolud. Gąszcz włosów, który skrywał twarz i kawał tułowia karła, falował w rytm przyspieszonych, nerwowych oddechów. - Czarna dla nas ta zima. Z ręki Alenharsta zginęło już siedemdziesięciu naszych. A ile broni przechwycono! Kuźnie nie będą darmo dozbrajały garnizonów królewskich. Zwłaszcza teraz. Zatem w imieniu wszystkich korporacji płatnerskich i kuźni mówię:

dość! Czy wiesz, człowieku, jakże trudno teraz o ochotnika do transportu? Przez tego diabła, psa króla, interes nie idzie, lud nasz gubimy...

- Byli nieostrożni - przerwał ciężkim głosem Ein. - Ostrzegałem przecież!

- Rzekłbym, gównu twoje przestrogi warte, jeno odchodom ubliżać nie chcę! - ryknął krasnolud, a Ein, choć widzieć tego nie mógł, przysięgłby, że jego rozmówca zsiniał. - Ty nie od przestroż jesteś. Po jaką cholere korporacje z tobą w komitwę wlażyły? Koneksje masz, fortunę, to i bezpieczeństwo być miało.

- Było - mruknął Hagald ponuro. - Było, póki się Alenharst nie zjawił.

- A co ty mnie o oczywistościach mówisz? Ja nie tego chcę! Bezpieczeństwo i pieniądz ważne! Po toś jest. I ty mnie i innym krasnoludom bezpieczeństwo zapewnisz. Bo zamówienia nowe są, towar jest, ale strach słać. Bo ów Alenharst...

- Jakże zamówienia? - przerwał Ein. Im bardziej był rozbudzony, tym uważniej słuchał karłów. - Niczego nie słyszał, a przecież z wyspiarzami jeszcze stare umowy nie uregulowane. Macie opóźnienie.

- Opóźnienie przez ciebie jest, panie Hagald! A nowe kontrakcje nie od wyspiarzy, a na...

- Na front - wyrwał się inny krasnolud, widząc wahanie pierwszego. - Nie ma co skrywać, Niping. Pieniądz wielki, rzekłbym, jest do zrobienia. Wszystkie korporacje płatnerskie jednym głosem mówią, obstalunki jakich jeszcze nie bywało, kuźnie huczą, dymy nad górami się snują, kopalnie rud nie nadążają słać. Miecz, misiurka i tarcza to teraz towar pokupny. I dla ciebie, panie Hagald, miejsce w tym interesie będzie. Sumy takie zarobisz, że gdy wyspiarze w końcu nadciągną, ty od nich władzę wykupisz i Lukka będzie twoja. Jeden warunek...

- Wiem - powiedział cicho przywódca rodu Hagaldów. - Bezpieczeństwo załadunku... Ale kto? Nasz król broni ma dość, jeno ludzi brak. Inne monarchie także. Zatem... Iranion - rzekł, a kiedy spojrzał w oczy krasnoludów zrozumiał, że miał rację. - Toż do jawnej zdrady mnie wiedziecie.

- A coś innego robił przez ostatnie dziesięciolecie? - spytał drwiąco Niping. - Tyle, że skala była mniejsza.

Wyspiarze tak samo z waszym królestwem walczą jak Iranion. A że słabsi...

Krasnolud zawiesił głos. Zapadła cisza. Ein Hagald rozbudził się już całkiem. Skronie pulsowały wzburzoną krwią, myśli kłębiły się w głowie arystokraty niczym węże. I, w większości, jak węże były jadowite. Zdrada? A cóż to jest? Komu być wiernym? Temu rozsypańemu, pełnemu dumających o dawnej świetności niby-imperium? Hołocie? Klikom możliwych w Beliadorze, którzy państwo doją jak krowę, nie bacząc, że ta starucha więcej wody niż mleka dać może? I tak w każdej z szesnastu starych monarchii. Może przydałby się jakiś otrzeźwiający kubek wody? Choćby i z Iranionu, czy Wysp Boreal. Nieważne. Ważne, by jak fala przyjdzie, mnie nie zmiotła, by ród Hagaldów został na pokładzie.

- Ile? - wyszeptał.

Brody krasnoludów rozchyliły się, ukazując w uśmiechach rzędy białych zębów.

- Korporacje oferują dla ciebie, panie Hagald, opłatę w wysokości dziesiątej części kontraktu. Czyli, plus minus, pół miliona koron rangardzkich - rzekł z namaszczeniem Niping. - Płatne z góry.

- Bogowie - wykrzyknął Ein. - Armie chcecie uzbroić!

- To nie koniec - dodał drugi krasnolud. - Mając pod rozwagę fluktuacje kursów i słabość rangardzkiej waluty, wywołaną wojną, zażądaliśmy zapłaty pewniejszym środkiem. My, ludzie interesu. Nikt tracić przecie nie chce. I Iranion zapłacił. Złotem! Zatem, jako że partnerzy nie od dziś jesteśmy, tak i my tym samym zapłacimy tobie.

Tym razem Ein Hagald nie odpowiedział nic. Jego oddech i tętno jeszcze przyspieszyły.

- Okrety przyplyną najdalej za dwa, góra trzy tygodnie - mówił Niping. - Na ten termin nasz problem musi przestać istnieć. Ma nie być żaden problem, jakby rzekł mój dziadunio.

Krasnoludy zarechotały. O sklerozie wiekowego antenata Nipinga krążyły legendy. Stąd brał się też specyficzny sposób wysławiania.

- Przydałyby się też ze trzy frachtowce - dorzucił inny krasnolud.

- Nie będzie żaden problem - mruknął Ein, uśmiechając się lekko. - A bezpieczeństwo... I mnie ów Alenharst był jak czyrak na tyłku. I ja myślałem, że trzeba się go pozbyć. No i...

Pokoik, w którym siedzieli, szarzał narkotycznym dymem. Siwe smugi układały się wzorzyście - to rozgałęziając się, to łącząc. Elipsoidalne, ciężkosine obłoki falowały leniwym rytmem, tańcząc kataleptycznie w powietrzu zwiły się w płynne, niedefiniowalne formy. Naraz cały ten ciężki opar zadrżał, zawirował i przerzedł. Z dymu wyłonił się wysoki, blady mężczyzna odziany w granatowomroczną sutannę. Stał za wysokim krzesłem, na którym siedział Hagald, a krasnoludy, gdyby je spytano, nie umiałyby odpowiedzieć, czy był tam cały czas, czy też zjawił się przed mgnieniem oka. W

komnacie zrobiło się dziwnie chłodno. Ein Hagald nawet się nie odwrócił. Tylko uważny obserwator mógłby dostrzec w jego twarzy, starannie skrywany, ślad strachu. Krasnoludy były jednak zbyt zdumione, by spostrzec w ogóle cokolwiek.

- Panowie pozwolą- rzekł arystokrata - że wypełnię powinność gospodarza i przedstawię. Oto mój doradca i pomocnik, doktor Jarva Grithe. Zechciejcie go wysłuchać, a zrozumiecie, że niebawem problemy z nadgorliwymi, królewskimi służbistami odejdą w przeszłość. Nieodwołalnie.

Wieża ciemnoszara, smukła, a zarazem krzepka, stanowiła najdalej wysuniętą w stronę morza część twierdzy, strzegącej portu i miasta Lukka. Samotna, stojąca na skalistym cyplu, połączona była z resztą fortyfikacji wykutym w skale tunelem. Właściwa twierdza wsunięta była głębiej w ląd, oddzielając zabudowania portowe od dzielnic miejskich, otoczonych wysokim murem. Skaliste ramię lądu, wcinając się w wodę, tworzyło cichą zatoczkę, spokojną przystań, o co w niespokojnych rejonach mórz północy było nadzwyczaj trudno. Tenże Spokój stanowił najważniejszy atut Lukki. Twierdza powstała natomiast, by chronić port przed ludźmi. Bo ci w owych rejonach daleko bardziej byli niebezpieczni niż jakiegokolwiek sztormy.

Przesmyk, przy którym baszta pełniła nieustającą wartę, był szeroki na ćwierć mili. Drugi jego brzeg stanowiła skalna, czarna grań. Za nią zaczynały się góry, ciągnące się hen, daleko na wschód. Lukka była jedyną w tym rejonie, oficjalną bramą prowadzącą w głąb lądu. A Królestwo Północne było krainą bogatą i wartą odwiedzenia.

Alenharst, stojąc na szczycie wieży obok kilku katapult wymierzonych w wody cieśniny, spoglądał w morze. Ogrom ciemnogrnatowej wody kipiał, drżał i falował, smagany biczami wiatru. Królewski namiestnik pośród pianowych bałwanów szukał wzrokiem małego, białego kwadratu - zagła okrętu wysłanego z listem do króla. Trzymając się blisko brzegu, pomyślał Alenharst, widząc zarys statku tuż przy linii horyzontu, na zachodzie. Powinienem płynąć razem z nimi. Powinienem być teraz przy królu, a nie siedzieć w tym przeżartym łapówkami i rdzaporciszczu, kłął pod nosem, wiedząc, że to niemożliwe. Wiedząc, że król mu ufa, a w Lucce o kogoś wiernego królowi trudniej niż o dziczyznę. Dla jasności - on, jakby nie było namiestnik, od pół roku nie jadł innego mięsa niż rybie.

Otrząsnąć się po tym, co monarcha pisał w swych pierwszych od kilku miesięcy listach nie było łatwo. Wielka wojna na zachodzie rozgorzała na dobre. Iranion rzucił przeciwko starym monarchiom wszystkie swe siły. I vice versa. Krew lała się potokami. To jedna, to znów druga strona brała górę, przeprowadzając ofensywę tylko po to, by po kilku tygodniach zostać wypartym przez przeciwnika. W kraju wśród możliwych narastał bunt. Jednocześnie na jesieni dziwna zaraza

zdziesiątkowała ludność Beliadoru i zachodnich prowincji królestwa. Pośród ludu poczynano szeptać o rychłym świecie końcu, dniach kary i cierpienia. Rojno aż było od kaznodziejów i proroków głoszących zagładę, w czym król Ogmund upatrywał działań służb tajnych Iranionu. Nikt jednak takich tłumaczeń słuchać nie chciał, bowiem kula gorejąca pojawiła się na niebie, pozostając tam przez czas jakiś i dodatkowy asumpt dając do najróżniejszych spekulacji i czarno-widztw.

Nowe religie powstawały jedna po drugiej, a każda za swego przeciwnika i ucieleśnienie zła miała państwo. Jakby mało było nieszczęść, rozsypało się Stowarzyszenie Magów, które spajało świat przez tysiąclecia, żywota dokonując w mękach, wojnach czarnoksiężskich i krwi. Mag naczelny kapituły beliadorskiej, Morgan, wraz z poplecznikami zniknął bez wieści, połowa czarodziejów zginęła, a z tych największych stare monarchie przeciw Iranionowi i baronowi Thetra wspiera tylko dwoje. Na domiar złego najlepszy z królewskich doradców zginął w niewyjaśnionych okolicznościach. I rzecz najgorsza - nieopodał Beliadoru w czasie zarazy, Jakoweś złe moce otchłań rozwarły, z której potwory różnych maści wychodzą, cechę wspólną tylko w rozmiłowaniu się we krwi ludzkiej mając".

Jedyną nadzieją na powrót do normalności zdawało się być wygranie wojny na co, i tu pojawiała się iskierka optymizmu, była wcale spora szansa. Armie sprzymierzonych wygrały kilka bitew z rządu i odcięły Iranion od jego kopalń i kuźni. Niedostatek uzbrojenia, pisał Ogmund, może okazać się decydujący, w czasie kiedy armie starych monarchii przeważają liczebnie.

Kolejny list zawierał informacje bezpośrednio użyteczne Alenharstowi, a dotyczył ruchów politycznych na Wyspach Borealu. Informatorzy królewscy przynosili wieści o walkach między ludami wyspiarskimi i silnych tendencjach zjednoczeniowych. Rosła szybko potęga jednego z władców pirackich, Odheyna, który, jak pisał król, podbił neutralne dotąd i nieagresywne księstwo Bracz, położone na wyspie o tej samej nazwie. W owym podboju miał, rzekomo, pomóc młodszy z książąt brackich, Charsy, który uzyskał nad księstwem władanym wcześniej przez swego brata, namiestnictwo. Informatorzy zwracali uwagę na przeludnienie wśród wyspiarskich ludów i plotki o szykującej się wielkiej wojnie. W świetle tych wieści monarcha nakazywał Alenharstowi mieć szczególne baczenie na wybrzeże, jak również na krasnoludów, którzy wedle wszelkiego prawdopodobieństwa mieli podjąć próbę wyrabiania sobie dostępu do morza.

Krew rycerza oddanego bezgranicznie królowi burzyła się, gdy czytał takie wieści, lecz rozum służbisty i państwowca nie pozwalał rzucić placówki i pognać za wojenną sławą. Niemniej jednak Alenharst od przybycia kuriera chodził wściekły. I prawie nie rozstawał się z butelką.

Nawet nie usłyszał, gdy podszedł do niego Rippen, jego zastępca i jedyny w Luccie prawdziwy druh.

- Nie dogonisz ich. Zostaw... - mruknął do królewskiego namiestnika. - Pora wracać do żywych, Alenharst. I do trzeźwych - dodał, strącając z muru na wpół opróżnioną flaszkę.

Alenharst skrzywił się, ale nie zaprotestował. Ocieżale obrócił się twarzą do przybyłego.

- Jakie tym razem cholerstwo niesiesz? - spytał. - Krasnoludy znowu coś knują? Kogoś z moich, a raczej królewskich ubili? Czy może Hagald jakiego urzędasza łapówką kupił i teraz trza się go pozbyć skutecznie acz dyskretnie, by państwowego autorytetu i nieposzlakowanej opinii, hę, hę, nie ruszyć. Śledziowie piekielne! W tym zapierdziejwie król i państwo to słowa, którymi rzyć można utrzcć, a w każdej karczmie rechot ino by wywołały, ot co... No, co tam masz, Rippen? A gadaj szybko, bo kaca mam cholernego i suszy mnie jak diabli!

- Wygadałeś - się, wyżałiłeś? Więc słuchaj nowiny, boś nie zgadł. A odsuń się lepiej od blanek, bo jeszcze spadniesz. Hagaldowie umyślnego przysłali.

- Ze skargą na cła czy z protestem, że rajcy co robić nie mają, bom od pół roku na rady nie przyszedł, a beze rnnie żadnej decyzji pojąć im nie wolno? A odpisz im, by mnie w dupę...

- Otóż nie! Powoli, imć namiestniku. Nie przystoi to najwyższemu dostojnikowi Lukki. A za niedługo będziesz musiał się w owe wielkopańskie piórka przystroić, Alenharst. Czy chcesz tego, czy nie.

- Co ty, do czorta, bredzisz, Rippen? Ja się upilem, nie ty... Jestem wojownikiem, żołnierzem, nie arystokratą.

- Przede wszystkim reprezentujesz króla. Komu jak komu, ale tobie tego przypominać nie trzeba. I jak prawdziwy królewski dostojnik będziesz się nosił. Już za trzy dni. Bowiem Ein Hagald, najbogatszy człowiek w mieście, ucztę w swej rezydencji wyprawia i pokornie cię prosi, byś swą obecnością ją zaszczyścić raczył.

- Kpisz? Pomady i pudry. Banda zniewieściałych chłopcojebców! W dodatku przekupnych i żądnych władzy. Moja noga tam nie postanie. Coś jeszcze?

- Chwilkę, tak tego zostawić nie można. Wiem, że po gorzałce to niełatwe, ale spróbuj pomyśleć. Wojna na zachodzie, na pomocy piraci szaleją, od wschodu krasnoludy coraz bardziej pożądlwie na wybrzeże spozierają... Upadek Lukki to również upadek Hagaldów. To egoiści, więcej o swoich odciskach myślą, niżli o państwie, ale i im się najazd nie uśmiecha. Spróbowałbyś się z nimi ułożyć, to jeszcze by osobny, dobrze uzbrojony regiment zaciężnych wystawili z własnej kiesy.

- Ułożyć się z dziewczką mogę, nie z tymi perukarzami! A co do ich pieniędzy, jak myślisz, skąd je wzięli? Kontrabandą gorzej niż krasnoludy. Byłem miał dowód, ich głowy by spadły.

- Możliwe, możliwe, ale handel handlem, a gardło gardłem. Trzeba im pokazać, że i o ich życie tu idzie. Mają kapitał, mają koneksje, a z tego, co mnie doszło, są współudziałowcami kilku krasnoludzkich kantorów i

spółek morskich. Mogliby skutecznie krasnalom głupie myśli ze łba wyperswadować. A i u mieszczan mir znaczny mają.

- Prawda - przyznał niechętnie Alenharst. - Wszystko prawda, coś rzekł. Ale mierzi mnie, że z nimi mam się pospolitować, ucztować przy jednym stole. - Zmiał w ustach przekleństwo. - Szlag mnie trafia. Lecz nie o mnie tu idzie, a o Królestwo. O służbę. Srał pies, pójdę. Ale pierwszej każ konie siodłać i ze cztery setki naszych zaopatrzyć przyzwoicie w jadło, namioty i kozuchy. Trzeba góry objechać, szlaki przemysłowe obstarwić, zatoczki zabezpieczyć. Bo jeszcze się któremu uroi, że jak mnie nie ma na podjeździe, to mogą harcować do woli. Przeklęte pogranicze. No, ale z nudów to umrzeć nie umrę.

Fale uderzały w skaliste wybrzeże, tworząc pienne pióropusze. Niebo zgranatowało burzowymi chmurami. Z północy wiał dziki, potępińczy wiatr. Nadciągał sztorm.

Szaruga bawiła się małą łódką niczym niesforne dziecko, chcące zniszczyć dopiero co otrzymaną zabawkę. Co i rusz wiatr wlewał kolejne litry morza do trzęsącej się i pękającej łupiny. Złamany maszt przykrył przód pokładu żaglem. Na rufie czarnowłosa, postawna kobieta tuliła do siebie czteroletniego chłopca. Chudy, brodaty mężczyzna klęczał przed nimi.

- Wybaw nas - szeptał. - Ty Który Jesteś. Ty, w którym nadzieję pokładamy i w czas pokoju, i w czas zawiei, który władasz gwiazdami, ziemią, wodą i stworzeniem wszelkim. Przebac, cośmy złego uczynili i wybaw z ciężkiej godziny.

- Rób coś! - wrzasnęła niewiasta. - Tylko modlić się potrafisz?

Mężczyzna odwrócił głowę.

- Nie tylko - odparł, po czym spojrzał poza swą małżonkę na tnący fale okręt Odheyna zbliżający się nieubłagane. Śmierć nadchodziła szybko, z wielu stron.

- Nie tylko. Ale co nam prócz tego pozostało?

Błysk.

Komnatę zalewa biel. Seledynowe ściany połyskują błądą poświata; każda z milionów ścian, każde z milionów drzwi. Mrok, zalegający w komnacie skurczył się, cofnął i przytłoczony przycupnął w kącie pokoju.

Kroki. Ciche, delikatne... Jedna ze ścian zmienia się w czystą biel, w czysty blask. Mrok topnieje.

Wrota otwierają się z szumem. Niewielka komnata rośnie, pęcznieje, rozszerza się i puchnie niczym balon. Morze - oszalałe, potargane sztormem - wpada do środka. Wyje dziki, pomocny wiatr. Mała łódź ze złamanym żaglem wpada z hukiem do komnaty. Na pokładzie są ludzie. Troje.

Mrok, gdyby to ujrzał, srodze by się zatrwożył. Ale ciemność zestrachana, skulona w kącie boi się odwrócić... Czego się lęka? Nie wie, boi się jeszcze bardziej.

- Co to? - pyta dziecko drżąc. - Czy jesteśmy pod wodą?

- Nie, Jesza. Nie lękaj się - odpowiada inny głos.

- Wujku, dlaczego tu nie ma gwiazd? Dlaczego? Gdzie my...

- Nie wiem, mały... Na Boga, nie wiem...

Następne spośród milionów drzwi otwierają się i łódka niknie.

Komnata wraca do pierwotnych rozmiarów. Blask powoli słabnie. Nieubłagane echo cały czas powtarza odgłos tajemniczych kroków.

Jaskrawy blask wybuchł w głowie Jarvy Grithe. Nagły ból i strach rozlały się po całym jego ciele. Z nosa trysnęła krew. Rozdygotany, rozbudzony wstał z łóżka.

- Co to było? - szepnął.

Kolejne pół godziny spędził, spacerując w ciemnościach po swoim pokoju. Gdy już uspokoił się na tyle, by móc zasnąć, przyszedł Svaroh. Przekaz był słaby, przytłumiony. Jarva nie widział twarzy, słyszał tylko głos, chwycił myśli. Mistrz Svaroh był wściekły, rozjuszony. Ale zarazem bezsilny.

- Umknęli! Dzieciak Weslava, brackie szczenię umknęło. Razem z Sobmirem i jego dziwką. Zmierzali w kierunku kontynentu. Teraz są twoim utrapieniem.

- Jak? - spytał Jarva.

Przez chwilę nie było żadnej reakcji. Potem napłynęła fala wściekłości przemieszanej z lękiem:

- Nie pojmuję tego. Przeszli przez Komnatę. Nie mam pojęcia, jak. Ale przeszli. Jarvo, bądź uważny, pilnuj wybrzeża. I kontynuuj swą misję. Liczę na ciebie.

- Panie, kiedy przybędziesz?

- Wkrótce. Odheyn gromadzi siły. Już wkrótce.

- To ostatnia zatoczka, której jeszcze nie obstawiliśmy - rzekł Rippen do Alenharsta, wpatrując się w wąski, zasnuty ranną, eteryczną mgłą fiord. Skalne ściany owego morskiego przyczółka w głębi ładu były strome, szare i spadały prosto w morze. Wybrzeże było kamieniste, bezdrzewne. Las, w którym krył się Alenharstowy oddział zaczynał się dobre kilkaset kroków dalej.

- Sześćdziesięciu ludzi starczy - mruknął Alenharst. - Zostawimy im, na wszelki wypadek, dwie katapulty. To powinno załatwić sprawę piratów. A krasnale - namiestnik Lukki wydał pogardliwie wargi - musiałyby ich być ze dwie setki, by z naszymi mogli stawiać. Ty, Henes - zwrócił się do jednego ze swych adiutantów - zostaniesz. Rozłokuj ludzi wśród drzew. Wystaw czujki. Zapasów masz na trzy tygodnie, ale za piętnaście dni przyślę zmienników. W ten czas postaw tu jakieś chaty. Niby wiosna idzie, ale ziąb jeszcze, a i strażnicę przydałoby się tu założyć. Może i cieśłow kilku ci podeślę. Jakby co, kuriera pchnij. Psia krew, ale więcej. Łeb chce urwać. I te fale, huk jakby wieloryby się... ten tego.

Żołnierze zaśmiali się dziko, gromko.

- Strasznie ostatnio morze rankami niespokojne - przytaknął Henes. - Jakowyś to znak.

- Znak, nie znak, a nam pora jechać - wtrącił się Rippen. -Do Lukki więcej niż dziesięć mil. Nie zapominaj, że dzisiejszy wieczór spędzasz...

- Wiem, wiem, u Hagaldów. Aż mnie cholera trzęsie. Stokroć milsze było mi objanie tyłka na szlaku przez ostatnie dwa dni. Salony, psia mać! No, ale cóż, jechać trzeba. Co robić, wiesz -rzucił do Henesa.

Kary rumak zatańczył na usianym kamieniami wybrzeżu. Dziesięciu jeźdźców - przyboczny oddział namiestnikowski -również zawróciło swoje wierzchowce. Alenharst krzyknął, popędzając swego konia.

Okrzyk namiestnika przeleciał po wodzie i odbiwszy się od ścian, pomknął w głąb fiordu. Wszystkim się zdawało że Alenharst jeszcze woła, a to echo niesło jego krzyk w kierunku morza.

W ciszy zapadłej nagle, niespodziewanie, unosił się niepokój. Alenharst stanął, spojrzał w stronę wygładzonej z nagłą tafli wody. Błada mgła, nierozpraszana chwilowo przez wicher, nabrała gęstości, zbielała. Kilkudziesięciu wojowników wyczekująco wpatrywało się w białoszare obłoki. Czas przestał istnieć.

A potem zza zakrętu wypłynęła mała łódź. Prawdę rzekłszy, była to łupina, skorupa, niezdolna pomieścić więcej niż sześć osób. W dodatku owa szalupa poharatana była niemiłosiernie. Pęknięcia i drzazgi widać było z daleka. Maszt był złamany, przykrywając przód pokładu szarym, pokaleczonym, podziurawionym żaglem, a mimo wszystko łódka powoli, bo powoli, ale płynęła do brzegu.

Pierwszy odzyskał głos Alenharst:

- Co to, do stu krasnoludzkich demonów, ma być? Czemu ten dziurawy orzech jeszcze nie pod wodą? Czary to, czy jakie inne kurestwo?

- Kurestwo - wyrwało się któremuś z wojów.

- Czort wie - bąknął inny.

- Możliwe - mruknął Rippen - bardzo możliwe, że on. Albo któraś z pirackich kohort.

- Nie ma co główkować i na siebie się oglądać. Widzicie, że do brzegu płynie. Miecze dobywać i za mną! - powiedział rozeźlony namiestnik, zeskakując z końskiego grzbietu.

Gdy tylko dno łupiny szurnęło o kamienie na brzegu zatoczki, dopadło do łodzi kilkunastu wojów z Alenharstem na czele. Małeńki stateczek bez trudu wyciągnięto na ląd. Na pokładzie, przy rufie, w sporej kałuży, leżały trzy osoby. Mężczyzna i kobieta w późnośrednim wieku. I dziecko, przytulone do kapoty brodacza, śpiące błogo, spokojnie.

Sobmir, były kanclerz i kapłan na dworze księcia brackiego Weslaya, ocknął się, czując w głowie potworny, pulsujący ból. I strach. Wielki okręt flagowy Odheyne, burza, pioruny, i pomyoty Svaroha - stada upiórów wyjących potępieńczo, które krążyły nad ich

łodzią. Fala wdzierała się do środka, deski trzeszczały... A potem ciemności, trwające tak długo, całą wieczność.

Wreszcie się skończyły. Sobmir nie otwierał oczu, lecz wiedział że jest jasno, całkiem jasno. Usłyszał nad sobą glosy. Początkowo były dla niego tylko niezrozumiałym bełkotem, ale stopniowo zaczął wyławiać poszczególne słowa. W chwilę później zrozumiał całe zdanie. Jakiś mocny głos, bynajmniej nie po bracku, a w imperialii, jak nazywano na wyspach język kontynentalny, rzekł:

- Żywi są jak nic, lecz wiele teraz mi nie rzekną, a podejrzanie im z gęb patrzy. Zabieram ich ze sobą do Lukki. Sobmir zemdlął ponownie.

Komnata była mroczna, ponura i zatęchła. Jak wszystkie komnaty lochów rozciągających się niczym podziemna pajęczyna pod basztą w Lucce. Dwie krótkie pochodnie, włożone w wiszące na ścianach metalowe koszyczki, zalewały pomieszczenie rudym światłem. Pod ścianą na cienkiej warstwie częściowo zgniłej słomy siedziała kobieta. Mały chłopiec tulił się do niej z przestachem, spoglądając na środek komnaty. Dwaj muskularni wartownicy trzymali chudego, brodatego mężczyznę ślaniającego się ze zmęczenia. I z bólu.

Alenharst krążył po komnacie. W jego oczach błyskały gromy gniewu.

- Mówisz zatem, że przyplynałeś z wyspy Bracz, czyż nie? W owej skorupie, o ile cię dobrze zrozumiałem? Twierdzisz, żeś jest kapłanem i uciekłeś przed prześladowaniami? Radzę po dobroci, pomyśl, nim odpowiesz!

- Tak, właśnie tak jest, jak rzekłeś.

- Cóż - syknął Alenharst. - Po dobroci nie chciałeś. No, to będzie po złości.

Silny, nie pierwszy już tego dnia, cios spadł na szczękę Sob-mira. Mężczyzna jęknął. Po raz setny przeklął w myślach swą sytuację. Ledwie uciekł, w niezrozumiały zresztą dlań sposób, z jednej niewoli, to wdepnął w drugą. Zastanawiał się, jak wytłumaczyć coś, czego nie ogarniał sam. W dodatku musiał kluczyć, lawirować, kłamać. Nie mógł przecież zdradzić, kim był Jesza.

- To, co mówię, winno starczyć ci za dowód tego, że nie lżę - wyseplenił. Rozbita ciosem warga krwawiła obficie. Tak jak poważniejsza rana, w okolicy brzucha. Czuł się podle, ale wiedział, że musi wytrwać. Dla Jeszy. I dla Prawdy. On i jego małżonka byli bodaj jedynymi wyznawcami Tego Który Jest pozostającymi przy życiu. Reszta starowiemych bądź to została zmuszona do konwersji przez Odheyne, bądź zajął się nimi Svaroh. Sobmir spuścił głowę. Potężny mag nie bez przyczyny nazywany był na wyspach "Morderczym".

Rozmyślenia przerwał kolejny cios i niecierpliwe pytanie:

- Daj dowód, żeś był zdolny przepłynąć z wyspy do Lukki. Daj dowód. Co mówisz o wojskach Odheyne, o jego flocie, o inwazji, brzmi prawdziwie, cholernie

prawdziwie, ale skąd wiem, żeś niejaki szpieg albo dywersant? Daj dowód, to wyjdiesz wolnym, a nie to będziecie siedzieli tutaj. Tak długo, jak uznam, że zagrozić mi nie możecie.

Kapłan niechętnie pokiwał głową. Rozumiał, że musi zbiec w głąb Czernokrainy, w głąb kontynentu, bo prędzej czy później Svaroh i Odheyn zjawia się, prowadząc flotyllę okrętów z żaglami koloru krwi i wojowników, którzy zaleją wybrzeże. Ale cóż miał powiedzieć?

- To cud - mruknął, bez przekonania. - Cud.

- Cud, mówisz... Ha, twój bóg musiałby być nieziemsko potężny. Silniejszy niż wszystkie bogi kontynentu. Ba, silniejszy niż czarodzieje z Rady Kapitulamej. Wybacz - Alenharst pogardliwie wyduł wargi - ale wykoncypować będziesz musiał coś bardziej przekonującego. Tego rodzaju wymysłom zwieść się nie dam. Bóg go zbawił, to dopiero. W dupie ci się przewracało. Nie ma takich bogów. Ale wolisz kłamać, będziesz siedział.

Drzwi się zamknęły. Wycieńczony Sobmir opadł na słomę obok żony i chłopca.

- Nie kłamałem - szepnął do siebie. - Jest taki Bóg. Jedyny.

Złe było z nią. Czuła je przy sobie. Piękne, pociągające, chciała być przy nim. Miała nóż. Spojrzała w znajomą twarz odwiedzającą ją w każdym koszmarze. Czuła ekscytację, niepohamowane pożądanie. Był tuż przy niej, szeptał czułe słowa. Był wspaniały, ale zarazem odrażający, zły, NIEBEZPIECZNY. Na szczęście miała nóż. Jakiś głos usłuszenie, niepostrzeżenie podpowiedział jej, co ma robić.

- Egis! Eeegis! Wstawaj. Znowu zasnąłś w środku dnia? Za dobrze ty się nocami bawisz, za dobrze - krzyczała chropowato gruba posługaczka, szturchając ramię dziewczyny. - Ale wstawaj, no już, już. Uczta się zbliża, a dzisiaj się nie wykręcisz. Wuj byłby gniewny. No, Egis, kąpiel czeka...

Szła długim, oświetlonym dwoma rzędami świec, korytarzem po miękkim, karmazynowym chodniku. Ściany zdobiły kosztowne, misterne gobeliny. Tu i ówdzie na podeście stało rzeźbione popiersie któregoś z Hagaldów. Hol szumiął tysiącem, tłumionych tylko nieco przez drzwi, rozmów.

Wysoki, ubrany z wykwinną prostotą mężczyzna prowadził ją, trzymając delikatnie za ramię. Nie lubiła go. To był jakiś cudzoziemiec, chyba wyspiarz, zaufany wujka. Dziewczyna zawsze uważała, że wygląda jakoś podejrzanie. Był taki chłodny. A nazywał się...

- Proszę, Egis. Zostań królową balu! - rzekł, otwierając drzwi.

- Dziękuję, Jarvo Grithe - odpowiedziała machinalnie.

Wesołe, frywolne dźwięki muzyki przebijały się przez wzmożony gwar. Stoły, zastawione rzędami półmisek, ugięłyby się pewnie pod ciężarem jadła, gdyby nie zrobiono ich z marmuru. Służący donosili co chwilę nowe danie, za każdym razem bardziej smakowite niż poprzednie. Góra frykasów rosła w zastraszającym tempie i to mimo wysiłków niektórych gości, którzy za punkt honoru postawili sobie opróżnić półmisek przed przyniesieniem następnego.

Rumiane indyki, kurczaki i przepiórki kusily oczy. Wtórowały im nadziewane kaczkę i faserowane rolady cielece. Tu i ówdzie przycupnęło pieczone prosię, śmiejąc się do rozochoconych biesiadników jabłkiem w pysku. Kielbasa z samy wiła się na pół-misach, plastry wędzonej szynki ciemną czerwienią przyciągały oczy i srebrne widelce. Smażone węgorze i halibuty szły w zawody z wybornymi pasztetami, auszpikami i galaretami. Wianuszki przekrojonych jajek pływały się w pikantnych polewach, białe wazy błyskały tłustymi okami brązowego sosu, a pieczeń z dzika nakazywała grać marsza najbardziej opornym kischom.

Misy pstrzyły się dziesiątkami sałatek i owoców, które w północnym klimacie Lukki nie mogły rosnąć żadną miarą. Osobną sprawą było pieczywo. Każdy jego rodzaj miał tylko sobie przeznaczone, wiklinowe koszyczki. W tych największych był chleb biały, w mniejszych czarny, doprawiony ziołami i ziarnami soczewicy, a godził je wykwinny chleb makowy pieczony na rangardzką modłę. W bułkach walka o prymat jeszcze bardziej była zażarta; małe, chrupiące haverki starły się z pulchnymi arkonkami i puchatą, lekką bułką agandburdzką wyrabianą ze specjalnej, twardej pszenicy.

Najbogatszą reprezentację Hagaldowie zapewnili jednak trunkom. Napitki lekkie i ciężkie, piwa różnego sortu, wina wszelakiego rocznika, likiery niebiańskiej mocy łały się do szklanych kielichów, których nikt nie myślał zmywać, zatem posługacze dyskretnie, acz stale, przemierzali bawialnię sprząając potłuczone szkło i inne owoce zabaw arystokracji. Ein Hagald wykazał zbytek przezorności i myśląc o gościach-abstynentach kazał podać nawet kilka rodzajów soków. Niestety, żaden gość-abstynent się nie pojawił.

Blask tysięcy świec umieszczonych na wymyślnych kandelabrach aż bił w, oczy, tak jak w oczy biła uroda zaproszonych na ucztę kobiet, kuszących każdym swym kształtem, każdą krągłością. Niektórzy, co bardziej rozweseleni, biesiadnicy płąsali przy wygrywanych przez muzyków, skocznych melodiach. Więcej i więcej osób kołysało się w nierzadko trzeszczących pod ich ciężarem krzesłach, tu i tam słychać było zawadiackie śpiewy, ktoś zażarcie dyskutował.

Jego Wysokość Namiestnik Królewski, za którego zdrowie i obecność wychylono trzy pierwsze toasty, nie był jednak w nastroju do zabawy. Obojętnie przyjmował zalotne spojrzenia zdolne spopielić każdego na jego miejscu.

Ja z najmniejszą monetą cackać się muszę i pięć razy w ręce obracam, nim ją wydam. A tu proszę, ród

Hagaldów właśnie puszcza przez palce, lekko licząc, roczny żołd tysiąca najemnych - myślał gniewnie. Dobrze, że choć trunki przednie. To trzeba pudemicom przyznać, na napitku się znają.

Kolejny raz urodna służka pochyliła się nad nim, napełniając kielich i wabiąc obfitym dekoltem. Kiedy indziej, Alenharst przygryzł wargę, kto wie... Gdyby czas był spokojniejszy...

- Gospodarzu, w waszym pałacu nawet posługaczki jak królewny się noszą i takież wyglądają. Że o szlachciankach nie wspomnę - powiedział do siedzącego obok Eina Hagalda. Ten ostatni zaśmiał się gromko.

- Racja, mości namiestniku. Widzę, że łatwiej się nam będzie porozumieć, niżlim pierwiej przypuszczał. Same kwiatuszki tu się kręcą. Nic, tylko któryś z nich zerwać i zapylić, ha, ha... Zaręczam, nie odmówi żadna.

- Nie czas, panie Hagald, na miłostki i igraszki. Prawdę powiedziawszy, dziwię się trochę, że teraz zdecydował się pan bal wyprawiać - rzekł wolno Alenharst. Nareszcie mógł się zająć tym, po co przyszedł.

- A co? - zapytał niewinnie Ein. - Pora na ucztę tak dobra, jak każda inna. A przyjście wiosny ucztę trzeba. Jeszcze kilka sztormów, a potem sezon prawdziwy. Handel znów przez port ruszy, roboty w brud będzie. Rozumiesz, mości namiestniku, arystokratyczne pochodzenie arystokratycznym pochodzeniem, a interesy interesami.

- I ja nie myślę, by uczciwa - tu Alenharst przerwał i od-kaszlnął - by uczciwa praca kogokolwiek hańbiła i jakimukolwiek pochodzeniu uwłaczała. Ale w tym roku może nie być żadnych zysków - dokończył cicho, z lekka odsuwając się od stołu.

- Jakże to? - zapytał Hagald szeptem, nachylając się w stronę Alenharsta. - Wielmożny namiestniku, o czym mówisz?

- O Odheynie. Ów człowiek, cztery lata temu jeszcze zwykły szyper w kohordzie Leifa Gwałtownika, podporządkował sobie większość plemion zamieszkujących Wyspy Borealu. Ostatnio padło księstwo Bracz.

- W istocie, coś słyszałem...

- To mnie akurat nie dziwi - przerwał Alenharst ostro. - Darujmy sobie aluzje i niedopowiedzenia. Wiele wiem o przemycie broni w jedną i jantaru w drugą stronę. Choć, jak mniemam, ty, panie Hagald, wiesz więcej. Wszak to na tym odbudowała się fortuna waszej rodziny, czyż nie?

- Czyżby, namiestniku? Nie dawałbym wiary plotkom, jakie rozsiewają mali, zazdrośni ludzie. A poza tym... Widzisz, mości namiestniku, wiem co nieco o wymiarze sprawiedliwości, o sądach gromadzkich, o postępku sądowym... Choć ty, nie wątpię, wiesz o prawie Królestwa więcej. Wszak by sądzić, pierwiej musisz mieć dowody, czyż nie?

- Prawda. Ale nie sądzić cię tu przyszedłem ani nawet oskarżać. Raczej ostrzec. Bo widzisz, panie Hagald, na wyspach zrobiło się ciut ciasno, ciut tłoczno.

Zimno i wietrznie było tam zawsze. Przecież u nas lepiej, a piraci uzbrojeni po zęby. Mniejsza o to, przez kogo. Tedy chciałbym poradzić. Nie szmuglujcie, panie Hagald, więcej mieczy na wyspy. Bo któryś 2 nich może za czas niedługi skrócić pana o głowę.

- ???

- Krótko mówiąc, Odheyn szykuje inwazję na kontynent. Nie wycieczkę dla łupów, nie kilkudrakkarową eskapadę. To będzie cała flotylla. Oni nie mają zamiaru wracać na wyspy. Nie myślisz chyba, że wyrzynając Lukkę, zrobią dla ciebie wyjątek. A siły królewskie mogą najazdowi nie sprostać.

- Co? To za co ja podatki płacę, kiedy nawet bezpieczeństwa zapewnić Królestwo nie potrafi!

- Kłopot w tym, że nie płacisz podatków. Podobnie jak dziesiątki innych rodzin. Poza tym przypominam, że mamy wojnę z Iranionem. Tedy i jako namiestnik prawa mam specjalne. Gdybym stwierdził, na ten przykład, że brak mi grosza, mógłbym zarządzić konfiskaty. Czy wsadzić do lochu. Żaden sąd mi teraz nie potrzebny. Radzę dobrze, zgódź się, panie Hagald, na moje warunki. Po dobroci.

- Warunki? - spytał arystokrata, coraz bardziej nerwowo. Czuł, że sytuacja wymyka mu się z rąk. Chociaż...

- Przydałoby się z dziesięć nowych katapult. Więcej strzał, trochę mieczy. Z pięciuset ludzi trzeba dokooptować. No i zapasy. Gdy będziemy dobrze zaopatrzeni, możemy się bronić i pół roku.

- I, oczywiście, ja miałbym to opłacać?

- Oczywiście - Alenharst uśmiechnął się szeroko. - Na odpowiedź czekam dwa dni. A teraz wybac, gospodarzu, ale obowiązki...

- Nie, nie! - zaprotestował energicznie arystokrata. - Mimo pewnych, hmm, rozbieżności między nami nie chciałbym, namiestniku, byś opuszczał nas tak szybko. Po cóż rezygnować z zabawy? A jeśli chodzi o twe żądania... Pomyślę nad nimi. W istocie, myśl o zajęciu Lukki przez barbarzyńców jest mi niemiła. A teraz napijmy się. Bo miody, podobnie jak kobiety, są pierwszego sortu.

W głosie Hagalda pobrzmiwał ugodowy ton. Alenharst poczuł, że wygrał. Kilka kieliszków wina jeszcze nikomu nie zaszkodziło, pomyślał.

- Zdrowie - zagrział wesoło. - Za Lukkę!

- Za Lukkę - zawtórował Ein Hagald, a za nim cała sala.

Następna porcja znakomitego, czerwonego trunku. Następna śliczna, dziewczęca twarz.

- Zdrowie!

- Za Lukkę!

- Za namiestnika!

- Zdrowie gospodarza!

- Za najpiękniejsze kobiety Królestwa!

- Za zgodę!

Brzęk tłuczonych kieliszków. Kaskada śmiechu. Porywający rytm muzyki. Świat zawirował. Zdrowie, zdrowie, zdrowie...

Egis po raz dziesiąty przekłęła swe roztargnienie.

Gdy tylko przekroczyła próg sali, poczuła się wspaniale. Z miejsca doskoczyło do niej kilku urodziwych młodzieńców i rozpoczęła się rywalizacja o jej względy. Tym zabawniejsza, że nie miała zamiaru ulegać któremukolwiek z konkurentów. Tego jednak zdradzać nie myślała, bowiem uwielbiała być adorowaną, pragnęła skupiać na sobie uwagę co bardziej urodziwych mężczyzn. Z reguły jej się to udawało.

Dodatkową satysfakcję sprawiały Egis jadowite, pełne zazdrości spojrzenia innych dziewcząt. Wiedziała, że przyćmiewa urodą wszystkie. Wiedziała, że niejeden zapalony alkoholem młodzian zostawił swą partnerkę, by przez chwilę cieszyć się jej towarzystwem. Kolejne tańce, kolejni partnerzy, potok komplementów.

Dobry nastrój minął w mgnieniu oka, kiedy dostrzegła brak bransolety podarowanej jej przez wujka. Misternej, zdobionej diamentami bransolety, która dla Egis, pochodzącej z niezbyt zamożnego odprysku rodziny Hagaldów, stanowiła dziewięć dziesiątych majątku. Gorączkowe poszukiwania nie przyniosły efektu. Przy świetle świec trudno było cokolwiek dostrzec w płataninie roztańczonych nóg. Egis wściekła na wszystko i wszystkich skierowała się do stołu. Chciała usiąść, uspokoić się. I napić.

- Przepraszam, czy to panienki? - Głęboki, przyjemny głos przywrócił ją światu, wyrывая z natrętnych rozmyślań.

Obróciła się szybko, z nadzieją, która na nowo pojawiła się w jej sercu. I rzeczywiście. Bransoleta, nawet nie drażnięta, zabłysła dziesiątką diamentów w świetle kandelabru wiszącego nad głowami tańczących. A potem spojrzała na swego dobroczyńcę.

Fala zimna i gorąca rozlała się po jej ciele jak rzeka podczas powodzi. Serce załomotało głośnie i szybciej niż orkiestrowe bębny. Dziewczyna zarumieniała się i zachwiała - lekko zakręciło się jej w głowie.

- Dzięk... dzie... dziękuję - wyjąkała.

- Pora na mnie - stwierdził Alenharst, wstając z pewnym trudem od stołu. Alkohol szumiał w głowie całkiem mocno, a namiestnik wiedział, kiedy przestać. Przyszedł na ucztę, by reprezentować Królestwo, a nie ucztować ze swym, do niedawna największym, przeciwnikiem.

- Jeszcze wina? - zapytała czarującym szeptem posługaczka. Dziewczyna była młoda, bardzo atrakcyjna. I wpatrywała się w Alenharstajaka w obraz.

- Nie tym razem - odparł, starając się, by dziewczyna zrozumiała, że i on niechętnie ją zostawia. - Obowiązeki.

- Ano, obowiązki! - niespodziewanie przyszedł mu w sukurs Ein Hagald. - Zatrzymać cię dłużej nie będziemy, ale, mam nadzieję, zjawisz się jeszcze, gości namiestniku, w moim domu nie raz.

- Zależy to tylko od ciebie - powiedział stanowczo Alenharst. - Tylko i wyłącznie od tego, co zadecydujesz. Bywaj, Einie Hagaldzie.

To rzekłszy i skłoniwszy się z przesadną gracją, namiestnik Północnej Marchii odwrócił się i ruszył w kierunku wyjścia. Brnął przez wielobarwny, rozbawiony tłum, który falował w rytm skocznych piosenek. Szedł ostrożnie, nie chcąc pokazać, że lekko kręci mu się w głowie. Skala przyjęcia robiła wrażenie. A poza tym to wino... Nic więc dziwnego, że namiestnik każdy krok stawiał z rozmysłem, spoglądając uważnie pod stopy.

Niespodziewanie nogi odmówiły posłuszeństwa, zupełnie jakby ktoś związał je niewidzialnym powrozem. Alenharst poczuł, jak traci równowagę. By nie upaść, wsparł się o grubą, marmurową kolumnę. Cholera - zaklął - nie jestem aż tak pijany. Ze złością spojrzał w dół.

U podstawy filaru lśniła wyrafinowana, złota bransoleta inkrustowana diamentami. Pierwszą myślą było, że Hagald w zawołanej formie wręcza mu łapówkę. Po chwili doszedł do wniosku, że to bzdura. Powoli wariuję, pomyślał. Podniósł klejnot i przez chwilę przyglądał mu się uważnie. Skomplikowane ścieżki diamentów układały się w przenikające się nawzajem okręgi, na tle mozaiki małych, precyzyjnych, złotych ogniów. Namiestnikowi przyszło do głowy, że klejnot zgubiła jakaś arystokratka. Naraz poczuł na sobie czyjeś spojrzenie. Odwrócił się gwałtownie. O krok od niego stał wysoki, szczupły mężczyzna, ubrany oszczędnie, lecz wykwinicie w ciemne szaty. Błada twarz nie wyrażała niczego. Alenharst, choć wiedział, że zostali sobie przedstawieni, nie mógł przywołać w pamięci imienia tego człowieka. By pokryć zmieszanie, namiestnik odezwał się szybko:

- Znalazłem to na podłodze. Wiesz może panie, do której z niewiast ów klejnot należy?

- Oczywiście - odparł beznamieennie zapytany. - To bransoleta panienki Egis, która stoi o tam. Najpewniej odpięła się podczas tańca. Jeśli pan jej ją odda, zaskarbi sobie pan, namiestniku, względy tej uroczej panny, bo owa bransoletka to prezent. Bardzo cenny.

Alenharst spojrzał w stronę dziewczyny wskazanej przez rozmówcę. Stała pośród tańczących, tyłem do niego i wpatrywała się w podłogę. Krucze włosy przycięte dwa cale nad barkami odsłaniały białą, smukłą szyję. Na jednym z nagich ramion rysował się mały tatuaż. Czarna, długa sukienka podkreślała znakomitą figurę dziewczyny, a głębokie rozcięcia na bokach pozwalały podziwiać przy każdym ruchu niebywale smukłe i proste nogi. Alenharst zbliżył się do Egis i niepewnie zagadał, trzymając w ręku bransoletę.

Dziewczyna odwróciła się i spojrzała z wdzięcznością na młodego namiestnika.

Zielony ocean, czający się w jej głębokim spojrzeniu, pochłoniął go bez reszty. Poczuł, jak słowa więzną w gardle, starannie przygotowane zdanie rozsypało się w niezboną układankę wyrazów, z której żadną miarą nie można było sklecić niczego

sensownego. Alenharst w chwilowym przypiływie świadomości pojął, że zaczerwienił się jak zwykły sztubak, co dodatkowo wprawiło go w zakłopotanie. Krew wrzała w żyłach. Poczuł... Prawdę rzekłszy sam nie rozumiał, co to było. Chciał uciekać, a zarazem nie mógł. Stał na środku sali pośród tańczących i wpatrywał się w Egis, nie mogąc wykrztusić słowa.

Po chwili długiej jak cała wieczność, w której, jak mu się zdawało, muzyka ucichła, ludzie znieruchomieli, a jego serce przestało bić, dziewczyna odezwała się. Słabe "dziękuję" ledwie doszło do namiestnikowych uszu, ale gdy już tam trafiło, grzmot tych kilku dźwięków o mało nie rozerwał jego rozognionej głowy. W następnej sekundzie zrozumiał, że nie ma na co liczyć. Dziewczyna była piękna. Po prostu. Wszelkie inne określenia, elaboraty, eufemizmy, porównania, komplementy i hiperbole mogły jedynie zmącić i znieważać obraz ideału. Bo żadne słowa nie były odpowiednie, by go opisać. A on? Nieokrzesany, wielki, nieproporcjonalnie zbudowany...

W mgnieniu oka Alenharst po tysiackroć przeklął brak obycia w towarzystwie. Nieskończenie długi szereg wad stanął przed oczyma namiestnika. Poczuł, że jest bezwartościowy, tępy jak kamienny topór i tak samo brak mu ogłady. Gdy już chciał umknąć, kryjąc się w tłumie, dotarło do niego, że Egis coś mówi.

- .. a do tej chwili myślałam, że dziś pech mnie prześladowe. Jeszcze raz dziękuję, panie namiestniku. Naprawdę nie wiem, jak mam się odwdziżyć. - Tu głos dziewczyny załamał się.

- Starczy ten przepiękny uśmiech, którym mnie, pani, obdarzasz - odparł. Czy mu się zdawało, czy na policzku dziewczyny wykwił rumieniec?

- Chciałbym też nadrobić karygodne zaniedbanie - ciągnął trochę ośmielony. - Wszak nie przedstawiono nas sobie. Alenharst, namiestnik Północnej Marchii.

- Mam na imię Egis, Ein Hagald to mój wuj. Z pana, namiestniku, postać głośna; ale przyznam, że to, co mówią nie dorównuje choć w połowie prawdzie - rzekła, odzyskując rezon.

- Skąd, o pani...

- Proszę - szepnęła. - Imię starczy.

- Do.. .dobrze, Egis. Skąd zatem wiesz, jaki jestem? Dopiero mnie poznałaś.

- Zatem poznajmy się bliżej - zaproponowała, uśmiechając się zalotnie i idąc w kierunku stołu. Pojęła, że jej urok działa także na niego. Jakże łatwo mogłaby go zwodzić. Uwielbiała potwierdzać w ten sposób swą kobiecość. Każdego mężczyznę mogłaby doprowadzić do białej gorączki i momentalnie rzucić. Każdego, z wyjątkiem Alenharsta.

- Zatańczysz, Egis? - szepnęła.

- Czy mogłabym odmówić tobie?

Świat odszedł w niepamięć, w nicość, byli tylko oni, blisko, blisko...

Nachylił się do niej, by wdychać jej zapach, by dotknąć jedwabistych włosów, by choć musnąć aksamitną skórę dziewczyny.

Nie cofnęła głowy.

- Chodź - ponagliła go. Szli wąskim ciemnym krużgankiem, okalającym mały wirydarz w rezydencji Hagaldów. Egis siadła na kamieniu, tuż przy oczku wodnym. Cały czas trzymała Alenharsta za rękę.

- Trochę tu chłodno, bo dach jest ze szkła, ale ma to swoje zalety. Nikt tutaj nie zagląda o tej porze roku - powiedziała cicho.

- Słuchaj Egis, to szaleństwo - zaprotestował. - Z tego tylko ból i mnie, i tobie. Przecież Ein tylko patrzy, jakby mnie utracić. Nienawidzi mnie prawie tak, jak ja jego.

- Mężczyźni zawsze myślą to, co naprawdę ważne z błahostkami. Poza tym ja to nie Ein, mój drogi... A teraz chodź do mnie i przestań mówić o głupstwach!

Przestał.

- Za czysty szlak! - krzyknął Ein Hagald, wstając i wznosząc pękaty kielich, napelnięny po brzegi wybornym winem.

Kilkunastu współbiesiadników zgodnie przechyliło swoje. Zajmowana przez nich salka była mała, oddzielona od bawialni korytarzem, o którym wiedzieli nieliczni. Ci najbardziej zaufani, czyli synowie, brat i siostrzeńcy Eina, a także kilku rajców miejskich, pozostających w zażyłości z Hagaldami od lat.

W owym towarzystwie znalazło się również miejsce dla niewiasty. Karina Hagald, siostra Eina, była osobą pękatą, niewysoką. Policzki i nos zaczerwieniła wypita gorzałka, a urągająca wszelkim gustom suknia odsłaniała, grube niczym maszty okrętowe, tyle że bynajmniej nie tak długie i smukłe, nogi. Skryte w poduszkach policzków oczy były jednak zaskakująco bystre i inteligentne, a wyzywające spojrzenie mówiło: i tak jestem lepsza niż większość tej zgrai. Ein, w duchu, zgadzał się z tym, stąd obecność Kariny na tajnych naradach. Jak nikt potrafiła trzymać się tematu, umiała załagodzić każdą kłótnię, a gdy nic nikomu do głowy nie przychodziło, ona sypała pomysłami, jak z ciężkiej, wypełnionej do granic sakiewki, z którą się nie rozstawiała.

Tego dnia jednak nikt nie potrzebował pomysłowości siostry Eina Hagalda. Sprawy zaczęły się układać nadzwyczaj pomyślnie. Na wszystkich frontach. Jarva Grithe, cichy ambasador Od-heyne, obniżył cenę, za jaką miała być wykupiona Lukka. Powiodło się przejęcie filii Banku Agandburskiego po cenie wręcz śmiesznej. Podobnie było z trzema obciążonymi hipoteką frachtowcami, których dotychczasowi właściciele zniknęli w niewyjaśniony sposób. Bank Portowy, którego prezesem był Armin Dietremena Hagald, natychmiast zgodził się na wykup. I ostatni, największy sukces...

- Czas słać umyślnego do krasnoludów - zawołał Ein. Gdy stanął przed nim niewysoki chłopak, powiedział: - Niech karły szykują wozy. Ja dam statki. Za dziesięć dni, na dwie godziny przed brzaskiem, frachtowce czekać będą po wschodniej stronie Fiordu Złamanych Masztów. I rzeknij im, a owo zapamiętaj

dobrze, że namiestnikiem na razie przejmować się nie muszą. Bo pan namiestnik ma co robić w nocy.

Wszyscy w sali ryknęli gromkim śmiechem.

Dziesiątki świec porozstawianych w kręgi na gołej posadzce rozświetlało małą izbę. Ściany były przystrojone tylko w gobeliny przedstawiające wielkiego węża na czerwonym tle, za każdym razem o innym obliczu i w innej pozycji. Komnata nie miała w ogóle okien.

Pośrodku kręgów klęczał wysoki mężczyzna. Oczy miał przymknięte, wargi lekko drżały, zdradzając napięcie u tego, zwykle bardzo opanowanego, człowieka.

Płomienie świec kolebały się ciężko, wolno rozmywając się pod spuszczonej rzesami, zlewając w jedną pomarańczową plamę, w jeden wielki płomień.

Twarz uformowała się z płomieni tyleż gwałtownie co niepostrzeżenie. Ogniste, rozdygotane oblicze zwróciło się w kierunku klęczącego. Wargi poruszyły się bezszelestnie, lecz w głowie mężczyzny słowa zabrzmiały potężnie, niczym odgłos gromu, niczym pomruk nadchodzącej burzy:

- Witaj, Jarvo! Unieś umysł w płomienie przejścia. Wzywa cię Pan Jadów!

Zadał wicher. Świece naraz rozbłysły jasnym, intensywnym ogniem, lecz po chwili poczęły blednąć, przygasać, maleć. Izdebkę ogarnął mrok. Nastąpiła cisza, absolutny spokój zapanował w przestrzeni, w jakiej znalazł się Jarva. Spostrzegł, że nie oddycha, ale też nie czuł takiej potrzeby. Mimowolnie zadrżał. Choć nie był to jego pierwszy raz w Komnacie, nie potrafił się oswoić z własnymi reakcjami. Jarva Grithe klęczał przed wysoką, utkaną z płomieni postacią.

- Wieczne jest imię Pana Jadów, a potęgą jego nie ma kresu! - wyszeptał. - Witaj moży Svarohu. Czym zasłużyłem na łaskę wezwania?

- Pora, byś usłyszał nowiny. Mam też dla ciebie nowe zadanie, które będziesz musiał wypełniać równolegle z poprzednim.

- Rozkazuj.

- Wpierw zobaczysz, jak wygląda teraz Czernokreina. Ognie trwającej od lat wojny znów rozgorzały nad światem, stąd moja dzisiejsza postać. Nadchodzi zmiana. Wojna, więc zmiana. Rzekłbyś, nic zaskakującego, lecz niewielu przypuszcza, jak głęboka owa przemiana będzie. Zresztą patrz.

Svaroh machnął ręką w prawo. Ciemność uformowała się w ścianę, która rozbłysła płomieniami. Pożar trawił ogromne, starożytne miasto. Chmura ciężkiego dymu przysłaniała, wiszące nisko nad horyzontem, krwistoczerwone słońce.

Kolejny obraz. Dolina pełna wojska. Bitwa. Linia frontu ciągnie się wzdłuż rzeki, przez dobrych kilka mil. Przeważają jedni, to znów dłudzy, końca walki jednak nie widać. Czasem jakiemuś oddziałowi uda się wejść na brzeg, lecz większość wojów walczy, brocząc w wodzie. W wodę po kolei upadają też sztandary:

Rangardu, Boregandu, Królestwa Północnego, Westii, Iranionu, Albii. A woda jest krwawopurpurowa.

Drugi obraz. Kilkanaście wysokich postaci stoi na szczycie góry. Ciemne sylwetki odcinają się na tle ogromnego księżyca. Nagle rozlega się wycie wilków, błyskawice spadają na wzgórza jedna po drugiej. Zielone, seledynowe i karmazynowe pioruny -tak zwane ramiona magii - tną powietrze i ciała zgromadzonych na szczycie.

Ostatnia migawka. Sporą, dobrze wyekwipowaną armia stoi pośród pożółkłych traw. Nad głowami wojów łopoczą białe sztandary. Feldmarszałek estyjski, Lugós Allite, składa swą buławę i estyjski sztandar pod nogi śniadego mężczyzny odzianego, w porównaniu z feldmarszałkiem, jak nędzarz. Armia zwycięzców jest dwakroć mniejsza i wielokroć gorzej wyekwipowana niż Estyjczycy. Jednak to na twarzy Allite, niezrównanego dowódcy, widać ulgę.

Ciemność. Wizje znikają.

- To, co ujrzałeś dzieje się w tej chwili. Płonie starożytny Vilerood, stolica Iranionu, największe i najludniejsze miasto Czernokreiny. W wielkiej bitwie nad rzeką Thag, trwającej już siódmy dzień, zginęli władcy głównych mocarstw naszego świata. Niewielu zostawiło potomków, a i ci w przeważającej części biorą udział w wojnie. Dodatkowo na każdy pusty stolec szykuje się co najmniej po pięćdziesiąt rodzin moźnych, którzy przezornie od wojny się wykręcali. Niektórzy, nie czekając na dalsze wypadki, wydzierają dla siebie kawałek kraju, czyniąc go osobnym władztwem. A armia? Przy życiu zostali głównie pospolitniacy z powszechnego werbunku. Doborowych oddziałów nie znajdziesz, gryzą ziemię. Dotąd zginęło ponad milion zbrojnych, uważasz? Tymczasem na wyekwipowanie armii poszła większa część zapasów żywności i rezerw pieniężnych, a na pola w tym roku niewielu chłopów wyjdzie. Głód niebawem zapuka do każdych drzwi. Handel praktycznie zamarł, trakty zajęte przez kupy zbójckie i chłopskich desperatów już na przednówku nie mających co do garnca włożyć. A miasta bez handlu umrą. To wszystko zdziesiątkuje stare królestwa, tym bardziej że od stuleci z rozmnażaniem tam coraz gorzej. Tymczasem budzą się ludy dzikie, biedne, głodne, ale liczne. Takie jak nasz, takie jak koczownicy z Pół. Jak wielorybnicy z Łysych Fiordów, foczarze z Wybrzeża Długiego, czy korsarze z Army, jak plemiona Ogst, Torrian, Haderath. Mieszkańcy wysp Gevem i Landria, nim jeszcze zostali poddani Odheyna, szykowali się skrycie do inwazji. Nadszedł nasz czas. Widziałeś armię estyjską zmuszoną do hołdu władcy jednego z plemion koczowniczych, Abgezhowi. Taki sam los spotka Królestwo Pomocne, kiedy nadejdziemy w pełnej sile. Nikt go nie obroni. Bo padł również ostatni, najważniejszy filar starego porządku, wszechpotężne Stowarzyszenie Magów. Konflikty, zadrażnienia, ambicje... Dało to o sobie znać w momencie największego napięcia. Nie dość że Stowarzyszenie musiało uporać się z Czerwonymi Magami z Iranionu, to walczyło jeszcze z kilkoma

grupami secesjonistów. Dodaj do tego ludowe i nieoficjalne formy magii, takie jak Zaklinacze Pogody, a także mój drobny udział. W konflikt - tu ognisty na chwilę zawiesił głos - wmieszały się również siły, których natury nie pojmuję. To ostatnie trochę niepokoi, niemniej jednak efektem jest całkowita likwidacja organizacji stabilizującej kontynent przez bez mała dwa tysiąclecia. Gdy czarodzieje pojęli powagę sytuacji, było już zbyt późno. Zresztą, nie wszystkich interesowało ponowne ograniczenie ramami organizacji. Spotkanie rozjemcze ostatnich tuzów magii na Górze Agenda, które widziałeś, przyniosło śmierć połowy członków Wielkiej Rady Kapitulamej. Kilku zamieszanych jest w zamach/ pozostali zaginęli. I to dla nas naprawdę dobra wiadomość. Jak wiesz, Stowarzyszenie zagospodarowało ludziom sferę duchową, tępiąc religie i pozwalając głosić jedynie swoją filozofię. To ów rząd dusz był prawdziwą siłą czarodziejskiej konfraterni. Chodziło, oczywiście, o dostęp do mocy. Pramocy, którą my nazywamy Panem Jadów. To upostaciowanie pramocy jest niezwykle ważne, gdyż wzmacnia naszą psychę. W ateistycznym społeczeństwie nie istniało niebezpieczeństwo, że ktoś niechciany przez Stowarzyszenie opanuje elementarną potęgę. Tych, którzy naprawdę mieli talent, neutralizowano poprzez wciągnięcie do organizacji. Ale przecież nie tylko utalentowani mogą z mocy korzystać...

- Bowiem - przerwał Jarva, chwytając tok myślenia swego mistrza - każdy, kogo wiara jest naprawdę silna może w jakimś stopniu sterować ową siłą.

- Otóż to - potaknął Svaroh. - Zawsze byłeś moim najlepszym uczniem. Każda wiara umożliwia to w pewnym stopniu...

- Ale nasza w największym, gdyż nie jesteśmy skrepowani żadnymi barierami. To, czego inne, głupawe kultury zakazują, nam daje pełnię siły. Życie to nie tylko miłość, to również nienawiść, krew i ból. Poprzez nie dochodzimy do spektrum, do ogółu.

- W istocie. Życie to również walka, która jest istotą bytu. Żelazne Prawa Stworzenia mówią o nieustających zmaganiach. Prawdziwe szczęście dostępne jest tylko zwycięzcom, tylko tym, którzy stoją na najwyższym szczeblu drabiny bytów. Skoro zaś, w naszym wymiarze, pozycję ową zajmuje człowiek, to miejsce na szczycie przynależy się nam, bowiem jedynie my jesteśmy zdolni do kompletnego czerpania z Pramocy. Mając za sobą oddany, wspierający nas siłą swych myśli lud, my, pośrednicy między nim a Panem Jadów, mamy szansę zbudować w miejsce starego imperium nową, trwalszą konstrukcję. Nowy porządek. Nasz! Wszak wszystko, co wpajano do głów rzeszom ludzi w Czernokreinie okazało się kłamstwem. Po Stowarzyszeniu pozostały miliony sierot duchowych. Jeśli zdobędę ich dusze, jeśli zapanuję nad drzemiącą w każdym z nich mocą, będę władcą, namiestnikiem Pana Jadów. A ty będziesz mój a prawą ręką.

- Ku chwale Pana Jadów i twojej. Mistrzu - wyszeptał z przejęciem Jarva, pochylając głowę.

- Tak - mówił dalej Svaroh. - To możliwe. Lecz kult Pana Jadów nie jest jedynym. Nie wszyscy muszą iść za Jego imieniem. Zaś szczególnie niebezpieczne jest to, co zastaliśmy na wyspie Bracz, wiara w Tego Który Jest. Podejrzewam, że jest to tylko inna twarz Pramocy, lecz jakże inna od tej, którą my wyznajemy. To religia dla słabych, dla głupców. Pełna zakazów, hamująca naturalne popędy, otwarcie przeciwstawiająca się "złu". Nakazująca traktować wszystkich z jednaką estymą, jak gdyby każdy wart był tyle samo, uważasz? Ale owa wiara pociąga ludzi. Może łatwo stać się popularna. Zwłaszcza w ogarniętej chaosem Czernokreinie. Jak wiesz, troje z wyznawców uciekło. Na kontynent. Mniemam, że w okolice Lukki. Jeden z nich jest dziedzicem księcia brackiego, Weslava. Pamiętasz, przeszli przez Komnatę. Myślę, że stało się to dzięki tej części mocy, którą pozwoliła im opanować ich religia. Przyznaję, wcześniej nie podejrzewałem u nich takiej siły. Ale dość o tym. Ty musisz ich odnaleźć i zlikwidować. To ważniejsze niż inne sprawy. A teraz rad bym usłyszeć, jak radzisz sobie z twym wcześniejszym zadaniem.

- Myślę, mistrzu, że gdy nadciągną ogniste okręty Odheyne, Lukka nie będzie zdolna do obrony. Prawda, każdy w mieście coś podejrzewa, w karczmach, na straganach, w porcie szepcze się, że ludy wyspiarskie coś szykują..., Groza w powietrzu wisi. Niektóre banki już przebąkują o ewakuacji personelu. Alenharst otwarcie stwierdza, że spodziewa się naszej inwazji. Nawet stary lis, Hagald zaczął gromadzić zaciężnych. Na własną rękę, oczywiście, mimo moich zapewnień, że Lukka, rzecz jasna, za wykupem, stanie się jego udziałnym władztwem. Również krasnoludy, mający chrapkę na port, przyspieszyły przygotowania do wojny. Jednakże poczyniłem pewne kroki... Namiestnikiem właściwie nie musimy się już przejmować. Hagaldami, jak myślę, również nie. A krasnoludy nie zdążą. Iranion zbyt wielkich obstalunków dokonał, a oni bardziej są łasi na gotówkę niż na ziemię. Nie pomoże im nawet uformowanie specjalnej dywizji ogrów. To cały czas zbyt mało, by zmierzyć się z nami...

Jarva chciał mówić dalej, lecz spostrzegł, że płomienie, z których utkana jest postać Svaroha, bledną.

- Panie?

- Moc - wycharczał Svaroh. - Nie mogę dłużej utrzymać połączenia. Napór...

Płomienna sylwetka powoli blakia, zaczęła też drżeć.

- Wracaj! - krzyknął jeszcze. - I pamiętaj o zadaniu. Nie możemy dłużej zostawać w Komnacie. Niepojęte. Ktoś, równy mi w wykorzystywaniu pramocy. Kroki! Nadchodzi! Wypycha nas. Jarvo, czar wyjścia!

Mag wyszeptał szybko potrzebną formułę. Czarna nicość rozwiała się. Jarva Grithe wciąż klęczał, otoczony kręgami świateł, które, zdało się, nie zmalały ani trochę. Wężę groźnie spozierały z gobelinów.

Czarownika przeszły dreszcze. Od posadzki wiało chłodem. Działo się tak zawsze, gdy nadchodził brzask.

Świtało, kiedy Alenharst przemyczał wąskimi uliczkami Lukki. Rynek ominął, nie chcąc, by wyciągnięto zbyt pochopne wnioski. Dla plotkarzy namiestnik wracający rozpromieniony z uczty u Hagaldów, i to w dodatku nad ranem, mógł oznaczać tylko jedno. A choć pozornie miasto spało, Alenharst nie wątpił, że rynek obserwowały niejedne ciekawskie oczy.

Egis! Na żadnej innej myśli nie mógł się skoncentrować. Wspomnienia, jedno milsze od drugiego, cisnęły się do głowy. Wszystko, co dotąd przeżył momentalnie zbladło. Przygodne dziewczyny wyfrunęły z pamięci, niczym stado płochliwych przepiórek. Jego serce i głowa miały nowego króla. Lub raczej królową. Z drżeniem pomyślał, że nie pojmuje tego, co się z nim dzieje, że nie potrafi przewidzieć swoich reakcji. Ta znajomość, to uczucie, stało w sprzeczności z jego obowiązkami. W samym zarodku krył się ból. Bo Alenharst nie miał złudzeń co do rodziny Hagaldów. Zrobią wszystko, by zyskać, by urosnąć w siłę. Po trupach. Nawet po trupach Królestwa. A dla niego dobro państwa było najważniejsze.

Czy rzeczywiście? - zapytał siebie.

Ale Egis... Ona była inna. Uboga krewna, niewmieszana w układy, zaproszona na arystokratyczny dwór dla ozdoby. Walka o wpływy, kontrabanda, łapownictwo i ciche morderstwa przeciwników były poza nią. Tak mówiła. Wiedział, że gdyby chciała go zwieść, powiedziała by dokładnie to samo. Lecz jej oczy... Ogromne, zielone, bezgranicznie szczerze. Nie mógł ich zapomnieć.

Tak jak nie mógł zagłuszyć słodkiej obietnicy. "Przyjdę", powiedziała, całując go na pożegnanie. Nie miał siły, by zaprotestować. Choć wiedział, że właśnie tak powinien postąpić.

Widok baszty był dla niego niemalym zaskoczeniem. Zamyślony nie zauważył nawet, że przemaszerował całe miasto. To odruch, pomyślał. Powinienem być iść się wyspać.

Na to, jak się okazało, nie było czasu. Z baszty wynurzył się Rippen. Choć Alenharst wiedział, że jego przyjaciel nie przespał drugiej nocy z rzędu, to próżno by szukać na Rippenowej twarzy śladów zmęczenia. Zbyt kochał służbę, zbyt był dumny, by cokolwiek pokazać po sobie.

Dopiero kiedy się odezwał, namiestnik pomyślał, że Rippen jest wyczerpany. Cóż, głos-zdrajca wyjawiał prawdę.

- Co, ucztą się przeciągnęła? Wystrojonyś jak paw. Więźniów chcesz olśnić, myślisz, że bardziej gadatliwi będą? No, ale nic, dobrze, że jesteś. Przed chwilą patrol przywiódł jeńca. Podejrzany, jak sam Odheyn. Nie wiadomo, jakiej nacji, bo gada równie dobrze, gdy go zagadnąć w imperialii, jak i w którym z języków wyspiarskich. Powiedzieć nic nie chce po dobroci, po

złości jeszcze nie próbowałam. Kręcił się w pobliżu murów, jak gdyby za słabymi miejscami się rozglądał. Co jeszcze dziwne to, że zimno było, a on ino lekką opończę miał na sobie, ale zmarznięty nie był. Snadź niewiele wcześniej wyruszył na przespiesi. Albo i z samego miasta wyszedł.

- Zobaczmy - stwierdził sucho Alenharst. Obowiązki... O ileż bardziej wolałby być z Egis. Zupełnie nie miał głowy do tak przyziemnych spraw. W dodatku był wykończony. Ale cóż, trzeba. Dla dobra Królestwa.

- Coś jeszcze? - spytał ciężko.

- Chyba nic. - Rippen pomyślał chwilę. - A, jest jedna sprawa. Ten wysoki, co go w fiordzie na łódce znaleźliśmy, pamiętasz? Ten od baby i dzieciaka, nie? - Alenharst pokiwał głową. Coś sobie przypominał.

- No cóż - mówił dalej Rippen. - Chyba zbyt mocno go ostatnio potraktowali. W dodatku już wcześniej rany miał ciężkie. No więc, słabnie z godziny na godzinę, krwi trochę mu uszło. Wygląda, że nie wyżyje. Co więcej, wygląda też, że rzeczywiście nie nadto, co rzekł, nie wie. Alenharst, żebyśmy my czasem bogu ducha winnego człeka nie wykończyli.

- Gdzie drwa rąbią - zaczął namiestnik, ale zatrzymał się w pół zdania. Spojrzawszy na swego zastępcę, warknął: - A co mam, do cholery, zrobić? Rzykując, że to szpieg, wypuścić? Niech wytłumaczy, do czorta, jakim sposobem znalazł się u naszych brzegów, na tej łupinie, którą by rzeki nie przepłynął. Niech udowodni. A ja go przeproszę, medyka wezwę i izby cieplej szukać pomogę. Ale nie, woli gadać o cudach i bogach. No to niech go ten jego bóg salwuje. Ja mam do uratowania całą Lukkę. I żaden bóg mi w tym nie pomoże.

Sobmir czuł, jak powoli, acz systematycznie uchodzi z niego życie. Rana przestała wprawdzie krwawić, lecz jego ciało trawiła silna gorączka. Podejrzewał zakażenie lub truciznę. Wszak ranę na brzuchu zadali siepacze Odheyna.

Spojrzał na dziecko. Jesza spał, wierząc się niespokojnie. Małemu nie służyły lochy. Zresztą - pomyślał Sobmir - pokażcie mi kogoś, komu służą. Czarne, ponure myśli nadleciały cicho, niepostrzeżenie jak stado nietoperzy i obsiadły byłego kanclerza ze wszystkich stron. Przed oczyma stanęli mu Odheyn i Svaroh. Zrozumiał, że im nie umknie. On jak on. ale Jesza i Chorna, jego żona...

Sobmira przeszły dreszcze. Dla siebie widział tylko jedną drogę ucieczki, na tamten świat. O ile w ogóle istnieje - przemknęło mu przez głowę. Ten Który Jest... Czy rzeczywiście był? Sobmir nie znał żadnego dowodu, na to, że jego wiara była prawdziwa. Bo czy ich ucieczka rzeczywiście była cudem? A może raczej losem rządził przypadek, który w zwykły dla siebie, pełen ironii sposób, wybawił ich z jednej opresji, wpędzając w drugą? Sobmir poczuł, jak bardzo boi się śmierci. Mimo wszystkich, przeżytych przez siebie lat, wiara, podtrzymująca dotąd nadzieję, chwiała się jak

płomyk dopalającej się świecy. Bo na czym opierało się jego niewzruszone dotąd przekonanie, że myśli właściwie? Że nastał czas nadejścia Pana? Za znak uznał zorzę! Zwykłą zorzę, tyle że pojawiła się ona trochę wcześniej, zgasła później i miała ociupinkę inny kształt niż zazwyczaj.

Panie, jeśli rzeczywiście w ten trudny czas potrzebujesz skały, czemuś wybrał na nią istotę tak kruchą, nietrwałą i ułomną? Czyja i Choma to rzeczywiście ostatni twoi wyznawcy?

Spróbował odgonić kruki myśli modlitwą, lecz ta się nie kleiła. Westchnął tylko, poprosił o przebaczenie dla tych, którzy uczynili mu jakiegokolwiek krzywdy i delikatnie, tak by nie zbudzić Jeszy, trącił Chomę.

Zbudziła się natychmiast. Czuwała. Martwiła się o niego chyba bardziej niż on sam.

- Choma - wyszeptał. Nachyliła ku niemu głowę. - Choma - powtórzył ciepło, łagodnie. - Powinnaś przygotować się na wszystko. Mnie już chyba się nie polepszy, ale ty... Ty i Jesza - głos Sobmira zabrzmiał mocniej - musicie stąd uciec. Koniecznie. Odheyn prędzej czy później nadciągnie. Ba, Svaroh swoich ludzi może mieć nawet tutaj. A wy - westchnął ciężko - jesteście ostatnią nadzieją. Czernokreina musi usłyszeć Słowo o Tym Który Jest. Ja już go nikomu nie powiem.

Były kanclerz nawet nie zauważył, że jego żona szlocha. Głaskał jej włosy i mówił dalej:

- Ty i dziecko. Ucz chłopca. I nie pozwól mu zapomnieć, kim jest naprawdę. Kiedyś być może odzyska tron. Ale ważniejsze jest Słowo. Tylko ono może dać nadzieję - Wyszeptał słabo. Nie wiedział, czy sam w to wierzy.

Ciężkie drzwi od celi otworzyły się z jękiem, który zagłuszył Sobmirowe szepty. Pokrzykiwania strażników odbijały się echem od ścian, pędząc w głąb wąskich korytarzy:

- Tutaj - warknął jeden. - Tu jest jeszcze miejsce. A ten z brodą - tu wskazał pochodnią Sobmira - i tak najpewniej zemrze w ciągu dwóch, trzech dni. No, jazda z tym łąęgą. Co się z nim certolicie?! Raz dobrze przez łeb, a od razu mu się łązić zachce. Słuchaj mnie, łąchmyto - strażnik zwrócił się do osoby, którą prowadzono. - Radzę ci gębę rozdziawić, bo cię pan namiestnik na przesłuchanie weźmie. Przyjrzyj się temu o tu - ręką znów wskazał Sobmira. - Też tak wyglądać będziesz. Czas do namysłu masz do południa - syknął na odchodnym wartownik.

Furta zamknęła się znowu. Choma, ocierając łzy, spojrzała na przybyłego. Był niewysoki, lekko przygarbiony i najwyraźniej poturbowany. Stał na środku celi i powiedział, zadziwiająco spokojnie, zważywszy jego sytuację:

- Witajcie! Mówcie mi Grain.

Przez małe okienko, tuż przy suficie, wpadł pierwszy tego dnia promień słońca. Nadchodził brzask.

- Napij się i obmyj - powiedział Sobmir, dźwigając się na łokciach i podając przybyłemu bukłak z wodą. -

Nos ci krwawi. Czyś również padł ofiarą podejrzliwości tutejszych wojskowych?

- W istocie - odparł Grain. - Prawda, moja droga wiedzie z daleka, lecz o to, kto w Lucce będzie władał, nie dbam. A za wodę dziękuję, lecz ty, zdaje się, potrzebujesz jej znacznie bardziej niż ja.

- Na mnie wszystkiego szkoda - wysapał Sobmir. - Umieram. Czyżbyś tego nie dostrzegał?

Choma rozpląkała się głośno. Mały Jesza przetarł oczy, odpędzając sen, i spojrzał badawczo na przybysza. Ten zaś odparł:

- Nie. Znam się na chorobach, ranach i truciznach. Nie jesteś jeszcze w malignie. Słabniesz, acz jesteś wciąż świadom. To dobrze rokuje. Pozwól, zobaczę, co ci dolega.

W celi zrobiło się całkiem jasno, więc gdy Sobmir podciągnął koszulę, długie, purpurowe rozcięcie ukazało się w pełnej krasie. Grain przykłęknął, obejrzał je, naciskając tu i tam delikatnie. Z kieszeni opończy wyciągnął kawałek białej tkaniny, którą zwilżył wodą z bukłaka. Wyszeptał kilka niezrozumiałych słów, po czym przetarł ranę starannie kilka razy. Zapiękło. Sobmir syknął. Po chwili przybyły podniósł głowę:

- Nie jest tak źle, jak myślałeś, przyjacielu. Przydałby się co prawda jakiś opatrunek, ranę można by lepiej przemyć, ale nic to. Wydobrzejesz!

- Żarty - odparł Sobmir. - Ale dziękuję za troskę. - Naraz jego oczy zaświeciły.

- Grainie, proszę, błagam cię o jeszcze jedno. Nie wiem, jakiej jesteś wiary, nie wiem, czyś w ogóle religijny. Nie wnikam w to, lecz proszę, oddaj przysługę człowiekowi, którego wiara i życie chwieją się jak płomyk na wietrze. Jesteśmy bodaj ostatnimi wyznawcami Tego Który Jest. Ja pewnością z tych lochów nie wyjdę...

- Wyjdiesz - przerwał Grain.

- Jeśli On da, lecz skoro można zwiększyć szansę, na przetrwanie prawdy, chciałbym ją wykorzystać. Któż wie, co czeka Jeszę i Chomę? Zatem, proszę, wysłuchaj mnie, a jeśli Słowo cię nie przekona, przekaz je choć dalej, komu innemu. Zgadzasz się?

Grain zastanawiał się przez moment. Wreszcie rzekł:

- Mam dla ciebie radę lepszą. Wszak i moja dola niepewna. Sporządźmy księgę! Spiszę to, co mi powiesz. Czasu mamy w bród.

- Księgę? Hmm, na kontynencie wielu jest piśmiennych. Tak. Doskonale - wydyszał trochę głośniejszym Sobmir, któremu jakby ociupinkę przybyło sił. Zaraz jednak spochmumiał. - Nie, niemożliwe... Skąd papier, skąd inkaust?

- Papier i pióra mam w opończy. Tego akurat strażnicy nie znaleźli. A inkaust... - Grain przerwał. Z wewnętrznej kieszeni opończy wyjął naostrzone, gęsie pióro i kartkę szarawego papieru. Chwycił miseczkę, w której Jeszy dawano strawę, wypłukał i nalał w nią trochę wody. Zdecydowanym mchem podciągnął rękaw i wbił pióro w żyłę. Krew trysnęła prosto do miseczki. Gdy ta była pełna, Grain zgiął rękę i miejsce nakłucia związał kawałkiem płótna.

- Oto mamy i inkaust

Mały Jesza krzyknął. Sobmir obrzucił nieznanego zdułmionym spojrzeniem. Ten, nie czekając na pytanie, rzekł:

- I mnie słowo o Istniejącym jest znane. Nie jest mi też obojętne, czy pamięć o nim zaginie. Zatem nie dziw się memu poświęceniu. Daję, co mogę.

- Słyszałeś o Tym Który Jest? - zapytał zaskoczony Sobmir. Zapomniałszy na chwilę o bólu ran, usiadł na zgniłosłomianym posłaniu. - Jakże to? Myślałem, że tylko mój lud zachował wiarę.

- Bynajmniej. Czcili go i żeglarze z Wyspy Win i dzikie ludy Mrookboru, dokąd nigdy nie dotarło ramię Stowarzyszenia. Ba, Słowo rozbrzmiewało nawet na Dzikich Polach, gdzie niejedno plemię koczownicze oddawało hołd Jedyńemu Stworzycielowi. Miano bywało różne, w zależności od oblicza, które Jedynek ukazywał, lecz zawsze chodziło o Niego.

- Czyż zatem jest przyczyna do zmartwień? Czy jest przyczyna, by pisać księgę? Skoro inni również...

- Nie ma już żadnych "innych". W tej celi zgromadzili się wszyscy prawdziwi wyznawcy Tego Który Jest, którzy nie boją się doń przyznać. Wiadome mi jest bowiem, że twój lud został wymordowany, a ci, którzy zostali, wyparli się swej wiary, porzucając wieczną nadzieję na rzecz doczesności. Z innymi plemionami stało się podobnie.

- Nie masz prawa ich potępiać - zaprotestowała ostro Chorna. - Svaroh to kapłan zła i ci, którzy za nim podążają z przekonania, nie zasługują na miłosierdzie. Lecz ilu było takich wśród plemion brackich? A ilu takich, co zostało, bo nie było jak uciec, tylko w śmierć? Ilu takich, którzy nie o siebie się lękali, ale o swe dzieci? O, nam było stokroć łatwiej porzucić ukochaną ziemię. My starzy już, dzieci własnych nie mamy, a Jeszę trzeba było z wyspy...

- Cicho - przerwał ostro Sobmir. Choma spuściła oczy, rozumiejąc, że popełniła głupstwo. Grain jednak rzekł:

- Wasza przeszłość to wasza sprawa. Kim Jesza jest z pochodzenia, nie znaczy dla mnie wiele. A na miłosierdzie zasługuje każdy. Nie tylko najgorliwszy sługa Svaroha, ale i sam czarnoksiężnik. Póki żyje. Na oceny czas przyjdzie dopiero po tamtej stronie istnienia. Czy nie tak głosi Słowo? Ja też nie potępiam konwertytów z przymusu. Jednakże trudno ich nazwać wyznawcami Tego Który Jest.

- Prawda - odparła Chorna.

- Zaskakująco dobrze znasz naszą wiarę... - rzekł z przekąsem Sobmir.

- Czy to źle? - spytał Grain. - Mówiłem, że wasza nie jest mi obcą. Wszak wyjdzie to księdze na dobre.

- Racja. Zaczynamy, póki sił starcza - podsumował Sobmir. - Pisz, przyjacielu.

Pisali, póki strażnicy nie wzięli Graina na przesłuchanie. Gdy wrócił, można było zrobić mnóstwo czerwonego inkaustu.

- Tytuł to rzecz najważniejsza. Skoro ma to być zbiór prawd wiary, można nazwać go brewiarzem, kompendium bądź almanachem... - zaproponował Sobmir.

- Nie! Pierwsze słowo o zrodzeniu rodzaju ludzkiego opowiada o rozłace człowieka z jego Stworzycielem. Teraz ludy jeden po drugim tracą wiarę. Prawdy mówią, jak poskromić zło, jak nie stracić swej duszy. Ja nazwałbym nasze pismo...

Księga Straty: Słowo Pierwsze (fragmenty)

... Z czego pierwszy człowiek został stworzony? Boski oddech, ciało utoczone z wszelkich rzeczy, które na ziemi znaleźć można, zarówno pięknych jak i ohydnych. (...) Wreszcie Istniejący spojrzał na swego zbuntowanego sługę, zwanego Jadów Panem i wyrwał mu z serca jedno z nasion buntu. Na koniec dodał wolną wolę. (...) Oto klucz do człowieczej natury.

(...) I rzekł Pan: - Precz, boście niegodni mieszkać ze mną. Odtąd pierwszej próba będzie, później zaś me królestwo. Nie dla wszystkich. Dla wybranych. A resztą niech Pan Jadów włada, bo wieście, że ci, którzy mnie i moich praw nie szanują, jego wybierają.

- Nic - warknął Alenharst, nerwowo przechadzając się po komnacie. Od tygodnia z okładem wszystko wyprowadzało go z równowagi. - Od tego Graina niczego się nie dowiemy, choćbyśmy go zabili.- Tu namiestnik wytarł okrwawioną rękę w poły płaszcza. - Uwierzysz? Ponad tydzień przesłuchań i ani słowa wyjaśnienia, ani jednej informacji.

- Ujęliśmy następnych - powiedział Rippen. - Ci przyznali się od razu. Dowiedziałem się od nich, że Odheyn zgromadził już ponad sto okrętów. A przecież wysłano ich już miesiąc temu. Miałeś rację, to nie będzie łupieżcza wyprawa. Odheyn szykuje podbój!

- Mówiłem - wycodził przez zęby Alenharst. - Potwierdzają to również doniesienia naszych fregat, patrolujących Akwen Lodowych Wichrów. Dziś rano jedna z nich zawinęła do portu. Mam raport kapitana i meldunki z faktorii na Wolvilii. O tej porze roku piraci zwykli zaczynać harce, nasze faktorie wyspiarskie powinny być zniszczone. Tymczasem panuje cisza. Spokój. Co więcej, zamarł nawet ruch handlowy. Widziałeś ostatnio jakieś knory w porcie? Jedyne co wyspiarze kupują, to broń od krasnoludów.

- Gdy idzie o krasnoludy, to mam dobre wieści. Zwolnili przygotowania do wojny, nie mają dość broni... - wtrącił Rippen.

- Bo sprzedają ją innym - mruknął Alenharst. - A im i tak nikt do dupy się nie dobierze. W ich jaskiniach, w ich zamkach wykutych w skale nikt nie ma szans. W dodatku trzymają łapę na bankach. Nie wiem, czy wiesz, ale nawet Królestwo swego czasu brało u nich kredyty... Do czasu, kiedy odmówili kolejnej pożyczki. Dwa lata temu, kiedy rozpoczęto budowę nowej flotyli galer. Już wtedy przestaliśmy być dla nich wiarygodni.

- Teraz pewnie kredytują Iranion?

- Możliwe. Zwycięzca, kim by on nie był, będzie miał u nich dług. Lecz nawet ich wiarygodności nie dają im kompetencji do łamania prawa królewskiego. Przekleści! Oby ich lawiny pochłonęły...

Rippen zmarszczył czoło.

- Iranion w odwrocie, do kontrofensywy się sposobi, nowe werbunki ogłasza. Należałoby się spodziewać w niedługim czasie prób przemytu broni na wielką skalę.

- I ja tak uważam. Garnizony myślałem objechać, tu i tam kilkudziesięcioma ludźmi je wzmocnić.

Rozmowę przerwało pukanie. Młody, piegowaty chłopiec na posyłki wsunął swą zwinną głowę do komnaty i rzekł:

- Gość do was, mości namiestniku. Widać jaki ważny, bo twarz pod kapturem skrywa i ino z waszą miłością chce mówić. W cztery oczy.

- Gdzie on? - spytał Alenharst.

- Ano, zawiodłem go do owej małej izby bez okien, z grubymi drzwiami, gdzie wasza miłość zwykle z gośćmi ważnymi konferuje.

- Jak się aż tu, do samego serca twierdzy dostał?

- Glejty jakoweś okazywał.

Czoło Alenharsta przecięła pionowa zmarszczka. Kolejna zagadka. Zaciekawiony kiwnął na pacholka i ruszył do drzwi. Wychodząc, odwrócił się do Rippena i rzekł:

- Jak tylko dowiem się, kto zacz, wrócimy do naszej rozmowy. Przyszykuj ze trzy setki wojów. Być może jeszcze dziś wyruszymy na szlaki.

Ale nie ruszyli. Ani tego, ani następnego dnia.

Egis, choć od trzech godzin nie spała, nie mogła zapomnieć straszego snu. Do koszmarów, nawiedzających ją co noc, zdążyła już przywyknąć, lecz ten był wyjątkowo brutalny, bolesny i krwawy. Bała się go, drżała na samą myśl, że następnej nocy historia może się powtórzyć. Jej dusza wyla z udręczenia. I tęsknoty.

Nie widziała Alenharsta od czasu uczt. Czy świadomie się z nią nie kontaktował, czy też nadmiar obowiązków nie pozwalał mu przyjść do niej, nie wiedziała, lecz jej głowa była pełna myśli zupełnie dla niej nowych. Nagle zyskała świadomość, jak wiele dziewcząt w Luce może z nią rywalizować o miano najpiękniejszej, nagle zdała sobie sprawę z własnych niedoskonałości, a także ze specyficznego, nieregularnego trybu życia, jaki zazwyczaj pędzą żołnierze.

Krótko mówiąc, była zazdrosna.

Decyzję podjęła natychmiast, jak to miała w zwyczaju, nie zastanawiając się nad nią dłużej niż trwało przewrócenie się w łóżu z boku na bok. Gotowa była w ciągu pół godziny. Wszystko szło jak z płatka, więc koszmar powoli zatracił w jej pamięci wyrazistość. Nawet wuj Ein okazał się pomocny, bez słowa protestu wypisując jej odpowiednie glejty. Co ważniejsze, o nic nie pytał. Na koniec przywdziała długi szary płaszcz, z kapturem tak obszernym, że skrywał całą jej głowę, nie pozwalając jej rozpoznać

nikomu. Długa, pieszka wędrowka przez miasto była, z powodu stroju jako przywdziała, uciążliwa. Opończa płatała nogi, a kaptur co i rusz spadał na oczy. Wreszcie doszła do twierdzy. Reszta była dziecinnie prosta. Nie musiała wiele mówić. Starczyło, że szła, pokazując glejty. Mijała kolejne stráže. Wreszcie ktoś zaprowadził ją do małej izby, gdzie miała czekać na przybycie namiestnika.

Drzwi skrzypnęły, a ona nie spoglądając w ich stronę, czuła, że Alenharst nadchodzi. Nie wiedziała, jakim sposobem ją rozpoznał, lecz nim ściągnęła kaptur, nim przebrzmiał odgłos zatraskiwanej furty, był już przy niej, tuląc ją i obsypując pocałunkami.

- Egis - szeptał. - Egis, kochanie... Głupiec ze mnie. Cóż mnie obchodzi Królestwo bez ciebie. Egis, byłem pewny, że nie przyjdiesz, byłem pewny, że zabawiłaś się mną jak marionetką. Wybacz, Egis.

- Alen - mruknęła do jego ucha - ja bez ciebie... Przytul mnie.

Przyciągnął ją jeszcze mocniej. Trwali tak chwilę, a potem łakome ręce rozpoczęły spacer. Jedno mocne szarpnięcie zerwało z niej opończę, odsłaniając długą, gustowną suknię, która jednak w oka mgnieniu podzieliła los płaszcza z kapturem. W tym samym czasie Egis rozpięła płócienną brązową koszulę, ściągała z Alenharsta co popadnie, z równym brakiem respektu podchodząc do bielizny, jak i do namiestnikowskich dystynkcji.

Położyli się na podłodze, zapominając o wszystkim prócz siebie.

On jest jak gnany wichrem drakkar, który dobija do portu, pomyślała dziewczyna, wzdychając ze szczęścia.

Koszmar minionej nocy odpływał daleko, daleko.

Rippen nie mógł dłużej czekać. Wołały go obowiązki. Ale coż Alenharst mógł tak długo robić w tej komnacie? Zaiste ważny to musiał być poseł.

Wygląda na to, że dziś nie wyjedziemy, pomyślał. Zresztą, mała strata. O tym wiem tylko ja i Alenharst. Skąd wiedzieć by mieli przemysłnicy?

Uspokoiwszy się, zastępca namiestnika, marszałek Rippen ver Froest, ruszył do zbrojowni, gdzie pełną parą szła produkcja pocisków zapalających do katapult montowanych na galerach. Była to jedna z niespodzianek przygotowanych na przybycie wyspiarzy.

- No - mruknął. - Tego, psie ścierva, się nie spodziewacie!

Z twierdzy wymknęli się niepostrzeżenie sekretnym wyjściem. Gdy dotarli do domu namiestnikowskiego, cicha posługaczka pokręciła głową zaskoczona. Była już świadkiem niejednej alkoholowej libacji namiestnika, lecz od dziewcząt jej pracodawca zawsze stronił, mówiąc, że czasu ni ochoty na amory nie ma.

Po tym, co posługaczka widziała, wywnioskowała, że ochota była wielka. A skoro tak, to czas również musiał się znaleźć.

Choćby walił się świat.

Kilkanaście ognisk płonęło w głębokim jarze. Noc była zimna, jasna. Niebo błyszczało tysiącami gwiazd. Księżyc świecił blado. Na pobliskim pagórku, kryjąc się w kępie świerków, siedziało pięciu wojów, którzy musieli przecierpieć swoją wachtę, by móc wrócić do ciepłych ognisk. Taka dola. Choć już dawno przemycnicy porzucili ten szlak, trzeba było go pilnować. Rozkaz Alenharsta.

Mimo chłodu, trzech wartowników drzemało. Gorzałka potrafi rozgrzać nie gorzej niż ognisko. Dwaj pozostali ze znużeniem obserwowali dobrze znany krajobraz. Nitka drogi wiła się wśród kęp drzew, skałek i pagórków. Trakt, po ostatnich deszczach, rozmókł. Kto rozumny puszczałby się na szlak w takich warunkach?

- Ty, patrz! Tam, zza zakrętu, coś wyszło czy ino mi się zdawało? •

- Zdawało - odparł drugi, nawet nie patrząc we wskazanym kierunku.

- No spojrzysz, cholera, poważnie mówię.

Drugi uniósł głowę i wbił wzrok w drogę kryjącą się w małym zagajniku, jakieś dwie mile od nich. Fakt, coś się tam ruszało.

- Co to, do czorta...???

Wtedy pierwsze wozy wyłoniły się zza drzew: jeden, pięć, dziesięć, dwadzieścia, czterdzieści... Karawana eskortowana była przez konnicę.

- O jasna kurwa... - zaklął pierwszy strażnik. - Budź Orego, niech leci z wiadomością na dół. Wygaszać ogniska. I niech setnik tu przyjdzie.

W dwadzieścia minut oddział liczący sześćdziesięciu ludzi był gotów, czekał w milczeniu na rozkaz do ataku. Setnik w otoczeniu zwiadowców stał na wzgórzu, patrząc na wijący się w dole wąż wozów. Wiedział, przeciwnik ma przewagę liczebną, lecz zaskoczenie mogło ją zrównoważyć. Mogło. Brakowało jednego. Imię Alenharsta działało na przeciwników bardziej niż szarża jazdy. Wszyscy wpadali w popłoch słysząc, że Lew Wybrzeża nadchodzi. Lecz namiestnika z nimi nie było. Setnikowi pozostał w zanadrzu jeden fortel. Nachylił się do Orego i szepnął:

- Leć na dół i przykaż ludziom, by ruszając do szturm, krzyczeli "Alenharst". Nikt nie musi wiedzieć, że namiestnika z nami nie ma.

Żołnierz skinął głową i pbbiegł na dół. Setnik stał, obserwując, jak wozy pełzną po grząskiej drodze. Woły z mazołem, wytrwale ciągnęły swe brzemie. Kawalkada, krok po kroku, przybliżała się do pagórka.

- Aaaleenharst!!! - krzyknęła Egis w uniesieniu. Fala satysfakcji zalała jej zmysły. Lecz bynajmniej nie miała dość. - Jeszcze - poprosiła. - Jeszcze!

Młody namiestnik odetchnął i natarł znowu.

Uderzenie rozbiło się o boczną straż jak fala o skały. Krasno-ludy stawały dzielnie, nie cofając się o krok. Zupełnie jak gdyby byli przygotowani na natarcie. I

wiedzieli, że wbrew temu, co krzyczą żołnierze, Alenharst nie prowadził ataku.

Krzyknął z bólu, gdy paznokcie Egis rozorały jego nagie, spocone plecy. Kilka kropel krwi spłynęło na białe, potargane w trakcie miłosnych igraszek prześcieradło.

Krew. Jedna kropla, druga, cała kałuża. To moje, pomyślał setnik, kuląc się z bólu. Gasnącym spojrzeniem ogarnął teren starcia. Krasnoludy i kilkunastu ludzkich zbirów-najemników otaczało topniejący w oczach oddział królewskich. Przeciwnicy byli wszędzie. I było ich co najmniej cztery razy więcej niż strażników granicy. Setnik pojął, że żadna siła nie uchroni ich od klęski. Wybija nas do nogi, pomyślał, po czym zalało go znużenie.

Jestem zmęczony. Bardzo, bardzo...

...zmęczony - rzekł Alenharst do Egis, gładząc ją delikatnie. - Dziewczyno, jesteś nienasycona.

- Nigdy nie będę miała cię dość. Nigdy!

- Uważaj, o co prosisz, bo możesz to otrzymać - powiedział, mrużąc oko. - Ale o tym jutro. Teraz spać. Ależ to była cudowna...

...noc -mruknął Niping, gładząc swą długą brodę. Ostatni raz spojrzął w stronę morza, gdzie w porannej szarżyźnie, gdzieś przy linii horyzontu nikła mała, załadowana po brzegi bronią, flotylla. Krasnolud poklepał czule pękata sakiewkę i ruszył w stronę oddalających się szybko pustych, wozów. Czas było wracać.

Pobojowisko spowijały mgły. Powietrze przesycone było wonią śmierci tych, którzy nie doczekali brzasku.

Jarva siedział w swej małej komnacie, udekorowanej czterema węzowymi gobelinami. Potrzebował chwili skupienia, potrzebował poczuć dotyk Pana Jadów. Był bowiem wściekły. Kolejna próba przekupienia któregoś z królewskich spelzła na niczym. Żołnierze byli ślepo wierni namiestnikowi. Psy! - pomyślał rozeźlony. Wiedział jednak, że służba graniczna ma najlepsze dane, dotyczące ludzi, którzy napływają na tereny Królestwa. Jeśli ktoś dopadł Sobmira, to najpewniej oni, przyszło mu do głowy. Może dawno zrej terował w głąb kontynentu? A może gnije w jakimś lochu? Wiadomo, że Alenharst pakuje wszystkich podejrzanych do katakumb. Musi nacisnąć Hagalda, by jego wtyczka w twierdzy wywiedziała się wszystkiego.

Póki co chciał jednak porozmawiać z bóstwem. Lecz Pan Jadów nie schylił się nad swym sługą. Moc, której prawie dotknął, rozpyływała się, była niewyraźna. Wiadomo, pomyślał Jarva Grithe z rezygnacją, zawsze tak jest, gdy nadchodzi brzask.

Księga była w dwóch trzecich gotowa. Pisanie szło nad podziw sprawnie. Sobmir z dnia na dzień, zdąłoby

się, że z każdą kolejną kartką, zdrowiał i odzyskiwał siły. Momentami zapominał o niewoli. Żył w transie. Liczył się każdy dzień, każda chwila. Tym bardziej, że Grain był coraz słabszy a jego wkład w księgę trudny do przecenienia. Wielokrotnie redagował czy poprawiał tekst, często doradzał, a bywało, że sam dodawał obszerne fragmenty. Momentami Sobmir zastanawiał się, czy aby tajemniczy przybysz nie zna Słowa lepiej, niż on sam. To był jeden powód, dla którego były kanclerz lękał się o zdrowie Graina. Drugi był prostszy - w trakcie wspólnej niewoli i wspólnej pracy zaprzyjaźnili się ze sobą. Sobmir wiedział, co znaczy śmierć przyjaciela. Gdy uciekał z wyspy, po wszystkich jego bliskich, z wyjątkiem żony, pozostały groby.

Na domiar złego, Grain uparł się, że księga będzie spisana jego krwią. Tylko i wyłącznie. Na nic były prośby, na nic argumentacja. Grain kluczył, przekonywał, lawirował i koniec końców, zawsze wychodziło tak, jak tego chciał.

- Chyba dali ci spokój i nie będą wołać na przesłuchanie - rzekł były kanclerz do swego współpracownika. - Dawno już minęło południe, a wartowników nie widać.

- Możliwe. Pewnie złapali nowych i nad nimi będą się znęcać - ponuro stwierdził Grain.

- Już niedługo. Inwazja tak czy owak położy temu kres.

- Zatem piszmy, byśmy zdążyli przed nią. Daj pióro, muszę nakłuć żyłę.

- Znowu? Błdyś jak mleko - załamał ręce Sobmir. - Zrobmy dzień przerwy. Mamy wszak już Słowo o Jednym, Słowo o Stworzeniu, Słowo o Światach, Słowo Prawd, Słowo Reguł Ludzkich, Słowo Historii, Słowo o Próbach, Słowo o Nauce, Słowo o Cudach, Słowo o Imionach, Słowo o Miłości...

- Tak. A dziś musimy spisać Słowo o Objawieniach i Proroctwach. Jeśli, oczywiście, chcemy zdążyć. Chcemy? Sobmir zniechęcony pokiwał głową.

- Zatem koniec dyskusji - odparł triumfalnie Grain, wbijając pióro w żyłę. Popłynęła krew.

Księga Straty. Słowo o Objawieniach i Proroctwach (fragmenty)

(...) Zatem gdy filary świata runą i Czernokreina zadrży w posadach swoich, a Prawda i Stowo w pogardzie będą, przyjdzie Pan, by wspomóc swój lud, (...) w darze człowiekowi niosąc lek. Jak się z nim człowiek obejdzie - wolna wola.

(...) i Ten Który Jest złoży ofiarę drogocenną. (...) Cieszcie się ci, którzy w tych czasach żyć. będziecie, gdyż dane wam będzie oglądać jedną z twarzy Stworzyciela.

Jego nadejście poprzedzą znaki, z których najważniejszy to zorza, na podobieństwo orlego pióra ułożona.

Słuchajcie, kto ma rozum! (...) Tak mówię ja, nędzny pył, którego ustami Istniejący przekazuje wam swą wolę.

Skąd cień, stamtąd i brzask.

- Proroctwo Kulina.

- To chyba najsłynniejsza z przepowiedni - mruknął Sobmir.

- Zorza w kształcie orlego pióra... Zdawało nam się, że właśnie to widzimy

- Wątpisz w jej prawdziwość? - spytał z zainteresowaniem Grain

- W jej prawdziwość? - Sobmir zastanowił się chwilę. - Nie, raczej nie. Myślę jednak, że się pomyliliśmy. Zorza była zwykłą zorzą, niczym więcej. Żadnym znakiem. Mogliśmy też przeoczyć Jego przyjsie. Mogliśmy wreszcie nie być godni, by je oglądać. Nie my jedni żyjemy w Czernokreinie.

- Straciłeś nadzieję? Człowiekowi zawsze trudno rozszyfrować boskie zamiary. Lecz gdyby wszystko było jasne, na czym miałyby polegać wiara? - rzekł Grain, po czym, nie czekając na odpowiedź, pochylił się nad kolejną kartką.

Rippen cicho wszedł do domu namiestnikowskiego. Był zaniepokojony. Alenharst od rana nie dawał znaku życia. Tymczasem sprawy goniły jedna drugą. Nowe informacje, zaciąg do armii, dostawcy olejów płonących, którymi nasączano pociski katapult, woła rady miejskiej, która powiedziała, że więcej na przygotowania obronne nie da grosza, wreszcie odmowa kredytowania kupna stu kusz i dwustu mieczy przez Bank Aganburdz-ki - to wszystko czekało na namiestnika.

Już w korytarzu usłyszał kobiecy śmiech, dochodzący z sypialni. Zaklął w myślach. W koło same kłopoty, a Alenharst, najwyższy przedstawiciel królewski, zabawia się z jakąś cizią! Wściekły pchnął drzwi. Stał natychmiast. Namiestnik siedział na łóżku, a do jego ramienia tuliła się...

Rippen znał twarze wszystkich osób w mieście, które uważał za ważne. A rodzina Hagaldów znaczyła wiele. Zatem i Egis nie była mu obca. W jednej chwili zastępcą namiestnika spurpurowiał. Poczul strach. Jego przyjaciel, druh, któremu powierzyłby własne życie okazał się zwykłym...

- Zdradco! - ryknął i rzucił się do wyjścia. Alenharst zerwał się z łóżka i pobiegł za nim. Doścignął go przed domem. - W ten sposób cię kupili? Nie szło za pieniądze, to podesłali ci do łóża dziewczkę, co? A Królestwo niech szlag trafi!

Potężny cios trafił w szczękę marszałka Północnej Marchii.

- Nigdy tak o niej nie mów. Nigdy - warknął wściekle Alenharst. Zaraz się jednak opanował. - Nie jest tak, jak mówisz. Ona, Egis, jest inna. Nie liczy się dla niej to, że jestem przeciw- • nikiem jej wuja. Ona... - Alenharst zająknął się - ona mnie kocha. Tak jak ja ją. Ale wiem, że póki pozostanie pod opieką swego wuja, podejrzeniom nie będzie końca. Nie, nie przerywaj mi. Wiem, że ostatnia noc to było szaleństwo. Mamy, ja i Egis, jedno wyjście. I skorzystamy z niego. Słuchaj Rippen, przyjacielu. Dziś widziałeś moją przyszłą żonę.

- C...co? - wyjął Rippen. Przez chwilę nie mógł wydusić z siebie niczego innego. Potem spytał: - Kiedy? Kiedy zamierzacie się pobrać?

- Jeszcze dziś. Jako najwyższy urzędnik, sam mógłbym sobie udzielić ślubów, lecz jeśli zgodzisz się mnie w tym zastąpić, będę zaszczycony. Powiadomiłem już Eina. Nie obchodzi mnie, co on na to powie. Formalności dopełniłem.

- Kiedy więc? - zapytał drżącym głosem Rippen.

- Choćby zaraz!

Wizja nadciągnęła z pomocnym wiatrem, który wieczorem z dziką furią uderzył w Lukkę. Oczy Jarvy momentalnie zaszyły mgłą. Jego świadomość, oderwana od ziemskich ograniczeń, poszybowała nad czarnym, spienionym oceanem. Nie minęło mgnienie oka, gdy ujrzał pierwszą z Wysp Borealu - Wolwię. Po niej były następne, cała masa drobnych, gdzieś jakaś większa. Wreszcie jego oczom ukazał się znajomy duży kształt - Wyspa Algom.

Jaźń, porwana w szpony potężnej woli, szybowała dalej, schodząc jednocześnie coraz niżej. Zatrzymała się kilka łokci nad wodą, w odległości trzech mil od wyspy. Jarva spojrzał w jej stronę. Wtedy zrozumiał przyczynę wezwania. Na tle purpurowego, słonecznego koła widniały sylwetki okrętów. A była ich cała chmara. Grubo ponad dwieście wyszło już w morze, a z zatoki, gdzie przycupnął port, wciąż wypływały następne. Czerwone żagle zlewały się z tłem słońca. Największy żagiel ozdobiony był wizerunkiem skrzydlatego węża. Jarva wiedział - to okręt Odheyna.

Węzo- i smoczogłowe łodzie cięły powierzchnię wody. Jedne były bardziej smukłe, drugie znów, przeznaczone do przewozu oręża, pękate i szerokie. Rzędy wiosł podnosiły się i opadały miarowo, niczym ptasie skrzydła. Flotylla właśnie się formowała. Szybkie drakkary wysforowały się do przodu, cięższe, szersze knory płynęły zaś z tyłu. Na końcu i po bokach knotów, wiozących większość zaopatrzenia, uformowały się eskadry drakkarów, osłaniających trzon armady. W samym jej sercu płynął okręt flagowy.

Jarva poczuł potężne wezwanie. Płynęło właśnie z łodzi Odheyna, na dziobie której stał - z daleka rozpoznawał tę sylwetkę - Svaroh.

Nie ma już odwrotu, zadudniło mu w głowie. Bądź gotów na nasze przybycie. Za dwa dni...

Obraz zawirował, zwinął się w kłębek, zniknął. Jarva Grithe wiedział, że nadszedł czas. Natychmiast skierował się do swej komnaty. Starannie rozstawił świece, zamknął drzwi i zapalił kadzidło. Pewnymi osobami bezwzględnie należało się zająć przed przybyciem Odheyna.

Rippen siedział przy suto zastawionym stole. Towarzyszyło mu ledwie kilka osób. Nie było czasu, by szykować wystawne przyjęcie. Zresztą Alenharst nie miał rodziny, a" ze strony Hagaldów nie myślano nikogo zapraszać. Bynajmniej nie tak winno wyglądać wesele namiestnika Północnej Marchii.

Młody marszałek z kamienną twarzą obserwował szaleństwo swego przyjaciela, licząc po cichu, że małżeństwo załatwi sprawę. Nie dopuszczał do siebie myśli, że Alenharst zwąchał się z Hagaldami. Postanowił namiestnikowi uwierzyć. Po raz ostatni.

Wszystko wskazywało na to, że się nie pomylił. Egis nie przyjęła żadnego z kosztownych prezentów przysyłanych jej przez wuja. A Alenharst znalazł czas, by zając się najpilniejszymi sprawami. Dzięki jego interwencji rajcy potulnie sypnęli groszem, a handlarze olejem, dali też towar na przedłużony termin.

Wieść o ślubie rozeszła się po mieście lotem błyskawicy. Od wszystkich znaczniejszych osób napływały listy z gratulacjami. Miasto trzęsło się od plotek. Wszelkie inne tematy zeszły na margines. Mariaż Hagaldowie - namiestnik był nie lada sensacją. Niektórzy mówili, że Egis jest ceną za przymknięcie oka na przemyt, inni szli jeszcze dalej, twierdząc, że Hagaldowie obejmują władzę w mieście.

A sami małżonkowie, wbrew plotkom, zwyczajnie się kochali. I byli szczęśliwi. Alenharst poczuł się lekko, swobodnie. Wszystkie jego wątpliwości zniknęły. To był łyk świeżego powietrza, którego potrzebowała jego dusza. Namiestnik, po raz pierwszy od wielu dni, z naiwną odwagą spojrzał w przyszłość. Egis kwitła. Na prawo i lewo słała promienne uśmiechy, cieszyła się jak dziecko i szczebiotała ujmująco, tuląc się co chwilę do męża. Rippen obserwował ją przez moment, nie mogąc oderwać wzroku. Nic dziwnego, że Alen zgłupiał. Dla niej każdy by rozum postradał, pomyślał. Nie mógł dłużej wściekać się na Alenharsta. Czy taka radość nie była warta każdej ceny?

Było grubo po północy, gdy wychylono ostatni toast. Szkło kielichów rozprysło się po podłodze. Alenharst podziękował wszystkim przybyłym, dziarsko chwycił swą oblubienicę i zaniósł ją do sypialni, udając, że nie słyszy rozmaitych żartów i sugestii, od zwyczajnie głupich, do całkiem... praktycznych. Drzwi siekły. Zostali sami.

Jarva oddychał płytko, szybko. Płomyki świec pulsowały. Ciężki dym kadzidła pełzał powoli po podłodze, kłębiąc się u nóg maga. Zamknął oczy. Macki mocy sondowały otoczenie w poszukiwaniu znajomego umysłu. Znalazł szybko. Odetchnął głębiej, skupił się i szybko wniknął w poszukiwaną jaźń. To nie było trudne. Robił to wielokrotnie, a tym razem wszelkie bariery osłabione były przez alkohol.

Zbyt wiele wypiałam, pomyślała Egis, czując, że kręci się jej w głowie. Przytulając się do przyjemnych, gorących dłoni Alenharsta, tonęła w jego nagich ramionach. Obraz rozmył się. Zmęczona szalonym dniem i równie szalonymi nocnymi igraszkami powoli osuwała się w sen.

W koszmar.

Jarva działał spokojnie, metodycznie. Znał jej psychikę jak własną kieszeń. Sny przygotowywały ją przez długie miesiące. Od kilku tygodni dziewczyna robiła dokładnie to, czego chciał. Teraz nadszedł w jego planie moment kulminacyjny. Na początek zaaplikuje jej...

Strach rozlał się po ciele Egis. A potem przyszły demony. Jeden po drugim nawiedzały jej głowę. Wampiry tańczyły przy jej łóżu, ghule pełzały po jej ciele. Cienie wiły się przed jej oczyma. Hordy nietoperzy i pajaków bombardowały jej twarz. Wszystkie te stwory miały jednakowe, dziwnie znajome rysy.

Po chwili zagrożenie zmieniło swą postać. Zło założyło nową maskę. Stało się ciepłe, gorące wręcz. I było tuż przy niej. Macki obejmowały ją, nie pozwalając uciec. Była uwięziona. Serce biło jak oszalone, chłód ogarnął jej ciało. Blisko, blisko... Zagrożenie przybrało znajomą postać. Panika uderzyła w nią z niezwykłą siłą. Przez moment nie wiedziała, co robić.

Oczyma dziewczyny rozejrzał się po komnacie. Krótki miecz Alenharsta stał oparty o ścianę. Prawa ręka Jarvy drgnęła. Dłoń poruszyła się tak, jak gdyby coś chwyciła. Mag bezgłośnie wymówił zakęcie. Potężny impuls trafił w umysł, którym zawiądnął. Sprawa musiała być załatwiona szybko.

Rozwiązanie nasunęło się jej samo. Genialne w swej prostocie. Zło było blisko, w zasięgu jej ręki, zatem miast czekać na atak, samemu zaatakować. Wstała cicho, mieczyk usłudnie wsunął się w jej rękę. Podeszła cicho do łóża, na którym leżała przed chwilą. Podniosła ostrze w górę. W głowie zabrzmiało jej rozkazujące: "Zabij!".

Mierzyła w serce.

Alenharsta zbudził dziki krzyk. Do jego zaspanej jaźni przedarł się obraz miecza wiszącego nad jego głową. Miecz trzymała Egis. Jej twarz wykrzywał ból. Zadrzał. Nie było czasu, by pomyśleć cokolwiek. Ostrze zbliżało się nieuchronnie.

Miecz spadł bezwładnie na podłogę. Egis zawyla rozdzierająco, chwytając się za głowę. Z jej ust kapła krew, przemieszana z gęstą śliną. Dziewczyną targnął szloch, który po chwili przeszedł w paskudny, świszczący złowrogo dźwięk. Alenharst nie potrafił go nazwać, lecz wiele dałby za to, by nie usłyszeć go nigdy w życiu.

Dziewczyna bardzo powoli nachyliła się po upuszczony miecz. Nie miał czasu na wahania. Zerwał się z łóżka i silnym kopnięciem posłał broń pod ścianę. Mocne dłonie zacisnęły się na nagich ramionach Egis. Namiestnik spojrzał jej oczy. Dojrzał tam rozpacz i szaleństwo.

- Egis! - krzyknął. - Co się z tobą dzieje? Bogowie, czyś postradała zmysły? Nie poznajesz mnie? Egis, kochana!

Dziewczyna drgnęła, jej oczy na jedno uderzenie serca straciły szaleńczy połysk.

- Ja... nie... chcę... - wyszeptała, po czym osunęła się w ciemność.

Jarva nie pojmował tego, co zaszło. Miał ją przecież w garści. Tańczyła jak marionetka na jego niewidzialnych, sennych sznurkach i gdy miała zrobić to, czego naprawdę od niej chciał, zbuntowała się. Bariera, jaką napotkał w umyśle Egis była tak silna, że uderzenie w nią niemal pozbawiło go jego zdolności.

Nie przypuszczał, że dziewczyna jest tak zdeterminowana. Dlaczego? Przecież uczucie do namiestnika było starannie zaplanowane, stymulowane przez maga i wliczone w jego plan.

Ale było. I nie chciało poddać się kontroli.

Spróbował znowu. Wolniej, uważniej. Egis jednak wciąż opierała się czarowi wiążącemu jej umysł. Naparł mocniej. Usłyszał dalekie, słabe "nie". Potem zapadł mrok.

Momentalnie wyszedł z transu. Był wściekły. Zawiodł. Oczyma wyobraźni zobaczył, jak rozsypuje się misternie budowany gmach intryg. Nie, pomyślał. Istnieje pewna szansa... Przecież namiestnik się zbudził. I był o krok od śmierci.

Ostrożnie wyszukał umysł koszarowego medyka. Ten jeszcze spał. Mag niczym wąż wślizgnął się do jego mózgu. Medyk był młodym, niedoświadczonym chłopakiem, który jeszcze nie skończył praktyki. Na swojej posadzie nie czuł się zbyt pewnie. Jego straszy poprzednik zginął w jednej z Alenharstowych wypraw, a Kavier był jedynym, który mógł objąć stanowisko, wszyscy inni byli na usługach rodzin kupieckich. Rajcy co prawda leżyli na szpital miejski, ale pracowali tam ludzie jeszcze mniej kompetentni niż Kavier. Zresztą szpital był bardzo daleko od koszar.

Jarya Grithe uśmiechnął się lodowato.

- Co jej jest? - zapytał zniecierpliwiony namiestnik. Nerwowo spacerował po pokoju, w którym leżała Egis. Przy jej łóżku stał młody Kavier, oglądając ją cierpliwie i dokładnie. Podnosił powieki, badał tętno i oddech dziewczyny. Słuchał też uważnie relacji Alenharsta. Wszystko wyglądało nad wyraz jasno. Prosty, wręcz szkolny przypadek.

- Z tego, co mogę zaobserwować, jak i z tego, co mówicie, panie namiestniku, wnoszę, że mamy do czynienia z rzadkim przypadkiem. - Młodzieniec starał się, by jego głos brzmiał oficjalnie i mądrze. - Trudno bowiem nazwać pańską szanowną małżonkę chorą. W istocie nie jest to nic innego jak hipnoza, pospolicie zwana urokiem, względnie opętaniem. Znana już przez ludy prymitywne, udoskonalona przez rangardzkich specjalistów, a opisana w dziele Mindum es Misterra. Potrafi być szalenie groźna, w rękach tych, którzy opanowali tę sztukę. Pozwala bowiem na kontrolę

umysłu. Dzięki niej można narzucić komuś swą wolę, podczas gdy ta osoba nie wie nawet, co się z nią dzieje. Krótko mówiąc, pani Egis nie miała wyboru.

- Czy kiedy się obudzi, spróbuje znowu?
- Możliwe - przyznał Kavier. - Bardzo możliwe.
- Potrafisz już tego wyleczyć? - spytał przez zęby Alenharst.

- Nno... nie, nie bardzo - wyjąkał młody medyk. - Lecz jeśli wolno mieć jakąś sugestię, to Hagaldowie...

- Nie musisz mi niczego sugerować - warknął namiestnik. - Niczego! A skoro ty nie potrafisz jej wyleczyć, leć i szukaj kogoś, kto to umie. I wołaj do mnie setników. I marszałka. Natychmiast!

Chłopak wybiegł. Alenharst w milczeniu patrzył na dziewczynę. Z jej nosa sączyła się cienka strużka krwi. Po chwili przyszli wezwani dowódcy.

- Miał miejsce zamach - zaczął Alenharst. Rippen przetarł oczy, w których jeszcze czał się sen. W izbie zapanowała martwa cisza. - Stoi za tym, bez wątpienia, rodzina Hagaldów, która od dłuższego czasu chce oderwać Lukkę od Królestwa Pomocnego. Zmuszony okolicznościami zarządzam stan wyjątkowy. Niniejszym urząd namiestnikowski przejmuje nadzór nad wszelkimi działającymi w mieście instytucjami, a rada miejska ulega rozwiązaniu - rzekł, schylając się nad stołem i podpisując wcześniej przygotowany papier. - Niech wojsko zajmie ratusz. Ty zaś, Morgens - zwrócił się do jednego z setników - zbierzesz cztery setki piechoty. - W głosie Alenharsta zadźwięczały stalowe tony. - Udasz się z wizytą do Eina Hagalda i jego familiantów. I przyniesiesz mi ich głowy.

Mieszkańcy Lukki krwawo przywitali nadchodzący dzień.

Z mieszczącej się przy rynku siedziby filii Banku Agand-burdzkiego wywleczono Armina Dietermenę Hagalda, wraz z kilkoma zausznikami. Najstarszy syn Eina dał się jakby prowadzono go na ścięcie.

Był bardzo bliski prawdy.

Ein Hagald, spędzający noc w towarzystwie pięknej Livii, żony burmistrza, który dziwnym trafem dzień wcześniej poważnie zaniemógł, usłyszał kakofonię głosów, szczęków i wrzasków. Zainteresowany nieoczekiwanym przebudzeniem miasta (wszak dopiero świtało), wybiegł na ulicę, nie zdążywszy nawet zapiąć koszuli. Nie było mu dane zapiąć ją kiedykolwiek.

Trzech rajców, którzy weszli w konfidencję z Hagaldami, bardzo sobie ową przyjaźń chwaliło. Okazałe domy, które właśnie skończyli budować, były najlepszym jej dowodem. Rajcy w trakcie budowy nie oglądali nawet jednego rachunku.

Rachunki przyszły nad ranem. Połyskiwały stałą.

Jarva nie siedział beczynnie. Był prawie pewien reakcji Alenharsta. Odczekał odpowiednio długo, rzecz jasna w swoim mniemaniu, po czym skierował się ku sypialni Kariny. Zazwyczaj omijał ją z daleka, a to z racji aparycji właścicielki, lecz w tym przypadku wygląd był bez znaczenia. Bardzo starannie wybrał osobę. Wiedział, że ona nie będzie sobie zawracać

głowy powiadamianiem przebywających poza rezydencją członków rodziny, lecz przystąpi do organizowania obrony.

Rację miał Ein, mówiąc, że nadawałaby się na jego następczynię. Karina nie zadawała wielu pytań. Błyskawicznie wydała dyspozycje i nim pod bramami rezydencji zjawił się Morgens, trzystu pięćdziesięciu najemników gotowych było do obrony. Świeżo kreowana głowa rodu nie zapomniała pchnąć posłańców do innych, bogatych rodzin mieszczańskich, wzywając do pomocy w imię obrony praw mieszczańskich przed gwałtem. Krasnoludy, zablokowawszy swą dzielnicę przed wojskiem królewskim, same przysłały poselstwo, oferując sojusz.

Nim dzień na dobre ogarnął Lukkę, miasto pogrążyło się w walkach.

Księga Straty. Słowo o Przeciwniku (fragmenty)

(...) bowiem nie ma pana nad Panem, świata poza Nim, królestw, które osiąść można bez Niego, czy co gorsza, z nim walcząc. Był jednak taki, co myślał inaczej. I wypowiedział Panu posuszeństwo. (...) a gdy zrozumiał, że sam nie posiadał mocy Stwarzania, zaczął budować swą dziedzinę z odpadków dzieł Tego Który Jest. Kiedy nastał czas człowieka. Przeciwnik dostrzegł swą szansę, bowiem ludzie, będąc umiłowanym dzieckiem Istniejącego, najbardziej są na zły wpływ podatni (...) jako ze cieszą się darem wolności. Z tego korzysta Zbuntowany.

(...) Szczególnie miła jest mu krew, ogień, śmierć. Raduje się, 'kiedy jad zdrady i nienawiści nasącza serca człowiecze. Wie, że ci trafią w jego ręce.

(...) zwą go różnie - Zbuntowany, Ptak Śmierci, Władca Much, Król Szczurów, Wichur Wojny, (...) Pan Jadów.

Brzask rozjaśnił wnętrze celi. Trzy postacie pochylały się nad zapisanymi stronami. Twarz Graina była niezdrowo blada. Drżał cały, chwiały się, lecz nie ustawał w pracy. Księga liczyła już ponad sto stron.

Sobmir westchnął. Jesza, z powodu więziennego chłodu i podłego wikt, zachorował, Grain słabł w oczach... Kto wyniesie księgę, gdyby ze mną i Chomą stało się coś złego? - pomyślał.

- Przyjacielu; odpocznij - rzekł do Grain, zatroskany. - Do spisania pozostało tak mało... mamy czas.

- Nie! - gorąco zaprzeczył Grain. - Niewiele czasu dzieli nas od przybycia Odheyną. A przedtem jeszcze kilka prawd trzeba przelać na papier.

- Skąd możesz wiedzieć, kiedy przybędą piraci? - spytała Choma. - Skoro nie wiemy dokładnie, lepiej nie wywoływać wilka z lasu.

- Skąd wiem? - spytał Grain. - Czuję to w wietrze, który przenika nawet te grube mury, widzę w ciemnych chmurach ciągnących się stąd aż po horyzont. - Głos Grain stał się mocny, stanowczy. - Słyszę to w szumie morza, w odgłosach bratobójczych walk, staczanych w mieście. Wszędzie groza i ciemności. Zerknijcie na

niebo. Od kilku dni słońce nie wygląda zza obłoków. Mroki ciągną ku Czernokreinie I on - owych mroków wyzwalacz i żerca. Dość jest ciemności w sercach ludzkich. Księga musi być gotowa, nim Pan Jadów, skryty w głowach swych sług, przybędzie na kontynent.

Postać Grainy wydała się naraz, mimo wycieńczenia, potężna. Jego oczy zalały mocą. Sobmir wymienił spojrzenia ze swą małżonką. Na ich twarzach zagościła niepewność. Były kanclerz zaczął nieśmiało:

- Dotąd pomijaliśmy tę kwestię milczeniem, ale... - Tu Sobmir zatrzymał się, nabrał w płuca powietrza i dokończył: - Hmm, ciekawi jesteśmy, Grainie, kim jesteś? Znakomicie znasz sztukę leczenia, ja jestem najlepszym przykładem. Wiesz wiele o kulcie Tego Który Jest. Daleko więcej ode mnie, a przecież byłem, ba, wciąż jestem, kapłanem. Wieszysz nadejście Zbuntowanego... Czyś jest prorokiem, jednym z owych mędrców, natchnionych przez Istniejącego, o których mówią legendy? Czy tak jak my, jesteś ostatnim z twego ludu, noszącym w sobie Słowo? Dla Księgi własną krew poświęcasz...

- Nie dla Księgi, dla ludzi... Co do mej tożsamości... Ot, jestem. Po prostu. To musi wam tymczasowo wystarczyć. Wasza ciekawość zostanie zaspokojona we właściwym czasie. Niebawem, jak mniemam. Póki co, pochylmy się nad kolejną kartką. A o Jeszę się nie martw. Wkrótce będzie zdrow.

Sobmir wiedział, że nie usłyszy niczego więcej.

Było dobrze po południu, gdy ich praca została przerwana.

W drzwiach celi stanął namiestnik.

Alenharst stał na jednej z baszt. Spoglądał co chwila w stronę miasta. Nad Lilkką unosiły się dymy. Gońcy co i rusz przynosili nowe wieści. Niektóre dobre, inne wręcz przeciwnie. Opór w rezydencji Hagaldów słabł, natomiast krasnoludy, broniące swych szkatuł przed przejęciem ich przez Skarbnicę Królewską, trzymały się mocno. Tam koncentrował się opór tych, którzy opowiedzieli się po stronie buntowników.

- Regularna wojna - rzekł Rippen, wyrastając niespodziewanie u boku Alenharsta. - Straciliśmy już stu ludzi. Buntownicy trzystu. Końca walk nie widać. Niezły prezent przygotowujemy dla Odheyna.

- Wolałbyś, by wbili nam nóż w plecy w krytycznej chwili? Na tych, którzy zostaną, będziemy mogli polegać.

- Kto nie jest z nami, ten przeciw nam? Ha, uważaj, byś Królestwu nie zaszkodził. Racje państwowe a pretensje osobiste to nie to samo.

- Za kogo mnie masz? - warknął namiestnik. - To był zamach, nie sprzeczka nowożeńców. A może myślisz, że biorę odwet za chorobę Egis?

- Ty to powiedziałaś. Ja mam na względzie tylko dobro państwa, Alen.

Namiestnik sposepniał. Z rozmyślań wyrwało go pojawienie się Kavier. Medyk był błydy, zmęczony.

Na Alenharsta spoglądał z przestrachem. Namiestnik zauważył jego minę i ponuro stwierdził:

- Nie muszę pytać, czy mojej żonie się poprawiło. Znalazłeś kogoś, kto może pomóc?

Medyk przecząco pokiwał głową.

- Obszedłem wszystkich lekarzy w mieście. Nawet tych kiepskich, nawet znachorów - mówił szybko, nerwowo. - Część o hypnozie słyszała, lecz wszyscy są wobec niej bezradni. Tu mag mógłby pomóc, nie medyk, panie. A czarodzieje teraz na wojnie.

- Nikt? Zaraza na waszą nędzną konfraternię. Ona umrze! - Alenharst zamilkł na moment, myśląc intensywnie. Obróciwszy się do Rippena, powiedział: - Pamiętasz tego oberwańca, co siedzi w naszych lochach? Tego, który był jak odurzony, gdy go przyprowadzili, a później mówił różnymi dialektami? Jak on się zwał?

- Grain. Fakt, twierdził, że zna tajniki leczenia.

- Został tylko on.

- Myślisz, że ci pomoże? Po katuszach, które mu zaserwowaliśmy? - Rippen z rezygnacją pokręcił głową.

- Siłą wyduszę, jeśli tylko będzie co.

- Namiestniku - rzekł Kavier. - Sugeruję, byś nie polegał na radach jeńca. Wyspiarze znani są z medycznej ignorancji.

- Wy również - ryknął Alenharst. - Precz!

Kilka chwil później, schodząc do lochu, mruknął do siebie:

- Wyspiarz? Demony wiedzą, skąd jest ten człowiek.

Sobmir, usłyszawszy, czego namiestnik oczekuje od Grainy, zaniemówił. Słowo nakazywało pomagać każdemu będącemu w potrzebie. Nawet wrogom. Jednakże były kanclerz pamiętał chwile, gdy zmaltretowany Grain wracał do celi. Prawdę rzekłszy, wnoszono go. Istniała jeszcze możliwość, że więzień zwyczajnie nie będzie umiał pomóc, lecz tę furtkę zatrasnął sam Grain, mówiąc:

- Znam przyczynę niemocy twojej małżonki, namiestniku. Sobmir po raz pierwszy był zadowolony, że sztuka leczenia jest mu całkowicie obca. Dzięki Ci, Panie, szepnął, że mi oszczędziłeś takich wyborów.

Grain, w przeciwieństwie do towarzyszy niewoli, nie miał wątpliwości.

- Nie wiem, czy mógłbym pomóc. Musiałbym zobaczyć chorą. Niestety, chodzi mi się niezmiernie ciężko...

- Za moment przyniesione będzie wszystko, czego potrzebujesz. A także Egis. - odparł Alenharst. Zaskoczyła go postawa więźnia, jednak zbyt martwił się o Egis, by zastanawiać się nad czymkolwiek innym. Pospiesznie wyszedł z celi.

Drobiazgowe badanie- dobiegło końca. Grain zwrócił swą mizerną, bladą twarz w stronę Alenharsta. Co my mu zrobiliśmy? - pomyślał przerażony namiestnik. Więzień popatrzył na swego ciemieźcę ze spokojnym, łagodnym uśmiechem i rzekł:

- To nie hypnoza, choć niedoświadczeni mogliby tak myśleć. Prawdę rzekł medyk, że mag mógłby tu pomóc. Mamy bowiem do czynienia z czarem. Jednakowoż, musiałby być to mag potężny, bo i urok jest niezwykle silny. A to, co dzieje się z twą żoną wynika z faktu, że potrafiła ona przeciwstawić się magii.

- Jak? - spytał namiestnik, nie kryjąc zdumienia.

- Zwyczajnie - odrzekł Grain. - Zbyt mocno cię kocha, by zabić. Na to żadna magia nie poradzi. Ale za przeciwstawienie się woli czarodzieja trzeba zapłacić. Jak zawsze. To był jej wybór. Skoro nie była zdolna zabić ciebie, cierpi sama. Czasem cena może być przerażająco wygórowana.

- Czy możesz...? - zaczął Alenharst nieśmiało. Pewność siebie uleciała z niego w jednej chwili.

- Pomóc? Hmm... Powiedz mi, wierzysz w jakiegoś Boga? Nazwa obojętna.

Alenharst przecząco pokiwał głową.

- Widzisz, jest kilka sposobów, by pomóc Egis. Sam mogę tylko złagodzić cierpienie. Wiele zależy tu od ciebie. - Widząc wyczekujące spojrzenie namiestnika, Grain mówił dalej: - Po pierwsze, można zabić czarownika, który czar rzucił. Wciąż napiera na jej psychikę. Drugą drogą mogłaby być religia. Nie masz wyobrażenia, jak wiele Istniejący może zaoferować tym, którzy w niego uwierzą. Lecz nigdy w drugą stronę. Czarownika nie znajdziemy, a z wiarą, sam widzisz... - Grain wzruszył ramionami. - Jest i trzeci sposób - powiedział po chwili z wahaniem. - Ucieczka. Czar jest z rodzaju tych, które słabną wraz ze wzrostem odległości, bowiem zależy on od umysłu maga.

- Ucieczka? Nie, nie, wykluczone - nerwowo wychrypiał Alenharst. - Czarodziej! Musi być gdzieś blisko. Znajdę go. Zabiję!

- Lukka ma sto tysięcy mieszkańców. Dodaj do tego okoliczne wioski. Szukałbyś rok i nie znalazłbyś nikogo - stwierdził Grain.

W tym momencie do celi wbiegł Rippen. Był śmiertelnie blady.

- Szybko, na wierzę - krzyknął do Alenharsta. - Obserwator. Namiestnik zerwał się i wybiegł z lochu. Stąpawszy na

szczybie baszty, spojrzał w kierunku wskazanym przez jednego

z żołnierzy pełniących wachtę.

Chmury rozpełzły się na boki. Krwawe koło wieczornego

słońca chowało się za horyzontem. Hen daleko, od purpurowego

łta odcinały się czarne punkciki. Całe mrowie. Okręty wypisarzy.

- Nim dzień na dobre nastanie, będą tutaj - podsumował Rippen. - Możemy nie zdążyć z buntownikami.

- Bez obaw - odparł dowodzący akcją Morgens. - Opór się łamie. O świcie nie będzie w mieście jednego rebelianta.

- Oby nas zostało wystarczająco wielu - odparł Alenharst. Rada dłużyła się okrutnie. Jedyne, co go interesowało w owej

chwili, to mała cela, w której leżała Egis. Tam też zbiegł, ledwie narada się skończyła.

Mag leżał w malutkim pokoiku wynajętym tydzień wcześniej w karczmie na obrzeżach miasta, z dala od terenu walk. Jak się okazało, śmierć Alenharsta nie była konieczną, by pogrążyć miasto w chaosie. Szczęście to, pomyślał, bowiem zrozumiał, że oporu dziewczyny nie da się przełamać. Gdy ostatnim razem próbował nagiąć jej psychikę, była półprzytomna. Badał ją medyk znajdujący się w królewskich więzieniach. Ten, w przeciwieństwie do poprzednich, miał niejaki pojęcie, co dzieje się z Egis. Lecz tym, że dziewczyna może zostać wyrwana spod jego wpływu, mag przestał się martwić, gdy tylko wzrok Egis przyzwyczaił się do panującego w celi półmroku. Jej oczyma ujrzał to, czego bezskutecznie szukał od dwóch tygodni.

Intuicja mnie nie myliła, pomyślał, rozpoznając kanclerza Księstwa Brackiego wraz z żoną. Ten mały to pewnie syn Weslava... Teraz w twierdzy rojno od wojska. Poczekam na przybycie Svaroha. Nie uciekną.

Jarva Grithe zaśmiał się swym specyficznym śmiechem, w którym nie ma cienia radości.

Grain położył ręce na skroniach dziewczyny. Czoło przecięły zmarszczki.

- Sługa Pana Jadów. Nikt inny nie mógłby rzucić tego czaru. Egis leżała spokojnie, krew przestała ciec z jej nosa. Na

dziewczęcej twarzy pojawił się wyraz ulgi, jednak oblubienica

namiestnika wciąż pozostawała w śpiączce.

- Śmierć jej nie grozi. Niczego więcej ode mnie nie oczekuj. Reszta leży w twoich rękach.

Namiestnik pokiwał głową. Spojrzał z roztargnieniem na Grain i rzekł:

- Dzięki i za to. Czy jest sposób, bym ci się odwdzięczył? Sobmir wiedział, że Grain jest zbyt honorowy, by prosić o cokolwiek. Zapewne uważał, że był to jego obowiązek. O siebie były kanclerz nie dbał, ale los Jeszy leżał mu na sercu. Była też Księga.

- A i owszem - odparł nieoczekiwanie zapytany. - Mnie i moim przyjaciółom zbrzydł nieco wikt więzienny. Widzisz też zapewne, że żadni z nas szpiedzy. Zresztą Odheyn już blisko.

Chcę więc, byś nas uwolnił, zaopatrzył na drogę i wyprowadził za miasto! Jeśli leży ci na sercu dobro Egis, ona również powinna stąd uciec.

- Dokąd? - spytał.

- W głąb kontynentu, byle daleko stąd. Namiestnik namyślał się chwilę. Przywołał jednego ze strażników, wytłumaczył coś ścisłym głosem, po czym odrzekł:

- Dostaniecie wszystko, czego wam trzeba. Wskażę też sekretne przejście stąd za miasto. Nie prosz o więcej.

A twoje rady... Do diabła z nimi, nie będę uciekał jak szczur z tonącego okrętu.

- Na tym właśnie polega wolność wyboru - rzekł Grain, uśmiechając się lekko. - Ja tylko wskazuję możliwości.

Alenharst nie odpowiedział. Wyjął zza pasa butelkę gorzałki, pociągnął obfity łyk i usiadłszy przy Egis, ukrył głowę w dłoniach.

Wiatr wył potępieńczo, dziko, niosąc zapowiedź koszmarów nadchodzących dni. Wszechogarniający lęk był w powietrzu, którym oddychano w Luce, był w wodzie, którą pito z niejakim przestachem, czaił się w każdym spojrzeniu, w każdym słowie. Rzeczywistość drżała tak, jak drżały serca mieszkańców miasta. Czuli wyraźnie, że coś się kończy, że nadchodzi zmiana. Nie mieli jednak bladego pojęcia o tym, co się zaczyna.

Przekleństwo wątpliwości, pomyślał Alenharst. Od kilku godzin bił się z myślami. Czuł się pokonany. Przed momentem wyszedł Rippen, który przyniósł garść wieści. Bunt wprowadzie zduszono, lecz wśród mieszczan rodziła się nowa partia ugody i układów. Pobieżne rachunki wskazywały, że w razie oblężenia jedzenia starczy najwyżej na trzydzieści dni. Spichlerze były mocno nadwerężone srogą zimą. Trzystu gwardzistów straciło życie podczas tłumienia rebelii. Z miasta uciekały całe rodziny. Kawalkada wozów, wyładowanych dobytkiem i przestraszonymi ludźmi, była długa na milę. Namieśnik rozumiał, że walka została przegrana, nim jeszcze się rozpoczęła.

Poczuł nagłą chęć, by uciec z Egis. Obrona wydała mu się naraz bezsensowna, głupia. Czy ktokolwiek mógł docenić jego wierność? Gdyby chociaż wierzył w jakichś bogów!

Szybko zszedł do lochu. Sobmir i pozostali przygotowywali się do drogi. Grain ledwo trzymał się na nogach.

- Weźmiecie ją ze sobą. - Bardziej stwierdził, niż spytał namieśnik, wskazując Egis. - Z wami będzie bezpieczna.

- Lecz bynajmniej nie szczęśliwa - odrzekł Grain. Jego głos był słaby, drżał. - Ja zresztą daleko już nie zajadę. Chcę tylko ujrzeć niebo, nim umrę. Taki mój wybór. A jaki jest twój?

Alenharst wahał się przez chwilę.

- Chodźcie za mną - rzekł, biorąc w dłoń pochodnię. - Przeprowadzę was tunelem. Potem wrócę. Na zewnątrz czekają na was konie. Jedźcie na południe.

Nim weszli w ciemności śliskiego, niskiego korytarza, do którego wejście znajdowało się na końcu lochów, namieśnik spojrzał na Egis. Dziewczyna lekko podniosła powieki.

Królestwo za te oczy, pomyślał.

- Ognia! - krzyknął Rippen.

Dziesięć katapult wypuściło płonące pociski, które ciągnęły za sobą ogony czarnego, smolistego dymu. Część bomb z sykiem utonęła w morzu, niektóre osiągnęły swój cel, trafiając w okręty najeźdźców. Zbyt

mało nas, pomyślał marszałek. Flota wojenna została rozbita w pył. Sześć galer zatoneło, resztę okrętów przejął przeciwnik. Ponad sześćdziesiąt drakkarów dobiło do brzegu. Wysypało się z nich kilka tysięcy wojów, znakomicie uzbrojonych i znających swe rzemiosło jak nikt. W bladym, nieśmiałym świetle brzasku schronieni za murami mogli obserwować rzeź nielicznej załogi portu. Po kolei zajmowano stojące przy molo statki. Kilka grup wyspiarzy rozpoczęło budowę beluard, drzewo na ów cel biorąc z rozbiórki swych łodzi. Oni nie mają zamiaru wracać, przemknęło przez głowę Rippena, który czuł narastający lęk. Zadawał sobie pytanie, gdzie podziewa się Alenharst. Nie widział namieśnika od kilku godzin.

Z rozmyślań wyrwał go głos Morgensa:

- Przybyła 'delegacja mieszczan. Proszą o widzenie z namieśnikiem.

- Czego chcą?

- Proszą, by zrezygnował z obrony. Pewnie się ze strachu poszczali, kiedy zobaczyli flotę wyspiarzy.

- Nikt nie chce umierać. Za państwo, które i tak wali się w gruzy, w szczególności.

- Jest jeszcze coś - rzekł nieśmiało Morgens. - Odheyn przysłała heroldów i o poddanie Lukki prosi. Gotów jest zrezygnować z rabunku miasta, wojom oferuje wolność, a tym, którzy zostaną w mieście, dobrze płatną służbę. Obiecuje utrzymać przywileje kupieckie i wolny handel. Zarzeka się również, że nie będzie żadnych represji, a on jako król rządzić będzie sprawiedliwie i zapewni pokój.

- To są warunki, na które można by przystać - mruknął Rip-pen.

- W tym sęk. Nawet wśród wojska szemrają. Gotowi się jeszcze zbuntować.

Rippen pokiwał głową, patrząc jak z kolejnych okrętów wysypują się wyspiarze. Cafe mrowie.

- Idę do lochów! - rzekł ze złością - Pora, by Alenharst zachował się jak namieśnikowi przystoi!

Marszałek długo nie wracał... Kiedy wreszcie wyszedł z ciemności, jego twarz była biała jak śnieg.

- A jednak - wyszeptał. W jego oczach czaił się żal i zdumienie. Morgens i pozostali setnicy popatrzyli nań bez słowa. Marszałek spuścił głowę.

Biała flaga załopotała nad twierdzą, nim dzień nastał na dobre.

Rynek nie wyglądał wcale na smutniejszy, niż był. dzień wcześniej, kiedy królewscy rozprawiali się ze swymi przeciwnikami. Odheyn przyjmował przysięgę wierności od kolejnych oddziałów byłego wojska królewskiego. Wielu mieszczan przypatrywało się temu nie bez sympatii, tu i ówdzie rozbrzmiewały entuzjastyczne okrzyki. Nikomu nie było jakoś specjalnie przykro. Jedynie Rippen, siedząc na grzbiecie swego konia, był ponury i mroczny niczym głębiny oceanów.

Nadeszła jego kolej. Podeszedł doń jeden z kapłanów Odheyna, niosąc metalową laskę przedstawiającą węża

- symbol Odheynowej władzy. Marszałek musiał ją ucałować. Chłodny metal zbliżył się do jego ust.

- Nie!!! - krzyknął tak, że cały rynek zamilkł. - Nie!!! -powtórzył jeszcze głośniejszym głosem, wyciągając miecz.

Głowa kapłana spadła na bruk. Rippen spał konia i ruszył w stronę Odheyna, który siedział na zdobionym krześle kilkaset kroków od niego. Miecz ze świstem przecinał powietrze. Ginęli kolejni strażnicy, którzy nieopatrznie stanęli na jego drodze. Był już blisko, tak blisko...

Wtedy ogarnął go tłum, najeżony ostrzami mieczy niby stalowy jeź.

Marszałek Rippen ver Froest uśmiechnął się. Honor, pomyślał. Potem skonał.

Kiedy wyszli z lochu, pierwszym, co zobaczyli była gromadka koni. Martwych gwardzistów, leżących nieopodal, zobaczyli chwilę później. Zbyt późno. Suchy śmiech wstrząsnął spokojną, sielankową prawie, rzeczywistością.

- Tym razem, Sobmirze, nie umkniesz - rzekł Jarva Grithe, wychodząc zza wielkiego głazu. Otaczało go dziesięciu zbrojnych.

- Ho, ho, zjawił się również eksnamiestnik z małżonką. Cóż, trzeba będzie dokończyć własnoręcznie, co słodka Egis zaważyła - syknął mag.

Alenharst wyciągnął miecz. Jarva wykonał nieznaczny ruch dłonią. Głównia zmieniła się w pył, który leniwie opadał na ziemię.

- Nie wstyd uciekać, namiestniku, z miasta? Niegodne to i wielce niehonorowe. Ale dość gadania. Szkoda na was magii. Do dzieła, panowie! - rzekł Jarva do oprychów. Ci unieśli miecze...

Księga Straty. Słowo o Objawieniu (fragmenty)

(...) i rzeki: Odstąpcie. Zbójcy odstąpili. Namiestnik i jego z nagłą zbudzona małżonka patrzyli na tego, który zwał siebie Gramem, niczego nie pojmując. I wtedy opadła zasłona z mych oczu, a także z oczu żony mojej. Fala dobrotliwej potęgi rozlała się po polanie. Pojąłem, że zorza nie kłamała. .

(...) Czarownik zamarł ze zgrozy, bo żaden z jego uroków nie znalazł do nas dostępu.

- Ktoś ty? - spytał mag.

- Jam Istniejący, Ten Który Jest, Byt i Będzie - odrzekł Pan z mocą gromu. - Jam Siewca, który przyszedł rzucić ziarno na ziemię nieurodzajną. Jam ten, którego prawdziwego Imienia wymówić nie można. Podejdź, sługo Zbuntowanego. Pokażę ci twego pana i jego dziedzinę. Pojmiesz, komuś służył. To rzekłszy, Istniejący położył dłonie na głowie czarnoksiężnika. Mag zadrżał. oczy zaszyły mu łzami krwawymi. Bez przytomności padł na ziemię. Jego siepacze posnęli.

(...) Alenharst stał z boku, twarz jego okrywało zdumienie. Zwrócił się doń Pan i rzekł: - Raduj się namiestniku, gdyż ty i żona twoja posiedlicie jeden z sekretów stworzenia. Nie zapominaj wszakże o innych, bowiem zło im czyniąc, czynisz je sobie.

Podszedł Istniejący i do Jeszy (...) nie mówiąc nic, pogłaskał chłopca po głowie.

I wtedy Pan zwrócił się do mnie: - Tyś jest kamień, co pociągnie lawinę, tyś pierwszą cegłą pod fundament nowego bastionu mego. Ty wraz z żoną dobrą dbajcie, by pamięć nie zaginęła. Naznaczam cię, Sobmirze, na pierwszego z mych namiestników (...) tak i każdego następnego naznaczyć przyjdę.

(...) a wyjąwszy setkę kartek spod opony rzeki: - Oto ziarno Moje.

Wydobył też ostatnie pióro i miseczkę znajomą. Kolejny raz nakłuł żyłę. Wręczając mi pióro, mówił: - Pisz, teraz twoja kolej. Kiedym chciał zaprotestować, rozkazał: - Pisz! Ofiara musi zostać dopełniona. To mój dar. Porzuć smutek, albowiem poza czasem jestem i jeszcze niejedną raz zobaczy Czernokreina którąś z mych twarzy. Nadchodzi bowiem czas mroku, kiedy potrzebować mnie będziecie. Zbuntowany głowę podnosi, by wami zawładnąć. Macie ziarno!

To rzekłszy. Pan skonał. Jasność rozbłysła na niebie, płosząc gęste chmury, które od tygodni wisiały nad miastem.

Kilkoro jeźdźców mknęło na południe. Dwie kobiety, dziecko i dwóch mężczyzn. Jeden z nich miał w sakwie plik naprędcy pozszywanych kartek. Odwiedzali każde napotkane osiedle ludzkie. Wtedy starszy mężczyzna wyjmował z sakwy papiery, które zwał Księgą i fragmenty czytał ludziom.

Nad Czernokreina nadchodził brzask.

Maciej Guzek

WYŁĄCZNIE DOBRZY MUZYCY IDĄ DO NIEBA

*Darkowi Czechowskiemu,
którego zapewne nikt z Was nie zna
Freddie Mercury'emu,
którego z kolei zna cały świat
Już oni dobrze wiedzą, za co.*

Odnalazłem go z niejakim trudem. Natomiast kiedy już dotarłem do strefy, gdzie ćwiczone niebiańskie trele, natychmiast rozpoznałem mojego niegdyśszego idola. Najwyraźniej nie życzył sobie żadnych zmian. Spacerował akurat, zamyśliwszy się nad czymś, kiedy postanowiłem poprosić go o autograf. Uśmiechnął się, powiedział, że to również jego ulubiony album i złożył zamaszysty podpis.

- Ale wiesz, nie chwal się tym za bardzo. - Mrugnął szelmowsko i pospiesznie dodał, oddając mi płytę: - Jestem przecież muzyczną dziwką. - Zaśmiał się bardzo szczerze.

Zarty zawsze się go trzymały. Widząc moją rozanieloną minę, powiedział jeszcze:

- Wpadnij, jak zdobędziesz pozostałe trzy, pogadamy dłużej. Teraz muszę iść na próbę chóru.

Ponownie uśmiechnął się, ale tym razem przepraszająco. Elegancko przycięty wąsik nie mógł skryć wystających zębów. Odchodził, a ja pomyślałem, że Jednak jest niższy niż zapamiętałem z koncertów i clipów.

Oglądaliście kiedyś film "Miasto aniołów" albo "Szósty zmysł"? Jest w nich dużo prawdy. Tutaj każdy dostaje trochę czasu dla siebie, laki "urlop" można, albo raczej trzeba, właściwie wykorzystać. Prawie każdy wybiera się wtedy na dół. Odwiedza znajomych i rodzinę, próbuje im coś powiedzieć, spłacić jakieś stare długi, przestrzec, czy - w miarę możliwości - pomóc. Willis w "Szóstym..." był naprawdę niezły i bardzo realistyczny - oceniając naszymi kategoriami. Ale i Cage ze swoją (nie)szczęśliwą miłością wypadł kapitalnie. Lubię ten film. Jakby chciał powiedzieć, że nie każdy upadły anioł musi być zaraz diabłem.

Kiedy więc i ja dostałem wolne, postanowiłem zdobyć pozostałe trzy podpisy. Czemu nie? Z wszystkimi bliskimi już się pogodziłem. wrogów nie miałem, a muzyką interesowałem się odkąd pamiętam.

Z Johnem poszło nad podziw łatwo. Właśnie spędzał z żoną noc w operze. Wśród licznej publiczności musiał znaleźć się jakiś wielbiciel, z łatwością więc podłożyłem swój egzemplarz. Miałem szczęście, zdążyłem tuż przed sygnałem obwieszczającym, że przedstawienie musi trwać.

Niestety, Taylor okazał się znacznie trudniej dostępny. Bez efektu spędziłem dzień na wyścigach. Do prywatnej rezydencji dostałem się z łatwością, jednak

nie było tu szans na podrzucenie płyty. Pozostała więc Japonia, gdzie Roger ruszył w koncertową minitrasę, promującą najnowszy album. Wśród rzeszy rozhisteryzowanych, skośnookich fanek poszło mi jak z płatką.

Ku mojej radości Briana dopadłem w rodzinnej Warszawie. Akurat dawał tu jeden, jedyny koncert. Znajomy miał znajomego, który znał kogoś z radia, dla którego May udzielał wywiadu... Brian jako jedyny zdziwił się na widok podpisu starego przyjaciela. Znał go zbyt dobrze, więc żadne fałszerstwo nie wchód/iłu w grę. Okazał się jednak na tyle taktowny, że o nic nie zapytał. Może wziął to za żart? Jeśli tak, to zapewne w złym guście.

Kiedy ponownie spotkałem się z idolem, był niezwykle rozemocjonowany i cały spocony. Harmonijnej gry mięśni w żaden sposób nie ukrywała biała podkoszulka na ramiączkach. Zerknął z uznaniem na płytę i zapytał, czy nie za poważnie wziąłem sobie do serca jego drobną sugestię. Machnąłem ręką i rzuciłem zdawkowe: "całaprzyjemnośćpomoejstronie". Z wrodzoną łatwością przejął inicjatywę:

- Pytales, czy się tu wybierają? Bardzo mi ich brakuje. Z Jimim Hendrixem jakoś nie mogę się dogadać. Jason Bonham wciąż nie doszedł do siebie, jak już tu się wdrapał po tych swoich schodach. Cliff Burton z kolei jest zdolny, ale zainteresowało w coś innego.

- Słowem, chciałbyś mieć swój zespół.

- Tak! Wtedy dopiero pokazałbym, co potrafię! Chciałbym zrobić tu wielkie rockowe widowisko! Wiesz, aniołowie mają świetne głosy, więc z łatwością wykonujemy "Bohemian Rhapsody"...

Dawid Brykalski

CZARNE OCEANY

I

1. Z KRAJU I ZE ŚWIATA

Nad wszystkim stały Alpy, wielkie, zimne, milczące. Chodzący po terenie posiadłości policjanci co jakiś czas oglądali się w ich stronę, by choć na chwilę oderwać wzrok od otaczających ich potworności. Pierwsze ciała znaleźli nad strumieniem. Pięć osób uklekło na brzegu, w równym szeregu, pochyliło się nisko, jakby próbując w ten sposób sięgnąć ustami wody, i wtedy ktoś odstrzelił im głowy. Strzelano z tyłu, w potylice, prawie pionowo, z pump-gunu. Policję zawiadomili wczasowicze z domku w dole, gdy spostrzegli płynące strumieniem strzępy mózgu i podskakującą na falach gałkę oczną.

Posiadłość figurowała w rejestrze sekt i policja zjawiała się od razu w wielkiej sile, ściągając na miejsce dwie ekipy do skanu A-V. Obchodzili teraz pastwiska, ogród i wnętrze drewnianej willi. Na werandzie stało wielkie blaszane wiadro pełne odciętych palców. Po opróżnieniu go znaleziono na dnie czyjaś głowę. Do tej pory policja nie natrafiła na pasującą doń resztę ciała. W piwnicy znajdowało się dwanaście pozbawionych palców zwłok dzieci, w tym i niemowląt. Kevorkianki iniekcyjne, orzekł wstępnie koroner.

Na piętrze mieściła się świątynia. Długie, żółtobrazowe węże jelit zwieszały się ciężkimi girlandami z żyrandola, stromymi łukami biegły pod sufitem do mebli, okien i futryny drzwi -anatomiczny gotyk. Policjanci wchodzili tu pod parasolami, krew wciąż kapłała - nieustanne pak-pak-pak-pak-pak o monoplótno umbrelli. Guru, a on był ostatni, siedział w pozycji lotosu na tatami pod samym żyrandolem. Utrzymywał go pośmiertnie w tej pozycji fidasz w końskiej dawce. Guru (który miał czterdzieści siedem lat i zanim doznał objawienia, był pisarzem science fiction) sam wydłubał sobie oczy i poobcinał palce nożem wibracyjnym umieszczonym w imadlanej obejmie. Gdy otworzono drzwi do pomieszczenia, włączyły się głośniki i popłynął z nich jego głęboki, charyzmatyczny głos, recytujący spisana przez niego samego Księgę Nie-ciała. "Jako na ducha, tak i na materię. Ciało to więzienie, ciało to kamień formy, maska i bielmo na oczach. Po nim, jak po schodach, wespnieś się do nieśmiertelności."

Chwilę trwało, zanim znaleziono wszystkie głośniki i wyłączono je. Tymczasem guru mówił: "Słuchajcie, słuchajcie, słuchajcie: zarażam was.". Policjanci poruszali się pośród tego horroru powoli, ostrożnie, zważając na każdy krok, zawsze puszczając przodem ekipę wślępioną w zapis skanerów. Wchodziło się do

wnętrza tego domu jak do kesonu o niskiej zawartości tlenu - po kilku minutach trzeba było wyjść z powrotem na zewnątrz, popatrzeć na Alpy, zapalić papierosa, nawet nikotynowca (tu, w Szwajcarii, wciąż były legalne). Inaczej umysł zapadał się w bagno dzikich skojarzeń, zaciągały się nad nim chmury depresji, człowieka dopadały duszność i mdłości.

Stali więc pod werandą, oddychali górskim powietrzem i wymieniali półgłosem uwagi: "Jatka jak u Barkera", "Popierdoleńce cholerne", "Ja się poddaję, w ogóle już nie próbuję tego zrozumieć", "Co za chory umysł...?", "A powystrzelać ich wszystkich", "Przecież widzisz, sami się strzelają".

Biel śniegu Alp paliła w oczy, mrugali, gdy wzbierały w nich piekące łzy.

W nocy wyglądało to jak pożar w lunaparku. Przez okno schodzącego do lądowania samolotu (lot numer 4582 z Atlanty, druga przesiadka) Czarny patrzył na Nowy Jork pod fosforyzującą koldrą miasta sterowców, rozkołysanego lekko od nadatlantyckiego wiatru. Blask gigantycznych reklam i światła apartamentów podwieszonych pod zakotwiczone na szklanych linach wieloryby gorącego powietrza wyznaczaływ naniebnym rzucie mapę dobrobytu. Było to koło w okręgu: wysokie luksusy centrum otoczone strefą luksusów zeszlowiecznych zamkniętą nieskończonymi przedmieściami. Kiedy nad nimi przelatywali, widział zimne refleksy światła w niezliczonych przydomowych basenach.

W oddali błyskały szerokopasmowe lasery klasycznych holografii reklamowych, z tej odległości, a zwłaszcza pod tym kątem - zupełnie nieczytelnych. Po zestawieniach kolorów można było jednak wnioskować o przynależności logo.

Samolot schodził do La Guardii po jakiejś przedziwnej spirali coraz to inna część metropolii płonęła jasnymi kolorami za iluminatorem. Zimna rozpacz zalewała umysł Czarnego, choć odwracał głowę od ekranów widokowych. Tam ludzie, miliony ludzi. Utonę. Tsunami czerni. Kto uratuje, gdy samoty w tysięcznym tłumie. Jezu Chryste...

Pasażerka z żeńskiego przedziału onanizowała się w myśli, biznesmen z fotela na przedzie upokarzał się wspomnieniem pogardy szefa, niemowlę w ramionach matki śniło o analnych rozkoszach, matka zaś z zimną nienawiścią do samej siebie wyrzucała sobie słabą wolę, która nie pozwoliła wówczas jej dłoni opaść na TERMINATE inkuba, a steward marzył o ataku terrorystów i krwi pasażerów na suficie.

Czarny z trudem powstrzymywał szloch. Kogoś musiał tu boleć żołądek, bo Czarnego aż skręcało, kulił się mimo pasów. Próbował się skupić na celu, na konieczności - ale oni wszyscy też mieli ojców i obraz się rozmywał; miłość, nienawiść i obojętność odkształcały wspomnienia, również te nadmiarowe. Steward zaniepokoił się, już chciał podejść, zapytać - więc Czarny wyprostował się, wygładził twarz.

Gdy wylądowali, odczekał, aż wszyscy wyjdą i wstał na końcu. Biały rękaw był jak pępownina łącząca kadłub maszyny z tłumem-matką. Szedł naprzód, śmiertelnie przerażony. Buchnęło mu w twarz gęstą czernią. Spojrzał na bilet, by przypomnieć sobie swe nazwisko; zaraz zgubił myśl o przyczynie spojrzenia. Kilkakrotnie przystawał. Potwornie bolały go nogi. Za bramką naszła go urzędnicza frustracja, nakrzyczał na celnika w zapożyczonym języku. W sumie był tak zdezorientowany i przygluszony, że nie miałby szans z największymi partaczami.

A oni - oni wypracowali już przecież optymalną pod względem bezpieczeństwa procedurę i podeszli z wielką ostrożnością.

Gdy Czarny odebrał bagaż i ruszył ku wyjściu, usadowiony na galerii po drugiej stronie sali snajper otrzymał przez ukryty w małżowinie usznej telefon opis i położenie celu, do tej pory nie miał bowiem zielonego pojęcia, o kogo chodzi. Poinstruowano go, że ma oddać strzał najpóźniej w pięć sekund. Oddał w cztery.

Zatruta igła trafiła Czarnego w kark. Odruchowo poruszył barkami. Obejrzał się zdziwiony. Siedmiu innych mężczyzn, wmieszanych w tłum podróżnych, odebrało teraz swoje rozkazy - identyczną drogą co snajper, identycznie zwinęło. Zlokalizowawszy obiekt, ruszyli ku niemu biegiem. Czarny już giął się w kolanach. Złapali go pod ramiona, otoczyli pierścieniem ciał. Siódmy podniósł upuszczony bagaż.

Na ulicy czekały limuzyny. Nieprzytomny. Czarny załadowany został do drugiej. Siedzący obok kierowcy łysy fenoazjata podał swemu telefonowi hasło numeru.

- Powiedźcie Huntowi, że wszystko okay - rzekł. - Niech szykują wahadłowiec.

Spadało tętno, ruchy gałek ocznych sugerowały fazę REM -choć przecież Numer nie spał. Dużymy lekarz polecił kompowi, by wstrzyknął stymulującą dawkę hormonów. Delikwent po iniekcji zadygotał kilkakrotnie, otworzył usta, jęknął. Nieświadomymi szarpnięciami ciała (a wyglądało to, jakby martwy poleć mięsa miotał się pod uderzeniami prądu) usiłował się wyrwać, lecz pasy trzymały mocno. Kropelki śliny odrywały się od jego dziąseł i dryfowały w powietrzu ku najbliższemu otworowi wymiennika atmosfery.

Nagle zaczęła szaleć alfa, program analizujący pracę mózgu zapiszczał alarmem, wewnątrz i na zewnątrz zaślepu A dyżurnego medyka.

- Odciąć go! - krzyknął na firmowej linii Preslawny. Lekarz spojrział na wirtualne wykresy i włosy stanęły mu dęba.

- Musiałbym go wypłaszczyc! Osfan poszedł już potrójnie!

- Czekaj!

Mężczyzna w pomieszczeniu widocznym na zaledowanej ścianie przestał się już poruszać na łóżku, do którego był przypięty. Wszystko w nim gasło, obumierało: mózg, płuca, serce. Widać to było na ekranie, tym bardziej widział to medyk. Pacjent zapadał w głęboką komę. Ruszyła się nawet temperatura, choć na razie zaledwie o kilkanaście setnych.

Do dyżurki wszedł Preslawny, jeszcze ścierał sobie keczup z ust.

- Zapada się - mruknął, ledwo rzuciwszy okiem. - Jak bardzo możesz szarpnąć?

- Trzeciego straciliśmy na migotaniu, defibrylacja to grób.

- Ale on się, kurwa, zapada. Pełna szpryca! Lekarz wydał w OVR polecenie.

- O mój Boże... - jęknął cicho pacjent, tym bardziej przejmująco, że zupełnie niespodziewanie: zazwyczaj nie mówili nic. Głośniki przekazały ten jęk do salki obserwacyjnej zwielokrotniony w decybelach i podbity ciemnym basem. Preslawny aż się wzdrygnął i zaraz wściekł na siebie za ów dreszcz, kompromitujący sygnał od słabeuszowatej duszy.

- Co, widzi już światelko w tunelu? - zazgrzytał.

- Pan spojrz na EEG.

Preslawny spojrział i zwałił się bezwładnie na krzesło. Chciał się złapać za głowę, ale ręce zorientowały się w banale i opadły mu w pół gestu.

- Czwarty - westchnął, i to było epitafium dla katatonika z ekranu.

- Trzeba by powiadomić pana Hunta - zauważył beznamietnym głosem wychodzący z półzaślepu doktor.

- Ano.

W Bostonie doktor Vassone (stały kontrakt profesorski na Uniwersytecie Bostońskim) kończyła właśnie śniadanie w hotelowej restauracji. Dziennikarz, z którym umówiła się tutaj na wywiad, odszedł już od stolika zbyty standardowym pakietem kłamstw o przesadzonych plotkach i absurdalnych (tu puścić porozumiewawczo oko) zobowiązaniach podpisywanych przy okazji rządowych grantów: CNS i CAS, gdzie wykladała, były finansowe ze źródeł prywatnych zaledwie w kilku procentach. Mogła teraz całą uwagę poświęcić stygającym potrawom.

Kelner oraz piszący na lepadzie dwa stoliki dalej biznesmen widzieli wszystko bardzo dokładnie i złożyli później wyczerpujące zeznania. Doktor Vassone upuściła filiżankę, rozległ się ostry grzechot - i to wtedy na nią spojrzeli.

Mrugnęła szybko, z oczu płynęły jej łzy. Dolną wargę przygryzła tak mocno, że pojawiły się na niej drobne krople krwi. Dłońmi zaczęła miać obrus, ściągając go tym samym ku sobie; za-\ dzwoniła zastawa. Vassone westchnęła głośno. Szarpnęła głową, wisiołek z logo jurydykatora uderzył ją w brodę. Wyraz jej twarzy zmieniał się od strachu, poprzez cierpienie, do najgłębszej rozpacz. Zatkęła z głębi piersi. Prawą rękę uniosła i wyciągnęła w przód, ale ruchowi zabrakło zdecydowania i palce nie sięgnęły celu, jakkolwiek on był. Zaraz zawróciły i, zgięte w szpony, uderzyły w policzek Vassone. Paznokcie wbiły się w skórę. Jęcząc, zaczęła rozdrapywać sobie twarz.

W tym momencie zareagował kelner. Podbiegł do Vassone i złapał ją za nadgarstki. Wyrwała się. Wołając o lekarza, ruszył z kolei pomóc kelnerowi biznesmen. Wspólnymi siłami w końcu obezwładnili kobietę - ale też tak to właśnie wyglądało: brutalne obezwładnienie. Nie dało się uniknąć głośnej szamotaniny, zrzucenia na podłogę całej zastawy, zniszczenia marynarek mężczyzny i koszuli Vassone. Drapała na oślep, po sobie i po nich; Szerokie, krwawe bruzdy przydawały jej obliczu upiorne podobieństwo do indiańskich malunków wojennych.

- Co, co, no co się dzieje...? - szeptał jej biznesmen.

- Moje dzieci, moje dzieci - jęczała, drżąc w ich rękach. I taki żal, taka rozpacz brzmiała w tym jęku, że obaj mimowolnie rozglądali się po sali za jakimiś dziećmi, ale akurat nie było żadnych.

- Co?

- Zabiłam je, zabiłam, mój Boże, zabiłam je oboje...

Pojawiło się więcej ludzi z obsługi hotelowej, między innymi hotelowy lekarz - natychmiast zabrał ją z głównej sali na zaplecze. Płakała na głos, gdy ją wlekli. Inni goście, klienci restauracji (choć o tej porze nie było ich tu wielu), półszepem wymieniali uwagi. Cały hotel objęty był NETi i komentując zdarzenie, odruchowo rozglądali się za poukrywanymi kamerami.

Przyjechała karetka i zabrano doktor Vassone do szpitala (nie znali kodu jej medykatora, nie miała medalarmu na cashchipie). Sanitariusze wcisnęli ją w kaftan bezpieczeństwa, chociaż przestała się już wrywać. Opatrzyli rany na jej twarzy. Miała także kilka złamanych paznokci i zdarty z przedramion naskórek. Obserwowali ją czujnie.

Marina Vassone, starannie wyrzeźbiona, pomimo czterdziestu siedmiu lat zachowała sylwetkę modelki, cerę bez zmarszczek, oczy nastolatki - bładniebieskie, bardzo zimne. Miała krótkie, białe włosy zaczesane do tyłu. Zdecydowanie skandynawski typ urody.

Najpierw szeptała coś do siebie w obcym języku. Potem się uspokoiła, zrobiła kilka głębokich wdechów i przemówiła po angielsku do sanitariusza. Powtarzała w kółko jeden i ten sam numer telefonu, przekonując, grożąc i błagając, by natychmiast podeń zadzwonił. Prosić pana Hunta. To ważne. Niech ruszy tyłek. Ale sanitariusz surfował na falach muzyki płynącej z implantowanych mu pod kość czaszki rezonatorów: z pobłażliwym uśmiechem ignorował kobietę w kaftanie.

W szpitalu ściągnęli jej DNAM, skontaktowali się z miejscowym biurem medykatora, zrobili badania, dali jej kilka zastrzyków i odstawili na salę, przypiętą do łóżka bardzo szerokimi pasami. Tu znów ją dopadło. Pomimo chemicznego wytłumienia jęła wrzeszczeć, że jest morderczynią, że powinni ją wysłać na krzesło elektryczne, że palić się będzie w piekle i tym podobne rzeczy.

Podwojono dawkę. Zasnęła.

Powiadomiona najbliższa (geograficznie) rodzina okazała się siedemnastoletnim synem. Co prawda nie był to już syn w sensie prawnym, bo kontrakt wychowawczy Vassone. wygasł sześć lat temu i w rozumieniu Giddensonowego kodeksu rodzinnego nie już ich nie łączyło; niemniej dane zostały w rejestrach.

Przybył, cierpliwie czekał przy niej i był tam też, gdy się ocknęła. Z miejsca wyrecytowała mu numer. Zadzwon, zadzwon, zadzwon.

Zadzwonił.

- Mogę rozmawiać z panem Huntem? Odezwała się kobieta lub posługujący się kobiecym dialogantem program sekretaryjny.

- Kto mówi?

- Jas Vassone, dzwonię w imieniu mojej matki, to pilne, prosiła, żebym...

- Skąd pan ma ten numer?

- No, przecież mówię, moja matka, doktor Marina S. Vassone... Słyszysz pani, czy przeliterować? No więc, ona leży w szpitalu i prosiła, żebym...

Zmiana po tamtej stronie.

- Tu Hunt. Co się stało?

- Trzymaj ją w szpitalu, na oddziale psychiatrycznym, prosiła...

- Który to szpital?

Pół godziny po tej rozmowie przyjechało dwóch cywili wyglądających na przebranych w ostatniej chwili żołnierzy. Z miejsca wdali się w kłótnię z personelem. Ściągnięto prawników szpitala i medykatora. Strażnicy z pobliskich posterunków nie zdejmowali dłoni z kabur.

Jaś przypatrywał się temu wszystkiemu z progu sali matki, niepewny, czy nie lepiej ukryć się przed wzrokiem tamtych. Brały w nim górę lęki dziecięce: może przyjdą i zabronią, może przegonią.

Gdy spojrzała nieco przytomniej, podszedł i pochylił się nad nią.

- Co się stało, mamó? Ty rzeczywiście jesteś chora?

- Dopadła mnie - szepnęła, zwilżywszy wargi. - Lepiej już stąd odejść.

- Ale...

- Proszę. Nie, nie jestem chora. Idź już. Nie poszedł.

Tymczasem dwaj ponurzy cywile osiągnęli najwyraźniej jakieś porozumienie z władzami szpitala.

Zajęli posterunek opuszczony przez Jasa: w drzwiach sali.

- Teraz trzeba czekać - oznajmił jeden z nich. - Oby się tylko pospieszyli.

- Kto? - spytał Jaś. - Kim wy jesteście?

Drugi mężczyzna uśmiechnął się.

- Co, filmów nie oglądasz? My jesteśmy z tego spisku rządowego, który stał za Roswell, zabójstwem Kennedy'ego i zanieczyszczeniem środowiska. Nie poznajesz garniturów?

- Ale mogę zostać?

- A co, wygania cię ktoś?

Tamci zapalili beznikotynowce. Stali pod ścianą i obserwowali. Doktor Vassone przepowiadała sobie półgłosem tabliczkę mnożenia, w tę i z powrotem: siedem razy osiem, siedem razy dziewięć, siedem razy dziesięć... Niespodziewanie jeden z pozostałych pacjentów zaczął wrzeszczeć po hiszpańsku, że jest potępiony i że diabeł już czeka na niego. Przyszła pielęgniarka, zmieniła program jego dozownika; wkrótce się uspokoił.

Dwóch w garniturach obserwowało to beznamienne.

Po ponad trzech godzinach przybyli ci, na których czekali owi pseudocywile. Jasowi opadła szczeka. Było to siedmiu mnichów buddyjskich, z wygolonymi czaszkami, w długich brązowych i pomarańczowych szatach, w sandałach i z jakimiś modlitewnymi przyrządami w dłoniach. Rozsiedli się dookoła łóżka doktor Vassone, po czym zamknęli oczy, znieruchomieli, prawie przestali oddychać.

- Dobra jest - mruknął jeden z agentów, gasząc swego papierosa. - Medytują. Zawiadom Huńta - rzucił do partnera.

- Kim oni są? - zachnął się Jaś. - O co tu chodzi?

- Nic się nie przejmuj - poklepał go po ramieniu drugi, unosząc do warg dłoń z telefonem. - To strażnicy. Twoja mama jest już bezpieczna.

McFly z ekipą już trzeci dzień koczował w tym domu. Budynek stał opuszczony od ponad dziesięciu lat i niszczał przez ten czas do stanu ponurej rudery, był w dwóch trzecich drogi do kompletnej ruiny. Stał na samym końcu miasteczka, dalej już tylko łąka, szosa i rozległe złomowisko, od którego wieczorami wiatr przynosił krwisty zapach rdzy. .

Ekipa McFlya składała się z dwóch mężczyzn i kobiety. Kobiętę zwerbowano dzięki ogłoszeniom na okultystycznej stronie www. Kazała się nazywać "Madame Florence". W rzeczywistości była nierzeźbioną córką alkoholiczki z Alabamy, ledwo skończyła szkołę średnią i знаła, góra, dwadzieścia francuskich zwrotów, które zresztą okrutnie kaleczyła swym drewnianym akcentem. Za plecami przezywali ją Klempą. Ona sypiała na piętrze, oni na parterze: to na piętrze popełniono wszystkie morderstwa.

Harcott, który w istocie był lekarzem wojskowym, odpowiadał za sprzęt: elektroniczny czepek, który Madame Florence zobligowana była nosić dwadzieścia cztery godziny na dobę, oraz dwie walizki wypełnione sprzężonymi z nim komputerami i ich peryferiami. McFly, de facto kierownik zespołu, "w cywilu" porucznik US Navy (kontrwywiad marynarki), utrzymywał łączność z Zespołem Hunta oraz zajmował się tak zwanym "zabezpieczeniem" terenu i choć nie miał wiele do roboty, to do pomocy dano mu jeszcze

Vace'a. Vace jeździł do centrum miasteczka po zakupy. Wszyscy trzej byli smukłymi, dobrze zbudowanymi, dwumetrowymi blondynami o siwych oczach: ich poczęcie przypadło na okres największej popularności Franka di Mozzy.

Pierwszej nocy Madame Florence spała jak zabita, czuwający przy niej Harcott mało sam nie zasnął: wszystkie wykresy regularne, dane w środku przedziałów, nic wyjątkowego. Drugiej nocy pojawiły się pierwsze wychylenia. Potem, rankiem, gdy Harcott odsypiał swoje, McFly nagrał relację ze snów Madame Florence: coś o morzu, i o kształtach w ciemności, i strachu bezosobowym, i pomieszczeniu, z którego nie można się wydostać. Wtedy, zgodnie z instrukcją, dał jej do przeczytania przygotowane przez jeden z wydziałów Zespołu Hunta streszczenie histo-, rii tego domu i jego mieszkańców, i ich zbrodni. W gwarze Zespołu lektura podobnych dzieł - a zwłaszcza studiowanie dołączonych zdjęć - nazywała się "przecieraniem łączy".

I nocą po ich "przetarciu" nastąpił kontakt. McFlya obudził pisk w uchu. Alarm. Vace też już się podnosił. Instrukcja zakazywała posiadania podczas operacji jakiegokolwiek broni: nie mieli nawet noży.

- Harcott, Harcott! - szeptał McFly do sygnetalnego mikrofonu Nokii. - Zgłoś się, do cholery! Co tam się dzieje? - Odpowiedziała mu cisza.

McFly machnął na Vace'a. Schody. Wnętrze budynku tonęło w mroku. Założyli okulary noktowizyjne. Zapłonął chropowaty monochrom. Na piętrze trzeszczała podłoga. Kroki? Czyje? Wsłuchiwali się przez chwilę. Z zewnątrz budynku szedł niski szum budzącej się burzy, grzechot ciskanych po podwórzu śmieci. Znowu trzaski. McFly machnął w kierunku schodów. Ruszyli skokami, wzajemnie się ubezpieczając - z braku broni palnej, w bardzo bliskiej odległości. Robactwo uciekało im spod stóp.

W holu nikogo. Przez strzaskany witraż naddrzwiowy wiało deszczem: zapach nocy, zapach burzy, ozon na falach zimnego powietrza. McFly pokazał: ja pierwszy. Wspiął się tuż przy balustradzie, nie opierając się o poręcz. Mimo wszystko kilka stopni sieknęło pod nim i pod Vacem. W korytarzu na piętrze też spokój. Drzwi sypialni Madame Florence uchylone, wiało zza nich ciemnością. Zaczęli nasłuchiwać oddechów, szmerów, poruszeń - ale burza wszystko głuszyła.

McFly znowu pokazał: ja. Przyskoczył do drzwi, kucnął, zajrzał. Krew zalała mu oczy, uderzenie przewróciło go na plecy, okulary spadły. Cięcie przez pół głowy piekło jak jasna cholera. Usiłował odturlać się w bok, jednocześnie macając się po czaszce, ale w szoku pomylił strony i wtoczył się Vace'owi pod nogi. Vace chciał go przeskoczyć - uderzył w pchnięte przez Madame Florence drzwi. Wypadła z krzywym zębem ułamanej szyby w dłoń, ze szkła skapywała krew McFlya.

- Rzuć to! - krzyknął odskakujący w tył z czworaków Vace.

- Co się dzieje, co się dzieje...?! - pytał rozpaczliwie McFly, przecierając rękawem zalane czerwienią okulary. - Rzuć to!

Ale Madame Florence tylko uniosła szklany nóż wyżej. Czepek z elektrodami przekrzywił się jej na głowie, włosy wystawały spod niego na wszystkie strony. Na twarzy i na szlafroku miała plamy, które Vace postrzegał przez noktowizor jako kleksy głębokiej czerni, lecz przecież wiedział, czym są w rzeczywistości.

- Harcott...?! Harcott, na miłość boską...?! - Doktor nie odpowiadał.

Klempa rzuciła się na Vace'a, porucznik uskoczył. Tymczasem McFly podniósł się na nogi. Lewą ręką ścierał i strzepywał krew z czoła> prawą pokazał Vace'owi zza pleców Madame Florence: złapię ją od tyłu. Raz, dwa, trzy. Skoczyli równocześnie. W tym momencie rąbnął gdzieś bardzo blisko piorun, McFlya oślepiło, wpadł na Vace'a. Klempa zawyla, zamachała szkłem. Vace złapał się za brzuch. McFly z zaciśniętymi powiekami postąpił kilka kroków wstecz. Od upływu krwi zaczynało mu się już kręcić w głowie.

- Na dół, Vace, wezwij pomoc! Jeeeezuu, rozpruła mnie... Vace! - McFly uniósł powieki.

Madame Florence biegła na niego z wzniesionym zębem brudnego szkła, usta miała wykrzywione w jakimś dzikim grymasie, oczy wybałuszone. McFly trzasnął ją kantem stopy w krtań, poprawił w kolano, złapał za prawą rękę, złamał, wytrącił z dłoni ułamek szyby. Nieprzytomną kobietę złożył na podłodze. Potem musiał się oprzeć o ścianę, ćmiło mu w oczach. Ktoś płakał. McFly ruszył z powrotem ku schodom. Tu, pod drzwiami sypialni, leżał Vace z jelitami na wierzchu. Obejmował je trzęsącymi się straszliwie rękami, łzy płynęły mu z oczu. McFly spojrzał do wnętrza sypialni. Na poduszce łóżka leżała odcięta głowa Harcotta. Nogi ugięły się pod MacFlyem, klęknął obok Vace'a, który zaczynał już tracić dech. Machinalnie pogłaskał go po twarzy.

- Mój Boże, co to jest, co tu się dzieje? No, horror dla ubogich...

Oczywiście nie był to wahadłowiec w ubiegłowiecznym rozumieniu tego słowa - choć pełnił tę samą funkcję. Po prostu samolot orbitalny trwale przystosowany do wysokich tras, grubo powyżej pułapu koniecznego dla zawiśnięcia ponad obracającym się globem podczas zwykłych transkontynentalnych lotów pasażerskich. Od godziny gotował się do startu na pasie sąsiadującym z tym, na którym stał teraz Boeing, którym przyleciał Czarny.

Podjechali limuzynami pod same schodki, załadowali Czarnego do tylnej kabiny, przypięli do fotela. Wraz z nim leciał odpowiednie przeszkolony sanitariusz. Nazywał się Timothy Flowers. Posiadał on już niejaki doświadczenie w tej pracy. W rzeczy samej obsługiwał trasę od samego początku.

Kręcąc głową, przeczytał rozkaz, jak zwykle maksymalnie zwięzły. W tym samym locie "JFK" zabierze na dół Numer 4. , Widać też nie wytrzymał długo. Skontrolowawszy stan, jedyne poza nim, pasażera (mężczyzna był nieprzytomny), Flowers usiadł z westchnieniem na swoim miejscu.

Czarny ocknął się kilka minut po starcie. Nie było już teraz potrzeby faszerowania go środkami nasennymi, a Flowers nie wyczytał w rozkazie takiego zalecenia. Znał procedurę i był przyzwyczajony, więc tylko sprawdził puls Czarnego i zajrzał mu w oczy. Wiedział, że nie musi niczego tłumaczyć.

- Co stało się czwartemu? - spytał go Czarny.

- Nie wiem - odparł Flowers. Nie było rozkazu utrzymywania tajemnicy przed wynoszonymi. - Śpiączka jakaś. Zawsze to samo. Ściągamy ich z powrotem do Nowego Jorku.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Tim.

- Dziękuję.

- Możesz mi dać coś do przeplukania gardła?

- Oczywiście. Proszę.

Ręce miał Czarny przymocowane rzepami do poręczy fotela, lecz podany przez Flowersa pojemnik z sokiem pomarańczowym zawisł usługnie przed jego twarzą. Byli już na orbicie.

Flowers obserwował pacjenta kątem oka. Siedzieli w fotelach po dwóch stronach przejścia, za przepierzeniem oddzielającym kabinę pilotów. Rzeźbiony, nierzeźbiony - Flowers nie potrafił zdecydować. Zazwyczaj byli to ewidentni nierzeźbieni. I zazwyczaj absolutnie spokojni. Jak ten: nic już nie mówił, nic nie robił, aż do przycumowania do Labu3.

Bo inni mówili, robili - i po części nawet myśleli - za niego;

jak zawsze. Timothy Flowers, który miał się nim opiekować, wypełniał zadanie samą swą obecnością.

Numer 5, Numer 5 - tak widział go Flowers, taką etykietą sobie opowiadał. I Czarny automatycznie też zaczął się tak postrzegać: piąty z kolei posyłany do orbitalnego eremu, na stracenie, na komę, na śmierć umysłu. I widział się również anonimowym pasażerem, ludzkim cargo - w oczach pary pilotów "JFK". Jakies małe zamieszanie w ich dookolnych asocjacjach:

pierwotnie mieli go dostarczyć do Labu9, potem nagle zmieniono destynację. Czarny bez problemu połączył- we wniosku dane ze skojarzeń krążących po głowach pilotów i sanitariusza: to z powodu nagłej zapaści Numeru 4. Zwalnia się Lab13 i tam mnie od razu zainstalują. Trzynaście - feralna liczba.

Porwali go, wystrzelili w kosmos, zostawią samego w blaszanej puszcze otoczonej śmiertelną próżnią- czy się bał? Ależ to wszystko były zamierzenia i działania ludzi, żadna tam klęska żywiołowa, żadna złośliwość natury. A jakże bać się ludzi? Rozpacz - owszem; czarna depresja -jak najbardziej; ale - strach? W istocie nie opuszczało Czarnego delikatne zadziwienie, rodzaj małostkowej ciekawości: spojrz tu, spojrz tam, poczeka, zastanowi się... Lubił być zaskakiwany.

Po przycumowaniu i wyrównaniu ciśnień Flowers odpiął się i popłynął do wjazdu Labul3. Czarny oglądał jego oczyma wnętrze habitatu, przypatrywał się pograżonemu w śpiączce Numerowi 4. Z wyglądu - przeciętny dzikus. Flowers bardzo ostrożnie odpinał od śpiącego całe medyczne oprzyrządowanie, którym był opleciony, wyciągał z żył igły, odrywał plastry.

Numer 4, skonstatował Czarny, sam musiał na siebie to wszystko pozakładać, samemu opiąć sobie ciało owym instrumentarium zdalnej tortury. Nikogo innego wszak tu nie było.

Przeciętny mężczyzna. Śpi? Nawet nie to. Bije od niego cisza spokojnego morza, szmer fal: drobnych i powolnych jak letnia bryza na jeziorze. Odszedł, nie ma go tu.

Flowers przeciągnął bezwładne ciało do środkowej kabiny samolotu. Nogi Czwórki były związane razem, ręce przymocowane do tułowia, sanitariusz operował ciałem nieprzytomnego niczym plastyczną kukłą. Usadził je, zabezpieczył, podpiął do czujników samolotu. Potem wrócił do Czarnego. Wyjął i załadował injektor. Czarny wciąż był przytwierdzony do fotela elastycznymi pasami.

- Taka procedura - mruknął doń Flowers, raczej bezmyślnie, bo z pewnością nie była to próba usprawiedliwienia się. - Mógłbyś się rzucać, a tu wszystko delikatne, lepiej nie ryzykować rozróby w zero gie. Na chwilę zaśniesz, przeniosę cię spokojnie do labu.

- Wiem.

Flowers odbezpieczył injektor, spojrzał przelotnie Czarnemu w oczy.

- Wiem, że wiesz. Wy zawsze wiecie.

2. NICHOLAS HUNT

Nicholas Hunt spacerował w wiszących ogrodach ponad Nowym Jorkiem. Ogrody kołysały się lekko wraz ze sterowcem, pod którym były podwieszone, nie przyzwyczajeni wizytanci skyhouse'ów nierzadko zapadali podczas silniejszych wiatrów na rodzaj choroby morskiej, opowiadano dowcipy o rzygających przez balustrady na leżące w dole miasto. Hunt należał do tych już przyzwyczajonych. Co prawda, sam nie mieszkał w owych podniebnych enklawach nadluksusu, ale był tu wystarczająco częstym gościem, by ośwoić organizm z charakterystyczną dezorientacją błędnika.

Ogrody senatora (drugi poziom jego sterowca) posiadały powierzchnię blisko półtora kilometra kwadratowego. Rosły tu głównie rośliny tropikalne, było dużo pnączy, kryjących liczne mechanizmy i filary nośne platformy. W dzień systemy światłowodowych pryzmatów, dwadzieścia metrów wyżej kryjące szczelnie cały sufit podpoziomu, zapalały w ogrodach sztuczne słońca. Noc natomiast była prawdziwa.

Ów sufit stanowił zarazem podłogę pierwszego podpoziomu, gdzie mieściły się apartamenty i biura senatora, a gdzie teraz trwała feta z okazji uchwalenia

promowanej przezeń ustawy o ochronie nieintencjonalnych produktów intelektualnych.

Szanowny Gaspar R. Tito, samowzięczy trybun mieszkańców stanu Nowy Jork, szwagier Nicholasa Hunta. Żelazne łańcuchy skojarzeń i odruchów wywoływały u Hunta lekkie skrzywienie ust na samą myśl o senatorze. Po prawdzie to ani się oni lubili, ani nienawidzili. Kilka wzajemnych przysług - na zasadzie transakcji handlowej. U Gaspara spotykało się ważnych ludzi, czyniło wartościowe znajomości; prędzej niż na gwiazdę showbusinessu, mogłeś tu wpaść na tajemniczego multimiliardera, którego nazwisko nigdy nie zagościło na łamach "Forbesa".

Mimo to Hunt nie przyszedłby, gdyby nie nalegania siostry. Uczyń, uczyń mi tę przyjemność. No więc uczynił. Imeldę zawsze lubił; teraz także szanował. Pięć lat temu, gdy wektory ich karier posiadały zwroty dokładnie przeciwne aktualnym, to on wybłągał był towarzystwo siostry na jednym z półoficjalnych przyjęć w stolicy. Wówczas dzierżył jeszcze berło Prawdziwej Władzy. W czasach przed wygnaniem z raju dwa jego spojrzenia wystarczały, by wzbudzić powszechne zainteresowanie tak wyróżnioną osobą. Nic więc dziwnego, że Imelda zaciekała Tito. Jeśli przyjrzeć się sprawie z tej strony, za ów kontrakt małżeński mógł winić tylko siebie. Ale czy istotnie był niezadowolony z senatora w rodzinie?

Chwilami zdawało mu się, że rozmyślając w ten sposób, tylko rozdrapuje stare rany. Częściej jednak podejrzewał siebie o podświadomą perfidię (o, w takich podejrzeniach się lubował!). Że niby zaplanował tę koligację jako zabezpieczenie na taką właśnie okazję, gdy aniołowie ogniści zastąpią mu wejście do Ogrodu i nie będzie ucieczki z krainy potu i błota; Że na podobną okoliczność pozostanie mu przynajmniej substytut: ogrody senatora Tito. W takich podejrzeniach się lubował, za takim sobą tęsknił, takiego siebie chętnie sobie wyobrażał.

Tymczasem w niedostatku autentycznego skurwysyństwa czynił w nieobecności senatora Tito złe grymasy.

W jego to ogrodach dopadł Nicholasa telefon od Jasa Vasso-ne. Hunt uciekł bowiem z przyjęcia już po kwadransie: to był właśnie jeden z tych przypadków, gdy wręcz fizycznie czuł otwierające się krwawo rany swej ambicji. Stanowisko - nie dosyć, że na prowincji (bo prowincją jest wszystko, co leży na zewnątrz waszyngtońskiej obwodnicy), to jeszcze tajne. Jakże miał się im teraz przedstawiać? Wciąż nie potrafił się odnaleźć. Patrzyli i nie widzieli, patrzyli i nie zazdrościli.

Toteż umknął przy pierwszej okazji.

Ogrody były prawie puste, raz tylko spostrzegł cienie przemykającej między roślinnością pary. Muzykę i głosy słyszał, ale potrafił się przekonać, że tak naprawdę ich nie słyszy, że tylko džungla, miasto, światła nocy... Gdy odezwał mu się w uchu telefon, Hunt był już całkowicie oczyszczony z miazmatów niespełnionych ambicji.

Tu, w chłodnej ciemności, pośród splątanych cieni, w symfonicznym szumie liści, mówił do swego sygnetu. (Ewolucja środków prywatnej komunikacji, ergonomia samotności: rozmawiamy z samym sobą. Najpierw miniaturyzacja aparatów, potem sieci komórkowe, potem miniaturyzacja aparatów komórkowych, wszechglobalna sieć satelitarna; a potem aparatów dekompozycja i standaryzacja).

- Trzymają ją w szpitalu, na oddziale psychiatrycznym, prosiła...

- Który to szpital? Dobrze, zaraz się tym zajmimy. Wyłączył się i wywołał Centralę Zespołu.

- Hunt.

- Checking. Okay.

- Daj Anzelma.

- Anzelm.

- Hunt. Kłopoty z Vassone. Prawdopodobnie siadła na niej animalna.

- Animalna...? Nie mów, naprawdę...?

- Na razie tak to wygląda.

- Przypadek? Nie wierzę.

- Ja też nie.

- Żółtki?

- Nie wiem. Nieważne, nie teraz. Oto, co zrobisz...

Przekazawszy Preslawnemu instrukcje, wcisnął agat. Marina, Marina, że też na ciebie padło...

Podszedł do balustrady. Przez mgłę pajęczyn siatki asekuracyjnej spojrzął na Nowy Jork, wrzeszczący setki metrów poniżej w synestetycznej histerii tysiącami jaskrawych świateł. Noc przełamywała się z późnego wieczoru we wczesny ranek, w wiecznie oświetlonych metropoliach świata zachodniego nie istnieją żadne pory pośrednie. Zerknął na zegarek. Po trzeciej. Numer 5 już powinien znajdować się w Labie. Gdzie rzeczy z jego domu? Gonią właśnie północ nad Atlantykiem. Kto robi mu profil psychologiczny, skoro Vassone zakłajstrowało mózg?

Sygnal. Odebrał.

- Hunt.

- Informacja od ekipy McFlya. Kontakt potwierdzony, kontakt potwierdzony. Wyjściowo: pierwsza kategoria. Straty w ludziach: dwóch z ekipy. Łącznik ranny, McFly ranny. Prośba o pomoc. Wysłaliśmy.

- Co z zapisem?

- Nie wiadomo. Ale to i tak bardzo dużo: minimalna wrażliwość wystarcza. Zyskaliśmy dowód, iż Wojny Monadalne są możliwe.

- Historia spirytyzmu pełna jest takich dowodów. Dajcie znać, gdy się wyjaśni sprawa z tym zapisem.

Rozłączył się.

Straty, straty, straty. Jaka procedura byłaby absolutnie bezpieczna? Czy w ogóle istnieje taka? Prawdopodobnie nie. Oparł się o poręcz, zapatrzył na wleńście rozmyte światła miasta. Ba, żeby to byli Obcy! Zaśmiał się w duchu. Żeby to byli ci pocziwi Obcy: jakieś pająki, ośmiornice, kolorowe kurduple, myślące planety, cokolwiek z hollywoodzkiej menażerii superdziwactw -ale materialne, namacalne,

doświadczalne zwykłymi zmysłami! A tu co? Duchy, zjawy, omamy, abstrakcje. W cholerę z tym. To już te kwarki interpolowane z błysków w komorach próżniowych są bardziej realne. Zawsze to coś przynależącego do naszej rzeczywistości: sami przecież też składamy się z kwarków.

Oszaleć można. Och, mój Boże, z jaką przyjemnością bym się upił...! Kilka godzin wolnego. Hunt zalany. Pójść tak do Centrali. Dać ludziom poplotkować.

Ale nie zrobił nawet kroku. Tylko garbił się coraz mocniej, coraz bardziej pochylał nad miastem. Marina, kto by pomyślał... Że też akurat na ciebie padło. Czy rzeczywiście Chińczycy...? Cóż, pokój to wojna, wojna to biznes, a biznesem jest wszystko.

Nowy Jork, megapolia, dziesiątki milionów ludzi, dziesiątki milionów umysłów, śpią lub nie; żyją, myślą. Co tam rośnie? No, co takiego rośnie na tej kupie gorącego nawozu?

Skontaktowała się z nim właśnie przez senatora Tito. Wtedy nie nazywało się to jeszcze Zespołem Hunta, nie było nawet Programu Kontakt. Zajmowali pół piętra w budynku waszyngtońskiej filii NSA. Większość powierzchni pomieszczeń i tak zagarnęły superkomputery post-PDP mające swymi quasi-genowymi algorytmami terabajtowe pakiety DNAM milionów obywateli USA.

Hunt kierował kilkunastoosobowym zespołem informatyków i techników, na pół etatu miał zaś dwóch zaprzysiężonych genetyków, którzy w ten sposób dorabiali sobie do uniwersyteckich pensji. No i zdalnie - Krasnowa; Krasnow był od samego początku. Niesamowita kreatura. Nierzeźbiony starzec o ambicji nastolatka. Stanowił klasyczny przykład dożywotniej pijawki budżetowej, gatunku występującego bodaj endemicznie na terenie Dystryktu Kolumbia. Tytułował się profesorem. Jak to naprawdę było z jego tytułami naukowymi, sam już chyba nie wiedział, zagubiony w gąszczu swych konfabulacji i po prostu łgarstw. Co się tyczy specjalizacji, to specjalizował się Krasnow w tym, co aktualnie było na fali. Swego czasu wydoił parę fundacji na dobre kilkadziesiąt milionów z przeznaczeniem na badania nad sztuczną inteligencją. Przez pół dekady sam rozporządzał podobnymi sumami, wkręciwszy się do kolejnej reinkarnacji programu Gwiezdných Wojen, którego duch nawiedzać będzie Pentagon chyba aż po kres jego istnienia.

Nazwisko Krasnowa pojawiało się również w kontekście badań nad szczepionką na ostatnią mutację HIV, nanotechnologią, łączami neuronalno-elektronicznymi, bionanotechnologią, analogami hormonów, pikotechnologią. Bóg wie, czym jeszcze. W świecie oficjalnej nauki nie był znany prawie wcale - lecz tu, w Krainach Cienia, wysokość współczynnika cytowań pozostaje zazwyczaj odwrotnie proporcjonalna do sumy rocznych dotacji. Spłodzony ostatnio przez

Krasnowa elaborat pod tytułem "Chaos Genowy: dynamika Amerykańskiego Genomu" zapewnił mu ciepłą posadkę, znaczną pensję i, co najważniejsze, wcale wysokie miejsce w hierarchii jemu podobnych roninów nauki - na co najmniej rok, potencjalnie zaś i lat pięć, bo Krasnow w Hacjendzie zabrał się od razu do pichcenia rezolucji głoszącej konieczność rozszerzenia badań na całość ziemskiej populacji.

Finansował to Departament Obrony i z tego też powodu trafił tam Hunt. O jedną chybioną salonową intrygę za dużo (tak wołał o tym myśleć) i już - odstawka. Gdy wynosił swoje rzeczy ze starego gabinetu, przechwycił kilka suchych uśmiezków członków personelu: widzicie te krwawe kikuty? to otwarte złamanie kariery, nieuleczalne.

De facto był martwy; i czuł się jak zombie. Stanowisko w rodzaju kierownika wykonawczego programu typu Krasnowego -no, bądźmy szczerzy, to jest już przejaw życia pośmiertnego waszyngtońskich maklerów politycznych. Czas tu zwalnia. Świat prawdziwy, świat władzy i pieniędzy - odpływa, oddala się poza zasięg ręki i wzroku. Trzydziestokilkuletni starcy spotykają się w barach podczas przydługich przerw na lunch i, nigdzie się już nie spiesząc, dzielą się wspomnieniami z przedwcześnie a tragicznie zakończonych żywotów.

Vassone zadzwoniła do Tito, Tito zadzwonił do Hunta.

- Jest taka jedna, już wcześniej robiła coś dla rządu, Vassone. Marina S. Vassone, prosiła mnie... Rozumiesz, przysługa. Czy byłbyś, Nicholas, tak uprzejmy i...

- A o czym ona wie? Ma w ogóle dostęp?

- Ma, ma, tym się nie przejmuj. Zdaje się, że po prostu trafiła na jakieś odnośniki do tego, czym się tam teraz zajmujecie, cokolwiek by to było, bo, pojmujesz, ja się nie orientuję, powtarzam tylko po niej. Otóż ona też się stara o forszę na jakieś badania i częściowo się chyba pokrywacie. To znaczy, czyja wiem... W każdym razie chodzi o to, żeby mogła zajrzeć w szczegóły. FBI ją prześwieślało, twoja dobra wola, wiszę przysługę ludziom, którzy dłużni byli jej, rozumiesz...

- Okay, co mi tam, daj mi jej namiary.

Nie chciała przez telefon, przyjechała osobiście. Już to niedwuznacznie wskazywało na stopień poufności tematu. Hunt przyjął ją w swym nowym gabinecie, w istocie nędznej klitce. Przez ściany słychać tu było niski pomruk systemów chłodzących, pracujące bez odpoczynku superkomputery NSA. Hunt był nawet zadowolony z tej wizyty, stanowiącej spore urozmaicenie w codziennej nudzie jego pozorowanej pracy. A poza tą pracą wszak też nie najlepiej: Charlotte znalazła sobie nowego tygrysa;

matka znowu na odwyku; akcje, w których umoczył ponad połowę oszczędności, wytrwale idą w dół, a on ich nie sprzedaje, bo gdyby się po tej ich ratunkowej wyprzedaży jakimś cudem odbiły, to nie wytrzymałby już tego nerwowo. Doszło do tego, że w ucieczce przed depresją zaczął na służbowym terminalu pisać mroczny,

przesycony alkoholowym cynizmem, polityczny thriller, którego główny bohater był medalowym okazem młodej waszyngtońskiej świni, zły aż po spirale swego DNA, i któremu wszystko udawało się wręcz nieprzyzwoicie, bo nie liczył się z nikim i z niczym. Gdzieś przy czwartym rozdziale Hunt spostrzegł się, iż darzy tę postać mimowolną, a wciąż rosnącą sympatią, przenosząc na nią coraz więcej swych cech. Zadzwonił do psychoanalityka on-line. Psychoanalitik poradził mu pisać dalej, a w finale zniszczyć i upokorzyć swego mrocznego bliźniaka. Hunt, posługując się frazeologią swego powieściowego bohatera, nabluzgał potwornie w sygnet. Potem skasował z krzysztatów swe dzieło. Na to przyjechała Marina Vassone.

Nieskazitelna uroda rzeźbionej oznajmiała wiek kobiety pomimo braku oznak starzenia: czterdzieści lat, może kilka mniej, kilka więcej. Genetyczne mody są bowiem nieodwracalne. Ostatnie pokolenie (a raczej przedostatnie, bo decyzja należy przecież zawsze do rodziców) hołdowało już innym ideałom piękna: twarzom asymetrycznym, aporportjonalności i pozornej dysharmo-nii ich elementów, indywidualnym, charakterystycznym rysom projektowanym przez drogo opłacanych pomocników genetic sculptors, artystów w sztuce designu ciał niepoczętych, Rodzice Mariny poddali się natomiast modzie ich własnych czasów i stąd komputerowa doskonałość sylwetki i oblicza kobiety: czaszka zgoła egipska, łuki brwiowe niczym pociągnięte japońskim tuszem, witrażowa jasność włosów i oczu. W garniturze z czarnego polijedwabiu, o szerokich rękawach i nogawkach z wysokim rozcięciem, wyglądała zdecydowanie na bizneswoman czy prawniczkę, nie zaś naukowca, takiego, jakim wzorcowo malował go sobie uprzedzony Hunt - stanowiła fizyczne przeciwieństwo abnegata Krasnowa.

- Rozumiem, że interesuje się pani prowadzonymi przez nas pracami jak najbardziej zawodowo - rzekł Hunt, włączywszy pospiesznie mikrofony i kamery ubezpieczenia prawnego, zamroziwszy twarz w bezwyrazową maskę i odprawiając rytuały powitania podług reguł NETi. - Tymczasem pokazało mi tu, że jest pani z wykształcenia neurofizjologiem, cokolwiek by to w istocie miało znaczyć. Profesor na Bostońskim, Departament Kognitywistyki i Systemów Neuralnych, Centrum Systemów Adaptatywnych. Mhm, pisze mi tu także: psychiatria, matematyka... Ta matematyka to skąd?

- Sieci neuronowe - odparła lakonicznie. - Analogi mózgu.

- Tak czy owak, co to ma wspólnego z nami? Czytała pani Chaos Genowy Krasnowa? •

- Tak. Właśnie dlatego. Chcę wykorzystać wasze banki danych do wyszukania osób o DNAM z pewnymi specyficznymi parametrami.

- Żeby tak być całkowicie szczerym, to jest to właściwie nielegalne.

- Dlatego przyszedłem tutaj, a nie do Departamentu Zdrowia.

- No cóż. Zasadniczo upoważniona pani jest. Ale proszę zdać sobie sprawę, że sama wiedza nic pani nie da, bo dla jej wykorzystania czy ogłoszenia gdziekolwiek na zewnątrz tych murów potrzebować pani będzie wysokiego, oficjalnego błogosławieństwa. Dobre słowo od senatora Tito z pewnością nie wystarczy.

- Kiedy już to znajdę, pobłogosławią mnie wszyscy.

- A co to właściwie jest?

- A mam pana zgodę?

- Tak, tak.

- Potrzebuję waszych komputerów do interpolacji DNA telepaty i szerokiego przesiania populacji przez sprofilowany według tego filtr.

- Telepaty? - zaśmiał się Hunt.

- Biernego.

- Żartuje pani. :

- Tak, oczywiście. Może mi pan wypisać papierek? Chciałabym ruszyć z tym już dzisiaj.

- Pani doktor, ja nie mogę opóźniać programu, angażując nasze moce obliczeniowe dla podobnych głupot.

- Pół procenta? Promil? Ile pań straci, parę godzin?

- Na taką zabawę w science fiction? Kwadrans to zbyt wiele. Żywcem obdarliby mnie ze skóry.

- Na początku wszystko jest jedynie science fiction. Mogę przedstawić dowody. Mam setki godzin filmu z niepodważalnymi eksperymentami.

- Wszystko da się podważyć. Jeśli to faktycznie telepatia, trzeba było z tym pójść prosto do Langley, Fortu Meade czy Pentagonu, przyjęliby tych złodziei myśli z otwartymi ramionami.

- Ale ja nie chcę ich wyszukać, żeby potem przeświecali chińskich dyplomatów albo gonili za podwójnymi agentami.

- A po co?

- Oni znajdą mi Boga.

Czarny obudził się i poczuł ciszę. Pustka huczała dookoła niego. Ani śladu myśli. Ciało informowało go o nieważkości. Kosmos. Sam na sam. Po raz pierwszy bez odbić, bez zanieczyszczeń - cudzych fizjologii, cudzych psychik. Wy zawsze wiecie. Leżał w bezruchu, jak sparaliżowany, nie otwierając oczu. Zaplanowane, zaplanowane, wszystko zaplanowane. Miejsce idealnego odosobnienia, dla mnie i takich jak ja. Numer 5. Czterech moich poprzedników sprowadzono tu do poziomu roślin.

Uniósł powieki i zobaczył na własne oczy, co wcześniej widział przez mgłę peryferyjnych doznań i myśli Flowersa. Habitat był wielkości dwóch przedziałów pociągu. Dwa małe, okrągłe okienka w przeciwległych ścianach. A ściany do ostatniego centymetra zabudowane. U góry, nad łóżkiem - rozległa tapeta ekranu z miniLEDów.

Ledwo Czarny zdążył po przebudzeniu zamrużyć - bluznęło mu w oczy obliczem uśmiechniętego

uprzejmie mężczyzny. Rzeźbiony z półtora pokolenia wstecz, skonstatował Czarny. Wzorzec indiańsko-kreolski r la Hollywood, choć rysy bardziej ostre i cera złotawa, i wąsy czarne, zupełnie nie pasujące do aktualnego telewizyjnego ideału.

- To jest nagranie - rzekł mężczyzna z ekranu. Ukryte głośniki wypełniły habitat jego spokojnym głosem. - Nazywam się Nicholas Hunt. Proszę się uspokoić, nic panu nie grozi. W istocie osobiście odpowiadam za pańskie bezpieczeństwo i w ramach moich możliwości postaram się zapewnić panu warunki maksymalnie komfortowe. Nie mogę zaprzeczyć, że został pan porwany. Jednak i to jest w pełni usprawiedliwione troską o pańskie bezpieczeństwo. Nie jest naszym zamiarem wyrządzenie panu krzywdy. Nie wiem, przez jaki czas będzie pan musiał pozostawać w tej Orbitalnej placówce. W każdym razie niewielu ludzi może sobie pozwolić na podobne wycieczki; wszystko ma swoje dobre strony. - Hunt uśmiechnął się szerzej, pokazując śnieżnobiałe zęby. - Wkrótce się z panem skontaktujemy w celu przedyskutowania szczegółów naszej współpracy. Wszelkie informacje dotyczące habitatu i jego wyposażenia może pan uzyskać bezpośrednio z kompa labu, wychodząc od menu, które za chwilę pan ujrzy. Ekran jest sensoryczny. Proszę się nie obawiać: prowadzimy ciągle monitoring i na wszystko mamy baczenie. W sytuacji alarmowej wszakże może się pan połączyć z oficerem dyżurnym, korzystając z opcji HELP2, lub po prostu wypowiadając na głos takie życzenie. Jeszcze raz: przepraszamy i zapewniamy o pańskim całkowitym bezpieczeństwie. Tymczasem proszę się zapoznać ze swoim nowym domem. Koniec.

Twarz zniknęła, ekran pokrył się mozaiką mniejszych i większych ikon.

- Chcę rozmawiać z oficerem dyżurnym - powiedział Czarny.

W lewym górnym rogu zaczęła się obracać mała Ziemia z nałożonymi słuchawkami.

- Dyżurny - odezwały się głośniki.

- Tylko fonia?

- Niestety. W czym mogę pomóc?

- Czy jestem o coś oskarżony?

- Nie. Nie reprezentujemy wymiaru sprawiedliwości.

- A co lub kogo reprezentujecie?

- Przecież pan wie.

- Tak. Rozumiem, że nie mogę się z nikim skontaktować, ani przesłać żadnej wiadomości.

- Nie może pan.

- To o wypadku mojego ojca, to było kłamstwo?

- Tak. Przykro mi, nie było innego sposobu, by ściągnąć pana do Stanów.

- Czego ode mnie chcecie?

- To nie należy do moich kompetencji.

- A gdybym popełnił samobójstwo?

- Proszę spróbować.

- Gaz?

- Między innymi.

- To jest afera na skalę międzynarodową. Nigdy mnie nie wypuścicie.
 - To nie należy do moich kompetencji.
 - Czy ja rozmawiam z żywym człowiekiem czy z turingówką?
 - Z żywym człowiekiem, proszę pana.
 - O co chodzi z tą "usprawiedliwioną troską O moje bezpieczeństwo"?

- Pan Hunt panu wytłumaczy.
 - Kiedy?
 - Wkrótce.
 - Macie mnie tam na ciągłym podglądzie i podsłuchu?
 - Tak.
 - Numer czwarty też mieliście?
 - Tak.
 - Co mu się stało?
 - To nie należy do moich kompetencji,
 - Dziękuję.

Globus ze słuchawkami zniknął.

Czarny ostrożnie usiadł na łóżku. W samolocie orbitalnym jakoś tego nie odczuwał, ale teraz mroczyło mu wzrok aż do zupełnego chwilowego wyciemnienia. Krew uderzała falami do głowy. Na szczęście nie rzygał, przynajmniej tyle. Odnalazł wzrokiem zainstalowane w ścianach liczne uchwyty. Astronautom na filmach jakoś nigdy nie były potrzebne, zawisali sobie w bezruchu, jakby samą siłą woli. Czarnemu zabrało pół minuty ustawienie się "nad" bulajem. Niewiele zobaczył. Krzyknął na światło. Zgasło. Przytknął nos do plastiku. Tak, tak, to prawda: tam w dole obracała się planeta; błękit oceanu, biel chmur, brudna żółć kontynentu. Słońce w takim razie musiał mieć za plecami, terminator w nadirze, zbyt ostry kąt, drugiego też nie widać, za nisko.

W habitacie panowała cisza, tylko własny oddech szumiał mu w uszach. Minuty mijały, a on patrzył i patrzył, nawet nie mrugając. Kiedyś w ten sposób zahipnotyzowany został przez ruch fal morskich, przesiedział na plaży pół dnia, w ogóle nie zdając sobie sprawy z upływu czasu. Ale to teraz - to jest jeszcze potężniejsze. Oczy, przyzwyczajone do upośledzenia bielmem powietrza, kłamliwie zapewniają Czarnego o bliskości Ziemi:

kilka kilometrów, tuż-tuż. A to nieprawda. Obejmuje wszak wzrokiem prawie całą półkulę, nie musi nawet kręcić głową. Jak to mówią na tych filmach? Wysoka gręda.

Spokój, spokój, spokój, spokój spokój spokój... Obracaj swą mantrę w umyśle, aż wymiecie zeń wszystko inne i pozostanie tylko wyrugowana z sensu zbitka dźwięków. Umysł jak jezioro. Umysł jak wiatr nad polami. Umysł jak niebo błękitne. Jak próżnia kosmosu.

...wszystkie moje konie. Alabaster, Wiedźma, co z wami, gdzie jesteście...

Jakie, do cholery, konie?! "Konie" - inkluzja podstępna, nic innego...! Znowu chwycił go strach. To

nie do wytrzymania, zszarpie sobie tu nerwy na strzępy - a jeszcze nawet nie rozmawiał z tym Huntem.

Skonsultował się przez tapetę ekranową z kompem habitatu, przylepił sobie do ramienia końcówkę iniektora, po czym zaordynował silny środek nasenny.

Aż mu się niedobrze zrobiło od tego jasnociemnego ogromu rozciągniętego pod siatką i musiał usiąść na ogrodowej ławce. Był przyzwyczajony do buntu fizjologii, lecz nie do buntu wyobraźni. Miasto go przeraziło. Nie chciał patrzeć, skojarzenia przytłaczały.

Wrócił na górę. Tempem i nastrojem przyjęcie właśnie wchodziło w klimaty ciężko bluesowe. Wymienił kilka zdawkowych formułek i pożegnał się z siostrą oraz szwagrem. Kamerdyner przy drzwiach męskiej windy oddał mu płaszc.

Poczekalnia wind cała była w lustrach. Hunt czterofejkowy. Gdzie się nie obejrzy - on, on, on. Może nie był postacią imponującą, ale na pewno wywierał wrażenie. Ciało i ciała tego oprawa, ubiór ze wszystkimi dodatkami - zaprojektowano je z identyczną dbałością o szczegóły oraz ostateczny wygląd całości. Kompozycja w pełni harmonijna, ujmująca jakąś wyciszoną, naturalną elegancją. A nosił je w taki sposób, że prawie każda osoba bezpośrednio, fizycznie z nim skonfrontowana - automatycznie popadała w formy poddańcze i zaczynała się zachowywać niczym średniowieczny lennik. No, bez przesady. Niemniej uosabiał arystokrację tych czasów, tę prawdziwą: nie dziedziczną, nie opartą na tradycji, wiedzy, ani nawet pieniądzu - lecz miejscu zajmowanym w strukturze przepływu informacji.

Oczywiście, w rzeczywistości już do niej nie należał i obraz był fałszywy. Spoglądał sobie w oczy i opuszczał wzrok.

Ale jednak: wyprostowany, głowa wysoko, ramiona do tyłu, ręce symetrycznie za plecami, wysunięta do przodu noga ugięta lekko w manierze rzymskich imperatorów. Kruczoczarne włosy w lustrach prawie lśnią, mocno ściągnięte i splecione w krótki warkoczek. Sztywny, halsztuk wypiętrza się białą falą na purpurową marynarkę, pośrodku fioletowy hieroglif: logo jurdykatora. Czarne spodnie, białe tabi: proste linie i proste barwy. Śnieżne koronki eksplodują spod rękawów. Na wymanicowanych palcach jedyna biżuteria: sygnet Sony z kociookim agatem. Wszystkie tkaniny w widoczny sposób naturalne, żadnej monoprzędzy. Kiedy się porusza, słychać ich szelest. A porusza się zawsze energicznie, z onieśmielającym zdecydowaniem (to też jest po części wrodzone, a po części wytrenowane) Jest przystojny, ale tak przystojni są tu wszyscy.

Podniósł wzrok i uśmiechnął się do siebie pod wąsem, i przez tę chwilę było w nim także coś z filmowego łotra.

Monostrunówką spadł na dach WTC (na szczęście jej kabina pozbawiona była okien), tu przesiadł się do

drugiej, wewnętrznej windy i spłynął bezpośrednio na poziom garaży. Ktoś właśnie przyjechał razem z psem, małym, jazgotliwym kundelkiem. Bydłę małe, a zaciekle, jęło z czystej złośliwości oszczekiwać Nicholasa. W końcu się wściekł i odwrócił, gotów je skopać na betonową ścianę; lecz pół sekundy wcześniej kundel podkulił ogon i uciekł do swego pana.

Wreszcie podtoczył się wezwany samochód.

- Centrala - powiedział Hunt, wsiadłszy.

- Tak jest. Centrala. Już jedziemy, sir. - I faktycznie, już jechali.

Hunt spolaryzował szyby i wywołał na przedniej serwis CNN-u, sprofilowany dla niego przez osobisty program filtracyjny. W newsach pod "Ogólne" rzucała się w oczy informacja o jakiejś tragedii w południowym Meksyku, wiele trupów. Znowu reinkarnacja Trockiego? - zaciekawił się Nicholas i wywołał info. W etykiecie było o sekcje. Mord rytualny? Ale nie. Sekta należała do gatunku apokaliptycznych, tych, co to: wodzu miał objawienie, nawiedzili go mali zieloni i teraz zbiera naród wybrany dla wypełnienia kosmicznej arki. Zazwyczaj okazuje się, że arka zabierze tylko dusze - więc odcinają ciała. Na to wyglądało i w tym przypadku: pewnej nocy zaczęli się wieszać i strzelać sobie w łeb." Sto czterdzieści trupów. Pierwsze linki prowadziły do tylko odrobinę mniej krwawej rzeźni w podalpejskiej willi w Szwajcarii: ciała rozczłonkowane, czerwien na śniegu...

Odkąd Hunt pamiętał, od dzieciństwa, bez przerwy słyszał o podobnych wypadkach. Wychowywał się w przeświadczeniu, iż świat jest ze swej istoty szalony i tylko gdzieś tam trafić w nim można na oazy zdrowego rozsądku. Co więcej: postrzegał rzeczywistość jako konglomerat ożywionych i nieożywionych elementów, pozostających w bezustannym, a bezcelowym ruchu, bo targanych siłami, które znajdują się całkowicie poza tych elementów kontrolą i zrozumieniem.

Podążając w głąb i w głąb wirtualnych bibliotek (które mają to do siebie, że za każdym przyswojonym tekstem otwierają drogę do dziesięciu dalszych, jeszcze ciekawszych), śledził był młody Hunt, niczym na puszczonego wstecz poklatkowym filmie, proces dezintegracji rzeczywistości.

Chaos zaczął brać górę nad porządkiem wraz z końcem zimnej wojny - bo zimna wojna stanowiła mimo wszystko jakiś schemat, a gdy przestał być adekwatny, nie znaleziono na to miejsce nowego. Przełożenie z perspektywy historiozoficznej na egzystencjalną było prawie natychmiastowe: jak gdyby nacelowane wzajem na siebie rakiety z głowicami jądrowymi nadawały sens życiu każdego przeciętnego obywatela z obu stron Kurtyny...! Czałł się w tym brudny absurd, niemniej koincydencja była w oczach Hunta niepodważalna.

Od owego punktu rozsprzęgnięcia kokjne elementy postrzeganego świata wymykały się, jeden po drugim, zrozumieniu, opisowi i celowej analizie. Coraz trudniej było rzec, dlaczego i po co dzieje się to, co się dzieje; a

co gorsza - w ogóle co takiego się właściwie dzieje? Człowiek włączał telewizor i mógł tylko oglądać kalejdoskopy kolorowych reportaży z miejsc szaleństwa, słuchać oficjalnych oświadczeń i histerycznych zakłęb. Powiązanie ich ze sobą, wytyczenie jakiegoś kursu, sięgnięcie wstecz ku korzeniom, jasne nazwanie - pozostawało już poza jego możliwościami. Postawą dominującą stawała się więc postawa bezrefleksyjnej akceptacji, jako jedyna gwarantująca jaki taki spokój psychiczny.

Nie chodzi o to, że ludzie nagle stracili cel życia albo też dopadł ich ból istnienia. Hunt nie żywił złudzeń co do natury ludzkiej - tak czy owak przeważająca większość żyje tylko siłą inercji, a mąk wegetacji doświadcza co najwyżej w postaci porannego kaca, depresji postcoitalnej lub wizyt u dentysty. Lecz utraciwszy poczucie przynależności, uczestnictwa - pozbawieni imaginacyjnego aparatu dla tłumaczeń dookolnej rzeczywistości - przestali ludzie, każdy z osobna, odgrywać w niej jakąkolwiek rolę, choćby negatywną. Świat, historia, życie - wybuchały obok, i były to dzikie żywioły, o których człek potrafił rzec tyle, co jego włochoaty przodek sprzed tysięcy lat o piorunie zapalającym sąsiednie drzewo.

Teraz zaś już nie było dnia bez informacji, z kraju lub ze świata, o jakimś kolejnym zbiorowym szaleństwie. Tych poniżej tuzina trupów w ogóle nawet nie dołączano do standardowych serwisów, chyba że były wyjątkowo malownicze zdjęcia.

Co to się dzieje, dumał Hunt, podczas gdy na wyciemnionej przedniej szybie BMW migotały kadry relacji z konferencji prasowej Południowoamerykańskiego Kartelu Drzewnego. Jego zarząd dyplomatycznymi słowami de facto wypowiadał Holdingowi Syberyjskiemu średnioterminową wojnę; co to się dzieje, że ludziom coraz mniej waży ich życie? Przecież to nie tylko te samobójstwa, irracjonalizm szerzy się jak zaraza. Czy cywilizacja może zapaść na chorobę psychiczną? I jaka kuracja byłaby w takiej sytuacji dla niej odpowiednia?

Telefon, drugi priorytet. Strzelił sygnetem.

- Anzelm. Dostaliśmy szkic projektu budżetu na przyszły rok. Sto procent spod Korpusu, przesunięcie bez rekompensaty.

- Cholera.

- No. Pożerają nas.

- Kleist?

- Kleist, Fortzhauser, ktoś z tej paczki. A-aaa...

- Co?

- Nic, spać mi się chce, nerwową noc mieliśmy. Hunt przewinał w myśli listę wasali oraz spadających suwerenów. Wybrał Oiola. O ile wiedział, miał u niego najwyższy

priorytet.

Oiol najwyraźniej też nie spał.

- Hunt. Kto wszedł do podkomisji?

- Której?

- Naszej, a której?

- A co?

- Czy mi się wydaje, czy Bronstein faktycznie coś słabuje? Wypuszczają nas z rąk.

- Naprawdę?

- Nie słyszałeś o budzecie? Uzależniają nas od EDC. Od kiedy to prezydenci dobrowolnie rezygnują z drugich kadencji?

- He, he, może właśnie dlatego. Zrzuca zbędny balast.

- Ale mantryków bierzecie. Więc jak to jest?

- Nie wiem. To chyba Krutsch, on jest McManamary.

- Ale przecież McManamara to emeryci!

- Już nie. Na dzień dobry pójdzie w CNN wywiad, senator pochyla się z troską nad młodzieżą i następnymi pokoleniami Amerykanów.

- Psiakrew. To ile to będzie?

- Troje na troje, ale Szczurek jest proenklawistyczny.

- Tuzin bogów i wszyscy ślepi.

Zakończywszy tym sarkastycznym słowememem z Hunów, połączył się Hunt z kolei z jakimś Gonzalesem Redem, ksywa Flak, głównym saperem memetycznym Washington Post.

Flak spał; ale Flak wisiał Huntowi tyle przysług, że pora dnia nie miała tu znaczenia.

- Ofensywa McManamary - rzucił Nicholas. - Kto to robi?

- Brodsky and Brodsky Adv. - odparł szybko Red. - Dobrze są, sukinsyny.

- Wiem, sam noszę wasy.

- Rzeczywiście. Ostatnio robili jeszcze współczucie dla imigrantów i kilka narkofijek dla dzikusów, wiesz, białe anioły. Łamię ich - pochwalił się.

- To dobrze. Jak mocno?

- Będzie wstępniak. A co ty myślisz? Co tydzień mamy wkładki z jakiegoś funduszu.

- Pójdziesz na Krutscha.

- Krutsch, Krutsch... Już chwytam! Na czym on płynie?

- Zwolnienia podatkowe z dochodów z inwestycji. Ale na dniach wykona nagły przeskok. Strącisz go w locie.

- Spróbujemy.

- Strącisz go w locie. Flak.

Polityczne aikido nakazuje zawsze wykorzystywać cudzy impet, a kto będzie najmocniej bił w McManamarę, jeśli nie prezydenckie kolobbies, Radick i emeryci? Huntowi pozostało tam jeszcze wystarczająco dużo znajomych.

Zadzwoił do prezesa Bezpiecznej Starości. Pięć minut zajęło mu przebijanie się przez program sekretaryjny.

Nareszcie.

- Nicholas Hunt. Pani mnie pamięta?

- Owszem.

- Wie pani o McManamarze.

- Tak.

- Kiedy będzie składała mu pani propozycję... proszę napomknąć o czarnych orchideach.

- Czarne orchidee.

- Tak. Można mnie sprawdzić. Bronstein, Krutsch. Mam powody. Niewiele pani ryzykuje. Proszę spróbować. Powodzenia.

- Dziękuję.

Przyszło mu coś do głowy i ponownie zadzwonił do Oiola.

- Słuchaj, jeśli to jednak przejdzie, zasugeruj naszym wyrównanie reguł. Dlaczego tylko my? A taki Krasnow? Masz pojęcie, ile żrą Suche Źródła? I jak popieprzone ma on struktury finansowania?

- He, dobra myśl.

Liczył na to, że Krasnow jest silniejszy. Jeśli idziesz na dno, wczepiaj się w co tylko możesz. A coś nie wierzył, żeby Krasnow miał nagle zatonać.

Hunt dotąd spotkał się ze starcem wszystkiego dwa razy, lecz to wystarczyło, by Rosjanin wżarł mu się na stałe w pamięć i strukturę skojarzeń. O, Krasnow to była figura, Krasnow to była legenda! On miał nosa, posiadał owo charakterystyczne wyczucie rodzących się właśnie w nauce trendów - tej umiejętności nikt mu nie odmawiał. Wszelako wydawało się, iż była to jedyna jego prawdziwie wybitna cecha - i całość "sukcesów" Krasnowa należało przypisać po prostu jego nienasycalnej ambicji.

Nie inaczej w przypadku ostatniego projektu starego "profesora" (o ile Hunt wiedział, Krasnow nigdy nie miał stałego etatu na żadnym z uniwersytetów). Wystosowane przezeń półtajne memorandum, zatytułowane pompacyjnie: Chaos Genowy:

dynamika Amerykańskiego Genomu, stanowiło nie więcej, niż zbiór pytań i niesyntetyzowanych informacji z różnych dziedzin, które spłotyły się w umyśle Krasnowa w załączek nowej teorii. Nowej jak nowej: Hunt postrzegał ją raczej jako ciąg wyekstremalizowanych truizmów.

Ale Krasnow wiedział, jak pisać, by wystarczająco zaniepokoić rządzących biurokratów, umiał w swych artykułach łączyć pozory naukowego obiektywizmu z patetyzmem telewizyjnych wieszczów kresu cywilizacji - i to chwyciło. Resztę, czyli właściwą pracę umysłową, wykonywali zań inni. Aktualnie teoria Chaosu Genowego prezentowała się jako w dziewięćdziesięciu pięciu procentach dzieło grupy płatnych konsultantów zatrudnionych na początku istnienia Programu przez Hunta - wówczas jeszcze (kiedy to było, zdumiał się w duchu Nicholas, przecież nawet jeszcze rok nie minął!) był to zupełnie inny Program. Lecz nikt nie miał wątpliwości, iż rzecz zapamiętana zostanie jako "teoria Krasnowa".

Autoewolucja, pisał Krasnow, jest to kreacja genetycznej przyszłości gatunku przez jego przedstawicieli. Zaczęto powszechnie używać tego terminu po komercjalizacji technologii "rzeźbienia" DNA planowanego dziecka. Całkowicie błędnie.

Otóż aby móc mówić o jakiegokolwiek ewolucji, musi zachodzić ciągły proces dziedziczenia, a tu z niczym podobnym nie mamy do czynienia, bo genetyczne rzeźbienie nie ogranicza się do jednego pokolenia, lecz

dotyczy w równym stopniu całej rozciągniętej wzdłuż osi czasu linii "potomków". Gdyby jeszcze rzeźbiarze dokonywali swych operacji na DNA faktycznie pochodzącym od rodziców, dziedziczono by przynajmniej introny. Ale firmy genetie sculptors mają swoje - identyczne dla wszystkich klientów - genomy ramowe, od których zawsze rozpoczynają proces komputerowego doboru dezoksyrybonukleotydów. Nic zatem, dosłownie nic, nie przechodzi z matki i ojca na "ich" dziecko, nawet kody mitochondrialne. Ewolucja gatunku została ucięta niczym lancetem, dalej już tylko ewolucja mód.

Po drugie zaś - i tu Krasnow docierał do źródła zagrożenia szansy - owo cięcie było "nieczyste". Żeby ono faktycznie dotyczyło całego gatunku...! Ale nie dotyczy. Dżdżownica światowej ekonomii rozciąga się i rozciąga - my tu biedzimy się nad genetycznymi modami, a w sercu Afryki wciąż wyrzynają się kałasznikowami, dzidami i maczetami, mnożąc się zgodnie z plemienną tradycją, po dwunastu z jednej matki, umiera dziesięciu. Darwin w zenicie, czysty żywioł.

Samo w sobie, z genetycznego punktu widzenia, to nic złego, wręcz przeciwnie, to stan. naturalny. Tak było przez tysiąclecia i tak być powinno, nie w tym kłopot. I nie problem w rzeźbieniu jako takim, bo gdyby było ono obligatoryjne dla każdego mieszkańca Ziemi - również nie stanowiłoby żadnego zagrożenia. Problem natomiast powstaje z pomieszania obu tych Systemów, ich równoczesnego funkcjonowania w blisko ośmiomiliardowej populacji - przy czym swym genomem manipuluje zaledwie osiem jej procent.

Powiedzmy sobie jasno, grzmiał Krasnow, fakt, że rozpisaliśmy DNA homo sapiens na grupy genów podług ich embriogenetycznych funkcji, bynajmniej nie oznacza, iż wiemy, co może dać w fenotypie dowolna ich konfiguracja, w istocie wątpliwe, byśmy kiedykolwiek w przyszłości to wiedzieli. Genetyczni rzeźbiarze codziennie aktywizują tysiące takich zestawów genów, które nie występują i nigdy nie występowały w naturalnej historii gatunku, bądź występowały, lecz zostały wyeliminowane w procesie dalszej selekcji. Dla pojedynczego osobnika noszącego je w swych komórkowych jądrach nie posiada to najmniejszego znaczenia: on ma - wynikającą z uprzednich testów - gwarancję firmy od poczęcia aż do śmierci. Nie miałoby to również znaczenia" gdyby nie pozostawiał on po sobie innych potomków, jak tylko rzeźbionych. Jednak byłby to stan idealny, modelowy, nie do osiągnięcia w rzeczywistości, gdzie ma miejsce nieustanny przepływ genów z populacji z upowszechnionym genetycznym projektowaniem do populacji wciąż podległych jedynie prawom Darwina. Ta rzeka wykoncypowanych w odmętach fuzzy logie naszych superkomputerów, artefaktycznych genów - rwie z siłą Amazonki na zewnątrz, do oceanu siedmiu miliardów homo sapiens, rekombinujących następnie w naturalny sposób owo obce, nowe DNA z DNA nierzeźbionych lub, co gorsza, z innym DNA

rzeźbionym; i jeszcze raz; i jeszcze raz; i wciąż ze świeżymi domieszkami... Rozprzestrzenia się po populacji niczym pożar w dżungli.

Kto jest w stanie przewidzieć, jakimi odgałęzieniami od gatunkowego pnia zaowocuje w przyszłości - lub owocuje już teraz - ten w pełni chaotyczny proces?

Przyszła Vassone i stwierdziła:

- Telepatami, między innymi.

Marina, Marina, westchnął w duchu Hunt, taka pewność siebie przystoi jedynie prorokom, a i im nie wychodzi na zdrowie.

Samochód zatrzymał się, z szyb zeszła zaćma.

- Jesteś na miejscu - rzekł wóz.

Znowu podziemny garaż. Hunt wysiadł, ruszył do windy. Obie windy, męska i żeńska, były prywatne, wynajęte wraz z dwoma najwyższymi piętrami Cygnus Tower przez atrapową firmę, którą zwykła się posługiwać w takich sytuacjach DIA. Drzwi zakluczano kartą elektroniczną oraz odciskiem kciuka, nadto już po wejściu do kabiny sprawdzał gościa przez kamerę żywy strażnik z posterunku na górze. Hunt zrobił do obiektywu ponurą minę. Winda wystartowała, ugiął nogi w kolanach. Przy hamowaniu jeszcze gorzej, senatorski szampan podszedł mu do gardła.

Moment niedoważkości przypomniał mu o Numerze 5. Trzeba będzie z nim pogadać. Co z Vassone, przecież profiler pilnie potrzebny. Robota dla esesmanów, psiakrew.

Poszedł prosto do Anzelma. Presławny chrapał, rozciągnięty na swoim biurku jak na krzyżu; jedna ręka w szufladzie, druga przewieszona przez usztywnioną płachtę ledekranu.

Hunt zamachnął się i huknął drzwiami, aż mu w uszach zadzwoniło. Anzelm zleciał na podłogę. Zawył.

- Co jest? - zagadnął uprzejmie Hunt, zaglądając pod mebel. Anzelmowi krew ciekła z nosa. Zezował, usiłując spoglądać równocześnie na swoją dłoń z szerokimi smugami czerwieni na grzbiecie oraz na pochylającego się nad nim Hunta.

- Huntobicie - warknął i rzucił się na Nicholasa.

Tamten odskoczył.

Anzelm zaczął gramolić się z czworaków.

- Sukinsyn.

- Spaleś na służbie.

- Kurewski służbista.

- Miło mi.

- Podam cię do sądu.

- Nie możesz, podpisałeś zrzeczenie się praw, a tu nie ma sieci ubezpieczenia. Zresztą sram na NETi.

- Ty sadystyczny...

- Dobra, dobra, spuść już parę. Gdzie pan pułkownik?

- Poleciał po McFlya. Jego ludzie, będzie musiał pisać listy. Szykuj się na oberwanie chmury. - Wyciągnął w górę dłoń. - Podaj mi rękę.

- Akurat! Ściągnąłbyś mnie do parteru. Zresztą upaprales się cały w tej krwi, idź się umyć.

- Chciałbym zobaczyć minę tego kardiologa, który otworzy ci klatkę piersiową. Pieprzony wybryk natury. Może chociaż chusteczki daj.

Hunt rzucił mu pudełko i przysiadł na krawędzi biurka. Anzelm ułożył się na podłodze, w kącie pokoju, i podjął z góry skazaną na niepowodzenie walkę z plamami.

- Jak Numer Pięty? - spytał Nicholas.

- Obudził się i od razu zaczął się rzucać. Zatkąłem go standardowymi formułkami i odesłałem do ciebie. Nie sprawia wrażenia wariata.

- Co z Mariną?

- Zaraz zjawia się przy niej braciszku.

- Jeśli przez dziesięć godzin będzie czysto, niech ją wiozą tutaj.

- Tutaj? A jak draństwo przywlecze się za nią?

- To się przywlecze. Co możemy poradzić, w fortocy się zamknąć?

- Mówię ci, to od początku był poroniony pomysł. Wetknęliśmy kij w mrowisko.

- Vassone to powiedz.

- Kto mieczem wojuje. Aha, znowu dzwonili z Departamentu Stanu. Ktoś od nas powinien im rutynowo opiniować te raporty z inwigilacji ichnich bonzów. Niepotrzebnie posłaliśmy im wtedy kopię, co drugą chybioną prognozę decyzji tłumacząc teraz monadami na smyczach obcych wywiadów. Casus Vassone to woda na ich młyn. W -poczcie elektronicznej "jest analiza tych urojonych Wojen Monadalnych, autorstwa niejakiego Hatzu czy Katzu. Dopuszczony z ramienia Departamentu Obrony przyjedzie tu, będzie na dniach. W Hacjendzie szaleje Krasnow, zamiast cisnąć doktorków na estepa, bawi się blockerami bionano, efesem i płodzi wielkie teorie. Znowu był monit, żeby kogoś tam posłać do nadzoru.

- Efes? Co on w nim widzi?

- Ba! Jak wpadli na to miesiąc temu, asystentowi Krasnowa się przyśniło, uwierzysz? Tak poszło to piorunem. W życiu nie widziałem takiego przyspieszenia technologicznego; od eksperymentu do zastosowań użytkowych w tygodnie, ani jednej ślepej uliczki. Krasnow błogosławi, wszystko jak po maśle. Poczekaj jeszcze miesiąc, a powie ci, że w ten sposób wygra Wojny.

- Przynajmniej jest to jakiś punkt zaczepienia przy

rewizji podań o dofinansowanie. Ktoś zamawiał ten efes?

- Nikt. Nikt nawet o nim nie myślał.

- Więc właśnie. Marnowanie środków budżetowych, wydatki niezgodne ze specyfikacją, malwersacje. Jeszcze zobaczymy, kto na kim pojedzie.

- A ty co usłyszałeś na przyjęciu w sferach niebiańskich? Jak w stolicy przechylają się nastroje? Czas nas teraz oskarżać, czy wyśmiewać?

- Jedno chyba nie wyklucza drugiego, w każdym razie według nich - mruknął Hunt w zamyśleniu; w międzyczasie obróciły mu się wiatraki skojarzeń. - Słuchaj, chciałbym, żebyś posadził kogoś nad analizą tych wszystkich masowych szaleństw. Wiesz, sekty, samobójstwa, te rzeczy.

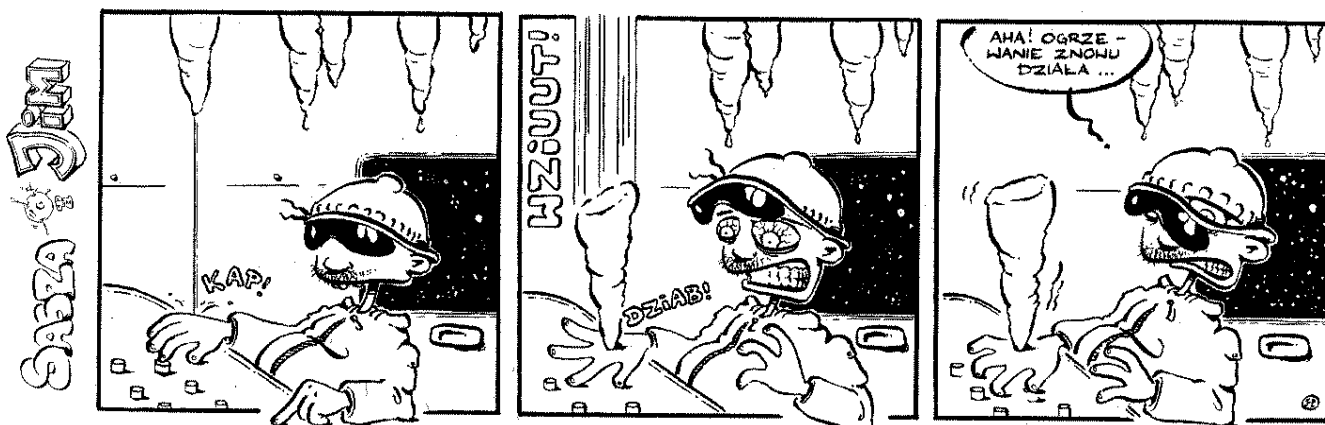
- W jakim kontekście? Myślni? Co to ma być, może rys historyczny dla edukacji dziatwy?

- Nieee. Posadź kogoś z łbem na karku, niech spróbuje to jakoś zsyntetyzować, mamy tu przecież do czynienia z wyraźną tendencją, długofalowym procesem... No nie wiem, cholera, niech pogłównie. Sam kiedyś próbowałem, ale... Idę się przespać, nie chce mi się jechać do domu. - Wstał, ziewnął. - Anzelm, na miłość boską, umyj się, wyglądasz jak kapłan voodoo przy pracy.

- Pokój z tobą, Nicholas, pokój z tobą.

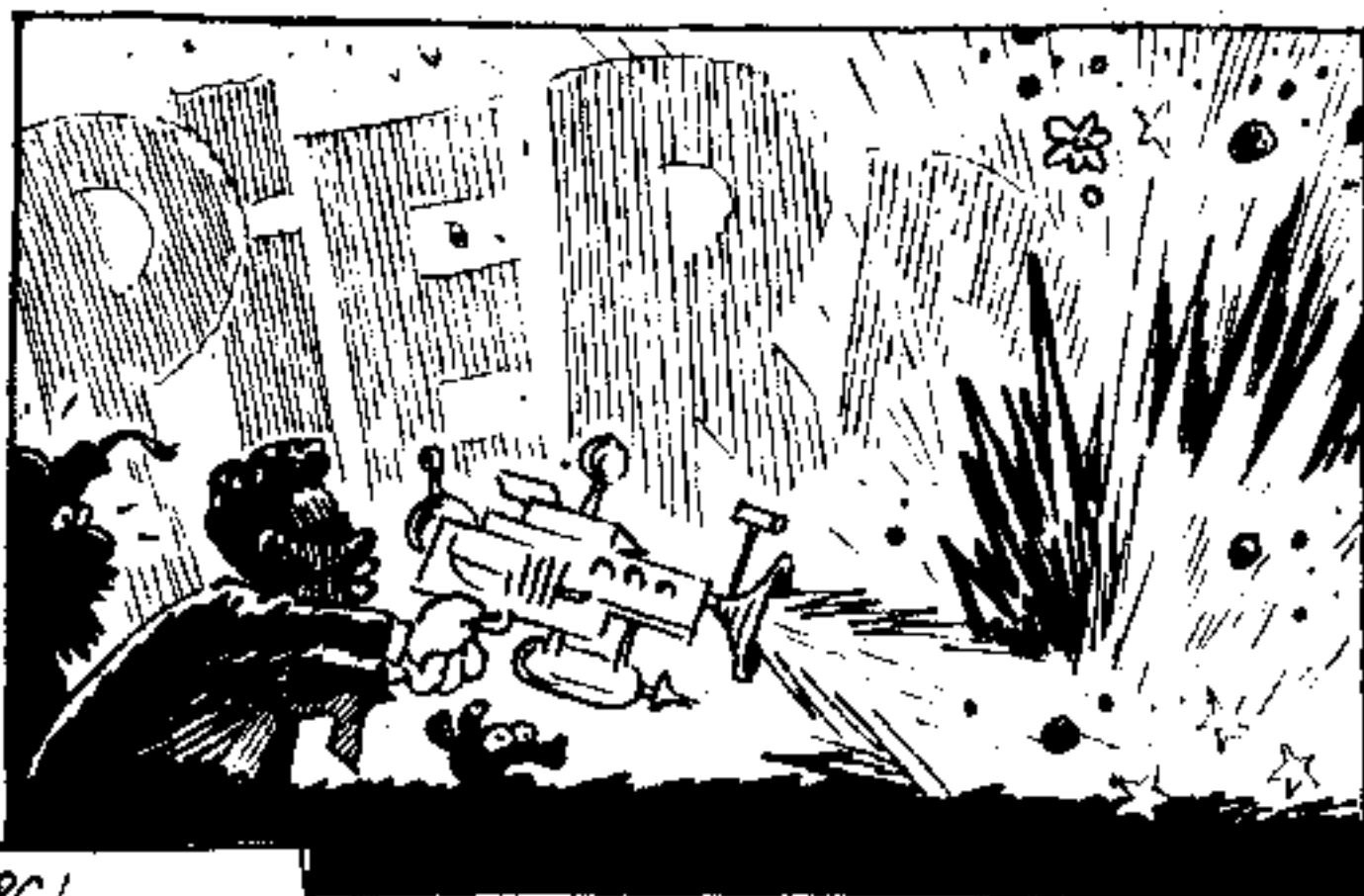
Jacek Dukaj

Jako bonus załączam pełny tekst tej powieści.





PEWNEGO DNIA...



OOPS!
ZAPOMNIAŁEM WYMAZYWAĆ PAMIĘĆ!



KONIEC